

ZAOLZIACY: ILU NAS JEST?

CENA 5 ZŁ (w tym 0% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

ŚLĄSK

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 10 (168) • ROK XV • PAŹDZIERNIK 2009

EWA SIWCZAK – Odrzuceni do wzięcia

Jak Jan Skutela trafił z Wehrmachtu do polskiego wojska

Powrót „królowej” na Stadion Śląski

DAGMARA DRZAZGA – O kinie Trzeciej Rzeszy



HENRYK

SZCZEPAŃSKI

**– Tutaj mieszkał
Ludomir Różycki**

Wiersze i proza:

**PATRYCJA KALETA,
MACIEJ MELECKI,
JAN KUROWICKI,
JÓZEF MUSIOŁ**

ISSN 1425-3917



9 771425 391905



W Galerii BWA w Katowicach gości wystawa 7 Triennale Grafiki Polskiej 2009 zorganizowana w ramach Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2009. Wernisaż połączony był z wręczeniem nagród laureatom konkursu – Grand Prix jury pod przewodnictwem Doroty Folgi-Januszkowskiej przyznało Henrykowi Ożogowi. Na zdjęciu: laureaci, jurorzy oraz organizatorzy 7 TGP. (Więcej o tegorocznym Międzynarodowym Triennale Grafiki w listopadowym wydaniu „Śląska”.)

Widowisko multimedialne „Wojciechowi Korfa-temu – Rapsod Śląski” zaprezentowane na pla-cu Sejmu Śląskiego w Katowicach 20 sierpnia br. było punktem kulminacyjnym Roku Korfa-tego. Obraz, światło i dźwięk przeniosły zebranych w atmosferę Górnego Śląska z okresu narodzin II Rzeczypospolitej. Pieśniami po-wstańczym w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tań-ca „Śląsk” i Justyny Steczkowskiej towarzyszy-ły multimedialne kompozycje fotografii, filmów archiwalnych, efektów świetlnych i laserowych. Całość widowiska dopełniały występy baletu Zespołu „Śląsk” oraz grupy akrobatyczno-ta-necznej „Mira-Art”. Aplauzem przyjmowano tak-że utwory wykonywane przez Józefa Skrzeka.



Foto: Witold Trojka / Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego

144. rocznica nadania Katowicom praw miejskich była okazją do wręczenia Nagrody Prezydenta w dziedzinie kultury. Uroczystość odbyła się 11 września br. w auli Akademii Muzycznej w Katowicach. W bieżącym roku Nagrody otrzymali: Barbara Uracz – za wieloletnie upowszechnianie i popularyzację folkloru oraz promowanie Katowic i regionu śląskiego w kraju i za granicą, a także poprzez coroczne zaangażowanie w organizację Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Folklorystycznego, Jerzy Jarosik – za wieloletnią i pełną zaangażowania pracę pedagogiczną w Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach, znaczący wkład w kształtowanie prężnie działającego Instytutu Jazzu oraz stale rozwijaną współpracę z międzynarodowymi środowiskami jazzowymi, Lech Szaraniec – za całokształt pracy związanej z utworzeniem i działalnością Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz za liczne publikacje popularyzujące historię i kulturę regionu Górnego Śląska, Violetta Rotter-Kozera – za bogaty dorobek w upowszechnianiu zjawisk kulturalnych na antenie telewizyjnej oraz przybliżanie dorobku artystycznego współczesnych twórców muzycznych, Anna Szostak – Myrczek – za wieloletnią, pełną zaangażowania i pasji pracę dyrygencką i pedagogiczną oraz stworzenie i prowadzenie Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”, cieszącą się międzynarodowym uznaniem.



ŚLĄSK

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Nr 10 (168). Rok XV. Październik 2009 r.

WYDAWCA: GÓRNOŚLĄSKIE
TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 032 253-62-21

e-mail: slask@neostrada.pl

www.alfa.com.pl/slask

Redaguje zespół:

TADEUSZ KIJONKA

redaktor naczelny

FELIKS NETZ

zastępca redaktora naczelnego

WIESŁAWA KONOPELSKA

sekretarz redakcji

KRZYSZTOF KARWAT

dział kulturalny

BOGDAN WIDERA

dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

dział graficzny

MIROSLAW KORBEL

nadzór techniczny i poligraficzny

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

IRENA FALKIN-SIBIGA

ANNA STRUMIŁOWSKA

korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13,

tel./fax 032 206-82-71

DTP: STP „KorGraf”, 40-081 Katowice,

ul. Dąbrowski 15/12, tel. 032 354-09-88,

032 781-06-48

Druk: PW „Tolek”

DRUKARNIA IM. KAROLA MIARKI

43-190 MIKOŁÓW, ul. Żwirki i Wigury 1.

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: – poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpłatnie – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 1020231300003302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat. Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 0% VAT). ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

W NUMERZE:

<i>Feliks Netz</i> NIE ODWRACAJMY SIĘ OD NICH	3
<i>Tadeusz Sławek</i> Z HASŁEM „KOPALNIA KULTURY”	4
Rozmowa z <i>Józefem Szymeczkiem</i> , przewodniczącym Kongresu Polaków w Republice Czeskiej ILU NAS JEST I KIM JESTEŚMY	6
<i>Ewa Siwczak</i> ODRZUCENI DO WZIĘCIA	10
<i>Rafał Działach</i> WYSTARCZY PRZEBIĆ SIĘ PRZEZ SIEBIE	12
<i>Lucyna Smykowska-Karaś</i> DO DOMU WRÓCIŁEM 5 PAŹDZIERNIKA	17
<i>Gerard Kuczera</i> WOJNY BALI SIĘ WSZYSCY...	20
Rozmowa z <i>Janem F. Lewandowskim</i> GDYBY KORFANTY ZOSTAŁ W PARYŻU	22
<i>Jan Cofalka</i> TEN NIESAMOWITY ZWIADOWCA	24
<i>Maciej Melecki</i> WIERSZE	30
<i>Józef Musiol</i> BRONOK	32
<i>Wiesław Koterski</i> NIE ŚWIĘCI ZAMKI LEPIĄ	36
<i>Patrycja Kaleta</i> WIERSZE	39
Rozmowa z <i>Agatą Ochotą-Hutyra</i> i <i>Adamem Hutyra</i> MÓW CODZIENNIE, ŻE MNIE KOCHASZ	40
Rozmowa z <i>Karolem R. Bułą</i> DO SZYMANOWSKIEGO TRZEBA DOROSNAĆ	44
<i>Jerzy Machura</i> POWRÓT „KRÓLOWEJ”?	46
<i>Jan Kurowicki</i> WIERSZE	50
<i>Dagmara Drzazga</i> TYLKO SZEŚĆ DNI	52
<i>Henryk Szczepański</i> TUTAJ MIESZKAŁ LUDOMIR RÓŻYCKI	56
<i>Bogdan Widera</i> ŚWIAT Z KRESEK I PLAM	64
<i>Krzysztof Karwat</i> NASZE KORZENIE	65
<i>Jacek Lyszczyński</i> SŁOWACKI W EDYCJACH KAROLA MIARKI	66
<i>Barbara Firle</i> VIR DOLORUM	80
<i>Przemysław Noparlik</i> WOJEWÓDZKI INFORMATOR KULTURALNY	81
<i>Przemysław Noparlik</i> OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA	96

Pismo wspierane finansowo
przez
ZARZĄD
WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO



oraz dotowane
przez
URZĄD MIASTA
KATOWICE



Zrealizowano w ramach
PROGRAMU
OPERACYJNEGO
PROMOCJA
CZYTELNICTWA
opiekanego przez
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

W kolorze:

* Mistrzowie warsztatu – wystawa
w Muzeum Śląskim w Katowicach
(str. A) * Piotr Oleś – fotografia
(str. B) * Szymon Prandzioch
– grafika (str. C) * Znaki i Twarze
Miasta Katowice – Hadyna na co-
lole (str. D)

Na okładce:

Trzy pokolenia katowickiego
Nizkiszowca

Fotografia:

Zbigniew Sawicz

ŚLĄSKI MIESIĄC	2
NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA <i>Marek S. Szczepański</i> MIASTA WSPÓŁCZESNEGO ŚWIATA (II)	9
POZA KADREM <i>Feliks Netz</i> JANOSIK. PRAWDZIWA HISTORIA	29
ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŹNA <i>Jan Miodek, Karolina Traczyk</i> PAMIĘTNIK GÓRNIKA EWALDA JELENIA	61
EKOLOGIA <i>Jolanta Karmańska</i> SILESIA MA 20 LAT!	62
<i>Jolanta Matiakowska</i> PASZTET NIEEKOLOGICZNY	63
FESTIWAL <i>Krzysztof Karwat</i> JARZYNA, KLATA I INNI	68
WSPÓŁPRACA Z ZAGRANICĄ <i>Ewa M. Walewska</i> ZBUDOWANO WIEŻĘ BABEL	69
TEATR <i>Krzysztof Karwat</i> W ZADUCHU BEZNADZIEI	70
<i>Magdalena Dziadek</i> MIĘDZY NUTAMI	71
KSIĄŻKI <i>Anna Kołodziejka</i> PROZATORSKIE JUWENILIA	72
<i>Bogdan Nowicki</i> W POSZUKIWANIU MIEJSCA	73
<i>Anna Kołodziejka</i> WOJNA BEZ WOJNY	73
<i>Mirella Siedlaczek-Mikoda</i> 4 CZERWCA ROKU PAMIĘTNEGO	74
<i>Krzysztof Karwat</i> PEEREL Z KOŚZMARNEGO SNU	75
<i>Krzysztof Karwat</i> PRZYPOMNIENIE MARCA'68	75
<i>Witold Turant</i> PYTANIA CZY ODPOWIEDZI	76
<i>Justyna Szlachta-Misztal</i> WYWODY HERBACIANE	77
<i>Bogdan Widera</i> KRÓTKO O KSIĄŻKACH	78
PODKOPKI	79
NOTATNIKI KULTURALNE <i>Wiesława Konopelska</i> KATOWICE	90
<i>Jan Picheta</i> BIELSKO	92
<i>Elżbieta Koi</i> CZĘSTOCHOWA	93
<i>Janusz Wójcik</i> OPOLE	94
<i>Jacek Sikora</i> ZAOLZIE	95

Prenumerata zagraniczna poprzez Dział Prenumeraty i Współpracy z Zagranicą „RUCH” S.A.

Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31.

www.ruch.com.pl

■ PRZEZ dwa dni (1-2 VIII) Bielsko-Biała pełna była mundurów i pojazdów wojskowych. W Operacji Południe, złocień miłośników militariów, na bielskich Błoniach brali udział kolekcjonerzy z kilku krajów.

■ POMNIK Reksia, słynnego bohatera kresówek produkowanych w bielskim Studiu Filmów Ryśunkowych, został odsłonięty 3 VIII w Bielsku-Białej, przy radości tłumnie zgromadzonych dzieci i rodziców.

■ WSPÓŁPRACOWNICY magazynu turystyki górskiej „n.p.m.” odwiedzili schroniska w polskich górach i wybierali najlepszy obiekt. Wygrało bardzo lubiane przez turystów schronisko na Przegibku w Beskidzie Żywieckim. Drugie miejsce zajęła babcówka na Rycerzowej również w Beskidzie Żywieckim.

■ PONAD 20 proc. wypadków na drogach naszego regionu powodują kierowcy w wieku poniżej 24 lat. Powód? Brak doświadczenia oraz „ulańska fantazja”. Karanie niewiele daje, będziemy odwoływać się do wyobraźni młodych ludzi – zapowiadają policjanci.

■ PIERWSZY prezes Górnośląskiego Towarzystwa Lotniczego S.A., jego współtwórca – Marek Ostunke zmarł 3 sierpnia w wieku 62 lat. Ostatnio był prezesem Zarządu Annada Development S.A. w Katowicach.

■ MÓWIĄ o nim, że jest głupi i leniwy. Ale Uniwersytet Śląski, wbrew ludziom wyrażającym te krzywdzące opinie, adoptował osła ze Śląskiego Ogrodu Zoologicznego. Ośmioletni osiołek już stał się ulubieńcem studentów.

■ WIELKI show na kosmicznej scenie. 70 tys. fanów U2 utworzyło 6 VIII na Stadionie Śląskim, tak jak cztery lata temu, gigantyczną białą-czerwoną flagę. Udało się na tyle dobrze, że Bono, który wówczas pokłonił się nisko, tym razem klęknął i przyłożył czoło do ziemi.

■ ŚLĄSKA policja zatrzymała 6 VIII konsula honorowego Republiki Tunezyjskiej w Polsce Wiesława U. oraz jego żonę Krystynę. Są podejrzani o korumpowanie głównego inżyniera kopalni „Bobrek” – potwierdza katowicka prokuratura.

■ PROFESOR Politechniki Częstochowskiej dr hab. inż. Lech Szczotka zmarł 6 sierpnia w wieku 62 lat.

■ TO był bardzo dobry Off Festival w Mysłowicach (7-9 VIII). Prof. Jerzy Buzek, szef Parlamentu Europejskiego przerwał urlop nad morzem, żeby przyjechać na Off Festival do Mysłowic. Czekal na występ grupy The National.

■ KSIĄDZ Jacek Kmiec z Sosnowca odkrył odkrywcy Greta Garbo. Zapomniane taśmy filmowe kilkadziesiąt lat przeleżały w piwnicy plebanii kościoła św. Andrzeja Boboli w Sosnowcu. Teraz trafiły w ręce fachowców. A ci nie kryją podekscytowania. Wśród odnalezionych starych filmów są prawdziwe unikaty – najstarszy z filmów pochodzi z 1913 roku. To film Maritza Stillera – odkrywcy Greta Garbo, znaney w świecie jako Greta Garbo.

■ HISTORYCZNA wieża radiostacji gliwickiej doczekała się godnej oprawy. Dzięki nowocześniejszej iluminacji radiostacja wygląda jak wieża Eiffla. W całej krasie zobaczymy ją 30 sierpnia podczas 70. rocznicy słynnej prowokacji, która była pretekstem do niemieckiej agresji na Polskę.

■ NIEZDOLNY do pracy był górnik 47-letni Gerard Stolorz z Katowic walczył z kopalnią „Wieczorek” o zadośćuczynienie za wypadek pod ziemią. Po trwającej 10 lat batalii sąd zasądził mu 10 tys. zł. To żenująca kwota – mówi Wacław Czerkawski, szef Związku Zawodowego Górników w Polsce.

■ ZNANY kardiolog i transplantolog oraz szef Śląskiego Centrum Chorób Serca prof. Marian Zemba otrzymał tytuł honorowego obywatela Zabrze.

■ PIWOWAR-amator Jan Krysiak z Chorzowa dostąpił wielkiego zaszczytu. Piwo według jego receptury wyprodukuje cieszyński Bracki Browar Zamkowy. To główna nagroda w konkursie piw domowych.

■ STUDENCI Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej z Wodzisławia i Bytomia dowiedzieli się, że część zajęć muszą odbyć w Łodzi. Uczelnia chce ich tam wozić autokarami.

■ SPODEK już po remoncie. W środku działa klimatyzacja, najnowocześniejszy system monitoringu

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca poprzedzającego
zamknięcie numeru

w Polsce i ekran, na którym widzowie będą mogli śledzić dokonania sportowców czy artystów. Spodek dostał też nowy cyfrowy system oświetlenia i dużo elektroniki. Na remont Spodka miasto wydało do tej pory 65 mln zł.

■ GÓRNICtwo przyniosło w tym roku już 153 mln zł strat. Spada sprzedaż i wydobywanie, a rosną zwally. Jeśli kryzys szybko się nie skończy, przyszłość górnictwa rysuje się czarno. Na szczęście wszystkie spółki węglowe, choć wstrzymały przyjęcia nowych ludzi, zadeklarowały, że nie będą zwalniać pracowników.

■ PRZEZ lata ładny wiszący most łączący Wisłę i Ustroniu. Teraz został zamknięty, bo nie można ustalić, kto jest jego właścicielem, gdyż most jest w opłakanym stanie i wymaga remontu. Korzystanie z niego stało się niebezpieczne.

■ MIAŁA być przystań dla zagłówek, jaskinia dla pletwonurków i kąpielisko. Dąbrowska Pogoria IV stoi jednak pusta. Miasto chce ją oddać mieszkańcom, ale administrator zbiornika boi się o... nadmiar ludzkich związków biologicznych, bo ludzie sikają.

■ WIELOLETNI dyrektor Zakładowego Ośrodka Kształcenia i Szkół Zawodowych Huty Baildon mgr inż. Józef Pelka zmarł 9 sierpnia w wieku 81 lat.

■ JAK co roku w pierwszą niedzielę po święcie Wniebowstąpienia NMP (w tym roku 17 sierpnia) kilkadziesiąt tysięcy kobiet i dziewcząt z różnych stron Śląska spotkało się w Sanktuarium Matki Sprawiedliwości i Miłości Społecznej w Piekarach Śląskich. Pątniczki powitał metropolita górnośląski abp Damian Zimoń, a homilię wygłosił metropolita warszawski abp Kazimierz Nycz. Mszę celebrował biskup gliwicki Jan Wierzbicki.

■ TEGO jeszcze nie było. Związkowcy-górnicy sami wynajęli firmę konsultingową, która przygotowała biznesplan określający przyszłość kopalni „Silesia” w Czechowicach-Dziedzicach, by uratować zakład zatrudniający ponad 800 pracowników. Wynajęci przez związek eksperci orzekli, że kopalnia może przetrwać najbliższe 30-40 lat pod warunkiem, że zainwestuje się w nią około 215 mln zł.

■ BAZYLIKA archikatedralna pw. Męczeństwa św. Jana Chrzciela w Warszawie wypełniła się po brzegi, gdy 15 sierpnia, tuż przed koncertem Madonny na lotnisku Bemowo, występował tu Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” oraz Józef Skrzek. Wydarzenie odbyło się w ramach Roku Wojciecha Korfa.

■ ZASŁUŻONY nauczyciel, organizator tajnego nauczania, oficer-kombatant II wojny światowej Stanisław Grzesiuk zmarł 12 sierpnia w Tychach w wieku 101 lat.

■ METROPOLITA górnośląski, ordynariusz archidiecezji katowickiej abp Damian Zimoń nie przejdzie na emeryturę po ukończeniu 75. roku życia, jak przewidywały przepisy kościelne, ale o dwa lata później. Decyzję podjął papież Benedykt XVI.

■ DWA najnowocześniejsze francuskie myśliwce Rafale, którym towarzyszyło 10 mniejszych maszyn Alfa Jet oraz dwa potężne transportowce C160 Transall oraz C130 Herkulesy wyładowały 18 VIII na lotnisku w Pyrzowicach. Jedną z najlepszych na świecie grup akrobatycznych Petrouille de France, reprezentująca francuskie siły powietrzne, zrobiła sobie na naszym lotnisku przerwę

na tankowanie. Piloci lecieli na pokazy lotnicze do Moskwy, dając przed odlotem minipokaz swoich możliwości.

■ SZPITAL św. Barbary w Sosnowcu zaczął oszczędzać na ochronie przed zakażeniami – dezynfekcji łóżek i badaniach bakteriologicznych. Może się to skończyć tragicznie dla pacjentów. Będą mieli groźne powikłania, niejedną może zginąć – ostrzegają lekarze.

■ KRYZYS może i jest, ale na pewno nie w tymskim Fiacie. Fabryka ma tyle zamówień, że nie tylko skróciła przerwę wakacyjną, ale przyjmie do pracy 320 nowych ludzi! Jak zwykle część z nich to osoby z polecenia i członkowie rodzin pracowników. Rekrutacja już się zaczęła.

■ CO można znaleźć w lodówkach beskidzkich restauracji i barów? Na przykład mięso, którego termin przydatności do spożycia minął rok temu. Albo lody trzymane razem z hamburgerami. Wojewódzki Inspektorat Inspekcji Handlowej w Katowicach skontrolował sześć barów i restauracji w Szczyrk, Wiśle i Ustroniu. Ze względu na złe wyniki, które zdumiały nawet inspektorów, podano je do publicznej wiadomości, żeby konsumenci już teraz zwracali uwagę, gdzie i co jedzą. Bo jest źle.

■ KONCERN energetyczny RWE i Kompania Węgla powołały 19 VIII spółkę RWE Elektrownia Czeszot (powstanie na terenie po dawnej kopalni o tym imieniu), która w Woli koło Pszczyny wybuduje nowoczesną elektrownię węglową, o mocy 800 megawatów.

■ WYŻSZY Urząd Górnictwa podejrzewa, że niektóre maszyny pracujące na ścianach w śląskich kopalniach mogą nie spełniać norm przeciwwybuchowych i stanowić zagrożenie dla górników. Sprawa jest poważna – przynajmniej przez WUG-u Piotr Litwa.

■ PLAC Sejmu Śląskiego w Katowicach wypełniła 22 sierpnia muzyka i gra światłem. Widowisko multimedialne było kulminacją obchodów Roku Korfa.

■ TYSIĄCE chorych na cukrzycę straci poradnie, w których mieli dostęp do najbardziej potrzebnych im specjalistów, i to bez kolejki. Powód: Narodowy Fundusz Zdrowia od nowego roku nie chce już zawierać z nimi kontraktów na leczenie.

■ MASYWNE szaby olowiu z dużą domieszką srebra były ukryte w piwnicze jednego z domostw wczesnośredniowiecznego Siewierza. Kto je zakopał i dlaczego nigdy po skarbie nie wrócił? Wtedy to była ogromna fortuna – nie mają wątpliwości archeolodzy – odkrywcy Aleksandra i Łukasz Łukaszewscy oraz Adam Olszewski.

■ OKOŁO 2 tysiące osób wzięło udział w mszy świętej, którą odprawiono 22 VIII u zbiegu granic Polski, Słowacji i Czech, czyli na tzw. Trójsztwie. W homilii ordynariusz bielsko-żywiecki bp Rakoczy mówił jak wiele łączy trzy żyjące obok siebie narody i apelował o jedność.

■ AŻ 20 procent śląskich pracodawców podpisuje „tanie” umowy. Rosnie liczba cudzoziemców pracujących na czarno. Co piąty pracownik w regionie jest oszukiwany – to wstępny wynik kontroli przeprowadzonej przez Katowicki Inspektorat Pracy.

■ MUZEUM Historii Katowic kupiło fotografie przedstawiające wejście wojsk niemieckich do Katowic w 1939 r. Po raz pierwszy zostaną publicznie pokazane 4 września.

■ AŻ o 160 tys. spadła w ostatnim czasie liczba osób jeżdżących w naszym regionie pociągami. PKP – jak zwykle – nie mają sobie nic do zarzucenia, chociaż na początku tego roku doszło do prawdziwej rzezi pociągów regionalnych w naszym województwie. Z dnia na dzień z rozkładu zniknęło 140 połączeń, wśród nich nie tylko te składy, które wozili pasażerów, ale także pociągi, z których korzystało mnóstwo pasażerów. A dalsze cięcia w drodze...

■ KAMIENICA przy ul. Dyrekcyjnej 9 w Katowicach zdobyła jedną z głównych nagród w konkursie Modernizacja Roku. Budynek zasłużył na to nową elewacją. Wyróżnienie w tej kategorii zdobyła również nowa elewacja Wydziału Filologii Uniwersytetu Śląskiego na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach.

■ NADZIEJA nazywa się ASTRA IV. Z taśm montażowych gliwickiego Opla zjechały 28 VIII pierwsze, testowe egzemplarze astry IV. To samochód, od którego zależy przyszłość gliwickiego zakładu i tysięcy jego pracowników, bo z Opla zwolniono już 250 pracowników.

■ ZAŁOBNE wiązanki, znicze i transparenty z napisem „Żegnaj ukochana” zęgną 28 VIII pociąg InterCity „Szyndzielnia”, kursujący na linii Bielsko-Biała-Rybnik-Wrocław. PKP InterCity twierdzi że „Szyndzielnia” jeździło za mało ludzi, co miją się nieco z prawdą.

KRONIKARZ

W numerze „Śląska” nr 8, w artykule Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz przytrafił się błąd – prawidłowy tytuł powinien oczywiście brzmieć: „Kłątwa ludom, co swoje mordują proroki”. Za uchybienie Autorkę serdecznie przepraszamy.

Redakcja

Tych kilku słów wypowiedzianych przez lekarzkę pogotowia, Jolantę Fabisiak, nigdy nie zapomnę. Takich słów nie pisze się na nagrobkach ofiar katastrof górniczych, ale każdy, kto ma sumienie i serce, głęboko wyryje je sobie w jednym i drugim – na zawsze. Oto te słowa: „To były czarne ciała z wiszącymi płatami skóry. Ludzie wyli z bólu”. Czy ktoś z nas potrafił to sobie wyobrazić? To, co stało się w piątek, 18 września, o godzinie 10.15. w KWK „Wujek-Śląsk”. Pogotowie wezwano po czterdziestu minutach! Ktoś musi się wytłumaczyć z tych czterdziestu minut! Pierwsze dwie karetki pogotowia przyjechały w pięć minut; pytanie, czy sytuacja byłaby taka sama, gdyby pogotowie wezwano natychmiast, po tym, jak pierwszy górnik, który doczłapał się do telefonu, aby przekazać „górze” wieść o wybuchu i pożarze, czyli o godzinie 10.15 najpóźniej 10.16? Nie wiem. Ale chcę to wiedzieć!

Zatrzymajmy się przy tych słowach, jakie usłyszał (wedle świadectwa dziennikarza gazety „Polska. Dziennik Zachodni”) ów górnik, który resztką sił doczłapał się do telefonu na poziomie 1100 m, są one bowiem przynębiającym świadectwem zbydlęcenia tak zwanej „góry”. Na kopalni, na dole i na powierzchni, wśród górników na ścianie i pośród ludzi dozoru, często-gęsto padają słowa nieparlamentarne, po prostu wulgarne, nierządno odrażające wulgarnie. Jako młody człowiek przepracowałem rok na dole, rozumiem, że ten język jest jakąś formą obrony, sposobem znieczulenia i samoogłuszenia, jest to – prymitywne – ale jakieś tam przecież zaklinanie czyhającego zewsząd Zła, tych sił, które nie wiadomo kiedy uderzą w człowieka, aby go zabić. Ale dyspozytorowi z KWK „Wujek-Śląsk”, który, nim górnik zdolał wypowiedzieć pierwsze słowo, a pewnie to słowo brzmiałoby „metan!” – krzyknął do słuchawki: „Czemu, chuj, ta ściana nie jedzie?!”; należy życzyć, aby te słowa słyszał, na jawie i we śnie, do końca życia.

Za tą pseudofamiliarną, koszarowo-kopalnianą wulgarnością, nie tyle już kryje się, co bije po oczach porażająca: prawda: ściana ma jechać! Czyli: wydobyć ponad wszystko! Zamiast, choćby najzwyczajszego: co tam u was? – człowiek, który w następnej minucie może skonać, słyszy to, co usłyszał ten, który, Bogu dzięki, przeżył. Czy to oznacza powrót do owej po stokroć przeklinanej gospodarki rabunkowej, kiedy górnik nie znał niedziel ni świąt, harował w jakimś obłędnym kieracie, aby dorobić się dóbr tak niezwykłych jak lodówka i telewizor?! I aby na obiad zjadł schaboszczaka, a na dół zabrał dwadzieścia deko kiełbasy zwanej zwyczajną? Że nie wszyscy to mieli? Daleko nie wszyscy, to prawda, ale niech ktoś spróbuje fedrować po gołąbkach z ryżem... Praca w kopalni, na dole, na ścianie – to niewyobrażalnie ciężka harówka, mimo rozwoju techniki wydobywania. Nieporównywalna z żadną inną pracą

na ziemi i na wodzie. Słyszysz się coraz częściej: a kto im każe?! Idą do górnictwa z dobrej woli, na własne ryzyko. Podobnie słyszysz się o żołnierzach zabitych w Afganistanie: przecież pojechali tam na ochotnika, wojna to wojna. A kopalnia to kopalnia. Z dobrej woli. Na ochotnika. Jest to skrajnie cyniczne postawienie sprawy! Bo i ochotnikowi ktoś jednak każe. Na przykład: bieda. Żona, gdy pyta, co ma włożyć do garnka? Dlaczego rybak wyrusza na otwarte morze? Przecież może utonąć! Ale co, jeśli ów czło-

Nie odwracamy się od nich

wiek nie ma nic innego, oprócz morza? Od pokoleń! W górnictwie, obok przyjezdnych z różnych stron Polski, pracują ludzie stąd, ludzie tutejsi, którzy wzrastali, mając przed oczami, od dziecka, szyb tej najbliższej kopalni. Przez pokolenia, w prawdziwej osadzie górniczej, kopalnia była sercem, którego bicie słyszano się w każdym domu. Górnikiem stawał się młody człowiek w sposób naturalny, nie tylko ładowaczem, czy rębaczem, ale także inżynierem. A każdy inżynier-górnik zapytany o zawód, odpowie: górnik, bo to prawda, a dyplom wyznacza mu jedynie miejsce w strukturze kopalni.

I nagle: pozamykać kopalnię!

I do wtóru: sprywatyzować kopalnię!

A co z ludźmi tam pracującymi? Pozamykać ludzi? Sprywatyzować ludzi? Ludzie muszą zarobić na chleb. Ale gdzie? Bo, niestety, pozamykać, nie znaczy, że coś w zamian, z dnia na dzień zostanie otwarte! Może po kilku, a nawet kilkunastu latach? Co? Nikt nie wie. A przez ten czas górnik, którego miejsce pracy zostało przed nim zamknięte, gdzie ma pójść, co ma robić? Powiedzmy, że otrzyma pewną, nawet niemałą kwotę, by coś roztropnego z nią zrobił, by się przekwalifikował, na kogo? Na rybaka? Na stocz-

niowca? Na kupca? Na księdza? Górnik to górnik. Można być niezrównanym w swoim rzemiośle górnikiem i kimś całkowicie niezaradnym w innych życiowych przedsięwzięciach.

Argumenty wszystkowiedzących polityków, jakoby górnictwo kończyło swój odrębny byt zawodowy, jakoby kopalnictwo węgla kamiennego wyczerpało już swoją gospodarczą energię, są tyle samo warte, co inne niezawodne recepty na szczęście tychże polityków, z prawa i z lewa, i ze środka. Słyszysz się w takich chwilach, że wydobywamy za dużo węgla, którego nikt nie kupuje, miliony ton węgla zalegają w gigantycznych zwałach. Ten argument robi wrażenie. Ale gospodarka zna pojęcie koniunktury lub jej braku. Brak światowej koniunktury na zboże nie oznacza zaprzestania uprawy wszelkich zbóż. Istnieje w dobrze funkcjonującej gospodarce system gromadzenia zapasów, w oczekiwaniu na nadejście koniunktury. Świat nie przestał wydobywać węgla, nie przestał produkować statków. Więc Polska obstając przy tych dziedzinach produkcji nie jest jakimś dziwłagiem zablakowanym w XI wiek! Sztuką jest znalezienie rynków zbytu. Świat, mówiąc metaforycznie, nie kończy się na Katarze!

Polsce potrzebny jest węgiel. Polska energetyka stoi na węglu. Polskie państwo bez węgla jest teraz, i będzie jeszcze przez czas bardzo długi, nie do wyobrażenia. Państwo nie jest od ogłaszania żałoby narodowej z okazji katastrof górniczych, państwo jest od tego, aby każdemu obywatelowi zapewnić możliwość godziwej egzystencji. Także państwo oparte na gospodarce rynkowej i na własności prywatnej. Państwo jest czymś więcej niż spółki, kompanie i korporacje. Państwo jest czymś więcej niż obowiązujące w nim środki płatnicze. Państwo to wspólnota ducha. Polska bez poczucia owej wspólnoty będzie miejscem na mapie Europy, co nie jest bez znaczenia, ale to o wiele za mało!

Zginęli ludzie. Gdy piszę te słowa, odbywają się górnicze pogrzeby ofiar (a ich liczba nie jest jeszcze wiadoma!) katastrofy w KWK „Wujek-Śląsk”. Kazimierz Kutz nazwał ich „ofiarami kapitalistycznego wyzysku”. Ma tytuł do publicznego wypowiadania własnych opinii. W moim przekonaniu nie system

zabija, lecz ludzie. I nie system będzie sądzony, lecz ludzie. Odpowiedzialni za tę tragedię muszą odpowiedzieć; to sprawa dla prokuratora. Sąd ich osądzi. Oby surowo, bo z tej tzw. „góry” bije zatruwający chłód. Nikt, kto ma sumienie i serce nie zapomni obejmujących się w bólu kobiet przed bramą kopalni kobiet, matek, żon, siostr. Ból ofiar jest wielki. Wielki jest także ból osieroconych. Nie odwracamy się od nich.



Foto: Janusz Szewczyk

„Miasto tworzy się zatem dlatego, że żaden z nas nie jest samowystarczalny, tylko mu potrzeba wielu innych”, to bodaj najzwięźlejsze, podane przez Platona, określenie przyczyny tego, że żyjemy niemal wyłącznie w miastach (86). Miasto nie jest tworem jednego umysłu, jednego człowieka, jednego pomysłu. Miasto jest zawsze i nieuchronnie dziełem zbiorowym; to wynik wspólnoty, której działania w przestrzeni zespolone są z pewną etyką życia publicznego, a także z pewną polityką. Trzeba zatem odnowić owo poczucie etyki traktowania i bycia w przestrzeni publicznej jako podstawy budowania polityki municypalnej.

Z hasłem „Kopalnia kultury”

TADEUSZ
SŁAWEK

Publikujemy tekst wykładu profesora Tadeusza Sławka wygłoszonego podczas uroczystej sesji Rady Miasta Katowice 11 września 2009 roku, poświęconej staraniom Katowic o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury (ESK) w 2016 r. Profesor Sławek, literaturoznawca i kierownik Katedry Literatury Porównawczej Uniwersytetu Śląskiego, w latach 1996-2002 przez dwie kadencje rektor tej uczelni, jako doradca prezydenta Katowic, Piotra Uszoka, objął funkcję dyrektora ESK 2016 i przewodniczącego powstałej w związku z tą inicjatywą 15-osobowej społecznej rady. Podczas uroczystej sesji Rady Miasta podjęta została nie tylko decyzja w sprawie ubiegania się o ten prestiżowy tytuł, o który konkurują 17 polskich miast, w tym Gdańsk, Poznań, Wrocław, Toruń, Łódź i Warszawa, lecz także uchwała w sprawie powstania Teatru Wielkiego Opery i Baletu w Katowicach. Jeśli idea ta doczeka się realizacji – a jest teraz ku temu okazja szczególna – uchwała ta może mieć znaczenie historyczne, skoro obiekt ten pomimo czterokrotnej lokalizacji (pierwsza z roku 1949!) dotąd w stolicy województwa nie powstał.

Tytuł wykładu profesora Tadeusza Sławka nadany przez Redakcję, zawiera hasło, z którym Katowice przystępują do programu ESK.

1.

Gdyby spytać, na czym opiera się Gowa polityka, moglibyśmy odpowiedzieć: na tworzeniu miasta gościnnego, na poszerzaniu możliwości goszczenia tego, co inne. Ową inność pojmować trzeba bardzo rozlegle. Jej horyzont obejmuje otwarcie na przybyszów oraz zabieganie o to, aby miasto oferowało im to, co ma najlepszego – to gościnność wobec podróżnego, przyjeżdżającego do pracy, turysty, przygodnego wędrowca wreszcie, ale także i tych, którzy wygnani ze swoich krajów szukają nowego domu gdzie indziej. Ale jest także gościnność okazywana mieszkańcom, tym, którzy odnaleźli tu swoje miejsce, i ta przyjmuje postać otwartości na ich pomysły modyfikowania miejskiej przestrzeni. Gościnne przyjęcie owych zamierzeń przez struktury miejskiej władzy, umożliwienie ich spełnienia, jest sposobem zarządzania pozwalającym na wykorzystanie wszystkich sił twórczych zarówno tych istniejących we-

wnątrz miasta, jak i tych przychodzących z zewnątrz.

Jeśli więc zaczęliśmy od przypomnienia, że miasto jest nieuchronnie dziełem wspólnoty, teraz możemy powiedzieć, że jakość owego dzieła zależy od stopnia, w jakim miasto jest świadome powinności bycia gościnnym wobec przybyszów i swoich własnych obywateli. Nie wystarczy bowiem formalność zameldowania, aby czuć się naprawdę „obywatelem”; potrzebna jest wolność działania. Na tej wolności opiera się nowoczesne miasto, o którym zmarły 5 lat temu wybitny filozof Jacques Derrida powiedział, iż jego cechą najbardziej charakterystyczną jest gościnność. Warto przypomnieć tego mędrca związanego serdecznie z Katowicami, jedynym miastem polskim, którego uniwersytet obdarzył go w 1997 roku godnością doktora *honoris causa*, i który w wielkiej mowie doktorskiej powiedział o uniwersytecie to, co w istocie należy odnieść także do miasta: to miejsce nowej solidarności nie łączącej już tylko ogół jednostek będących obywatelami; więzy te bowiem wykraczają daleko poza oby-

watelstwo miasta, czy kraju – miasto jest transnarodowe, stąd gościnność jest jego sercem. Miasto – transmiasto.

2.

Miasto nie jest „dane”; musimy porzucić myśl o mieście jako o przygotowanej przez kogoś, najczęściej anonimowego „kogoś”, przestrzeni. Miasto nie jest i nie może być monologiem władzy; miasto to dialog, a może wręcz wielogłos tych, którzy gotowi są w najróżniejszych postaci angażować się w powstawanie jego kształtu. Kultura to zbiór wartości, zasad, tradycji historycznych, języków, religii, sposobów poznawania świata, opowiadania jego treści; wiele z nich będzie wspólne dla wielu grup mieszkańców, ale nie wszyscy muszą podzielać jeden model uznany za obowiązujący. Kultura mniej bowiem polega na integrowaniu i scalaniu, co na tworzeniu i doskonaleniu trybów komunikowania się. Kultura nowoczesnego miasta musi sprzyjać sposobom porozumiewania się ze sobą grup i jednostek, tego, co prywatne, z tym, co publiczne, tego, co rządowe, z tym, co samorządowe i pozarządowe, tego, co znajome, z tym, co obce i nieznane. Oznacza to, że miasto wymaga zaangażowania osobowego, autorskiego, imiennego oraz to, że miasto jest miejscem „do zrobienia” i to nie oddzielnie, lecz zawsze w relacji z innymi miejscami. Kultura sprawia wyraziście, że miasto spełnia się jako miasto wśród innych miast. Nigdzie lepiej nie powinno to być widoczne, jak w śląskiej metropolii tworzonej przeciw przez miast czternaście. Kultura rekonstruuje miasto jako więź społeczną różnych miejsc, sprzyja kształtowaniu miasta jako sfery zbiorowej wyobraźni i rozmowie różnych światów symbolicznych tworzonych przez owe wyobraźnie. Miasto to współistnienie budynków, ulic, szlaków komunikacyjnych, ale w coraz większym stopniu także wyobraźni grup społecznych i jednostek. Deficyt tej ostatniej sfery grozi zapaścią miasta. Miasto jest bowiem silne wyobraźnią swoich mieszkańców.

3.

Chodzi więc nie tylko o kulturę W mieście, lecz o KULTURĘ miasta. Nie tylko o znakomite wydarzenia kulturalne dokonujące się w teatrach, salach koncertowych i wystawowych, ale o to, w jakim stopniu miasto będzie zdolne do życia tymi wydarzeniami. Projekt kultury miejskiej, kultury nie tyle W mieście, co kultury MIASTA, nie polega na odwracaniu się od nowoczesności, techniki, śmiałydecyzji ekonomicznych. Kultura nie odrzuca tych sfer działania, ceni je nadzwyczaj, natomiast dąży do tego, aby nie zawsze odgrywały one rolę hegemoniczną, nie tworzyły świata ponad człowiekiem i obok człowieka, lecz by sprzyjały nie tylko zyskowi, ale przede wszystkim mądrze zorganizowanemu życiu. Kultura jest

kruczym działaniem ograniczającym w imię dobra publicznego najbardziej niepokojące zapędy techniki, ekonomii, administracji do hegemonizacji.

Kultura jest mądrym dialogiem z władzą nie stroniącym, jeśli to konieczne, od sporu; dlatego rządzący powinni cenić kulturę – jest ona bowiem umiejętnością mądrego oporu podjętego nie w imię takich czy innych korzyści politycznych, lecz – jeśli możemy sobie pozwolić na odrobinę patosu – w imię prawdy losu człowieka. W dramatach Szekspira to nie ministrowie mówią prawdę królowi; to przywilej artysty, na potrzeby teatru zwanego blaznem, tego, który posiadał wszelkie sztuki i które to umiejętności pozwalają mu na wgląd w sekrety człowieczego losu.

4.

Miasto jest strukturą mobilności; przez mobilność rozumiem ruch pomysłów i przeciwstawiam ją dwóm niebezpieczeństwom – hipermobilności polegającej na nerwowym przebieganiu z miejsca w miejsce „bez pomysłu” właśnie, oraz niemobilności będącej trwaniem w jednym miejscu i akceptowaniem jego obecnego kształtu. To inny rodzaj „bezpomysłowości”. Mobilność, o której mówię polega na ruchu myśli i pomysłów, na pojmowaniu życia jako ćwiczenia w wolności myślenia i spełniania jego postulatów. Miasto i jego instytucje mają za zadanie być narzędziem ułatwiającym swobodne myślenie i w miarę możliwości wprowadzania w życie jego wyników. Na tym polega solidarność i sprawiedliwość nowoczesnej *polis*: nie tylko na redystrybucji dóbr (choć tego zadania miasto wyrzec się nie może), ale na poszerzaniu możliwości praktykowania przez jednostkę lub stowarzyszenia wolności ich działania. Mieszkaniec staje się obywatelem, gdy doświadcza tego, że nie jest tylko fachowcem, narzędziem wykorzystywanym do tworzenia zasobów miasta, ale że może rozwijać swoje zamiłowania i pasje, a zatem, że jest wartością sam w sobie. Nie tylko „Fachmensch”, ale „Kulturmensch”.

Władza miasta nie słabnie poprzez to, lecz przeciwnie – staje się mocniejsza; nie dlatego, że eliminuje konflikty, lecz dlatego, że traktuje je nie jako spór prawdy z nieprawdą, lecz jako spotkanie różniących się od siebie racji. Miasto to przede wszystkim umożliwianie działania. Dlatego doskonalenie istniejących, a przede wszystkim budowanie nowych pomostów między instytucjami administracji miasta a twórczą mobilnością mieszkańców będzie jednym z głównych zadań stojących przed nami na najbliższe 6 lat. Pierwsze muszą się wyrzec pewnej właściwej instytucjom bezwładności i siły przyzwyczajenia; drudzy – muszą zdać sobie sprawę z ram, w których działają i z publicznego wymiaru swoich działań.

łań. Miasto kultury, to miasto możliwości.

5.

Konkurencja, do której dzisiaj stanęły decyzją swych władz Katowice jest znamienna i życzymy sobie, aby była przełomowa. Rozumiemy ją bowiem jako podjęcie przez władze publicznego zobowiązania. W największym skrócie zobowiązanie to dotyczy trzech sfer życia miasta i jego metropolitalnych sąsiadów. Po pierwsze, sfery publicznej przestrzeni, jej kształtu i funkcjonowania. Nie chodzi jedynie o wielkie inwestycje zaplanowane na lata 2010-2016, których budowa ruszy niebawem, lecz także o wniesienie nowej energii do miasta i jego dzielnic przez umożliwienie najszerszej pojętych działań twórczych. Wierzymy, że inicjatywy te zostaną także wykorzystane przez inne miasta metropolii i regionu. Hasło „Kopalnia kultury”, z którym Katowice przystępują do programu ESK, poprzez nawiązanie do tradycji pracy oznacza zrozumienie tego, że przyszłość miast należy do miast twórczych, a zatem, że miasto nowoczesne to kultura w działaniu, kultura w akcji. Inaczej rzecz ujmując: miasto nowoczesne to praca kultury i tworzenia na wszystkich poziomach funkcjonowania życia miasta.

6.

A zatem, po drugie, zobowiązanie podjęte dzisiaj musi dotyczyć nie tylko poszerzenia listy wydarzeń kulturalnych w mieście, aglomeracji i regionie, ale jest również zobowiązaniem do większej odwagi, także finansowej, w planowaniu ich skali. Katowice i jej sąsiadów stać na wielkie wydarzenia, które odpowiedzą na ambicje mieszkańców, przyciągną gości z kraju i zagranicy, a w dalszej konsekwencji przyczynią się do stworzenia nowego, dalekiego od dotychczasowego stereotypu wizerunku Śląska. Z tego punktu widzenia hasło „Kopalnia kultury” rozumiemy jako wydobywanie na jaw, na światło, tego, co pozostaje tutaj ukryte w półcieniu, niewykorzystane i niedocenione, ale również stworzenie warunków do goszczenia u nas tego, co w świecie rozbłysło najjaśniejszym światłem w kręgu sztuki muzycznej, sztuk wizualnych, teatru i literatury.

7.

Zadania te będą trudne do spełnienia bez przekonania mieszkańców, że zabiegi zmierzające do uzyskania tytułu ESK są także ich zabiegami, a efekt tych wysiłków w poważnym stopniu wpłynie na kształt naszego życia w Katowicach i metropolii oraz na płynącą z tego satysfakcję. Dlatego trzecią sferą, której dotyczy zobowiązanie do uczestnictwa w programie ESK jest sfera komunika-

cji społecznej, bowiem powodzenie w wypełnieniu postawionego zadania zależy w stopniu podstawowym od energii mieszkańców i stworzonych przez nich stowarzyszeń i związków twórczych. Miasto musi być dla nich partnerem stałej rozmowy, a w rozmowie tej azymutem dla władz powinno być tworzenie i otwieranie możliwości działania dla wszelkiego rodzaju podmiotów i wspólnot. Hasło „Kopalnia kultury” czytamy teraz jako sięganie do zasobów energii mieszkańców po to, aby trudna sztuka bycia razem udawała się nam lepiej. Dzisiejsza uchwała to więc zobowiązanie do ćwiczenia się w „byciu razem” na każdym poziomie zamieszkiwania: domu, ulicy, dzielnicy, miasta, aglomeracji, regionu. Kultura, o której mówimy nie jest jedynie sferą wielkich wydarzeń, ale – w równym stopniu – umiejętnością przynoszącego satysfakcję i spełnienie bycia razem we wspólnej przestrzeni codziennego życia.

8.

Tym trzem zobowiązaniom towarzyszą dwie okoliczności podstawowej wagi. Pierwsza jest przekonanie, że choć każdy kto przystępuje uczciwie do jakiegokolwiek konkurencji niejako składa przyrzeczenie, że dokona wszystkiego, aby wypaść w niej jak najlepiej na miarę swych sił i możliwości, jednak akcentujemy to, że niezależnie od ostatecznych wyników starań liczyć się będzie to, co możemy wypracować wspólnie w mieście, metropolii i regionie w ciągu 6 nadchodzących lat. Nowe przedsięwzięcia, nowe inicjatywy, nowe pomysły, nowe energie, sprawna, życzliwa i obdarzona wyobraźnią współpraca administracji i ludzi twórczych, zamiana wyglądu naszych ulic – to wszystko pozostanie, niezależnie od rozstrzygającej decyzji oczekiwanej późną jesienią roku 2012. Drugą zaś okolicznością jest przyrzeczenie władz miasta, że stworzony program zmiany Katowic, metropolii i regionu poprzez pracę tworzenia i kultury będzie konsekwentnie wypełniany niezależnie od podjętej przez Unię Europejską w roku 2012 decyzji. Co więcej, program ten stale modyfikowany i uzupełniany powinien znaleźć kontynuację także po roku 2016. Dzisiejsza uchwała Rady Miasta ma dla nas walor takiego przyrzeczenia. Hasło „Kopalnia kultury” nabiera tu wymiaru pochwały i zobowiązania do wytrwałości i niezrażania się przeciwnościami.

Jako kandydat do tytułu ESK chcemy uruchomić nową energię i nowy kierunek zmian zachodzących od wielu lat na Śląsku, tak aby Śląsk zmieniając warunki i jakość życia swoich mieszkańców, zmienił także – nie tracąc nic ze swej historii i odrębności – swój obraz w oczach innych.

„Koncepcja odtwarzania tożsamości ziemi cieszyńskiej ma wielu przeciwników”

Foto: ARC



Józef Szymeczek: „Uważam za Polaka tego, kto się do polskości przynaję”.

z JÓZEFEM SZYMECZKIEM,
przewodniczącym Kongresu Polaków w Republice Czeskiej,
rozmawia JAN PICHETA

Ilu nas jest i kim jesteśmy

– Nie istnieje już obecnie tożsamość Śląska Cieszyńskiego jako wspólnoty ludzi mieszkających po obu stronach Olzy. Czy da się ją ponownie odtworzyć?

– Jeżeli pan się orientuje w tym, co dzieje się obecnie za Olzą w polskich kręgach, to wie, że jest burzliwa dyskusja na temat tożsamości. To jest bardzo modny trend. Zauważyli to nawet w Warszawie. Znany ośrodek wydawni-

czy „Karta” zorganizował wystawę na zamku w Cieszynie, która pokazała, jak różne występują obecnie na Śląsku Cieszyńskim postaci tożsamości – śląsko-polska, śląsko-czeska, zaolziańsko-polska, śląska, czeska, polska, „tustelańska”. Pomieszanie niesamowite. Niemniej jednak widać, że na temat tego, kim właściwie jesteśmy, dużo się dyskutuje. Robi to nasza prasa (Głos Ludu) ro-

Józef Szymeczek urodził się w 1973 r. w Trzycu. Ukończył historię w Uniwersytecie Ostrawskim. Od 2002 r. jest przewodniczącym Kongresu Polaków w Republice Czeskiej. W 2003 r. objął funkcję sekretarza ds. nauki i oświaty w Śląskim Kościele Ewangelickim w Czeskim Cieszynie. W 2004 r. wraz z dyr. Książnicy Cieszyńskiej Krzysztofem Szelongiem założył dwujęzyczną edycję dziejów Śląska Cieszyńskiego pn. *Bibliotheca Tessinensis*. Od 2005 r. jest kierownikiem Oddziału Wychowania Chrześcijańskiego Katedry Nauk Społecznych Wydziału Pedagogicznego Uniwersytetu Ostrawskiego. Interesuje się historią. Zajmuje się głównie śląskim protestantyzmem w czasach totalitarnych. W 2007 r. obronił na Wydziale Historyczno-Pedagogicznym Uniwersytetu Opolskiego pracę dokorską pod tytułem „Augsburski Kościół Ewangelicki w czeskiej części Śląska Cieszyńskiego w latach 1945-1950. Koszty autonomii”. Na język polski tłumaczy twórczość Włodzimierza Wysockiego.

bią autorytety, i lud pospolity. Jeżeli można mówić o zaolziańskiej tożsamości, która w różnych kolo-
rach istnieje, to mówiłbym również o tożsamości cieszyńskiej. Trzeba ją odbudowywać i wracać do bogatych tradycji wspólnej ziemi cieszyńskiej, żeby oddychała dwoma płucami – wschodnim i zachodnim.

– Co stoi na przeszkodzie, żeby większość mieszkańców po obu stronach Olzy zaczęła tak myśleć?

– Koncepcja odtwarzania tożsamości ziemi cieszyńskiej ma wielu przeciwników. Głównie Czesi się obawiają, że jeżeli by ta koncepcja zwyciężyła i ziemia cieszyńska zaczęła żyć samodzielnym życiem, z pominięciem granicy, to oni stałoby się mniejszością. Mogliby więc odczuwać z tego powodu lęk, który zresztą już odczuwają...

– Czy odtwarzanie tożsamości cieszyńskiej po obu stronach Olzy jest w ogóle możliwe, jeśli obecnie Czesi stanowią większość mieszkańców Zaolzia?

– Jestem przekonany o tym, że taką tożsamość można będzie odtworzyć. Wręcz trzeba ją odtworzyć! Przecież w tożsamości cie-

żyŋskiej sprzed stu lat żywił
czeski też był obecny. Czesi żyli
w okolicach Frydka, Wyższej Lgo-
ty, Bruzowicach. Trzeba to im tyl-
ko przypomnieć. Jedynie bowiem
na styku kultur – polskiej, cze-
skiej, żydowskiej, niemieckiej
– na skutek ich wzajemnego prze-
nikania – rodziło się największe
bogactwo tej ziemi. Każdy, kto
chciał uprawiać czysto nacjonalis-
tyczną politykę – a było kilka
przekładów, np. Czesi po wejściu
na te tereny w 1919 roku, kiedy
to 5000 Polaków musiało opuścić
Zaolzie uciekając przed czeskimi
egzekucjami, czy Polacy w 1938 r.
– ten tylko szkodził tej ziemi! Dla-
tego trzeba powrotu do świadom-
ości, że żyją tu różne narody
i grupy etniczne. One zdają sobie
z tego sprawę, są z siebie dumne
i współpracują z sobą dla wspólnego
dobra ziemi cieszyńskiej. Mo-
że jest to fikcja, ale jestem przekonany,
że to da się zrobić, że
będziemy mogli tu żyć jako Czesi
i Polacy (przypominając kulturę,
którą z naszymi przodkami tworzyli
dawni Niemcy i Żydzi) i cieszyć się z tego.

– **Jest pan jeszcze młodym
człowiekiem, ale przewodzi Kon-
gresowi Polaków w Republice
Czeskiej już trzecią kadencję.
Jak w ciągu tych lat układały się
stosunki polsko-czeskie na Za-
olziu?**

– Z tego, co zarejestrowałem
w ciągu tych niemalże dziesięciu
lat, muszę z bólem powiedzieć, że
stosunki czesko-polskie pogarsza-
ją się. Polega to, moim zdaniem,
na tym, że mniejszość polska
w Czechach po przystąpieniu
do struktur europejskich i przyję-
ciu różnych europejskich kart, zy-
skuje coraz to większe prawa. Li-
czebnie i swoją kondycją jest
jednak coraz to słabsza. Czechów
niesamowicie denerwuje, że „sła-
bi” Polacy coraz to głośniej krzy-
czą. Oni nas tu już w ogóle nie
widzieli. Byli przekonani, że problem
jest zamknięty. Jesteśmy zamknięci
w swoich gettach „pezetkaow-
skich” – warzonka, parówki, tańce
ludowe i śpiew – a tu nagle ktoś im
wiesza dwujęzyczne napisy! Być
prywatnym Polakiem u siebie – jak
najbardziej. Leżeć sobie spokojnie
w swoim grobie – tak. Wydoby-
wać jednak polskość na widok pu-
bliczny? Takie było nastawienie
Czechów, ponieważ nas wciąż

ubywa; jest teraz zaledwie 36 ty-
sięcy. Tymczasem Europa daje
nam takie prawa, że chociaż jest
nas mniej, to jesteśmy bardziej wi-
doczni. Czechów to jednak dener-
wuje i budzi autentyczne lęki. Naj-
bardziej widocznym tego
przejawem jest niszczenie dwuję-
zycznych napisów. Jeszcze nigdy
nie widziałem zniszczonej czeskiej
części napisu. Jest to dla mnie do-
wód, iż napisy niszczą Czesi. Nie-
stety wystarczy również wejść
do internetu. Tam nienawidź
do Polaków jest co prawda anoni-
mowa, ale też oddaje odradzanie
się pewnego ducha społeczeństwa.
Literatura internetowa jest bardzo
zatrważająca. Jeśliby miało się zi-
ścić to, co w matrixie elektronicz-
nym się dzieje, wcale bym się nie
zdziwił, gdyby mi ktoś dał po py-
sku. Nawet bym nie pytał, za co.

Myślę, że jest to spowodowane
tym, iż w trakcie transformacji eu-
ropejskiej istniało wiele progra-
mów związanych z prawami
mniejszości. Nikt jednak w tym
czasie nie pracował z większością!
Nikt nie wytłumaczył Czechom,
co stało się na Zaolziu! Z tego po-
wodu są totalnie zagubieni. Po-
za tym też będą mieć porządne
problemy ze swoją tożsamością.
Każdy miejscowy Czech, który za-
cznie myśleć o swej tożsamości,
musi dojść do wniosku, że jest
w zasadzie Polakiem. To też może
budzić pewne napięcia.

– **Jak pan widzi możliwość za-
łagodzenia tych napięć, żeby nie
dochodziło do konfliktów, ale
przeciwnie – do wspólnego dzia-
łania na rzecz malej ojczyzny,
o której Pan wspomniał.**

– Możliwości widzę przede
wszystkim w oświacie, w edukacji
społeczeństwa większościowe-
go... Wymyśliłiśmy już kilka cie-
kawych, skromnych projektów,
które były przez Czechów bardzo
życzliwie przyjęte. Przedstawicie-
le Kongresu Polaków jeżdżą
po szkołach czeskich i mówią
o wielokulturowości ziemi cie-
szyńskiej, o jej tradycjach, o słyn-
nych postaciach cieszyńskich.
Opowiadają zresztą nie tylko o Po-
lakach, takich jak Jerzy Buzek, Je-
rzy Kukuczka czy Adam Małysz,
ale np. o Richardzie Pipesie i in-
nych wybitnych ludziach różnych
narodowości. Pokazują, że jest to
także ich dziedzictwo. Nie tylko
nie powinni się tego bać, czy wsty-

dzić, ale mają się z tego cieszyć.
Początki były ryzykowne, nie wie-
dzieliśmy bowiem, jak to zostanie
przyjęte. Okazało się jednak, że
zarówno dyrekcje szkół, jak i dzie-
ci, bardzo pozytywnie na to zare-
agowały. – No, nareszcie czegoś
się dowiemy o tradycjach tej zie-
mi! Jest duże zapotrzebowanie
na takie wykłady i przez cały rok
mamy co robić! Tak więc jedną
sprawą jest pokazanie społeczeń-
stwu większościowemu, że nie je-
steśmy zagrożeniem, że z polskiej
kultury zrodziło się wiele dobrego,
co wzbogaciło nawet Republikę
Ceską. Dzieci najlepiej to pojmu-
ją, jeśli im mówimy o sportow-
cach. Był taki piłkarz, urodzony
w 1932 r. Tadeusz Kraus, który
mieszka w Pradze, a który bardzo
dobrze zagrał na Maracan w
1956 r. Dostał się do reprezenta-
cji czeskiej z polskiego klubu spor-
towego Siła Trzyniec. Przez 10 lat
grał w Sparcie Praga, a potem
w innych praskich klubach. Na Za-
olziu ma rodzinę. Chodzi więc
o to, żeby się nie zamykać w swo-
ich enklawach, lecz otwierać na in-
ne grupy etniczne, żeby Czechowi
można popatrzeć w oczy i powie-
dzieć: – My tu żyjemy i też jeste-
śmy gospodarzami, nie bójcie się.
Niestety – oni się boją. Po drugie,
ważne są wspólne kulturalne
przedsięwzięcia. W tym względzie
jest nawet w polskiej mniejszości
dyskusja, czy się otwierać, czy nie.
Czy robić tak jak Renata Putzla-
cher z Jaromirem Nohawicą *Cie-
szyńskie niebo*? Czy to jest dobry
przykład, czy zły? Ja uważam, że
dobry i trzeba nam jak najwięcej
wspólnych kulturalnych przedsię-
wzięć. Jaromir Nohawica zrozu-
miał o co chodzi i kulturalny po-
tencjał wykorzystał do swego
biznesu. Jego piosenki są śpiewa-
ne w Polsce po polsku. Potrzebne
są filmowe imprezy jak niegdyś
festiwal Romana Gutka, który
przeciwnie swój festiwal
do Czech. Jest festiwal „Kino
na Granicy” i festiwal teatralny
„Bez Granic”, który już odbył się
dwudziestokrotnie. Są wspólne im-
prezy jazzowe. Świetną robotę wy-
konuje Teatr Cieszyński. Oświata
i kultura są potrzebne, bo ludzie
kultury nie będą się zabijali. Je-
stem zwolennikiem otwartości
i wspólnych działań. Szkoda, że
na Zaolziu jest wielu ludzi z obu
stron, którzy tego otwarcia nie

chę. Niektórzy Polacy uważają, że się rozmyjemy wśród Czechów. Wygląda na to, że nie dla wszystkich jest to uniwersalne lekarstwo. Poza tym ważne jest pokazywanie naszych praw. Czeszy urzędnicy ich nie znają. To jest tragedia. Wszyscy są przekonani, że istnieje tylko język urzędowy czeski. Też im to trzeba jakoś wyjaśnić. Najlepiej byłoby, gdyby taką oświatę wśród urzędników prowadziło państwo czeskie. Nie chcemy przecież nikomu dokopywać.

– Skąd bierze się taka nienawiść wśród Czechów? Czy to także nie jest reakcja na otwarcie granic i wynikający stąd lęk przed większymi wpływami Polaków?

– Może wybryki w internecie też są przejawem tego lęku. Internetem posługuje się prawie tylko młodzież, ale nie cała młodzież czeska w ten sposób reaguje. Znam kilkunastu czy może kiludzieściu Czechów, którzy już pracują w Polsce. Korzystają z dobrodziejstw unijnych i Bogu są wdzięczni za to, że żyli na Zaolziu z Polakami. Znajomy Czech pracuje w Brukseli. Chodziliśmy w Bystrzycy do szkół – on do czeskiej, ja do polskiej. Biliśmy się jako dzieci. – Czech mo na rzyci plech! – Polok mo na rzyci bolok! – obrzucaliśmy się wyzwiskami. Teraz mi mówi, że dzięki temu ma o 30 tys. koron więcej. Szefowie stwierdzili, że umie po polsku, to zlecili mu prowadzenie także polskiej agendy. Z tego powodu przyszedł nawet do mnie postawić pivo... Takich Czechów jest dużo. Znam ludzi, którzy pracują w Krakowie i innych miastach w wielkich firmach, gdyż ekspansję na rynek europejski zaczynali najpierw w Czechach. Chodzi o to, żeby jeszcze więcej ludzi sobie uzmysłowiło nie tylko to, że nie trzeba się bać wzajemnego otwarcia, ale żeby pojęło, jakie ono daje możliwości, prawa i szanse! Należy ich przekonać, że swój stosunek do Czechów budujemy na miłości do własnego narodu, a nie na nienawiści do Czechów, choć w naszej mniejszości jest kilku nacjonalistów, których sami też musimy trochę hamować.

– Dlaczego ludzi przyznających się do polskości jest na Zaolziu coraz mniej? Czy może coraz mniej jest Polaków?

– To ciekawe pytanie. Co to jest polskość? Uważam za Polaka tego, kto się do polskości przyznaje. Stalin mówił, że narodowości nie da się zmienić. Podobnie Hitler uważał, że Żyd jest Żydem. Są obiektywne atrybuty polskości, np. „życie w kulturze” czy religia. Najważniejszym jest jednak język, choć np. w Brazylii czy Francji mogą żyć Polacy, którzy już nie znają języka polskiego. Subiektywnym atrybutem jest, kto kim się czuje. Dlatego za Polaka uważam tego, kto ma świadomość swej polskości i się do niej przyznaje. Mówiłbym więc o 36 tysiącach tych, którzy się przyznali, że są Polakami, a nie mam prawa nie wierzyć w rzetelność spisu. Oczywiście ludzi polskiego pochodzenia, którzy mówią gwarą „polskobrzmiącą”, ale nie uważają się za Polaków, jest o wiele więcej. Moglibyśmy nawet mówić o stu tysiącach takich osób... Prawdą jest jednak, że nas ubywa. Ubywało nas za czasów socjalistycznych. To było jasne – internacjonalizm, naciski, wytwarzanie atmosfery, że czeski komunista jest dobry, a polski jest zły, bo „rozpierzdziela” nam socjalizm. Propaganda antysolidarnościowa mówiła natomiast, że to banda nierobów. To wszystko wytwarzało wśród mieszkańców Zaolzia bliższe więzi z Czechami, niż z Polakami. Nasz zaolziański Polak zaczął szufladkować ludzi w ten sposób, że do przegródki „dobry” wrzucił czeskiego komunistę, a do szufladki „zły” polskiego solidarnościowca, z którym się nie utożsamiał. Wskutek ogromnej przepaści między Zaolziakami a Polakami w czasach „Solidarności” – Polska stała się dla nas najbliższym państwem obcym, jak Jacek Sikora napisał w jednym ze swych wierszy. Pomimo to w czasach socjalistycznych co dziesięć lat (kiedy dokonywano obliczeń) ubywało tylko 2-3 tysiące Polaków. Bolesnym odkryciem jest to, że w czasach demokratycznych od roku 1991 do 2001 ubyło dziesięć tysięcy Polaków. To jest to, co nas zdumiało, bo wszyscy wierzyli, że w czasach demokratycznych, kiedy można rozwijać wszelkie inicjatywy, ludzi nie będzie ubywać. To jest smutne. Zobaczymy jednak, co będzie dalej podczas kolejnego spisu. Czy znów dziesięć tysięcy ubędzie?

– Dlaczego tak się stało?

– Może przez lenistwo, bo bycie Polakiem wymaga pewnych deklaracji. Poza tym ludzie wyjeżdżają nie tylko z Polski, skąd przecież dwa miliony ludzi wyjechało na Wyspy... Wielu Zaolziaków także opuściło rodzinny dom i skorzystało z możliwości, które daje wolność. Niektórzy robią kariery w Polsce, w Pradze i innych miejscowościach Czech, w USA, Turcji, Grecji... Znam człowieka, który wydobywa ropę na Kamczatce. To, co dla naszej generacji było jeszcze niewyobrażalne, stało się faktem. Tak było już na początku lat 90. Tak jest teraz – w ramach różnych projektów. Szczególnie nasza inteligencja czerpie z wolności, natomiast ci, którzy tu zostali, są bardziej leniwi. Uważają, że trzeba się dostosować, bo nie ma już o co walczyć. Twierdzą, że nauczą się mówić po polsku w domu; nie potrzebują polskiej szkoły... Indywidualizacja życia rozluźniła zaniechanie kolektywnego ducha.

– Po co chodzić na zajęcia chóru, na prelekcje, jeśli sobie kliknę w klawiaturę i będę miał wszystko w domu? Zresztą w całym społeczeństwie czeskim sytuacja rodzinna jest tragiczna. Połowa małżeństw się rozwodzi.

– Kiedy nie ma więzi rodzinnych, człowiek przestaje zwracać uwagę na wartości. rozluźnia się morale.

– Tak. Zatem ogólne przemiany w państwach postkomunistycznych spowodowały to, że Polacy na Zaolziu się „rozmydlają”. Ważna jest odwaga. Ludzie jednak nie chcą się narażać. W imię czego mam krzyczeć na urzędniczkę, gdy nie mówi ze mną po polsku, choć mam do tego prawo, żeby załatwić swoje sprawy? Jest mi to obojętne.

– A pier..., w jakim mówi języku.

– To już jest koniec polskości na Zaolziu?

– Nie sędzę. Przeciwnie. Europa, która teraz się dopiero tworzy, jest Europą regionów. Jeżeli się rozwinie Euroregion Cieszyński razem z polską stroną, potencjał będzie dużo większy. Większy potencjał to także większa ciekawość. A jeśli ludzie w Bruzowicach cieszyć się będą z sukcesów Małysza, to wszystkim lepiej i przyjemniej się będzie żyło.

• Bieda – metropolie

Cechy przypisywane metropoliom pierwszego świata stają się w nieznaczny tylko stopniu udziałem największych miast ulokowanych w krajach peryferyjnych lub półperyferyjnych w systemie światowym. Dają one wprawdzie milionom ludzi nadzieję, którą stracili żyjąc na peryferiach swoich społeczeństw. Stwarzają nadzieję na lepszą egzystencję, ale najczęściej do końca ich mieszkańcy żyją w warunkach wykluczenia. Bardzo wymowne są w tym zakresie przykłady slumsów w miastach Afryki (Nairobi. Kair), czy Azji (Delhi. Bombaj), w których ulokowali się ludzie, którzy pozostawiając swoje rodziny na prowincji udali się do miasta, aby zapewnić lepsze warunki bytu sobie i swoim najbliższym. Kiedy patrzymy na afrykańskie czy południowoazjatyckie metropolie mamy wątpliwości czy komukolwiek się z nich udało. Przecież charakterystyczne dla tych metropolii pozostają niewielkie wyspy nowoczesności, które okalają przestrzenie nędzy i ubóstwa, gdzie pachnie „śmiercią”. Tutaj wegetuje nie tylko bieda materialna ale i myślowa, a Shiva Naipaul dostrzega [...] w nocy gromady wygłodzonych i wyleniałych kundli, które wólcą się niespokojnie, grzebiąc i warcząc wokół żaru ognisk, na których gotowano jedzenie. Na każdym poboczu drogi leżą śpiące ciarla. Panuje wszechogarniający balagan, brud i brzydota. Jak ludzie są w stanie żyć w takim miejscu? Jak to jest, że oni wszyscy nie zwariowali? Takie pytania rodzą się najczęściej w głowach mieszkańców centrum, czy rzadziej półperyferii, którzy odwiedzając na przykład Kair, przedzierają się otoczoną górami śmieci drogą wjazdową do stolicy Egiptu zmierzając w kierunku błyszczących w słońcu, szklanych wieżowców, gdzie swoje siedziby ulokowały międzynarodowe korporacje – SONY, PANASONIC.

W powyższym kontekście *global city*, który to termin odnosimy do metropolii krajów centrum charakteryzuje ciągle proces deindustrializacji, a metropolie półperyferii a szczególnie peryferii proces industrializacji. Analizując zatem *global city*, ale nie zapominając o pozostałych światowych metropoliach, wspomnijmy o ludziach wypełniających ich przestrzenie i miejsca.

• Metropolitalni herosi

Głównymi aktorami współczesnych metropolii są ludzie, których w sposób uproszczony podzielił na elitę (klasę) metropolitalną i ludzi peryferii (zbędnych). Towarzyszącą tej dychotomii swoista gra *push-pull* jednych wyrzuciła z centrum metropolii na peryferie a drugich do centrum przyciągnęła. Elita metropolitalna stanowiąca ważny element przestrzeni przepływów, sama nie chce stać się przepływami gdyż chce dążyć do zachowania jedności poprzez wspólny zbiór reguł i kodów kulturalnych, które budują i utrwala granice włączania i wyłączania „do” lub „z” elity metropolitalnej. Elita ma charakter ahisteryczny, alokalny i wymyka się historycznie określonym lokalnym czy narodowym społeczeństwom. To jednostki, które ze wzglę-



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Miasta współczesnego świata (II)

du na posiadane kwalifikacje i profesjonalizm zajęły centrum *global city*. W odróżnieniu od elity, ludzie peryferii przynależą do przestrzeni miejsc, czyli ludzi zakotwiczonych w lokalnych społecznościach, kulturze, tradycji i historii. Mający wyłącznie lokalny lub regionalny wymiar. To ludzie, których Zygmunt Bauman określa terminem *włóczędzy*, którzy nigdy z własnej woli nie opuszczają miejsca ale są do tego zmuszani. Bauman przeciwstawia *włóczęgów* turystom, czyli ludziom, którzy ze względu na swoje cywilizacyjne kompetencje sami opuszczają swoje miejsca w poszukiwaniu lepszego świata, będąc zawsze obcymi wśród obcych, czyli nie będąc w pełni uczestnikami żadnej społeczności lokalnej, czy kultury narodowej. To właśnie wieczni turyści, którym bardzo blisko do elity metropolitalnej, która nie jest związana z teniorem ale z logiką świata przepływów. Wytwarza uniwersalistyczne reguły i symbole, które ją integrują ignorując wszelkie fizyczne granice. Oddziela się od świata zewnętrznego a wewnątrz niej integracja skupia się na dwóch zasadniczych formach: 1. elita formułuje własne społeczeństwo poprzez tworzenie symbolicznych, odosobnionych społeczności. Przestrzenna izolacja elity to przede wszystkim kontrola bezpieczeństwa, tworzenie osiedli za murami (*gated communities*) oraz dostępne wyłącznie dla elity miej-

sca ekspansji kosmopolitycznej kultury i rozrywki, 2. elita tworzy specyficzny styl życia i projektuje formy przestrzenne mające na celu unifikację symbolicznego środowiska elity na całym świecie. Elita metropolitalna to fundamentalny element przestrzeni przepływów chociaż sama przepływem nie jest. Przez cały glob ciągną się sieci przestrzennych form i stylów życia, które są niemal identyczne w każdym zakątku świata.

Elita to ludzie obdarzeni wysoką potrzebą osiągania i autotelicznej samorealizacji, zdolni do nieustannych transgresji i twórczego nonkonformizmu, posiadający wysoki poziom kompetencji symbolicznych i kompetencji odbioru, którzy nie są przywiązani do miejsc,

• Outsiderzy i inni

W opozycji do elity metropolitalnej rysuje się klasa ludzi peryferii, których charakteryzuje przede wszystkim przestrzeń miejsca. To ludzie, którzy mówiąc metaforycznie, albo nie podjęli wyzwania albo wypadli z maratonu współczesności. Ludzie metropolitalnych peryferii w swojej grze *push-pull* zostali wyrzuceni z centrum na obrzeża globalnych miast. Nie uczestniczą w życiu metropolii i wielu z nich nigdy w centrum metropolii nie będzie. To strefa dla nich zakazana, gdyż nie dysponują odpowiednią wiedzą i bogactwem, które są jedyną przepustką do świata, do którego już nie tęsknią. Ulokowali się w minimetropoliach, które powstają na obrzeżach miast globalnych, i w których dopełnia się trajektoria ich życia.

Współcześni ludzie, tak jak globalne miasta uczestniczą w maratonie zmierzającym w kierunku skupienia głównych światowych infostrad. Próby bycia maratończykiem podejmuje wielu, ale niewielu dobiega do mety. Maraton jest więc zróżnicowany społecznie i kulturowo podobnie, jak coraz bardziej zróżnicowane kulturowo są współczesne metropolie.

Prawdziwie wielkie miasto, to takie, w którym mieszkają wielcy ludzie, tak przed laty pisał Walt Whitman, znakomity poeta i prozaik amerykański. Dzisiejsze światowe metropolie, które współrządzają światem to przede wszystkim ich mieszkańcy, którzy są głównymi aktorami współczesności. To ludzie, którzy w oparciu o specyfikę *push-pull* zostali podzieleni na elitę metropolitalną i ludzi peryferii. To dwie kategorie, które dzieli wszystko. Ta współczesna segregacja może, niestety, prowadzić do konfliktu w sytuacji napięcia. Już teraz obserwujemy wybuchające bunt i zamieszki na przedmieściach globalnych metropolii (Paryż, 2005), gdzie mieszkają ludzie żyjący z dala od centrum biznesu i hedonizmu. Ten stan rzeczy będzie zapewne się pogłębiał wraz ze wzrostem dystansu zarówno przestrzennego, jak i społecznego pomiędzy elitą metropolitalną a ludźmi żyjącymi na metropolitalnych peryferiach.

Współautorką tekstu jest Anna Śliż
z Instytutu Socjologii Uniwersytetu
Opolskiego

W tym samym czasie Krzysiem zainteresowała się rodzina, która miała w podobnym wieku chorego na białaczkę synka. Gdy pani Małgorzata w sądzie zobaczyła oczy tamtych ludzi – odpuściła. Uznała, że oni bardziej Krzysia potrzebują, a i on ma szansę by być, tak jak biologiczny syn. Paradoksalnie był, jak biologiczny syn...

Wtedy pani Małgorzata zainteresowała się rodzeństwem, do którego nikt nie przyjeżdżał, które nie miało cioci, babci.

– *Takie placówkowe Muminki – wspomina. – Grześ z autyzmem placówkowym, nie nawiązujący kontaktów z otoczeniem, był uznawany za upośledzonego. Młodsza Marysia była – nie lubię tego słowa, ale nie potrafię określić tego inaczej – zwierzętkiem. Krzyczala, walczyła z pianą na ustach, tak, jakby każde zbliżenie się do niej dorosłego oznaczało śmiertelne zagrożenie. Wtedy wydawało mi się, że to z mojej strony altruizm, pomoc dzieciom skrzywdzonym przez los, odrzuconym. Ale później zrozumiałam, że zawsze takie działania mają w najgłębszym podtekście pomoc samemu sobie, są jakąś kontynuacją własnej historii. Od 13 lat jesteśmy rodziną zastępczą dla trojga dzieci. Mamy też troje własnych.*

Małgorzata Klecka – terapeutka, prowadząca wraz z mężem Oddział Śląski Stowarzyszenia Zastępczego Rodzicielstwa w Łędzinach wie wiele o dzieciach odrzuconych, potrafi opowiadać godzinami historie tych, których nie pokochali biologiczni rodzice.

– *Na przykład pewien zacny, szanowany, 50-letni człowiek, pastor; mąż i ojciec dowiedział się, że jest dzieckiem, adoptowanym. Z dnia na dzień, bez zwłoki wziął 2 miesiące urlopu i rozpoczął poszukiwania biologicznych rodziców, z uporem szukał korzeni. Znalazł w Niemczech. Do swojego nazwiska dodał to rodowe. Z tym, że jako pierwsze... Czy więc może dziwić, że dzieci z czasem zaczynają rozmyślać, uciekają, dopytują się swego pochodzenia i o ludzi, którzy ich oddali. Ale tak jest w rodzinach adopcyjnych. My w zastępczych mamy ustawowy obowiązek zachowywania kontaktów z rodziną generacyjną dziecka, rodzice mają ograniczone, a nie odebrane prawa rodzicielskie. I dzieci wiedzą, że oni gdzieś tam są, tylko nimi się nie interesują lub nie potrafią sprawować opieki – mówi M. Klecka.*

Sieroty społeczne

Według danych Rzecznika Praw Dziecka w Polsce jest 85 tysięcy osieroconych dzieci. Nieliczne z nich to sieroty naturalne. 58 tysięcy sierot społecznych przebywa w rodzinach za-

Krzysio od urodzenia żył w szpitalu. W wieku 5 lat, już w stanie terminalnym – miał białaczkę – zainteresował panią Małgorzatę. Wcześniej zdecydowała, że chce wziąć do siebie dzieci trudne, w ciężkiej sytuacji zdrowotnej, wymagające podwójnie większej opieki.

Odrzuceni do wzięcia

EWA
SIWCZAK

stępczych i rodzinnych domach dziecka, 27 tysięcy pozostaje pod opieką państwowych placówek: domów dziecka (18 700) i ośrodków wychowawczych (8300). Taki jest stan po trwającej od kilkunastu lat akcji likwidowania „biduli”, otwierania małych, rodzinnych placówek, gdzie dzieci będą miały namiastkę rodziny i pewien wzorzec zachowań, jak w normalnym domu. Hasło „Otwórzmy nasze domy, zamknijmy domy dziecka” otworzyło ludzkie serca, ale nie mechanizmy społeczno-prawne. Nie brak ludzi, którzy chętnie podejmują takie wyzwania, często brak płynności i precyzji w procedurach, odpowiedniego tempa postępowania, systemu finansowania.

Jednym z pierwszych był Paweł Urbanowicz. W 1997 roku w Lutolu Mokrym, w zrujnowanym gospodarstwie wyremontowanym za kilka tysięcy guldenów ofiarowanych przez holenderskie opactwo benedyktynów stworzył dom zastępczy dla kilkunastu dzieci. Założył Fundację „Nasz Dom”. Rozpoczął od walki o finansową niezależność, bo wiedział, że jej brak „położył” wiele cennych przedsięwzięć. Poszukał możliwości działalności gospodarczej. Założył sklep z odzieżą, którą sprzedaje taniej, nawiązał współpracę z ośrodkami za granicą. Był pod wieloma względami nowatorem, który rozumiał, że niezależność finansowa jest podstawą do niezależnego działania, bez nacisków ze strony lokalnych środowisk i zawirowań politycznych koniunktur. Mógł poświęcić się wyłącznie swojej misji.

Zaczęło się od Lutola, a dwa lata później w Łędzinach powstał i istnieje do dziś Oddział Śląski Stowarzyszenia

Zastępczego Rodzicielstwa, w którym działają jego założyciele – Małgorzata Klecka z mężem Grzegorzem. Po kilku latach SZR ma 8 oddziałów wojewódzkich, obejmuje 9 województw i skupia 400 rodzin zastępczych. Stowarzyszenie dysponuje ośrodkiem szkoleniowo-wypoczynkowym w Sierczynku, gdzie rodziny się spotykają, wymieniają doświadczenia, szkolą i odpoczywają. Pięć lat temu Kleccy uruchomili w Łędzinach Centrum Opieki Zastępczej, oferujące wsparcie, szkolenia i doradztwo rodzicom zastępczym i specjalistom od zaburzeń rozwojowych u dzieci z płodowym zespołem alkoholowym (FAS – Fetal Alcohol Syndrom).

– *To, co rozpoczęliśmy przerosło nasze najśmielsze oczekiwania – przyznaje pani Małgorzata. – Przyjeżdżają do Łędzin rodziny z Białegostoku i Bielecka Podlaskiego, Krakowa i Warszawy. Nie ma u nas ośrodków specjalistycznych, które pomagałyby dzieciom odrzuconym. Odrzucenie powoduje zmiany w psychice, zaburzenia rozwoju, zachowania agresywne. Większość z dzieci odrzuconych ma FAS, a rodzice zastępczy nie zawsze wiedzą, że to FAS i jak reagować. Opracowujemy narzędzia diagnostyczne, robimy badania, informujemy.*

Na przykład dziecko z FAS ma zaburzony zmysł czucia. Gdy upuści kubek lub go zgniecie, rodzice traktują to jako niszczenie, wyładowanie agresji. Tymczasem to FAS, a nie złośliwość. Dzieci, których matki piły w ciąży alkohol mają wady rozwojowe, zaburzenia umysłowe i psychoruchowe, nie są w stanie wziąć odpowiedzialności za własne życie, latami łamią prawo i są skazane na pomoc różnych organizacji i instytucji.

Adopcja – dzieci nasze

— **F**undacja „Nasz Dom” i Stowarzyszenie Zastępczego Rodzicielstwa wyprzedzają stan prawny pomocy dziecku opuszczonemu. Tymczasem te dzieci wielokrotnie odrzucone (bywa, że przechodzą kilka rodzin zastępczych czy ośrodków wychowawczych), silnie zaburzone, trafiają do ośrodków psychiatrycznych. Większość z nich ma mikrouszkodzenia mózgu, diagnozowane są sporadycznie. Mamy nadzieję, nasze działania upowszechnią i zmienią ten stan rzeczy – mówi M. Kiecka

Przeszkadzają procedury prawne, opieszałość decyzyjna urzędów i instytucji pośredniczących, brak odpowiedniego finansowania takich poczynań, wsparcia ośrodków leczniczych, rehabilitacyjnych. Irytuje ostrożność oraz poczucie odpowiedzialności za losy tych dzieci ze strony placówek opiekuńczych i ośrodków adopcyjnych.

Przed rodzinami, które chcą adoptować dziecko, piętrzone są trudności. Jakiej rodziny ma warunki, a jeśli ma dobre, czy dziecko nie będzie kolejnym meblem do urządkowanego mieszkania i samochodu? Czy się kandydaci na rodziców zajmują, jakie mają wykształcenie? Czy są przeszkoleni? Czy potrafią pokochać i zaakceptować wszystko, co adoptowane dziecko wniesie w ich życie ze sobą? Z drugiej strony – czy można wyłącznie krytykować misterną sieć kurateli, kontroli, obserwacji na każdym kroku, czy kandydaci na rodziców nie podnoszą głosu i reagują prawidłowo pod względem wychowawczym? Do nich przecież trafia już poranione ofiary, trzeba zrobić wszystko, by ustrzec się kolejnych błędów.

Tymczasem w każdym domu i pod każdą szerokością geograficzną rodzice, kochający, ale często przecież zmęczeni, przepracowani, czasem udręczeni

ni rozlicznymi problemami popełniają liczne błędy, pomyłki, zaliczają wpadki, po czym tulą do siebie dzieci we wspólnym oczyszczającym płaczu. To wbrew pozorom cement rodzinnej więzi. No, ale tak jest w normalnych rodzinach...

Zastępstwo – dzieci „nie nasze”

Mimo ostrożności zachowywanej w procedurach adopcyjnych bywają decyzje chybiające, dzieci są odsyłane od jednych do drugich, nie potrafią zagrać miejsca, uciekają do swoich zakazanych rodzin i zaplaczonych matek. Przywiązanie do nich i poczucie wspólnoty, a może ta słynna „wyssana z mlekiem matki” miłość są silniejsze niż spórkój i względny dobrobyt w rodzinie adopcyjnej. Stąd pomysł rodzin zastępczych, które mają opiekować się dzieckiem do momentu, gdy wróci ono do rodziny biologicznej (nad którą się pracuje, by odzyskała zawieszone lub odebrane prawa rodzicielskie), zostanie adoptowane bądź się usamodzielnia. Tak powstały rodziny zawodowe wielodzietne (w tym samym czasie może w nich przebywać od 3 do 6 dzieci), rodziny specjalistyczne dla dzieci chorych lub niedostosowanych (od 1 do 3 dzieci) i pogotowia rodzinne (3 dzieci). Są też rodziny zastępcze tworzone przez ludzi spokrewnionych z dziećmi – ciotki, babci, starsze rodzeństwo. Rodziny niespokrewnione, obce, powinny liczyć się z realiami.

— *Te dzieci nie nas chcą kochać, nie potrzebują naszej miłości, one chcą miłości swojej matki czy ojca, chcą, by ich dom był inny. Dzieci, które przeżyły traumę widzą i czują więcej, czytają między wierszami, nie można wobec nich nic udawać. Więc jeśli tak się zdarzy, że się pokochają z zastępczą mamą*

czy ojcem to jest cud – mówi Małgorzata Klecka.

„Podejmując się roli rodziców zastępczych trzeba pamiętać o tym, że te dzieci nie są nasze, my tylko sprawujemy im bieżącą opiekę. Mamy pomagać dziecku, a nie zastępować mu rodziców. Musimy się liczyć z rozczerowaniem. Opieka zastępcza trwa tak długo, aż ustaną skutecznie przyczyny kryzysu rodziny własnej dziecka” – to fragmenty z tekstów poświęconych rodzinom zastępczym.

— *To fikcja – uzupełnia M. Kiecka. – Realnie ta opieka nie kończy się w wieku 18 lat, a rodzina czasem nigdy nie dojrzewa i nie zmienia się na korzyść. Dzieci zastępcze już po usamodzielnieniu potrzebują opieki i wsparcia.*

9 września obchodzony był po raz dziewiąty w Polsce Światowy Dzień FAS (te „dziewiątki” to od dziewięciu miesięcy). Obchody tego dnia zostały zainicjowane w 2001 roku w Łodzi przez Oddział Śląski SZR i Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej. Naciskano, by dzień odbywał się w innym, dużym mieście, ale pani Małgorzata Klecka jest patriotką. Była konferencja naukowa na temat budowy sieci diagnostyki i terapii FAS oraz szerzenia świadomej abstynencji wśród kobiet ciężarnych. 12 września w Silesia City Center odbył się festyn edukacyjny „FAScynujące dzieci”, gdzie były gry i zabawy planszowe, zajęcia plastyczne, koncerty i punkt informacyjno-konsultacyjny ze specjalistami lekarzami. Rodziny zastępcze spotkały się i porozmawiały. O patronat nad dniem poproszono prezydentową Marię Kaczyńską. Pani Małgorzata odebrała już kilka telefonów z Kancelarii Prezydenta z pytaniami na temat jej działalności.

Tak wiele w sprawie opieki nad dziećmi osieroconymi zależy od pojedynczych ludzi, często tworzonych przez nich organizacji, fundacji, które uruchamiają lawinę zdarzeń i przedsięwzięć. To oni wymyślają narzędzia, organizują ośrodki, kontaktują się z urzędami w kwestii zalegalizowania własnych pomysłów, aktywizują środowiska medyczne i pomocy społecznej. Systemy państwowej opieki na całym świecie szukają skutecznych i niebolesnych dróg rozwiązywania problemu dzieci odrzuconych. I chyba nie ma innej drogi, jak pukanie do drzwi innych rodzin, w których domach i sercach znajdzie się jeszcze miejsce dla kilkorga... Wielka odpowiedzialność spoczywa na rodzicach zastępczych. Oni najlepiej widzą, co szwankuje w systemie i szukają wyjścia. I dobrze by było, by im nikt nie przeszkadzał...





Kamil Guzy. To kolejny uczestnik z naszego regionu, który brał udział w programie „You Can Dance”. Pracuje w Teatrze Rozrywki i marzy o otwarciu własnej szkoły tańca.

Wystarczy przebić się przez siebie

Tekst i zdjęcia:
RAFAŁ
DZIAŁACH

Czwartkowe popołudnie, centrum Bytomia. Trzymając się za ręce podchodzą pod bytomską bibliotekę. Siadają na schodach, przed wejściem, by po chwili usłyszeć głos przejącego swoją rolę ochroniarza biblioteki. Że to nie miejsce do siedzenia, że kamery, że gdzie indziej, że won. Szybka wymiana uścisków dłoni i drzwi „Platformy” otwierają się przed nami bardziej przyjaźnie. Duża cola z lodem razy dwa, lany Żywiec raz. Siadamy w obskurnej łóży, która swoje wie... Wokół pustego, w tle muzyka, która nie ma znaczenia.

Księżycowym krokiem

Adrian ma 18 lat. Zielona bluza zaapięta na stójkę, sportowe spodnie, modnie obcięty. Zdenerwowanie ma ukończyć papierosa za papierosem. Popielniczka się napełnia, kufel z piwem przeciwnie. Obok ona, o której za chwilę powie: *to ona mnie z tego wyciągnęła*. Ona, to Karolina. Krótkie, białe spodnie, bluzka z dekoltem. Między piersiami skrywa telefon. Są razem od ponad roku, ale znają się znacznie dłużej. Przed spotkaniem zadzwonił i zapytał, czy mogą przyjść razem. Bo tak różnie. Poznali się dawno, kiedy chodził tańczyć do Muszli Koncertowej. *Tam chłopaki tańczyli breakdance i od tego się zaczęło. Kolega mnie zaprowadził*. Tańca uczy się z Internetu, oglądając teledyski i filmiki. Tak najłatwiej i za darmo. Autorytety taneczne? Na pierwszym miejscu wymienia tego, któremu świat stał się przychylny po śmierci – Michael Jackson – *ja z niego się uczyłem. Jak choćby księżycowy krok*. Chris Brown, Justin Timberlake, inni, anonimowi z Internetu, jak staruszek ze Stanów, wygrywający wiele imprez breakdancowych. Wymienia także swoich rówieśników: Artur – ten z kucykiem, czy Wiola – ta ruda, oboje z programu „You Can Dance”. Adrian także próbował. Za drugim razem w Krakowie dostał się do solówki, po której usłyszał, że *trochę więcej dynamiki*. Ale krytyka go nie dotuje. Wręcz przeciwnie, *jak ktoś mi mówi, że mi nie wychodzi, to siadę i pomyślę nad tym, by po chwili wziąć się do pracy, na nowo, mówi stanowczo*. Na temat swoich prób w programie „You Can Dance”: *Chciałem spróbować swoich sił. Zobaczyć, czy komuś spodoba się to, co robię. Ale z drugiej strony tańczę dla siebie i nie interesuje mnie to, czy ktoś będzie miał na ten temat dobre, czy złe zdanie*. Kolejny papieros. Piwo ułatwia rozmowę. Czasem nerwowo gry-

zie palce. Nie potrafi spokojnie usiedzieć.

Tańczący z noszami

Przeciętny dzień? Wstaje rano do pracy (staż w szpitalu, na Żeromskiego, jako noszowy), w weekendy szkoła (liceum zaoczne, pierwsza klasa. Wcześniej się nie udało, więc zaczął od nowa), spotkania ze znajomymi, z Karoliną spacer, które lubi, czasem dyskoteka, no i taniec.

„– To jest taki spontan z tańcem. Wstaję wcześniej rano do pracy i...

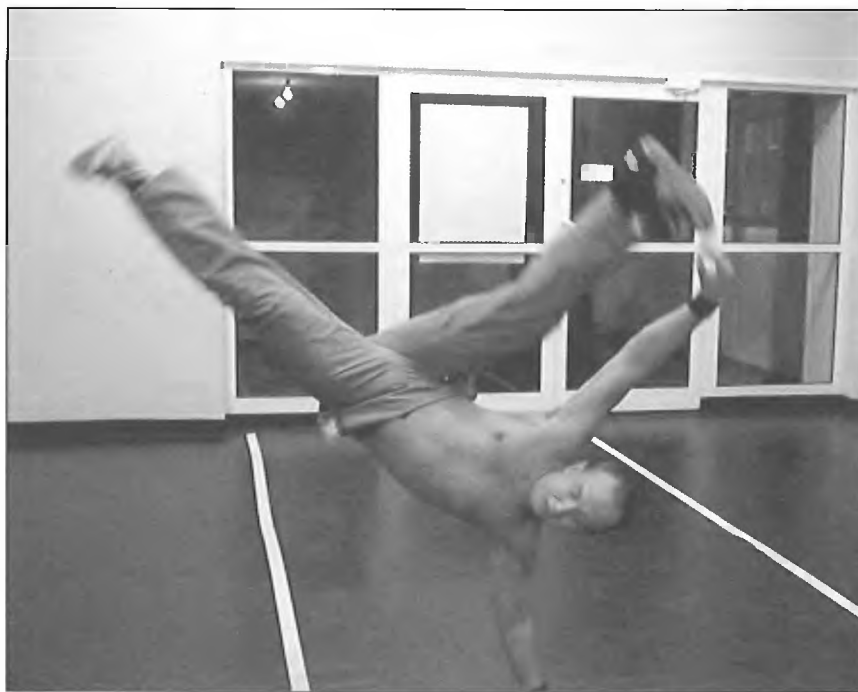
– ... tam się nie da zatańczyć?

– Jak to nie? Na korytarzu szpitala, w kamerliku. Da się”.

Adrian tańczy wszędzie. Można go zobaczyć na dyskotekach, jak tańczy w kółku na parkiecie, na prywatnych imprezach (*Podoba się, podoba. Chwalę go* – podkreśla Karolina), a także na dworze, przed blokiem, do muzyki z telefonu, czy też na przystankach (*Wchodzę w swój świat i tańczę, i nie obchodzi mnie, czy ktoś na mnie patrzy, co myśli*).

Marzy o szkole tanecznej. Jednak obecnie zbyt wiele jest na nie. W domu problemy. Rodzice nie kochają się, jak kiedyś; matka sprząta w komisariacie Policji, ojciec w Holandii za chlebem już nie dla Adriana. A Adrian sam święty nie jest. Problemy z alkoholem i hazardem, na maszynach, *bo wiesz, jak się wrzuci stówę, czy dwie i nic się nie wygrywa, to się człowiek wkurza i myśli, że jak wrzuci więcej, to dopiero wtedy maszyna odda. Ale tak nie jest. Zżerało mnie, kiedy koleś obok miał osiem stów na maszynie, a ja wrzucałem dalej i dalej, a w efekcie wychodziłem z knajpy z pustymi kieszeniami*. Pytam – ile stracił? Kilkaśet złotych. *Ale za tysiąc, który wygrał opłacił rachunki, bo mama nie miała* – wtrąca Karolina. Już nie gra. Część pieniędzy daje mamie i Karolinie, *żeby mi przetrzymywała, bo bioram na prawo jazdy*. Boi się sam siebie. Innych jest bardziej pewny. Otwarcie przyznaje – *Pieniądze się mnie nie trzymają*.

A co z jutrem? Marzenia? Zamyśla się, by po chwili z entuzjazmem powiedzieć: *Szkołę bym otworzył na bank. To jest pewne. Na pewno stworzyłbym coś podobnego, jak Platforma, dla ludzi z ulicy, którzy chcą tańczyć, a nie mają pieniędzy*. Wspomina film *Rewanż*, z 2004 roku, w reżyserii Chrisa Stokesa. Tak by chciał. Ring, rywalizacja w tańcu, zamiast w ulicznych bijatykach. *By dawać szansę tym, którzy chcą, potrafią, a nie mogą*.



Marcin Kurzacki: „Zawsze jarałem się break dancingem”.

Foto: (ARC Marcin Kurzacki)

Karolina i Adrian podążają wzdłuż ulicy Piłsudskiego, trzymając się za ręce. Pogoda w kratkę, jak życie.

„... i nie mów mi, że nie jestem świrem”

Wchodziku zamiast chodzić – tańczyła. Pierwsze kółko taneczne w przedszkolu, potem lekcje u Piotra Grzesiaka i tyski zespół „PAKA”. Ola, lat 17, o różnych twarzach: w dresie (zazwyczaj), w dżokejce na głowie, w stroju roboczym, wśród znajomych, sama, z uśmiechem, na dworcu kolejowym z bułką w dłoni, a innym razem z tygrysim makijażem na twarzy. Wojtek tańczyć zaczął trochę później. Rodzice uznali, że się nadaje i w czwartej klasie podstawówki został zapisany do tego samego zespołu co Ola. Tam się poznali. Wojtek, niby podobny do Piotra Cugowskiego, czasem w okularach, czasem bez; w kapturze (zdjęcie podpisane „i nie mów mi, że nie jestem świrem”); na tle ściany swojego pokoju, oblepionej płytami CD; innym razem skaczący na dachu wieżowca, w zamyśleniu na parapecie okna, leżący w liściach, czy też na scenie, z zespołem „PAKA”. Tegoroczne wakacje rozpoczął w bagażniku samochodu. Autostop nad morze.

Spotykany się obok katowickiego „Spodka”. Środek dnia, miasto tradycyjnie gra swoją muzykę w rytm korków, głośniejszych klaksonów, nerwowych krzyków kierowców, tłukących się tramwajów. Ola z papierosem,

Wojtek z plecakiem. Lekko spóźnieni. Za godzinę w tym miejscu rozlegną się dźwięki DJ OZI i rozpocznie się... Siadamy na piętze „Ronda Sztuki”. Kelnerka o woskowej twarzy podaje colę z cytryną, w potrójnym wydaniu. Obok inne spotkania, inne historie, inni ludzie. Ola próbowała wielu rzeczy w swoim życiu, grała na gitarze i perkusji, żeby sprawdzić, co jest jej pisane. Padło na taniec. *Jest on dla mnie całym życiem. Kiedy nie tańczę, czuję się źle. Uwielbiam występować, widzieć uśmiech na twarzy ludzi, kiedy tańczę*.

A Ola swoje wytańczyła: pierwsze miejsce w tyskim konkursie tańca „Underground”, czy też kolejne podium na tyskim „Positiva – pozytywna energia miasta”. Wojtek sukcesy z tańcem wiąże z zespołem „PAKA”, gdzie m.in. zdobył w minionym roku „Złotą Miotłę Babyjagi” na Ogólnopolskim Festiwalu Tanecznym w Kielcach. Prywatnie próbował swoich sił w programie „Mam talent” – śpiewając. Śpiew, marzenia o zespole oraz architektura, to oprócz tańca inne pasje Wojtka. *W zespole mam zamiar tańczyć do oporu, aż mnie nie wyrzucą ze... starości* – mówi. Startował także w castingu do „Mam talent”, bez sukcesu, ale ten pojawił się przy innej okazji – występuje w musicalu Magdaleny Piekorz *Olivier*, wystawianym w chorzowskim Teatrze Rozrywki, o czym opowiada z dumą.

Oboje tańczą w podobnym stylu: taniec nowoczesny, hip-hop. Olę ciągnie w stronę dancehall, czy street dance. Taniec uliczny, w przeciwieństwie

do Wojtka, jest dla Oli codziennością. Z braku możliwości wynajęcia sali w instytucjach kulturalnych w Tychach (powód: brak opiekuna) zaczęło się wychodzenie na ulicę: *Braliśmy boombaxa, stawaliśmy przed sklepami, które miały duże szyby, by mogły nam służyć, jako lustra i w ten sposób tworzyliśmy własną salę*, wspomina Ola. Inne miejsce, to tyski Skate Park, czy tuż pod Domem Kultury. Z zalem mówią o nietolerancyjnym obliczu Polski, wręcz o zacofaniu i młodszego, i starszego pokolenia: „Widząc nas tańczących na ulicy, mówią – co sobie ta młodzież myśli? Że jest najlepsza? Że zawsze musi być w centrum zainteresowania? A ja tak nie myślę. Zawsze czuję stres, kiedy tańczę na forum” – mówi Ola.

Trzeba umieć się utrzymać

Tak jak Adrian uczą się tańca z Internetu. Śledzą układy innych, podpatrują, przenoszą na swój grunt. Idole? Wojtka fascynują filmy muzyczne – *Najbardziej podobają mi się osoby, które dostały się do filmów, typu Step Up, czy innych muzycznych*. Dla Oli idolką jest Britney Spears. Inni śmieją się z Oli, kiedy się do tego przyznaje. Stara się tłumaczyć zachowanie Spears: „miała trudne dzieciństwo, jest ciekawą osobą, wiele by dała, żeby mieć normalne dzieciństwo. Udało jej się spełnić swoje marzenia, ale jakim kosztem?”.

Z uznaniem mówią o tych, którzy odnieśli sukces w programie „You Can Dance” (brali udział w castingach, bez powodzenia). Wymieniają Jadżkę czy Wiołę. O samym programie mówią pozytywnie („Jest potrzebny”), ale o szumie wokół mody na taniec wyrażają się bardziej sceptycznie: Ola – *Odkąd pojawił się program YCD i moda na filmy muzyczne, to nagle wszyscy deklarują się – Boże! Jak ja kocham taniec*, a Wojtek dodaje – *Idą na zajęcia i myślą, że w miesiąc nauczą się tańczyć, ale im to nie wychodzi, nudzą się i szybko rezygnują*. Jedno wygrać, odnieść sukces, stać się osobą medialną, drugie to wytrwać w tym. Z zalem mówi Wojtek – *Gleba wygrał, ale to Bosak jest w mediach, bo ma znanego brata, aktora, sama występuje w filmach. Trzeba umieć się utrzymać*.

Ani Ola, ani Wojtek nie poddają się tak szybko i potrafią utrzymać się na poziomie, do którego doszli. Krytyka mobilizuje, uczy. Choroba czy kontuzje nie są dla nich pretekstem do zaprzestania treningów. Wiele dla tańca są w stanie zrobić – *Ja jestem w stanie poświęcić dla tańca*

np. moją edukację – śmieje się Ola. Często dzieje się tak, że zawody kolidują z zajęciami w szkole, ale Ola wybiera te pierwsze. Potem na lekcjach można usłyszeć dialogi:

„– Czy mogę za tydzień napisać zaległy sprawdzian?”

– Tak? To sobie wytańcz ten sprawdzian”.

Nauczyciele pozytywnie podchodzą do ich pasji, ale do momentu, kiedy *tańczący uczniowie* nie zaniedbują przedmiotów. Mówią o tym z uśmiechem, wspominając, jak pod koniec roku, przychodzili na treningi z książkami, by się uczyć.

Na bosaka

A jak rodzina? Bliscy? Dopingują. Są dumni. *Dla mnie dopalaczem jest mama, cały czas mnie nakręca* – mówi Wojtek – *Tato bardziej sceptycznie, ale jak podkreśla, woli mi dać pieniądze, bym pojechał gdzieś potańczyć, niż miałbym pić pod blokiem*. Rodzice Oli podobnie, ale z obawą o edukację córki. Ola i Wojtek wiążą swoją przyszłość z tańcem. Wojtek dodaje do tego architekturę, próbuje śpiewać. Kiedy rozmawiamy o przyszłości, dotykamy marzeń. Ola chciałaby się kształcić i w przyszłości pomóc tym, którzy nie mają pieniędzy, by uczyć się tańczyć. Wojtek uważa, że „najlepszym rozwiązaniem byłoby stworzenie sali ogólnodostępnej dla wszystkich. Stworzenie silnej grupy tanecznej”. Dawanie ludziom młodym szansy, szukanie im sponsorów, by umożliwić wyjazdy na castingi, zawody, konkursy.

Droga do marzeń z jednej strony, droga powrotna w kierunku „Spodka” z drugiej. Ola zapala kolejnego papierosa („Rodzice wiedzą” – śmieje się – „Ale, co mają ze mną zrobić?”). Zatrzymujemy się na placu przed „Spodkiem”. Rzucają swoje bagaże na ziemię. Ola zdejmuje buty, w telefonie odnajduje piosenkę DJ OZI. Play. Gwar miasta miesza się z dźwiękami muzyki. Katowice tętnią życiem, ludzie podążają w swoim kierunku, a Ola i Wojtek zaczynają tańczyć. I nie ma nic poza tą sferą, tym miejscem, tym czasem. Ani dla nich, ani dla mnie.

Bo we mnie jest ogień

Jest ich wielu. W różnych miejscach Śląska. Często ich jedyną widownią są domowe lustra.

W czterech ścianach pokoi odbywają się największe dla nich pokazy, turnieje. Jak choćby w Katowicach. Ala Skowrońska – *Bardzo często i dużo ćwiczę w domu, zamykam się w pokoju i po prostu tańczę*. Lubi jazz. Poza tańcem ważna dla niej jest fotografia oraz aktorstwo, którego smak już poznała, grając w spektaklu *Królowa Śniegu*. Poznała klimat Teatru Muzycznego „Protalent” czy też Teatru Ruchu „Kinesis”. Marzenia o uczęszczaniu na zajęcia tańca mają się wkrótce spełnić. Bo, jak mówi *taniec to niesamowite zjawisko, ponieważ wyzwała wszystkie emocje, pozwala pokazać siebie, swój świat. Gdy tańczę budzi się we mnie jakiś ogień, który całkowicie mnie ogarnia. Taniec po części tworzy moje życie. Nauczył mnie, że jeżeli się czegoś chce, do czegoś się dąży, to należy śmiało kroczyć do celu, realizować swoje marzenia i wkładać w to, co się robi swoje serce i pracę*.

To ta, która tańczy

Dla wielu z nich przygoda z tańcem zaczęła się przypadkowo. Ktoś kogoś wepchnął na parkiet, kazał zatańczyć, spodobało się. Włosienica. Barbara Kuglin, lat 16. Na jednym ze zdjęć opis: *Zapominamy, że Życie jest kruche, delikatne, że nie trwa wiecznie... Zachowujemy się wszyscy tak, jakbyśmy byli nieśmiertelni*. Czy poprzez taniec można zaprzeczyć życiowej ulotności? Basią pokierował przypadek. Tańczyła na prośbę znajomych, ci chwalili, dopingowali. Zaczęła tańczyć coraz więcej, w domu. Pojawiały się własne choreografie, a później inni zaczęli zarażać się jej pasją. Jej klimaty to hip-hop, new style, funky, break dance, street dance. Jako autorytety taneczne wymienia jednym tchem: Madonna, 2 Pac, Michael Jackson, Justin Timberlake, Snoop Doggy Dog, Pitt Bull, Timbaland i wielu innych. Zapisła się do tyskiej szkoły tańca Rafała Kryli „TI-TO”, uczestnika program „You Can Dance”. Tam poznała wielu ludzi, a zajęcia dla niej to przyjemność. W jej miejscowości jest rozpoznawalna. Wiedzą, że to ta, która tańczy. Więc tańczy na ulicy, kiedy proszą, a pozytywne reakcje ludzi motywują ją do tego, by robić to jeszcze lepiej. W marzeniach nie różni się niczym od pozostałych: *Chciałabym stworzyć własną szkołę tańca w mojej miejscowości, aby młodzież nie plątała się gdzieś po przystankach lub melinach. Chciałabym pokazać in-*

nym, co taniec może w nas i w naszym życiu zdziałać.

W stanie spoczynku

Dla innych zaś taniec to przeszłość, która wiele wniosła w życie. Tak było z To Nem Ai z Biegunia. W jej przypadku również wszystko zaczęło się od koleżanki, która zaprowadziła ją na zajęcia z salsy. To Nem Ai to indywidualistka. Nie posiada autorytetów tanecznych (*nie są mi potrzebne do tańczenia*). Do tańca nie dorabia żadnej filozofii – *Można się porozciągać, zachować formę, poznać nowych ludzi, nauczyć się czegoś nowego*. Swoje życie potrafi podzielić na trzy etapy: przed tańcem (*praca, uczelnia, dom, nauka, znajomi*), w trakcie tańczenia (*praca, uczelnia, dom, nauka, znajomi*) oraz na etap terazniejszy (*mąż, praca, uczelnia, dom, remont, nauka, znajomi*). Mimo że dla niej taniec to historia, myśli o tym, by pójść w przyszłości w kierunku tańca towarzyskiego.

W wielu – i to nie tylko tancerzach – zrodziło się pytanie – o jakiej Polsce tanecznej możemy mówić sprzed 5 września 2007 roku, a o jakiej mówimy teraz? Czy faktycznie owa data ma lub będzie miała w przyszłości znaczenie? Dla To Nem Ai zjawisko zapoczątkowane tą datą, to ważny moment, gdyż „daje szansę, że wyłowi się spośród tysięcy osób kogoś, z kogo będziemy dumni”. Mowa o pierwszym odcinku programu „You Can Dance”, programu muzycznego na amerykańskiej licencji. Do dziś odbyły się cztery edycje. Mało zaskakujący wydaje się fakt, że najmniejszą oglądalność przypadła ostatniej edycji. Czy moda na taniec okazała się chwilową fascynacją młodych Polaków?

Wiola Kubica, lat 18, Łędziny. Nieprzyzwoicie ładna. Dla niej początki z tańcem miały miejsce dużo wcześniej niż program „You Can Dance”, podobnie jak w przypadku pozostałych. Jak mówi *on jedynie utwierdził mnie w tym, co robię i pomógł mi zdecydować o tym, co nadal chcę robić*. Podkreśla, że program może pomóc w określeniu swojej drogi wielu młodym ludziom, ale dodaje też, że drażniący jest widok sztucznego lansowania się na gwiazdy. Dla Wioli przyszłość, to taniec, bo nawet, *jeśli nie zawodowo, to zawsze jako czysta przyjemność, z której nigdy nie zrezygnuję* – dodaje. Jeżeli zawodowo, to z pewnością pomogą jej w tym zajęcia w szkole założonej przed jednego



Na zdjęciu Rafał „TITO” Kryła.

z uczestników programu „You Can Dance”, do której uczęszcza.

Od szmacciarstwa do szolmeństwa

Rafał Kryła „TITO”. Uczestnik pierwszej edycji programu, półfinalista. Tychy, w samo południe. Plac św. Anny, obskurny, gdzie zamiast rynku parking dla samochodów. Spotykamy się w niepozornie wyglądającym budynku, na piętrze. Uprzejmy. Zaprasza, podaje wodę. Mimo że jego szkoła ma wakacyjną przerwę, to przyjechał na spotkanie. Słucha uważnie. Spokojny, uśmiechnięty, opalony, za chwilę powie: *do stałem taką szansę i tak teraz się odwdzięczam*. A co wcześniej?

Sporty walki. A taniec również w wyniku splotu przypadków. Kolega zaprosił, sala, widownia, Rafał zatańczył i się zaczęło. *Zrobiłem kilka ruchów, które podpatrzyłem w teledyskach. Wtedy to był Vanilla Ice, Mc Hammer, Jacksona księżycowy chód. Ale w piątej klasie podstawówki zaczęło się na poważnie* – mówi. Taniec na korytarzu szkoły, w przerwach między lekcjami, po treningach jujitsu, wszędzie. Szybko zrozumiał, co znaczy zarabiać. Mając lat 15 tańczył w dyskotekach, w każdy weekend, przez półtora roku, robiąc dla widowni show z ułożonej przez siebie choreografii. Do nocy taniec, potem albo drzemka w biurze, albo schodził na dół, do kucharza, gdzie uczył się gotować. „Będąc dzieckiem miałem sny, że robię coś na scenie, dla innych” wspomina. Szybko to sobie wyśnił, bo przed programem tańczył m.in. dla Kasy, Norbiego, Dody. Ale

wtedy, to były inne czasy. Według Rafała 5 września 2007 roku wszystko zmienił na lepsze. *Wcześniej tancerz był traktowany jak zwykły szmacciarz. Miał wyjść, zatańczyć, zrobić swoje, zapłacić pustkę na scenie i tyle. Przed „You Can Dance” tancerz był nikim. Tancerze byli poniewierani*.

Nie zawsze było kolorowo. Chciał uciekać za granicę. Miał długi, potrzebował pieniędzy. Chciał zrezygnować z tańca, pójść do zwykłej pracy, byle zarabiać. Otarł się o świat za wielką wodą. W Stanach również tańczył w klubach, zarabiając całkiem duże pieniądze. Chciał zostać. „*Powiedziałem mamie, że coś czuję, że coś będzie, że muszę tu wrócić*” – mówi. I wrócił. Do programu dostał się dopiero za drugim podejściem, we Wrocławiu. Potem wyjazd do Paryża, finałowa 16, półfinał, z którego odpadł z Dianą. Telewizja zrobiła reportaż, Rafał swoje pokazał i zrobiło się głośno. Wykorzystał to. Otworzył w Tychach swoją szkołę tańca. Wtedy już pseudonim „TITO” swoje znaczył i zadziałał jak magnes. *Na początku było około siedemset osób, teraz stała ekipa, to około trzystu ludzi*. Zjawiają się z różnych miejsc: z Katowic, Pszczyny, Mikołowa, Tychów. Rafał z dumą podkreśla, że *widać, jak ciężko pracują, widać jak bardzo idą do przodu. Tańczą z uśmiechem i energią. Talenty przychodzą same, nawet nie wiedząc, że są utalentowani, że potrafią dobrze tańczyć, ale są, a my ich wtedy już nie puszczamy*.

Rafała też kiedyś nie puścił instruktor sztuk walki. Rafał nie miał pieniędzy na zajęcia, popłakał się i chciał odejść. Ten go zatrzymał i do momentu, kiedy zaczął zarabiać, nie płacił za lekcje. Ktoś dał szansę. I dlatego dziś, jak tylko może,

Foto: Rafał Dziatych

próbuje się odwzajemnić. Współpracuje z MOPS-em. Sprowadza na zajęcia biedną młodzież i dzieci. Za darmo uczą się technik tańca, o jakich marzyli. Na pytanie o miejsce na Śląsku do tańczenia, odpowiada z uśmiechem: *ja całe życie tańczyłem na trawie, czy przed czołgiem w Brzęczkowicach. Tam rozbiłaliśmy gumolit i tańczyliśmy. To jest nawet lepsze, niż tańczenie w sali. Na dworze masz widza, musisz się starać, by wykonać swoją pracę na sto procent i wtedy człowiek się szybciej rozwija. A w sali nie ma takiego efektu, jak przez żywą publikę. Dla mnie to jest fajny rozwój, jeżeli tańczy się między ludźmi. Oni wtedy zdobywają to, czego nie da im żaden nauczyciel. Uczą się szolmenstwa i kontaktu z publicznością, a sala tego nie da, ani instruktor też.*

Życie nauczyło Rafała, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. „Młodzi ludzie powinni próbować wszystkiego. Nie tracić czasu na siedzenie na ławce i pisanie tysiąca smsów do kumpli, czy szukanie papierosa, trawki, czy alkoholu. Powinni próbować, aż ktoś zauważy ich talent. A o sukcesie warto było walczyć” – dodaje.

Harmonia ciała i muzyki

O sukcesie mogą mówić liczne szkoły tańca na Śląsku, a tych nie brakuje. Śląska Szkoła Tańca Dariusza Kurzaja – rok 1992, działająca w kilku miastach naszego regionu; „NOVA” Szkoła Tańca, z siedzibą w Katowicach, powstała w roku 2005, czy też inny katowicki Klub Tańca „Awangarda” Cezarego Doroszkiewicz i Katarzyny Hetmańskiej. Jak podkreśla Doroszkiewicz, *tańciec od zawsze towarzyszył ludziom wszystkich środowisk, pozwala znaleźć harmonię między ciałem a muzyką, pozwala wyzwolić i uzewnętrznić drżące emocje, wyrazić radość i ból, wdzięczność, gniew, strach, miłość. Tańciec jest świetnym sposobem na relaks, oderwanie się od codzienności i poprawienie kondycji fizycznej.* „Awangarda” nigdy nie narzekała na brak kursantów, ale nie da się ukryć, że podobnie, jak w przypadku innych szkół tanecznych, zbiera żniwo po 5 września 2007 roku. Doroszkiewicz dodaje, że *turnieje tańca, pokazy czy programy telewizyjne typu „You Can Dance” przybliżają tańciec i pozwalają wybrać każdemu odpowiedni dla siebie styl. A za styl obrany przez siebie czasem wiele się płaci, o czym przekonał się Kamil Guzy.*

Baletnica w spodniach

To kolejny uczestnik z naszego regionu, który brał udział w programie „You Can Dance”. Dziś marzy o otwarciu własnej szkoły tańca. Ten, do którego wołano *baletnica* i *jezioro labędzie* (ćwiczył w bytomskiej Szkole Baletowej) z rozżaleniem wspomina: *marginesy osiedlowe uważały mnie za baletnicę i było mi przykro, kiedy mnie wyzywali.* W ukończeniu szkoły pomagała mu jego matka (*Mama całe lata mnie wspierała*). Obecnie pracuje w Teatrze Rozrywki w Chorzowie, ale marzy o teatrach poza granicami naszego kraju. Na pytanie, co dał mu program „You Can Dance”, jednym tchem odpowiada: *Popularność, medialność, przestałem być anonimowy.* Kamil pokazał, że dobrze radzi sobie w innych stylach tanecznych. Udowodnił sobie, a także innym, by utrzyć nosa. Jednak udział w „You Can Dance”, to nie jedyny sukces w jego życiu. Wcześniej m.in. zajął drugie miejsce na Ogólnopolskim Konkursie Baletowym w Gdańsku. Z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego otrzymał liczne stypendia za osiągnięcia taneczne. Obecnie wiele pracuje, prowadzi warsztaty, gra w spektaklach. Jest praktycznie nie do uchwycenia. Ale robi to z radością, bo *pasji drugiej takiej, jak tańciec nie mam.*

Jaranie w salce katechetycznej

Nie wszystko kręci się wokół programu. Jak wspominają rozmówcy tańciec w ich życiu był znacznie wcześniej. Dlaczego tańciec? „Bo zawsze jarałem się break dance’em”, tak odpowiada jeden z byłych członków bytomskiej grupy „Neo System Squad” – Marcin Kurzacki. Grupą taneczną zafascynował się po ich występie w Łagiewnikach, ale tańczył już wcześniej. Ta przygoda dała mu *nowe znajomości, trochę obycia scenicznego oraz pewności siebie.* Z szacunkiem wyraża się o tych, którzy tańczą regularnie, biorąc udział w programach i konkursach – *oni mają talent, wszystkiego nie można się nauczyć. Dla mnie to tylko hobby. Niektórzy poświęcają na tańciec większą część swojego życia.* Mimo że odszedł z grupy, to nadal jeździ na koncerty po całej Polsce, a także do naszych południowych sąsiadów. Uważa, że na Śląsku są możliwości rozwoju tanecznego, również dla tych, których nie stać na płatne zajęcia

(domy kultury, podwórko – *sam pamiętam, jak wyciągaliśmy gumolit przed okno, na trawę, puszczaaliśmy muzykę i tańczyliśmy*, wspomina także księdza, który udostępniał im salkę katechetyczną do tańczenia).

Ej, Bi-boy, weź no coś pokaż

Wszystko zaczęło się około roku 2000 w świetlicy „Szansa” na Bobrku. Jazda na rolkach, gra w tenisa, aż w końcu tańciec. Zaczęło się amatorsko, z pasji, jeden wciągał drugiego, potem warsztaty taneczne organizowane w Śląskim Teatrze Tańca w Bytomiu. Tak rozpoczęła się historia założyciela grupy „Neo System Squad”, Andrzeja Kowalskiego. *Jestem z patologicznej dzielnicy. Nie poszedłem złą drogą, mówi Andrzej i dodaje: wyrosłem na porządnego faceta i tańciec dużo mi dał.* Obecnie pracuje w firmie budowlanej. Mimo obowiązków, wciąż oddaje się tańcu, nawet w pracy, *jak się robi prace wewnętrzne, rozłoży gumolity, to tam sobie śmignę lub na piasku jakieś skoki, a koledzy często wołają ej, Bi-Boy, weź no coś pokaż.*

Początkowo mówiono o „Trójce”, potem powstał „Black System”, teraz „Neo System Squad”. Podczas warsztatów tanecznych w teatrze zainteresowała się nimi telewizja. Powstał film *Bobrek Dance* w reżyserii Dagmary Drzazgi. Zrobiło się głośno, zaczęły się *nami interesować media, było to nasze przysłowiowe pięć minut.*

Jednak szybko wrócili do rzeczywistości. Z powodu problemów finansowych zamknięto świetlicę i zaczęli tańczyć w piwnicach, na ulicy. Sami starali się o koncerty i pokazy. Występowali w teatrach, centrach handlowych, szkołach. Po czasie niektórzy poodchodzili, pojawili się nowi, Andrzej pozostał. Z pomocą przyszło im Centrum Twórczości Narodowej. Prowadził liczne warsztaty taneczne dla młodych osób w bytomskich placówkach kulturalnych. Jak mówi, *breakdancu nie da się nauczyć w dwa, trzy dni. Ludzie szybko się poddają, rezygnują.* Andrzej uważa, że na Śląsku można się rozwijać tanecznie. Zniechęcają tylko drogie ceny kursów, ale darmowe oferty też znaleźć można. Grupa „Neo System Squad” nie jest zamkniętą enklawą. Są otwarci na innych. Spotkali się z pozytywnym odbiorem środowisk kulturalnych Śląska i często słyszeli komplementy. Pokazali, że można żyć inaczej, bo *wystarczy przebić się przez siebie* – mówi Andrzej.

JANA STRZELECKIEGO
szlak bojowy w wojnie obronnej 1939 r.

Do domu wróciłem 5 października

Wspomnień
wysłuchała
LUCYNA
SMYKOWSKA
-KARAŚ



Jan Strzelecki, harcerz, absolwent znanego sosnowieckiego Liceum im. S. Staszica (jest współzałożycielem Stowarzyszenia Wychowanków i Sympatyków tej szkoły), żołnierz września 1939. W swoje 90. urodziny uhonorowany został tytułem „Zasłużony dla miasta Sosnowca”. Mieszka w Katowicach.

W dniu 29 września 1938 roku powołany zostałem do Mazowieckiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii im. Generała Józefa Bema w Zambrowie. Po zdaniu egzaminów z 20 przedmiotów i otrzymaniu stopnia podchorążego, zostałem skierowany 20 czerwca 1939 roku do 23 pułku artylerii lekkiej w Będzinie. Przydzielony zostałem do 8 baterii III dywizjonu haubic 100 Z. Będąc na urlopie wojskowym w Wiśle, otrzymałem od mojego ojca telefon, żeby natychmiast wracać do pułku. Wyjechałem najbliższym pociągami do domu. Przebrałem się w mundur służbowy i pojechałem do 23 pa w Będzinie. Zameldowałem się w swojej baterii. Szef baterii powiadomił mnie, że zostałem przeniesiony do 7 baterii. Zameldowałem się u dowódcy – kapitana Wacława Kluczewskiego. Poleciał mi wybrać sobie konia. Wybrałem konia o nazwie „Opoka”. Konie z jednego roku miały nazwy zaczynające się od tej samej litery.

Wyruszyliśmy z koszar w Będzinie 24 sierpnia 1939 roku, na tak zwane stanowiska wyjściowe, na granicę z Niemcami. Nasz wojskowy wywiad miał dokładnie rozpracowane ruchy wojsk niemieckich w kierunku granicy z Polską. Podręczniki do historii rozpisują się o tym, jak to polscy żołnierze nie byli gotowi na inwazję niemiecką, co oczywiście mija się z prawdą. Niemcy chwalili się, że zbombardowali nasze lotniska. Nie wiedzieli, że zrzucili ładunki na porzucone wraki i puste hangary. Byliśmy na to przygotowani, jak zaznaczyłem – odpowiednio wcześniej wychodziliśmy z koszar.

W czasie marszu z Będzina zatrzymaliśmy nas w Szopienicach-Rożdżeniu, koło Huty Metali Nieżelaznych. Samochodami przywieziono nam ostrą amunicję. Przeladowaliśmy pociski i amunicję do naszych jaszczki i przodków. Dojechaliśmy do Kochłowic, gdzie zajęliśmy kwatery. Miejsce, gdzie była bardzo gościnna. Dostałem pokój naprzeciwko firmy, w której był telefon. Co wieczór stawialiśmy działa na podwórku szkoły w Chorzowie-Batorym, skierowane na Niemcy. Rano działa

były zabierane do Kochłowic. Mieliliśmy służbę na stanowisku ogniowym co drugą noc.

1 września obudziła mnie gospodyni: *Wstawajcie, bo strzelają! To pewnie już wojna.* Wstałem, ubrałem się i poszedłem do telefonu. Dodzwoniłem się do mojego dowódcy baterii. Otrzymałem rozkaz: „Wszystkie przodki na baterie. Wojna! Należy zabrać wszystko i wszystkich żołnierzy z kwatery na stanowiska ogniowe”. Pożegnałem się serdecznie z gospodynią. Zebrałem żołnierzy oraz przodki i pojechałem do Chorzowa-Batorego, gdzie stała nasza bateria. W czasie zbierania żołnierzy zobaczyłem lecące nisko dwa samoloty, były to nasze „Łosie”. Leciały na bombardowanie Oławy. Niemcy mieli w Oławie duże zbiorniki paliwa. Po wojnie przeczytałem o tym w opisie działań naszego lotnictwa we wrześniu 1939 r.

Pojechałem na swojej „Opoce” do sklepu, który był naprzeciwko dworca PKP Chorzów-Batory. Od strony Świętochłowic uciekali mieszkańcy przygranicznych miejscowości. Między innymi zobaczyłem jadący ciężki walec drogowy, którego przeciętna szybkość nie przekraczała 5 km/godz. Na walcu tym była rodzina i koza. Wróciłem na stanowisko ogniowe i zameldowałem swój powrót. Wieczorem otrzymaliśmy rozkaz marszu do Katowic. Z Katowic skierowano nas do Tychów. Dowódca naszej 7. baterii, kapitan Wacław Kluczewski polecił mi jechać na samym końcu, tłumacząc: *To pierwszy dzień wojny, a żołnierz nie jest jeszcze do niej przygotowany.* W rejonie Giszowca, nad ranem, ostrzelali nas ogniem karabinu niemieccy dywersanci. Zameldowałem o tym fakcie dowódcy baterii. Nikt z nas nie został ranny a dywersanci uciekli głębiej w las.

Dojechaliśmy do Tychów, w okolice starego kościoła. Zajęliśmy stanowisko ogniowe między stodołami w Glince. Zaczęła się bardzo ciężka walka. Cała artyleria VIII Korpusu i sąsiednie niemieckie dywizje ostrzeliwały nas. Rozpętało się

prawdziwe piekło. W czasie ostrzału ucierpiała 8 bateria, która stała w Wilkowyci.

Pułk 23 pa Będzin wchodził w skład 23 Górnośląskiej Dywizji Piechoty. Pod dowództwem generała Jana Sadowskiego był to „Obóz Warowny Śląsk”. Oprócz naszej dywizji, należały do niego: 55 Dywizja Piechoty składająca się z Oddziałów Obrony Narodowej, pociąg pancerny nr 54 „Groźny”, saperzy, artyleria przeciwlotnicza i inne pomocnicze jednostki. Należeliśmy do Armii „Kraków”. Po opuszczeniu Śląska grupa nasza zmieniła nazwę na „Grupa Jagmin” dla zmylenia Niemców.

„Obóz Warowny Śląsk” bronił odcinka: Śmiałowice, Mikołów, Wiry, Gostyń, Kobiór. Niemcy uderzyli na tym odcinku, bo tu kończyła się linia obronna z mocnymi fortami w Kochłowicach. Nigdzie Niemcy atakujący nasze forty nie osiągnęli sukcesu i wycofali się nie przekraczając granicy. Naczelne Dowództwo Niemieckie w swoich komunikatach wojskowych z 1/2 września 1939 roku zaliczyło nasze walki do ciężkich bitew na równi z Westerplatte, Mławą i Mokrym.

1 września w godzinach rannych w Gostyniu powstaniec śląski Edmund Witek przyprowadził pod broń lotnika niemieckiego, który został zestrzelony przez naszą 23 artylerię przeciwlotniczą.

2 września nasze oddziały przystąpiły do kontrataku. Odbiliśmy Żwaków i Las Wyrski. Niemcy opuścili Łaziska Dolne, Średnie, Górne oraz Orzesze. Bohatersko walczyła nasza piechota, wspólnie biły się Bataliony Obrony Narodowej. Zdumiewająco celnie strzelała nasza artyleria, zatrzymując i rozbijając ataki Niemców.

Na odcinku naszej obrony znajdowało się legendarne wzgórze 341, Sosnowa Góra, zwana „Redutą Śląską”. Odcinek ten górował nad terenem. Był to stary wapiennik, z którego atakowali nas Niemcy. Broniła go Obrona Narodowa składająca się z samych mikołowian pod dowództwem kapitana Tytusa Wikarskiego. Ogniem swoich dział wspierali „Redutę Śląską”. 23 pal. II Dywizjon, 65 pa. I Dywizjon i 5 pułk artylerii ciężkiej. I Dywizjon atakowała 8 Dywizja Niemiecka. W skład jej wchodził 49 pułk piechoty. Była to elitarna jednostka „Niebieskie Lwy”, słynna z I wojny światowej. Stracili oni 80% swojego stanu posiadania, co świadczy o zacieklności ataków niemieckich. Wszystkie ataki zostały odparte i załamały się. „Reduta Śląska” miała drużynę kolarzy, która otrzymywała rowery od mieszkańców Mikołowa w czynie pomocy dla wojska. Kiedy generał Jan Sadowski chciał zmniejszyć obsadę „Reduty Śląskiej”, zmęczoną stałymi atakami Niemców, żołnierze prosili generała, żeby ich zostawił przekonując, że utrzymają swoje pozycje. Prosimi jedynie o 3 nowe ciężkie karabiny maszynowe, gdyż „stare” zniszczyli Niemcy. Karabiny maszynowe otrzymali i słowa dotrzymali – nie oddali wrogowi „Reduty Śląskiej”.

Bardzo pomocnym w naszych walkach był pociąg pancerny nr 54 „Groźny”. Miał on dużą siłę ognia. W czasie walk zginął dowódca „Groźnego” kapitan Rybczyński. Straty nasze były duże, straciliśmy 25-30% stanu naszych jednostek wojskowych. W ataku na Las Wyrski zginął dowódca II Batalionu 73 pp – podpułkownik Władysław Kielbasa. Niemiecki VIII korpus, który nas atakował, stracił 50% stanu swoich załóg. Dowództwo niemieckie w swoich opracowaniach powojennych stwierdzało, że polska 23 Górnośląska Dywizja należała do najzacieklejszych przeciwników i broniła się po mistrzowsku.

Żeby uniknąć okrążenia, późnym wieczorem 2 września otrzymaliśmy rozkaz wycofania się. Było to dla nas zaskoczeniem, bo widzieliśmy wycofujących się Niemców, którzy zaprzestali ataków. Przyjęliśmy rozkaz z rozczarowaniem i bólem w sercu. Wycofywaliśmy się w porządku i zorganizowaniu. Generał Jan Sadowski w swoich wspomnieniach napisał: *Wycofanie nie zostało wymuszone siłą – walki nasze skończyły się zwycięstwem obromym.* Opuszczając Tychy-Glinkę zostaliśmy zaatakowani przez dywersantów niemieckich. Natychmiast odskoczyliśmy i odprzodkowaliśmy jedno działo – haubicę 100 Z i „ogniem na wprost” skierowaliśmy na dom, z którego nas ostrzelano. Z domu pozostał tylko ślad. Podobne ataki dywersantów przeżyli nasi koledzy z piechoty, ale im również udało się szybko rozprawić z dywersanckimi grupami.

Armia „Kraków” liczyła 6 dywizji piechoty, a Niemcy atakowali nas 15 dywizjami.

Po przejściu przez Mysłowice weszliśmy do Modrzejowa. Dzwoniłem z apteki do domu, do rodziców, ale nikt nie odebrał telefonu. Domyśliłem się, że rodzi-

cie wyjechali. Ojciec mój był komendantem Obrony Cywilnej Miasta.

Przechodząc pod wiaduktem kolejowym w Jęzorze byliśmy ponaglani przez saperów, którzy szykowali się do wysadzenia wiaduktu. Kiedy znajdowaliśmy się już w bezpiecznej odległości widzieliśmy jak wiadukt wyleciał w powietrze. Zrozumieliśmy, że Niemcy są już w Mysłowicach.

W Dąbrowie Narodowej (część dzisiejszego Jaworzna) ustawiliśmy działa w kierunku Sosnowca. Było mi przykro, że będę ostrzeliwał Niemców w moim rodzinnym mieście. Na szczęście skończyło się na przygotowaniach.

Przygotowywaliśmy się do dalszej drogi w kierunku na Chrzanów. Wjechaliśmy na Rynek w Chrzanowie, gdzie było dużo ludzi i przejazd był utrudniony. Stała tam duża grupa Żydów, odświętnie ubranych, szybko zorientowaliśmy się, że jest to miejscowa władza żydowska. Żydzi byli milczący, obcy w stosunku do nas. Wyraźnie dało się odczuć, że czekają na Niemców. Zaraz po przejechaniu tunelu kolejowego w Chrzanowie, w kierunku Plaza – Tenczynek, spotkaliśmy naszych – Polaków, którzy stali przed restauracją i częstowali wszystkim, co mieli: piwem, papierosami, kanapkami. Widać, że byli z nami całym sercem. Zamożniejsi mieszkańcy okazali nam obojętność, obcość, reszta – biedniejsza, witała nas serdecznie. Ten kontrast bardzo nas zaskoczył...

Rankiem 5 września wjechaliśmy do Krakowa. Nasz III Dywizjon haubic 100 Z – zakwaterował się na Woli Justowskiej. Uzupełniono I Dywizję naszego pułku, który został rozbity pod Alwernią. Uzupełniliśmy także zapasy żywności, paszy dla koni i amunicji. Przed południem major Jan Orłowski, dowódca naszego dywizjonu, polecił mi jechać do „Oleandrów”, żeby odebrać rozkazy z Dowództwa 23 Górnośląskiej Dywizji Piechoty. Zgłosiłem się w Dowództwie około godziny 11., za wcześniej jednak, bo kazano mi się stawić po 12. Miałem godzinę dla siebie, pojechałem zatem na Rynek Krakowski, uwiązałem konia przy kawiarni Noworolskiego w Sukiennicach i poszedłem do kawiarni napić się herbaty. Później, naprzeciwko płyty, gdzie przysięgał Tadeusz Kościuszko, kupiłem gazetę i przeczytałem, że Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę. Pojechałem ulicą św. Anny, kupiłem sobie pod drodze trochę słodczy i zameldowałem się w Dowództwie, gdzie otrzymałem rozkazy. Wróciłem na Wolę Justowską, meldując się z rozkazami u majora Orłowskiego.

Po przeczytaniu rozkazów major zawiadomił nas, że mamy się przygotowywać do obrony Krakowa i polecił wyznaczyć służby. Mieliśmy już dosyć wycofywania się, a wiedząc, że Kraków ma fortyfikacje i zapasy amunicji oraz żywności, cieszyliśmy się, że będziemy walczyć. Po północy obudził nas „alarm – przygotowanie do marszu”. Wychodziliśmy z Krakowa ulicą Lubicz na Mogiłę. Wychodziliśmy wściekli. Odparliśmy Niemców na Śląsku, chcieliśmy się tu bić, a nie znowu się cofać. Dopiero po wojnie,

po latach zrozumiałem, jak mądra była to decyzja opuszczenia Krakowa bez walki. Miasto naszej historii, pełne zabytków zostało ocalone. Wszystko wskazywało na to, że była to interwencja generała Sadowskiego, który przekonał generała Antoniego Szylinga, dowódcę Armii „Kraków” o konieczności opuszczenia Krakowa przez wojsko.

Wychodząc z Krakowa, już na rogatce, nasi żołnierze złapali dywersantów niemieckich, którzy radiem nadawali wiadomość. Zabrano ich i oddano naszej żandarmerii. Kraków był już otoczony przez wojska niemieckie, które szykowały się do ataku. Zrozumieliśmy, że od tej chwili będziemy musieli się przebić przez Niemców. Przed nami jechały tankietki, 5 sztuk. Tankietki robiły rozeznanie, żeby nas Niemcy nie zaskoczyli. Szliśmy w pełnej gotowości do ataku, ale w ciszy. Na prawym brzegu Wisły widzieliśmy palące się domy, stodoły, stogi. To Niemcy zostawiali za sobą zniszczenia i ogień. Jak mi wiadomo Niemcy weszli do Krakowa 6 września o godz. 10. Prezydent miasta oddał im klucze naszego starego grodu. Niemcy nie wierzyli, że wojska polskie nie ma w Krakowie.

A my szliśmy, staczając walki. Nasz szlak wiódł kolejno przez Proszowice, Koszyce, Nowy Korczyn, Osiek-Baranów. Na każdym stanowisku ustawialiśmy działa w różnych kierunkach, żeby nas Niemcy nie zaskoczyli. Zmęczenie żołnierzom piechoty dawało się coraz bardziej we znaki. W Nowym Korczynie na rynku zgromadzono różne oddziały na noc. Było do przewidzenia, że Niemcy łatwo zdobędą współrzędne i zaatakują. Tak też się stało i wojsko w pośpiechu opuszczało nocą Nowy Korczyn. 7 września poległ kolega, podchorąży ogniomistrz Witold Plutecki, zabity przez snajpera niemieckiego w miejscowości Rachwałów. W walkach o Nowy Korczyn Niemcy stracili 14 czołgów. W walkach pod Mroczkowem zniszczono 6 niemieckich czołgów. Generał Jan Sadowski w Sroczkowie koło Pacanowa osobiście udekorował Krzyżem Virtuti Militari żołnierza z 73 pp, który z działka przeciwpancernego zniszczył czołgi. Żołnierz zapytany czy się bał, odpowiedział twierdząco, ale mimo strachu załadował ponownie działo i trafił w kolejne.

Żołnierze w dzień walczyli, w nocy marszerują, brak im snu i odpoczynku. Zakładano, że 10-11 września mamy się przeprawić na drugą stronę Wisły pod Baranowem. Okazało się, że most został wysadzony z rozkazu pułkownika Antoniego Sikorskiego, dowódcy grupy „Sandomierz” z armii „Lublin”, która nie orientowała się, że na ten most idzie Armia „Kraków”. 23 baon saperów, dowodzony przez majora Mariana Skierczyńskiego, przystąpił do budowy zastępczego mostu. Wybudowano dwa. W związku z koniecznością obrony przeprawy generał Jan Sadowski zarządził, obronę Osieku. Kapitan Cesarz poszedł do chłopów, którzy mieszkali nad Wisłą prosząc, by pokazali nam bród, przez który oni przejeżdżają na drugą stronę Wisły. Skorzystaliśmy z ich pomocy i nasza bateria przeprawiła się wpraw. Przyrządy celownicze wzię-

liśmy do ręki. Woda dochodziła nam tylko do kolan na koniu. Na drugim brzegu Wisły zajęliśmy zaraz stanowiska ogniowe. Walki o Osiek były bardzo zarte. General Jan Sadowski chciał przeprawić przez Wisłę całą swoją grupę operacyjną, pomimo, że generał Szyling, dowódca Armii „Kraków” chciał poświęcić ciężki sprzęt na rzecz lekkiego i piechoty. W czasie toczących się ostrych walk Osiek przechodził z rąk do rąk. W końcu jednak udało się wyprzeć Niemców, mimo iż wspierani byli przez samoloty i zmasowany ogień artylerii. W międzyczasie saperzy zrobili dwa mosty i wkrótce wszystkim naszym jednostkom wraz ze sprzętem udało się przeprawić na drugi brzeg Wisły.

13 września, w miejscowości Grębów, dowódca naszej baterii kapitan Wacław Kluczewski dał mi mapę i polecił o godz. 12. ustawić baterię. Zgodnie z rozkazem ustawiłem działą. Przechodzące jednostki piechoty zwróciły mi uwagę, że zbliża się natarcie niemieckie z czołgami. Zobaczyłem na horyzoncie Niemców. Punktualnie o godz. 12. przyjechał kapitan Kluczewski. Zameldowałem mu, wskazując ręką na horyzont, rozwijające się natarcie niemieckie. Ze strony mojego dowódcy padł rozkaz: „Zaprzęgać”. Oskoczyliśmy od tego miejsca jakieś 2 km i ustawiliśmy działą między domami. Kapitan zaczął, prowadzić ogień. Po wstrzeleniu się trafił w czołgi, łącznie Niemcy stracili trzy czołgi. Zmusiło ich to do wycofania się. Ogień prowadziliśmy do zmroku, do godz. 20., potem opuściliśmy stanowiska. Niemcy chcieli uniemożliwić naszym pulkom piechoty – 73 pp, 75 pp i 11 pp – wycofanie się za San. Jednak ten zamiar nie powiódł się.

Następnej nocy prowadziliśmy ogień zaporowy na drogę, którą szły kolumny niemieckie. Prowadziłem go na zmianę z kolegą, ogniomistrzem podchorążym Zenonem Wojasem: Idziemy drogą leśną i naraz spada na nas atak artylerii niemieckiej. Niemców w pobliżu nie ma, a więc komenda: „Bagnet na broń” i idziemy w las. Łapiemy dywersantów niemieckich, którzy radiem kierowali ogniem, oddajemy ich żandarmerii. Tak wyglądało nasze czwarte już spotkanie z dywersantami.

16 września w Zwierzyńcu otrzymałem od dowódcy naszego dywizjonu majora Jan Orłowskiego rozkaz rozładowania pociągu amunicyjnego, który, wysłany przez generała Szylinga, miał przyjechać do Zwierzyńca z Klemsowa. Zebrałem wszystkie jaszce i przodki z baterii naszego dywizjonu i zameldowałem zawiadowcy stacji Zwierzyniec, że odbieramy pociąg amunicyjny. Pan zawiadowca bardzo się wystraszył, bo przeczuwał, że Niemcy będą chcieli ten pociąg zbombardować. Ugodniłami, że zawiadowca przejdzie torami przed nadjeżdżający pociąg, żeby go zatrzymać w lesie. Był to las bukowy, który dobrze nas chronił. Z całą kolumną wjechałem w las i czekałem. Absolutnie nie było nas widać. Zgodnie z planem pociąg został za-

trzymany przez zawiadowcę, a my zrobiliśmy drogi dojazdowe do wagonów. Zaczęliśmy rozładunek. Po niecałych 30 minutach usłyszeliśmy nadlatujące samoloty, rozpoznałszy, że to niemieckie. Poleciłem przerwać rozładowywanie i chować się za drzewami. Trzy samoloty nadleciały nad stacją Zwierzyniec, przelatując nisko nad nami i zaczęły bombardować tory. Przeleciały, nawróciły i ponownie zbombardowały tory. Po odlocie samochodów dokończyliśmy rozładowywanie amunicji, zabierając tyle ile zmieściło się w przodkach i jaszczach.

17 września z naszej radiostacji dowiedziałem się, że ZSRR uderzyło na nasz kraj, to znaczy: „wbili nam nóż w plecy”, a więc – IV rozbiór Polski. 18 września, w czasie przeskakiwania odcinka, który Niemcy ostrzeliwali, jechaliśmy z moim kolegą szkolnym, Witkiem Polackiem. Zostaliśmy ostrzelani, Witek został zabity, a ja ranny w nogę i rękę. Po nieudanych próbach zdobycia Tomaszowa Lubelskiego, dowódca naszego 23 pułku artylerii lekkiej z Będzina, podpułkownik Władysław Ryłko, zwołał odprawę w dniu 20 września o godz. 14., na której powiadomił nas: *Jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron, a przebicie się na Węgry jest bardzo trudne, bo Niemcy i Ukraińcy są do nas wrogo nastawieni. Otoczyły nas Korpusy Niemiec: VII, VIII, XVII i XXII. Sprzęt zniszczyć, zamki zakopać, konie rozsiedlać i wolno puścić, żeby chłopcy mogli je zabrać. Starać się wykonać to szybko i kierować się do domu. Możliwie szybko przebrać się w cywilne ubranie. Unikać głównych dróg. Czekać na dalsze rozkazy w domu.* Na odprawie obecni byli oficerowie, podoficerowie i podchorążowie.

Po drodze do baterii widziałem żołnierzy z Warszawskiej Brygady Pancerno-Motoryzacyjnej pułkownika Roweckiego. Po dojściu do dział wyjęliśmy zamki i przyrządy celownicze, które zakopaliśmy dość głęboko, bo był piasek. Zakopałem też swoje papiery: prawo jazdy, książeczkę strzelania, legitymację służbową i znaczek tożsamości, żeby nic nie wskazywało, że byłem w wojsku, gdyby Niemcy mnie złapali. W naszej baterii tylko jedno działą było pełnosprawne, pozostałe były uszkodzone. Rozkubabaczyliśmy konie od zaprzęgów. Rozsiedlałem moją „Opokę”, która mi wiernie służyła przez te 20 dni. Zdjąłem uzdę, poklepałem ją i patrzyłem ze smutkiem jak odeszła w las. Zerwałem z munduru oznaki podchorążackie i stopnie z ramion. Gdy szliśmy lasem widzieliśmy jak na drodze żołnierze niemieccy zabierali naszym żołnierzom zegarki; kradli i darli się, że mają chodzić głównymi drogami. A na tych głównych drogach Niemcy łapali naszych i zabierali do niewoli. W pierwszej wsi, do której dotarliśmy przez las, zamieniliśmy nasze bardzo dobre mundury na cywilne, bardzo zniszczone ubrania. Szliśmy z kolegą tylko bocznymi drogami, leśnymi ścieżkami. Przechodziliśmy przedmieściem Buska Zdroju i zobaczyliśmy nasz sprzęt wojskowy, zaiperytowany żeby Niemcy nie mogli z niego korzystać.

W czasie walk co dzień mieliśmy gorący posiłek. Tego nasz dowódca baterii wymagał od kucharza. W majątku, gdzieś około 17 września dostaliśmy miód, całą manierkę. Innym razem mieliśmy ogórki z pola. Nasze naczelnie dowództwo zupełnie nie wiedziało o prze-meczeniu żołnierzy, o tym, że często byli głodni. Wczesnym rankiem nierzadki był widok żołnierza, który spał w siodle na stojącym z boku koniu. Ciągłe natomiast poganiano nas, przyspieszając działania, ale nigdzie nie zrobiono uderzenia, na które czekaliśmy, co było błędem taktycznym, jak potwierdził generał Jan Sadowski w swoich powojennych wspomnieniach. Niemcy rozrzucali ulotki z samolotów i namawiali do dezercji żołnierzy z naszego dywizjonu. Nikt nie zdezerterował do końca walk 20 września. W naszych bateriach jeźdźcami byli żołnierze ze wschodnich województw kraju, a obsługa dział – ze Śląska i Zagłębia. Bateria liczyła 5 oficerów, 23 podoficerów i 112 kanonierów, razem 140.

Przez cały czas walki szliśmy w pierwszej linii; dla artylerzystów oznaczało to 5-8 kilometrów od piechoty, żeby dobrze, trafnie strzelać. Nie wiedziałem, gdzie strzelał. Dostawałem współrzędne. Wiedziałem, jak nawiązać celownik, jaki powinien być ładunek i znalazłem punkty zaczepienia. Będąc za piechocińcem unikałem przykrego widoku zatarasowanych dróg i uciekających ludzi. Nasz oficer zawsze był na linii z piechotą, by móc właściwie kierować ogniem. Wyjątek stanowiły walki bezpośrednie z Niemcami, które we wrześniu 1939 zdarzały się często.

Mój kolega z klasy – Wojtek Aleksiewicz idąc do wojska wybrał łączność. Jednak aż 90% spośród nas poszło do wojskowych podchorążówek artylerii. Wojtek skończył podchorążówkę w Zegrzu, potem został skierowany do Katowic. Spotkałem go już za Sanem, po 14 września. W trakcie rozmowy powiedział mi, że już od dwóch dni nic nie jadł. Wyjąłem z sakwy chleb, który zgodnie z poleceniem naszego dowódcy zabrałem z Krakowa. Wojtek ucieszył się i zapytał ile może sobie odkrajać. Powiedziałem: *Wojtek, bierz cały. Ja, jak będę chciał coś zjeść, to podskoczę na koniu, pieniądze mam, więc kupię bez problemu.* Wojtek całą drogę od Śląska szedł pieszo – 350 kilometrów. Spotkaliśmy się ponownie w październiku 1939 roku w Sosnowcu. Zapytałem czy był w niewoli, odpowiedział twierdząco, ale uciekł, bo nie dawali jeść. Dowiedziałem się później, że w czasie wojny był na robotach w Niemczech, a potem dostał się do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie został zamordowany.

Mosty na Sanie i Wiśle były obsadzone niemieckimi posterunkami. Tak nas poinformowali po drodze ludzie. Znaleźliśmy przewoźników – rybaków, którzy w nocy przewieźli nas przez San, a potem, przez Wisłę poniżej Sandomierza.

Do domu powróciłem 5 października 1939 roku.



Wojny bali się wszyscy...

GERARD
KUCZERA

Ujrzałem świat 12 kwietnia 1923 roku w Rybniku. Było to rok po przyłączeniu Górnego Śląska do Polski. Większość ludzi żyła wówczas skromnie. Dotyczyło to także ludności zamieszkanej na przyłączonym obszarze Śląska. Sprawy bytowania pogorszyły się w latach kryzysu gospodarczego w latach 1929-1937. Zamknięto wiele kopalni, hut i fabryk. Doprowadziło to do ogromnego bezrobocia i wielkiej biedy. Huta „Silesia” w Rybniku zatrzymała walcownię, w której pracowało 600 ludzi. Po strajku i zajęciach między robotnikami a policją huta była nieczynna 5 lat, to jest do 1937 roku. Wśród bezrobotnych znalazł się także mój ojciec.

Szkołę powszechną ukończyłem w 1937 r. w Rybniku, zaś ojciec w tym samym roku otrzymał upragnioną pracę i zarobek na utrzymanie rodziny. Huta ruszyła – walcownia znowu produkowała blachy, które były potrzebne na produkcję garnków, a także czołgów. Nasza rodzina składała się wtedy z pięciorga dzieci i rodziców. Na ówczesne czasy byliśmy rodziną średnią. Otrzymanie pracy przez 600 klepiących biedę hutników przyszło nagle. Nikt tego specjalnie nie przewidywał, że znowu będzie potrzebna blacha. Blacha stalowa i to dobrego gatunku, była potrzebna, bo budowano czołgi. Były zamówienia na blachę

do ZSRR i Niemiec. Nikt specjalnie nie zastanawiał się co będzie za dwa lata, trzy lub pięć lat. Ludzie cieszyli się z pracy i zarobku. Ruszyły z wolna kopalnie i fabryki. Mieszkańcy stali się mniej radykalni w wypowiedziach na temat gospodarki polskiej. Społeczeństwo oczekiwało wielkiej hossy gospodarczej. Ja pracowałem od 1938 r. w księgarni „Polonia” jako goniec. Brat Brunon polerował meble w stolarni i też miał zatrudnienie. Najstarszy brat Jan służył w wojsku polskim w Stryju. Siostra Stazja i brat najmłodszy Adam chodzili do szkoły powszechnej.

Pierwszego września 1939 roku byłem już o szóstej rano na dworcu w Rybniku, gdzie codziennie pobierałem przesyłki gazet z Katowic, do rozprowadzenia po kioskach w Rybniku. W powietrzu huczało od samolotów a ludzie wtedy ludzili się, że to polskie samoloty mają ćwiczenia. Nie chcieli wierzyć, że w czas rano wybuchła wojna. Niestety, to była wojna, która miała trwać 6 lat. Zdażyłem jeszcze zaopatrzyć kilka kiosków w świeże gazety z datą pierwszego września. Później, gdy nastąpiło kilka wybuchów, które przstraszyły mnie ogromnie, ruszyłem na moim rowerze ze zdwojoną siłą i napędzany strachem. Pedałowałem w stronę domu. Po dojechaniu do domu okazało się, że mieszkańcy w pobliżu mostu kolejowego muszą opuścić mieszkania. Most kolejowy był przeznaczony do wysadzenia przez wojsko polskie. Ta nieprzewidziana ewakuacja dotyczyła także naszej rodziny. Spakowaliśmy trochę jedzenia i odzieży, aby udać się do znajomych na Piaski. W czasie pokonywania tej drogi (ok. 1,5 km) słychać było odgłosy dalekich wybuchów. Tak – to była wojna, o której mówiono już wiosną trzydziestego dziewiątego roku. Po drodze wycofywały się grupy żołnierzy polskich, którzy stawiali opór Niemcom, tuż po przekroczeniu granicy. Mieszkańcy byli tym wszystkim, co się działo od rana, wystraszeni. Tak dobrze zapowiadało się w gospodarce i znowu wojna! Wojny bali się wszyscy – miejscowi i ci, którzy napłynęli na Śląsk w ciągu niespełna dwudziestu lat. Zagrożenie ze strony Niemiec hitlerowskich było realne, o czym ludzie byli przekonani. Na krótko przed wybuchem wojny, jedni wyjeżdżali na ferie, by już nie wrócić, inni zaś robili skromne zapasy jedzenia. Taki był odwieczny pęd ludzi przed zagrożeniem. Kto miał jedzenie ten mógł parę dni przeżyć. Wojny nikt nie chciał, a wojna przyszła do nas, bo ktoś w swoich planach zaborczych wojnę przewidywał i realizował.

Gdzieś około 10.30 pierwsi żołnierze w zielonych mundurach, w hełmach na głowach, pojawili się na osiedlu Piaski, zaś na ulicy Żorskiej można było zobaczyć ciągnące się kolumny pojazdów, w tym czołgów. Młodzi, ciekawi tego, co się dzieje, podeszliśmy pod główną szosę zobaczyć lepiej tych,

co zawojowali Rybnik. Twarze żołnierzy niemieckich nie były przestraszone tym, co się stało. Byli pewni siebie, bo nie zdawali sobie w pełni sprawy, jak to koło wojny się potoczy. Widzieli przed sobą słabego przeciwnika, a więc łatwe zwycięstwo. My – chłopcy piętnasto- szesnastoletni baliśmy się ich, spoglądając na ich twarze. A przecież powinno być odwrotnie. To oni do nas wtargnęli. Witamy ich w Rybniku małe grupki mieszkańców. Czekali na nich z utęsknieniem, odczuwali radość, że nareszcie i na zawsze, już zostaną połączeni. W tym całym rozgardiaszu pierwszego dnia wojny, matka zwróciła mi uwagę, że brat Brunon wyszedł rano do pracy. Pracował ostatnie dwa tygodnie przy kopaniu rowów dla potrzeb wojska, miał dostać pierwszą wypłatę. Matka zaniepokojona o niego, kazała go poszukać, co niebawem uczyniłem, udając się do miasta. Spotkałem kolegę i rażno ruszyliśmy, rozglądając się po drodze. Rynek był wypełniony pojazdami ciężkimi z wojskiem niemieckim. Koło „Świerklańca” była rozbita polska sanitarka wojskowa, która wpakowała się do okna wystawowego. Po dojściu na ulicę Rudzką spostrzegliśmy ruch koło kostnicy szpitalnej. Okazało się, że znoszono ciała poległych żołnierzy polskich do kostnicy. Z ciekawości weszliśmy za starszymi mężczyznami. W kostnicy na posadzce leżeli polegli, okrwawieni i zabrudzeni, martwi obrońcy granicy polskiej. Oni pierwsi stawili czoła czołgom i piechocie niemieckiej. Prawie wszyscy byli miejscowymi, powołanymi do Obrony Narodowej. Ulegając przemocy, stracili życie, będąc do końca wierni przysiędze. Zostali pochowani później w zbiorowej mogile na cmentarzu w Rybniku, gdzie spoczywają do dzisiaj. Smutni i przerażeni opuściliśmy kostnicę w dalszym poszukiwaniu brata, którego niestety nie odnalazłem. W domu też go nie było. Most kolejowy na szczęście nie został wysadzony



i mogliśmy wrócić z osiedla Piaski do domu, co uczyniliśmy z rodzicami w następnym dniu.

Na brata Brunona czekaliśmy z niepokojem cztery tygodnie. Wrócił pod koniec września, brudny i przemęczony. Razem z kilkoma kolegami z pracy, w pogoni za „wypłatą” dotarli do Żor, a później do Pszczyny. Kasjer znikł, a oni dalej uciekali przed frontem i czołgami niemieckimi. Uciekali wymieszani z takimi samymi nieszczęśnikami do Krakowa, i dalej w kierunku Tarnowa. Pociąg towarowy, w którym jechali, zatrzymany został pod Tarnowem przez Niemców. Doszło do strzelaniny, bo w pociągu razem z cywilami jechało wojsko polskie. Potyczka trwała krótko. Niemcy zagnali wszystkich żywych na rzyisko, gdzie przesiedzieli do rana. Rano był podział na cywilów i wojskowych. Cywilów zwolniono, zaś wojskowych przegnano w inne miejsce. Nie wrócił do domu Feliks Turniak, który zginął za Krakowem, podczas bombardowania. W połowie listopada wrócił z zajęcia także brat Jan, który przez dwa lata służył w polskim

wojsku w Stryju. Miał wrócić jesienią, ale doszło do wojny i w walkach za Krakowem dostał się do niewoli. Duże wycieńczenie i dolegliwości żołądkowe nie pozwoliły mu na podjęcie pracy. Wrócili jeszcze przez wiele tygodni znajomi i sąsiedzi, których losy wojny zapędziły na Węgry i do Związku Sowieckiego. Ludzie wrócili sponiewierani do swoich rodzin, czasem już niepełnych.

W Rybniku trwały aresztowania tych, którzy byli silnie związani z Polską. W listopadzie 1939 roku wprowadzono przydziały żywnościowe. Wyglądało na to, że wojna skończona. Francja i Anglia nie były, jak na razie, przygotowane do walki, chociaż obiecywały pomoc Polsce. Niemcy uraczyli mieszkańców zjadliwymi afiszami z napisem: „Anglio to twoje dzieło”. Owe afisze przedstawiały zniszczenia poczynione w Polsce we wrześniu 1939 roku. Szydercze, barwne plakaty zwisały – bo tak uważali doświadczeni ludzie – że nadchodzą lata trudne, głodne i chłodne. Nowa władza wprowadzała swoje rozporządzenia, zmuszające pod groźbą do rejestracji w urzędach pracy (Arbeitsamt). Miało to na celu uchwycenie wszystkich zdolnych do pracy i dysponowania nimi według uznania. Pewną część ludzi kierowano do pracy w „Reichu”, dotyczyło to w szczególności młodych, niepewnych politycznie. Najwięcej rybniczian wywieziono na przymusowe roboty jesienią 1939 roku i przez cały 1940 rok.



Gerard Kuczera po wojnie pracował w Wałbrzychu w kopalni „Thorez”. W tym mieście założył rodzinę i zdobył wykształcenie, dzięki czemu został nauczycielem górnictwa w wałbrzyskiej szkole zawodowej. W roku 1963 powrócił z rodziną do Rybnika. Pracował jako nauczyciel w szkole górniczej przy KWK „Chwałowice”. Zmarł w 1999 roku.

Z doktorem JANEM F. LEWANDOWSKIM
o jego książce „Wojciech Korfanty”
rozmawia BOGDAN WIDERA



Foto: Zbigniew Sawicz

Gdyby Korfanty został w Paryżu

– Janku, Korfrantym interesowałeś się odkąd cię znam. Czytałeś to, co o nim pisano, czytałeś też jego teksty prasowe i wystąpienia polityczne... Sam pisałeś artykuły na jego temat m.in. do *Śląska*. Rzeczy te jednak dotyczyły zawsze jakiegoś fragmentu jego życia albo działalności. Teraz napisałeś popularną biografię tego wybitnego polityka. Czy przy tej okazji odkryłeś wiele rzeczy nowych także dla ciebie?

– To, że wcześniej zajmowałem się Korfrantym, jeszcze w latach osiem-

dziesiątych, kiedy pracowałem w redakcji *Katolika*, a później napisałem o nim kilka szkiców dla *Śląska*, bardzo mi ułatwiło napisanie tej książki, która powstawała w dość szybkim jednak tempie. Miałem na to tylko kilka miesięcy. Bez tamtych wcześniejszych prac, a przede wszystkim rozmów, bo w przeszłości udało mi się porozmawiać z osobami, które znały Korfantego z różnych zresztą stron, chociażby z panią Zofią Zagórowską albo z sanacyjnym posłem do Sejmu Śląskiego (zresztą głównym przeciwnikiem politycznym

Korfantego) Józefem Witczakiem, z którym udało mi się nawiązać kontakt w latach osiemdziesiątych, napisanie tej książki byłoby trudne. Kiedy nadarzyła się okazja napisania tej biografii dla wydawnictwa Videograf II, wykorzystałem materiał zgromadzony podczas moich wcześniejszych badań i poszukiwań. Ale mam też świadomość, nabytą szczególnie teraz, w trakcie konstruowania i składania tej książki, jak bardzo wiele jeszcze o Korfrantym nie wiemy. Piszę zresztą, że to jest postać dopiero do odkrywania. Niektóre fragmenty jego życia są bardzo mało znane. Na przykład wcześniejsze lata Korfantego. Myślę też, że wiele zespołów archiwalnych, w których mogą się znajdować materiały z nim związane, nie zostało jeszcze przez historyków zbadanych. Jeśli w ogóle zajmowano się Korfrantym, to raczej wyłącznie od strony tej wielkiej polityki. Jest to więc postać ciągle mało znana.

– Podczas promocji twojej książki w katowickim „Rialto” profesor Przybylski trochę ubolewał, że nie jest to praca naukowa, bo bez przypisów ze szczegółowym wykazem źródeł itd. Ja natomiast uważam, że to akurat dobrze, że właśnie powinna to być publikacja popularna, bo dziś, nawet na Śląsku ludzie niewiele o Korfrantym wiedzą. To bardziej hasło...

– To jest w ogóle pierwsza przesłanka do tego, że książka się ukazała. Wydawca też miał świadomość, że największa na Śląsku postać w XX wieku, przywoływana zawsze w przypadku jakichś plebiscytów, mianowana patronem wielu szkół (nawet wyższej), stawiana na cokółach pomników – to wszystko jednak dopiero od 20 lat – istnieje tylko, tak bym to określił, w obiegu oficjalnym. Rocznice, składanie wieńców na grobie, akademie ku czci... Za tym jednak nie idzie ani znajomość biografii Korfantego ani też jego twórczości. Wydawało się więc oczywistością wyjście na rynek z taką „klasyczną” biografią, opowiadającą o jego życiu z wielu stron. Wcześniejsze książki o nim koncentrowały się bowiem głównie na jego działalności politycznej. Samo jego życie – w sensie takim romansowym – było bardzo interesujące. Niebawem awans społeczny. Droga chłopca z rodziny ubogiej i prostej do osiągnięcia statusu człowieka wykształconego, odcytanego, do osiągnięcia pozycji jednego z politycznych liderów w Polsce międzywojennej...

– Wiele innych wątków życia dość burzliwego...

– Do dziś się odczytuje Korfante go nie tylko w Polsce, ale i u nas jako wielkość lokalną, ważną jedynie dla Górnego Śląska. Oczywiście Górny Śląsk był dla niego najważniejszy. Ale jest też Polska...

– **Więcej – Europa.**

– ... Polska tego okresu międzywojennego, kiedy próbował robić karierę polityczną w Warszawie, był przecież desygnowany na premiera, jednak Józef Piłsudski to zablokował. Ale oczywiście jest też kontekst europejski, w różnej skali, na pewno istotne jest w tym aspekcie państwo niemieckie. To jest przecież 15 lat posłowania do Reichstagu i Landtagu od 1903 do 1918 roku, to jest spory kawał czasu, to jest kilka lat stałego mieszkania w Berlinie razem z rodziną. Dłatego jeden z rozdziałów mojej książki zatytułowałem *Berlińczyk*. Doskonale był w tych realiach Niemiec kajzerowskich zorientowany. Do tego dochodzi jeszcze Francja, z którą miał nieustanne kontakty, zwłaszcza w okresie plebiscytowym, powstańczym i później, w okresie międzywojennym. Z Pragi uciekł przecież do Paryża. Dochodzi do tego jeszcze przymusowa, czteroletnia emigracja, pobyt w czeskiej Pradze właśnie. No i podróże. Do Witosy na Słowację, do Szwajcarii... Jest jeszcze młodzieńcza podróż, kiedy to jako wychowawca arystokraty z Litwy Jundziłła przemierzył ładny kawałek Europy.

– **Milczenie na temat Korfante go przerwano dopiero 20 lat temu. Ale do dziś wiedza o nim, nawet na Górnym Śląsku jest znikoma. Słyszymy: „zasłużony syn ziemi śląskiej, budzi ciel polskości na Górnym Śląsku, wybitny polityk, przywódca powstańczy itd. itp”.** Hasła, które do tej postaci skutecznie zniechęcają młodzież. Tymczasem w twojej książce jest człowiekiem z krwi i kości, jest żywy, ma trudny charakter...

– Powiem otwarcie, że mnie też szalenie denerwują te górnołotne określenia, których się nie pozbyto także w tym roku, w Roku Korfante go. Uważam, że pod tym względem Rok Korfante go został trochę zmar-nowany. Ale mam nadzieję, że efektem będą jakieś edycje źródłowe. W Bibliotece Śląskiej przygotowuje się do wydania mowy Korfante go w parlamentach niemieckich. Ale wiadomo – takie przedsięwzięcia wymagają czasu... Niestety, przez kilkadziesiąt lat nie można było o Korfante-m mówić i pisać w mediach. Szkoda, bo w tym czasie żyli jeszcze ludzie, którzy go znali i mogli o nim wiele ciekawych rzeczy opowiedzieć. A tak – powstała pustka.

– **Dłatego żałuję, że twoja książka nie ukazała się rok wcześniej. Byłby czas na to, żeby nauczyciele, którzy zajmują się edukacją regionalną, mogli zainteresować Korfante-m swoich uczniów. Myślę, że wszyscy mogliby się do obchodów Roku lepiej przygotować. A tak znowu mieliśmy akademie ku czci.**

– Oby było tak, że jednak rozpocznie się proces odkrywania Korfante go i utrwalania pamięci o nim, ale w takim sensie bardziej intelektualnym, właśnie poprzez edycje źródłowe, bo tak jest, że to jest podstawa do pisania biografii, do badań i prac naukowych. Cieszę się na przykład z tego, że stenogramy z Sejmu Śląskiego są dostępne w tej chwili w internecie. Można sobie wejść na stronę i dowiedzieć się choćby tego, jakie „pyskówki” toczyły się w naszym regionalnym parlamencie. Mamy pełny zasób informacji o Sejmie Śląskim od 1922 do 1939. Miejmy nadzieję, że taka dostępność będzie również związana choćby z pismami Korfante go. Korfante był człowiekiem piszącym. Zanim stał się zawodowym politykiem, był zawodowym dziennikarzem. Miał dobre pióro. Dużo pisał, a kiedy był na emigracji, odsunięty przez sanację od wielkiej polityki, też zajmował się głównie pisaniem. Trzeba pamiętać, że miał swoje gazety, swoją *Polonię*, w której ukazały się setki a może nawet tysiące artykułów. To wszystko powinno zostać wydane w jakichś wyborach. Do tej pory ukazał się jeden – jego publicystyki katolicko-społecznej.

– **Wydany dość dawno temu przez „Księgarnię św. Jacka”.**

– Dobrze się stało, że doszło do tej edycji, ale to tylko fragment jego dziennikarskiej spuścizny. Jednak bardzo ciekawe są też inne teksty. Felietony i artykuły na tematy bieżące, w których poza aktualnymi wówczas tematami możemy znaleźć to, czego Korfante nam nie pozostawił – klasycznych pamiętników, czy wspomnień. Czegoś takiego nie ma. Natomiast w jego wystąpieniach politycznych, tekstach dziennikarskich możemy odnaleźć prawdziwe „perłki”, bo on pisząc o faktach, czy ludziach często przywołuje osobiste wspomnienia. Żeby te perły odnaleźć trzeba się jednak przekopać przez całe roczniki *Polonii* i wtedy można na przykład przeczytać o przypadkowym spotkaniu z Romanem Dmowskim na dworcu w Sosnowcu, albo dowiedzieć się, że ze swoim konkurentem politycznym ks. Kapicą znalazł się jeszcze z czasów, gdy ten był młodym wikarym w siemianowickim kościele. Mało tego – Korfante należał wówczas do Towarzystwa Alojzja-

nów i z ks. Kapicą zgodnie współdziałał. Z takich właśnie fragmentów dałoby się ułożyć taką mozaikę wspomnieniową. Bo jedynym większym tekstem Korfante go o charakterze autobiograficznym jest *Odezwą do ludu śląskiego* z 1927 roku, w której polemizował z sądem marszałkowskim. Jest to obrona siebie poprzez opowiedzenie swojego życia. Życie ciekawe, ale też, zwłaszcza w ostatnich latach tragiczne.

– **Można o tym przeczytać w twojej książce. Nawet o pogłosce (a może prawdzie – bo ta kwestia nie została definitywnie rozstrzygnięta), że został przez władze sanacyjne otruty w więzieniu; aresztowany po przyjeździe do Polski tuż przed wybuchem II wojny światowej. W rozmowie, którą razem z Beatą Tomanek prowadziliśmy na antenie Radia Katowice, zadaliśmy ci pytanie, co by się stało, gdyby Korfante został w 1939 roku w Paryżu? Byłby premierem?**

– Gdyby został w Paryżu, gdzie miał liczne kontakty i znajomości, kto wie. Emigracyjny rząd powstał na jesieni 1939, Korfante miałby wtedy 66 lat. Do władzy doszli wówczas opozycyjni wobec sanacji przedstawiciele stronnictwa Morges utworzonego przez kilku liderów: Witosy, Sikorskiego, Korfante go, Popiela. Jeszcze Paderewskiego...

– **Który jednak wycofał się już z polityki.**

– Był właściwie tylko patronem tej działalności. Można powiedzieć, że Korfante był główną postacią frontu Morges. Witos pozostał w kraju, więc Korfante byłby naturalnym kandydatem na premiera. Dla Francuzów byłoby to oczywiste. Myślę, że w tej roli przydatne byłyby jego kontakty z europejskimi politykami oraz jego doświadczenie.

– **Trochę „pogdybaliśmy”, natomiast już całkiem na poważnie chcę ci podziękować za książkę odkrywającą i popularyzującą Wojciecha Korfante go. Oby „trafiła pod strzechy”.**

– Cieszyłbym się, gdyby, zwłaszcza u nas, podobnych książek powstało więcej. Gdyby zostały wokół Korfante go podjęte podobne prace jak wcześniej wokół Piłsudskiego. Gdyby wydano jego dzieła zbiorowe, wspomnienia tych, którzy go znali oraz prace mu poświęcone, nawet różniące się w jego ocenie, pisane z różnej perspektywy politycznej, narodowościowej, ponieważ jedno nie ulega żadnej wątpliwości – był najwybitniejszą postacią ze Śląska w XX wieku.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Jak Jan Skutela trafił z Wehrmachtu do Polskiego Wojska



Jan Skutela

Ten niesamowity zwiadowca

JAN
COFAŁKA

W listopadzie minionego roku w czasie promocji książki „Ślązacy w Warszawie” w Klubie Księgarza przy Rynku Starego Miasta, znany aktor Olgierd Łukaszewicz prezentując fragment wprowadzenia do niej przeczytał m.in. takie zdanie: *W powstaniu warszawskim 1944 roku wzięło udział kilkudziesięciu powstańców śląskich, a w desancie wysłanym z pomocą walczącej Warszawie, na Przyczółku Czerniakowskim we wrześniu 1944 roku, zginęło w dramatycznych, ciągle niewyjaśnionych okolicznościach kilkudziesięciu Ślązaków.*

Podszedł wtedy do mnie emerytowany dziennikarz Marek Szymański z uwagą, że wymieniając miejsca upamiętnień Ślązaków w stolicy nie uwzględniłem Kwatery 3 Pomorskiej Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta na Cmentarzu Wojskowym d. Powązkowskim, twierdząc, że tam właśnie leży wielu żołnierzy, którzy wywodzili się ze Śląska, w tym także tych, którzy szturmowali Przyczółek Czerniakowski.

Rychło dowiedziałem się, że w 3 Dywizji Piechoty im. Romualda Traugutta (sformowanej już po wyjściu armii gen Andersa z ZSRR), która weszła do działań na froncie w dniu 15 lipca 1944 roku, aż 40 procent jej stanu osobowego stanowili żołnierze rodem ze Śląska. Byli to Ślązacy wcześniej przymusowo wcieleni do Wehrmachtu, z którego – w różny sposób – trafiali przeważnie do rosyjskich obozów jenieckich a potem do Polskiego Wojska.

Płk Janusz Przymanowski, autor książki *Cztery pancerni i pies* na podstawie której powstał – popularny do dziś – telewizyjny serial pod tym samym tytułem, napisał o tych żołnierzach:

– Nie było ludzi ciężiej doświadczonych przez los. Nie było twardziej stojących przy swej polskości. Nie było żołnierzy spokojniejszych pod ogniem i bardziej zawziętych w natarciu. Wiem o tym nie ze słyszenia, lecz własnych obserwacji [...] Gustlik Jeleń z załogi „Rudego” jest skromnym holdem literackim, złożonym żołnierzom polskim z najbardziej pogmatwanych dróg ku wolności, ku Polsce ludowej wiodących.

Przymanowski przypomina też losy Franciszka Klimy z Babic pod Raciborzem, który został aresztowany w pierwszym dniu wojny przez polski kontrwywiad i osadzony w Berezie Kartuskiej, zaś oswobodzony po wejściu do Polski we wrześniu 1939 roku Armii Czerwonej,

przedostaje się do Anglii, potem skacze na teren Polski jako cichociemny i walczy w Powstaniu Warszawskim. Wymienia Jana Smusza z Pszczyny i Rudolfa Przewdzina z Chorzowa, z którymi przeprował się na Przyczółek Czerniakowski, zaś po wojnie odesłał rodzicom Smusza jego legitymację, żeby wiedzieli, iż zginął w polskim mundurze. Wreszcie wspomina Jana Skutelę z Łazisk, najślynniejszego zwiadowcę I Armii Wojska Polskiego, który do końca wojny wziął do niewoli 128 jeńców.

Zapłacony rachunek

Kolejne wieści o Janie Skuteli znajduję w książce Ryszarda Hajduka *Pogmatwane drogi*, która jest rzeczywistym i do tego pierwszym przewodnikiem po jakże pogmatwanych drogach Ślązaków w czasie II wojny światowej. Hajduk opowiada jak to osiemnastoletni Jan Skutela, synek z Łazisk Śląskich, w listopadzie 1939 roku, na własną rękę kontynuował „wojnę” z Niemcami wybijając w Mikołowie, półceglówkami, okna hitlerowskim funkcjonariuszem partyjnym. Aż go któregoś dnia przydybali, sfukli niemiłosiernie, a potem wywieźli na roboty przymusowe do Niemiec.

Hajduk pomylił się, bowiem Jan Skutela urodzony w 1924 roku, w 1939 roku miał zaledwie piętnaście lat i gdy wybuchła wojna, uciekł z domu, aby zaciągnąć się do wojska. Nie chciano go jednak przyjąć, więc wrócił do domu. Wtedy rozpoczął na własną rękę „wojnę” z Hitlerem w rezultacie której, już w październiku 1939 roku wywieziono go na roboty do Niemiec, do „bauera”, który miał 80 krów, 18 koni i jego jednego do roboty. Na dodatek pod byle pozorem bił go i kopał, popędzając do pracy. W pewnym momencie Skutela nie wytrzymał i po kolejnych kopniakach, chwycił za widły i zamierzył się na swego prześladowcę. Wieczorem przyjechali gestapowcy. Zaczęło się przesłuchanie, że niby chciał zabić „bauera”. Po każdym pytaniu walili go kolbą, a kiedy upadł na ziemię, dołożyli mu dodatkowo kilkanaście kopnięć podkutymi gestapowskimi buciorami. Długo leżał na podwórzu zanim półprzytomnego zabrali go do szpitala w którym przebywał dwa i pół miesiąca, po czym jeszcze chorego zapędzono go do dalszej roboty.

Tam też Skutela, przez wszystkie miesiące niewolniczej harówki, przysięgał sobie, że jeszcze przydybie tych „pierońskich ciuli” i odkuje im

się za wszystko, choć następny gospodarz do którego trafił ze szpitala okazał się bardziej ludzki, a nawet mu współczuł. Miał też wzgląd na jego chorobę pozwalając od czasu do czasu odpocząć, bo był tak wyczerpany, że nawet lekka praca stała się dla niego męczarnią.

Skutela postanowił uciec do domu, jednak w Hamburgu podczas kontroli dokumentów wpadł w ręce żandarmerii. Nie bili go nawet za mocno, ale bili, a potem odesłali do gospodarza od którego uciekł. Ten okazał się rzeczywiście wyrozumiałym człowiekiem, bo nie tylko nie mścił się na nim, ale jeszcze postarał się w Arbeitsamcie, by go zwolniono z robót. Tym sposobem Janek Skutela wrócił do domu. Ale gdy tylko skończył w 1942 roku osiemnaście lat, jak tyśiące jego rówieśników na Śląsku został powołany do Wehrmachtu i po krótkim przeszkoleniu w okolicach Metz wysłano na wschodni front. W jego kompanii było dziesięciu Ślązaków.

Początkowo przydzielili go do kuchni do szorowania garnków i obierania ziemniaków. Po pewnym czasie skierowano na przedni skraj obrony. Wtedy uznał, że wreszcie nadeszła chwila wystawienia hitlerowcom rachunku za swoje krzywdy. Opracował plan tego co chciał zrobić i czekał na sposobny moment. Pierwotnie miał uciekać z kolegą, lecz ten się wycofał.

Postanawia jednak z pustymi rękami nie pokazywać się Rosjanom. Wreszcie kiedyś gdy stał na warcie przy cekaemie, przyczaił się i poczekał aż lejtant ze swoim zastępcą nadejdą sprawdzić przednie posterunki. Wtedy wpakował oficerowi pod że-

bra parabellum i zduszonym szeptem rozkazał:

– *Ręce do góry! I cisza, bo będę strzelał!*

Choć Skutela słabo mówił po niemiecku, jego postawa nie pozostawiała żadnych złudzeń. Hitlerowcy posłusznie podnieśli ręce do góry. Wtedy wydał następną komendę:

– *Marsz! Marsz! Przekłete dupki!*

Przestraszony takim obrotem spraw lejtant zapytał:

– *Dokąd?*

– *Zaraz bydziesz wiedział pieronie dokąd. Naprzód! Naprzód! Szybko! Szybko!* – nakazał Skutela i kiedy wygramolili się z rowów, pognął ich w śnieżnej zamięci, stale popędzając, przez zamarznięty Don. Kiedy resztkami sił doszli na drugi brzeg, pod lasem otoczyło ich kilka ludzkich postaci, byli to rosyjscy żołnierze. Skutela powiedział, że jest Polakiem, że uciekł od hitlerowców i dwóch wziął do niewoli. Oddał zdobyte niemieckie pistolety. Powiedział również, że chciałby wstąpić do wojska. Jeńców zabrali żołnierze, jego zaproszono do ciepłej ziemianki, gdzie musiał wszystko po kolei o sobie opowiedzieć.

– *Ot, młodziec!* – zawyrokował rosyjski oficer.

W tym miejscu zarówno w relacji Ryszarda Hajduka, jak i w książeczce *Jan Skutela* wydanej w Bibliotece Żołnierza w 1950 roku, pojawia się dziwna, prawie dwuletnia, przerwa. Nie wypadało jeszcze wtedy pisać prawdy, i tylko prawdy, o losach takich Ślązaków jak Skutela i jemu podobnych. Co więc działo się z Janem Skutelą przez dwa lata zanim się pojawi w Siedlcach nad Oką gdzie mu 10 lutego 1944 roku wręczą no-



Z żoną Henryką, 1946 r.

wy pistolet maszynowy, który będzie odtąd jego najwierniejszym przyjacielem? Co się z nim działo do czasu kiedy 2 kwietnia 1944 roku już jako polski żołnierz w kompanii fizylierów 9 pułku 3 Dywizji 1 Armii, wyruszy transportami kolejowymi w kierunku Równego do rejonu koncentracji tej armii, by nocą z dziewiątego na dziesiątego sierpnia, złuzować rosyjską piechotę na linii Pilicy? Najlepszy zwiadowca Ryszard Hajduk napisze o Skuteli, że jego specjalnością jako zwiadowcy stały się wypadki po „języka”, to znaczy po niemieckich żołnierzach, najlepiej oficerów, od których można było wydobyć wiele informacji potrzebnych do rozpoznania sił i lokalizacji nieprzyjaciela. Na zwiadowcę zgłosił się na ochotnika, gdy stali nad Pilicą. Według znanego pisarza płk. Zbigniewa Załuskiego Jan Skutela był *najlepszym zwiadowcą w dywizji, a kto wie, może i w armii, człowiekiem niezwykle opanowanym, odwagi i szczęścia. Był to – jak dodaje Hajduk – śląski pieron z Łazisk, któremu wszystko się udawało.*

Jego czyny przeszły do historii ludowego Wojska Polskiego. Brał udział w 28 wyprawach zwiadowczych. Wielokrotnie chlubnie wymieniany w rozkazach bojowych, opisywany w gazetach frontowych i odznaczany. Jego portret, jako jednego z najbardziej zasłużonych bohaterów walczących o wyzwolenie Polski spod jarzma hitlerowskiego, wisiał na honorowej tablicy w Radzie Państwa.

Głośną stała się jego wyprawa przez Pilicę. Wdarłszy się do okopów nieprzyjaciela, wszedł do ziemianki i wziął na plecy niemieckiego kapitana SS Chabichta. W pogoń za nim i jego ludźmi rzuciła się niemiecka kom-

pania rezerwowa. Skutelę otoczyło pięciu Niemców.

– *Ręce do góry* – krzyknęli. Skutelę zelektryzowało.

– *Zginiemy wszyscy razem* – odkrzyknął i rzucił przed siebie zabezpieczony granat. Przerażeni Niemcy padli na ziemię i w tym momencie poszła po nich seria ze Skutelowej pepesy.

Nie mniej uznania przyniosła mu jego wprawa przez zamarznąłą Wisłę w noc sylwestrową z roku czterdziestego czwartego na piąty. O tej wyprawie opowiedział już osobiście Ryszardowi Hajdukowi podczas rozmowy w Hotelu Saskim w Warszawie:

– Dywizja nasza – opowiadał Skutela – stała na Pradze, po drugiej stronie rzeki Niemcy. Był już wieczór, kiedy dostałem rozkaz pójścia na zwiad i zaciągnięcia „języka”. Zebrałem grupę złożoną z 35 chłopców i rozpocząłem przygotowania. Wisła była przy jednym i drugim brzegu zamarznąta, ale na środku rzeki ciągnęła się szeroka nie zamarznęta rynna tak, że o przeprawie po lodzie mowy być nie mogło. Zaopatrzyliśmy się więc w łódzie i drabiny. O godzinie 22 rozpoczynamy przeprawę. Zachowywaliśmy się cichutko, aby jak najbardziej zaskoczyć nieprzyjaciela. Przepłynęliśmy nie zamarznąłą część rzeki, a potem po lodzie przeszliśmy na drugi brzeg. Ping! ping! Ping! – zaczęły świstać kule. Dopiero teraz zauważył nas nieprzyjaciel. Wszczął się nieopisany rwetes. Niemcy strzelali jak szaleni. My w nich granatami. Rozpoczęło się istne piekło, bo artyleria niemiecka zaczęła gęsto prażyć. Rozdzieliłem moją grupę na dwie części, jedną drużynę rzuciłem w lewo, drugą w prawo, zbliżając się ku Cytadeli. Cholera, prażyli jak szatany,

a my w nich z pepesz i granatami i granatami!... Żeby pierony były – *język* musi być! Dopadamy wreszcie ziemianki. Wdzieramy się do wnętrza i nakrywamy osiemnastu szkopów, w tym trzech esesmanów. Dwóch z nich, którzy bronili się jak opętani, kończymy, jednego bierzemy z sobą. Był najwyższy czas! Ich artyleria już nas wymacała, chciała nam odciąć odwrót. Ale i nasza artyleria nie spała, zasypywała pozycje niemieckie huraganowym ogniem. Pod osłoną naszego ognia artyleryjskiego wycofujemy się szczęśliwi do łodzi, jeszcze parę minut strachu, bo nie znoszę wody, i jesteśmy wśród swoich. Możemy sobie pogratulować. Upiekło się. Jesteśmy cali, a i *język* jest. Obsypują nas życzeniami, poklepują, ściskają. A Niemcy strzelają! strzelają. Zrobiliśmy im niewąskie piekielko. Mieli pierony Sylwestra!...

Podkomendni Skuteli święcie w niego wierzyli. Był urodzonym zwiadowcą. Po jednej z kontuzji chciano odprawić go do szpitala.

– Co? Teraz, jak wojna się kończy, ja mam iść na tyły? Za nic w świecie! – zaprotestował. Co było robić, dowódca pułku kazał położyć na wóz trzy pierzyny i wozić go za oddziałem. Oplacało się, bo w czasie zażartych walk o Kołobrzeg Niemcy ufortyfikowali Gazownię Miejską i od czterech dni oddziały tkwiły w miejscu. Nie praktykuje się rzucania zwiadu do zwykłego boju. Ale w tej trudnej sytuacji, wobec nieudanych prób przełamania niemieckiego oporu, wzywano Skutelę.

– *Dacie radę?*

– *Zrobi się.*

Pod osłoną nocy Skutela ze swymi ludźmi wśliznął się do wnętrza gazowni. Rozpoczął strzelaninę. Wywołało to niesamowity zamęt wśród Niemców. Resztę zadania dokonczyli współtowarzysze.

Czyny Jana Skuteli, zostały – jak wspominałem – uwiecznione w specjalnie wydanej w 1950 książeczce wydrukowanej dużymi czcionkami, bo wielu ludzi wówczas dopiero się uczyło czytać, w Bibliotece Żołnierza, w nakładzie 15 tys. egzemplarzy, zatytułowanej po prostu „Jan Skutela”. Napisano gdzieś także, że po wojnie Skutela zamieszkał na Pradze w Warszawie, bo ożenił z piękną warszawianką.

Skutela warszawiakiem

Dowiedziawszy się tego wszystkiego o czym napisałem powyżej, w styczniu 2009 roku i zacząłem po-



Jan Skutela (siedzi trzeci z lewej) z przyjaciółmi z wojska i swoimi zwiadowcami.

szukiwać „śladów” Skuteli w stolicy. W książce telefonicznej miasta Warszawy znalazłem dwa numery telefoniczne przypisane do tego nazwiska. Pierwszy ciągle milczał, dzwonię na drugi przypisany do Anny Skutela. Okazuje się, że to szwagierka Jana Skuteli. Od niej dowiaduję się, że po wojnie, ściągając jeszcze do Warszawy z rodzinnych Łazisk dwóch swoich braci, i właśnie za jednego z nich, nieżyjącego już Franciszka, który był spawaczem, wyszła ona za mąż. Niestety zginął tragicznie mając 32 lata. Drugi brat, Teofil, elektryk (ożenił się z młodszą siostrą żony Jana Skuteli, Zofią) zmarł w 2003 roku.

Dowiaduję się również, że Jan Skutela zmarł w 1990 roku i leży pochowany wraz z żoną Henryką (zmarłą w 2007 roku), na Cmentarzu Bródnowskim na Pradze. Pani Anna informuje mnie również, że w Warszawie mieszkają, z rodzinami, dwaj synowie Jana Skuteli i do jednego z nich Tomasz podaje mi telefon.

Dziura w życiorysie

3 czerwca 2009 roku, na Ochocie w Warszawie, siedzimy w firmie prowadzonej przez Tomasza, najmłodszego syna Jana Skuteli i jego syna Daniela. Chcę poznać dalsze pofrontowe losy jego bohaterskiego ojca. Tomasz – postawny mężczyzna z wysokimi zakolami na czole okazuje się bardzo podobny do ojca.

Potwierdza, że posiada wydaną w 1950 roku niewielką książeczkę o ojcu i jego bohaterskich czynach, którą dla mnie kseruje. Ale oprócz tego co w niej napisano – powiada – było jeszcze życie, niezupełnie tak barwne jak je przedstawiono w propagandowym opowiadaniu nieznanego nawet autora, w tamtych stalinowskich przecież czasach.

Jest prawdą, że Jan Skutela wywodził się z biednej śląskiej rodziny. W domu było ich ośmioro, a jego ojciec nie zawsze miał pracę w kopalni. Często więc musiał zarabiać, choćby na suchy chleb, na bieda-szybie, gdzie było i ciężko i niebezpiecznie. W każdej chwili można było być przysypanym ziemią lub wpaść w łapy policjantów polujących na takich biedaków jak on.

Pytany o wyjaśnienie dwuletniej dziury w życiorysie ojca pomiędzy osiemnastym a dwudziestym rokiem jego życia, syn powie mi, że ojciec mówił o tym bardzo niechętnie. Po latach, kiedy wypił kilka kieliszków, czasem coś mu się wymykało. Skutela podobnie jak wielu innych Ślązaków

o „tamtych sprawach” wołał milczeć także po wojnie. Być może więc Ryszardowi Hajdukowi nie odpowiedział na powyżej postawione pytania, skupiając się jedynie na jaśniejszych kartach swych wojennych losów. Tym bardziej że długo mu odmawiał rozmowy, dopiero gdy dowiedział się, że jest on bliskim znajomym pułkownika, potem generała Jerzego Ziętka, który był jego ulubionym zwierzchnikiem w Polskim Wojsku zgodził się na rozmowę. Chyba jednak Hajduk musiał wiedzieć o losie Skuteli pomiędzy 1942 a 1944 rokiem, bo w rozmowie odbytej w Hotelu Saskim w Warszawie uczestniczył także Ryszard Czechtota, podobnie jak Skutela powojenny warszawiak, zapalony gitarzysta-artysta, synek z opolskiego Koźła, jeden z tych, którzy uciekli z Wehrmachtem do Rosjan, dziś kapitan rezerwy Wojska Polskiego, odznaczony Orderem Virtuti Militarii V klasy i Krzyżem Walecznych za wybitne zasługi bojowe wykazane w walkach z hitlerowskim okupantem, który przeżył to samo co Skutela. Najpierw radość z udanej ucieczki z Wehrmachtem, potem gehennę Syberii, a dopiero potem Polskie Wojsko.

Prawdą jest bowiem, że Skutela został „nagrodzony” za opisaną powyżej ucieczkę z Wehrmachtem, z dostarczeniem dwóch jeńców, „wczasami” w jednym z licznych łagrów na Syberii. Pobyt na Syberii mógł się skończyć dla niego tragicznie, bo zachorował bardzo ciężko na szkorbut i było z nim krucho. Uratował go wspomniany powyżej Ryszard Czechtota, który był tam sanitariuszem. On zajął się rodakiem ze Śląska. Jakimś sposobem zdobywał lekarstwa i pozwolił wyciągać go z choroby na tyle, aby go uczynić także sanitariuszem. Ich praca polegała na opiece nad chorymi ludźmi, których nie było ani jak, ani czym leczyć. Najtragiczniej było i najbardziej makabrycznym było gdy kazano im wynosić tak zwane „żywe trupy”, działało się to wówczas gdy łagier wizytował rosyjski felczer i kwalifikował tych „do dołu”. Nie zawsze zakwalifikowani byli martwi, często tylko beznadziejnie już chorymi ludźmi, których nie ratowano. Po prostu kazano takich wynosić do rowu i te „żywe trupy” zasypywać na równi z nieżyjącymi.

Po prawie dwóch latach pobytu na Syberii także tu dotarła wiadomość o werbowaniu, takich jak oni, do Wojska Polskiego. Jan Skutela miał wówczas dwadzieścia lat i w ogóle się nie zastanawiał; była to dla niego i jemu

podobnych szansa wyrwania się stąd i powrotu do domu. Dlatego też po powrocie z wojny zachował otrzymane liczne polskie odznaczenia bojowe otrzymane za wybitne zasługi na polu walki, przyznane mu w trakcie działań wojennych, takie jak: Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militarii (1945), Krzyż Walecznych (1945), Krzyż Grunwaldu (1945), Srebrny Medal „Zasłużony na Polu Chwały” (1944), Medal za Berlin (1945) i liczne inne za odwagę. Natomiast medale otrzymane od Rosjan – jak mi powie syn Tomasz – ojciec na wspomnienie tego co przeżył Syberii, wyrzucił. Potem nie zabiegał i nie przyjmował żadnych medali jakie, często i gęsto, rozdawało już po wojnie.

Walka o pannę Henrykę

Zonę Henrykę (Henię) piękną, ciemnooką warszawiankę poznał kiedy jego dywizja stacjonowała po praskiej stronie Wisły, gdy po drugiej stronie rzeki trwało powstanie warszawskie. Był postawnym i przystojnym mężczyzną opromienionym bohaterskimi czynami, więc trudno się dziwić iż zawrócił w głowie osiemnastoletniej pannie, mimo że kręcił się już koło niej pewien praski młodzian. Skutela rozkochał dziewczynę i poszedł dalej wojować przyrzekając rychły powrót po wojnie. Wrócił, aby ją do końca do siebie przekonać, ale – tak jak wielu innych Ślązaków, Kaszubów i Pomorzan z jego dywizji – wysłano go na prawie rok na południowy wschód Polski, gdzie ukraińskie bandy UPA mordowały Polaków.

Konkurent Skuteli do ręki panny Heni, nie spał i groził mu nawet, że jeśli nie odczepi od panny, to go zastrzeli, o co w tym wojennym jeszcze czasie nie było trudno. Skutela postanowił się z nim rozmówić. Poszukał konkurenta, oświadczył mu, że od Heni się nie odczepi, a jeśli chce go zastrzelić, to może to uczynić choćby zaraz, i dał zdumionemu konkurentowi pistolet, mówiąc:

– *No to strzelaj!...* Tamten zaczął coś dukać, ale jakoś nie potrafił zrealizować zapowiedzianej groźby.

– *To może chcesz się po gębie połać?* Tamten spojrzał na ogromne jak bochny chleba pięści Skuteli i – jak to się mówi – zwinął się. Odtąd też przestał się płać przy pannie Henryce, która w 1946 roku stała się żoną Skuteli.

Zamieszkali na Konopackiej w przedwojennym budynku na Pradze



Jan Skutela (z pieskiem) z przyjacielem z wojska.

Północ. Tam mieszkali do 1957 roku, potem przeprowadzili się na ul. Skoczylasa. Było ich już pięcioro: ojciec z matką i trzech synów przychodzących na świat co cztery lata: Marek urodził się w 1947 roku (w latach 80. wobec niepewnej sytuacji w Polsce a nawet groźby sowieckiej inwazji wojskowej wyjechał do Australii i tam żyje, ma trójkę dzieci), Waldemar ur. w 1951 roku (prowadzi własny biznes i ma 2 córki) i najmłodszy Tomasz, z którym rozmawiam, ur. w 1955 r. (także prowadzi interesy, ma syna i córkę).

Prywaciarz

Młody porucznik Skutela odrzucił proponowany mu po wojnie wyjazd do Akademii Wojskowej im. Frunzego w Moskwie, z możliwością zrobienia, po jej ukończeniu, kariery w wojsku. Nie chciał mieć nic wspólnego z krajem i systemem kojarzącym mu się z Sybirem i okrucieństwami jakie tam poznał. Na własną prośbę odszedł z wojska i zajął się niezależną działalnością handlową, czyli – jak to wówczas mówiono – stał się prywaciarzem.

Prywaciarzami nazywano w czasach PRL ludzi, którzy według dzisiejszego słownictwa, brali sprawy w swoje ręce i sami dawali sobie radę, nie licząc na łaskę państwa. Był – jak twierdzi jego syn – człowiekiem zaradnym i zarazem nieporadnym w interesach, umiał zarobić, ale uwielał też wydawać. Było wielu, którzy żyli na jego rachunek. Z wiekiem połapał się, że trzeba przyjemności oddzielić od interesu i wtedy zaczęło się rodzinie powodzić. Najpierw – wspomina Tomasz Skutela – ojciec,

który potrafił różne rzeczy załatwić, zdobył gdzieś z wojskowego demobilu dwie taksówki, którymi jeździł jego brat i kuzyn matki. Potem pokręcił się i otrzymał koncesję na lokal. Była to restauracja „Anita” przy placu Trzech Krzyży w Warszawie. Do restauracji tej, ilekroć przyjeżdżał do Warszawy, wpadał na befsztyki z koniny, ówczesny wojewoda śląsko-dąbrowski płk Jerzy Ziętek, zwierzchnik ojca w wojsku, którego bardzo szanował.

Z Jerzym Ziętkiem wiąże się pewna dziwna historia jaka przydarzyła się Skuteli chyba w 1968 roku. Kiedy przebywał z kolegą w restauracji, podszedł do nich znajomy milicjant, który był po cywilnemu. Ojciec zaprosił go i postawił mu kielicha, a ten zaczął mu ubliżać i drwić z niego, coś w tym stylu, że niby taki bohater i co teraz z tego ma. Wyraźnie chciał sprowokować ojca, aż się doigrał. W końcu ojciec wstał i mu przyłożył. Wtedy okazało się, że ów milicjant w cywilu, pijący z nimi wódkę, podobno był na służbie i za znieważenie władzy Jan Skutela dostał, w trybie doraźnym, 3 lata więzienia.

Poszedł siedzieć licząc, że jego odwołania i podania z wyjaśnieniami w końcu zadziałają i wyjdzie na wolność. Żona zaś namawiała go od początku, aby zadzwonił do Jerzego Ziętka, czemu on się stanowczo sprzeciwiał. Po trzech miesiącach odsiadki męża, sama wybrała się do Katowic i została przyjęta przez Jerzego Ziętka, który zdumiał się tym co spotkało Janka i obiecał pomóc. Żona, po tej wizycie, zanocewała u rodziny męża w Łaziskach, a kiedy następnego dnia wróciła do domu... za-

stała już w nim męża, który dobrodusznie oświadczył:

– *Widzisz, mówiłem, że mnie wypuszczą.*

Powróćmy jednak do „Anity”. Ojciec nie miał pieniędzy na uruchomienie restauracji wziął więc współnika, ale nie umiał prowadzić interesów, był chyba na to trochę za młody miał za ledwie dwadzieścia dwa lata. Sytuacja rozwinęła się następująco: była restauracja, do tego stale pełna, a matka pieniędzy z niej na utrzymanie domu prawie nie widziała. Wtedy wkroczył dziadek – ojciec mamy, który poszedł rozmówić się ze współnikiem i w konsekwencji odkupił od niego udziały. Wtedy też pojawiły się pieniądze. Jak ludowa władza upaństwowiła handel i gastronomię ojciec został kierownikiem słynnej warszawskiej restauracji „Kameralna” przy ul. Foksal. Później wymyślił sobie, jako interes, cegielnię w Skrzyszewicach, w której inni robili pieniądze, ale nie on. Wtedy weszła w akcję żona. Upatrzyła sobie miejsce na bazarze Różyckiego na handel odzieżą używaną. Pod tą nazwą handlowało się wówczas nowymi ciuchami. Ojciec pomógł jej to miejsce załatwić. Nie miała jednak pieniędzy na rozkręcenie interesu, musiała wziąć współnika. Gdy interes zaczął przynosić pieniądze ojciec sprzedał cegielnię, i już oboje zajęli się handlem.

Kiedy po 1980 roku zaczął się podupadać bazar Różyckiego, synowie byli już na swoim, a matka ze swoją siostrą Zofią, jakoś się jeszcze z handlu utrzymywały. Ojciec już wtedy zaczął chorować. Odezwały się skutki wojennych ran oraz beztrioska o zdrowie w młodym wieku, kiedy to lubił nieco pobalować. Najpierw miał jeden wylew, potem drugi, z trzeciego już nie wyszedł. Zmarł mając 66 lat.

Tęsknił za Śląskiem

Jan Skutela żył w Warszawie, ale tęsknił do tego swojego Śląska – mówi jego syn. Kiedy tylko zbliżały się święta: Wielkanocne czy Bożego Narodzenia, robił stosowne zapasy jedzenia i napojów, brał rodzinę i ruszali wszyscy do Łazisk Górnych. Jak żyli dziadkowie to do nich, a potem już tylko do jego braci i sióstr. Ojciec mówił: Warszawa jest na co dzień, na święta musi być Śląsk, z jego tradycjami, rodzinnym klimatem, potrawami, pięknym śpiewaniem w kościele i gwarą śląską, której nigdy nie zapomniał.

To był projekt słowacki, nie polski, stąd też pytanie: po co powstał film „Janosik. Prawdziwa historia”? – jakkolwiek narzucające się i trudne do odparcia, nie jest szczególnie istotne. Mamy swojego „Janosika”, serial i sklejony z fragmentów serialu film fabularny, jedno i drugie kiepskie, ale pamiętane przez czterdziestolatków, bo to były filmy ich dzieciństwa.

Dlatego rozumiem tych moich rodaków, którzy nie życzą sobie, aby ktokolwiek zakłócał im raz na zawsze zapamiętaną wizję postaci Janosika. Dla nich jest to nasz człowiek z gór, żaden tam Słowak, Polak z krwi i kości, czyli Marek Perepeczko, wytrwały bywalec warszawskich – skromnych pewnie, ale jakoś tam funkcjonujących salek typu „body building”.

Producent Słowak (zbankrutował, gdy nakręconych było zaledwie 40% zdjęć) szukał reżysera dla scenariusza napisanego przez młodą absolwentkę bratysławskiej szkoły filmowej, Evę Borusivicową, i wybór jego padł na Agnieszkę Holland, absolwentkę praskiej FAMU, znającej doskonale język czeski, która zaprosiła do współpracy córkę, Kasię Adamik – z ojca Słowaka (reżyser Laco Adamik). A więc wybór producenta był przemyślany! I trafny! Ale – tak naprawdę – kim dla nas jest ów Juraj Janosik z Terchovej? Bohaterem pięknego wiersza K. Przerwy-Tetmajera „Jak Janosik tańczył z cesarzową” i „zaangażowanego” poematu St. R. Dobrowolskiego.

Co innego Słowacy! To jest ich bohater narodowy, z tej prostej przyczyny, że innego nie mają. Przez trzy stulecia urosł im ten juhas, który wybrał karierę zbójnicką, a tak naprawdę karierę rabusia, innymi słowy złodzieja w dobrej kompanii, do wymiarów zaiste homeryckich. I tu raptem szok, bo ekranowy Janosik, bohater prawdziwej historii, który ma oblicze i posturę młodego aktora czeskiego (coż za despekt dla Słowaków!) Václava Jiracka, wzrostu raczej średniego” 175 cm., owszem, zgrabnego, lecz raczej żyłastego niż pięknie zbudowanego. Ma jednak ten aktor w wyrazie twarzy coś bardzo filmowego: chłopięcość i równocześnie męską, dojrzałą gorycz. Marek Perepeczko miał potężną urodę (Jirackowi też nie sposób odmówić urody!), lecz przez cały serial obnosił jedną i tę samą, wielce naburmuszoną minę. Jakby cały czas miał przed oczami czekającą nań szubienicę z hakiem! Ten prawdziwy Janosik z Terchovej jest kimś, kim Janosik Perepeczki nie był, bo nie wymagał tego odeń ni scenarzysta, ni reżyser, a mianowicie: bohaterem problematycznym.

Pytanie tylko, czy taki był ów prawdziwy Juraj Janosik, czy takim chcą go widzieć scenarzystka i obie panie reżyserki? Pewnie to drugie, bo jakoś trudno mi uwierzyć, że ów dwudziestodwuletni pastuch, który liźnął czytania i pisanie w wojsku Rakocze, odczuwał ból istnienia. A Agnieszka Holland mó-



Janosik. Prawdziwa historia

wi w jednym z wywiadów, że jej Janosik jest „bohaterem egzystencjalnym”. Młody ów człowiek, który trochę wojował przeciwko Habsburgom, trochę, po przegranej Rakocze, pracował dla nich (jako strażnik w zamku w Bytch, gdzie poznał zbója, czytaj: rabusia, Uhorcezyka), po powrocie do Terchovej, gdzie ukochana, owszem, oddaje mu się z radością, po czym oznajmia, że wychodzi za mąż za bogatego, a gdy po kilku miesiącach Janosik spotyka ją na wiejskiej zabawie i z napięciem wpatruje się w jej powiększony brzuch, zaś z ust „ukochanej” słyszy: „Niech ci się nie zdaje, że twoje!”, cokolwiek zatem Agnieszka Holland rozumie przez określenie „bohater egzystencjalny”, można się zgodzić, że Jura Janosik jakoś nie mógł się zmieścić w społeczności górskiej wioski, nie wystarczała mu także kariera pastucha, podświadomie pragnął zmiany. Propozycja przyszła od Uhorcezyka, który postanowił się ustatkować i osiąść na wsi z żoną i dzieckiem, innymi słowy wybrał to, od czego Janosik chce uciec jak najdalej. Uhorcezyk oddaje mu przywództwo w zbójnickiej drużynie, a mówiąc wprost, w szajce rabusiów.

Od tego momentu zaczyna się legenda Janosika, harnasia, którego – jak tłumaczy mu matka – nie urodziła ona, lecz olbrzymy. Podejrzewam, że ten aspekt legendy był konieczny, aby usprawiedliwić drobną w rzeczywistości posturę Janosika w wykonaniu Václava Jiracka. Ta sprawa nie dawała spokoju twórcom filmu, ponieważ córka

POZA KADREM

Pastora, Barbara (Sarah Zoe Canner), okazała dziewczyną, że już się bała, iż nie znajdzie kawalera, bo dla tutejszych – żyłastych i niskich, takich bowiem rodu góry – jest za wysoka! Ten wzrost – możliwe, że rodzili się tam rzeczywiście żyłastci, niewielkiego wzrostu, a przecież zadziorni kawalerowie – nie jest kwestią drugorzędną w bandzie, bo przywódca musi na czymś budować swój autorytet. Janosik Perepeczki budował go

na swojej atletycznej posturze, jakby był jednym z Tytanów”. Janosik Jiracka nie dość, że nie góruje nad kompaniami, a właściwie wszyscy go przewyższają bodaj o pół głowy, to jeszcze żąda przestrzegania przykazania Bożego: nie zabijaj! Zaiste, trudno zbudować autorytet wśród oprychów, stawiając tak niezygłowe warunki! Stąd też całkowicie zrozumiały bunt Huncagi w wykonaniu, zresztą doskonałym, Michała Żebrowskiego. Jest śmieszny i okrutny, ale w scenach z żoną-wiedźmą Maja Ostaszowska i umierającym, wreszcie umartym dzieckiem zdobywa się na tak czyste, esencjonalne skupienie tragiizmu, że na kilka minut staje się centralną postacią filmu.

Janosik z Terchovej chce uprawiać rzemiosło zbójnickie, ale takie, w którym byłoby coś z godnością rycerskiej! Ale co to za rycerze, którzy napadają w lesie na karety i łupią bogatych, nie szczędząc im upokorzeń. W dodatku jakoś nie widać, aby rozdawali biednym to, co zabiorą bogatym. A to był głównie powód, dla którego komuniści w Polsce i w ówczesnej Czechosłowacji, akceptowali bez mrugnienia okiem scenariusze filmów o Janosiku. Oto bohater ludowy! Chodząca sprawiedliwość społeczna! Robił to, co po tzw. wyzwoleniu czyniła władza zwana ludową! Ten Janosik jest inny. Kradnie bogatym to, co ukradli innym, i tu by mu nawet Lenin przyklasnął („Grabi grabiennoje!”), tylko że on kradnie, aby żyć. Ubogo i chędogo, ale „na ślebo-dzie”! Śleboda, czyli wolność, wolność jednostki, nie klasy!, jest wartością, dla której Janosik z Terchovej gotów jest zaryzykować głowę. Wolność, choćby krótkotrwałą, lecz pełną i całkowitą, bez targów i układów, wolność, dla której warto żyć i która warta jest śmierci, nawet na szubienicznym haku.

W tym upartym, niemożliwym do odwołania podążaniu ku śmierci w młodym wieku, u progu męskości, z wiarą w wolność, jako wartość z niczym niezamienną, dostrzegły obie Panie Reżyserki szansę na film niebanalny wpisany w kino widowiskowe, z czystą nutą liryczną. Z postawionego sobie celu wywiązały się znakomicie.

FELIKS NETZ

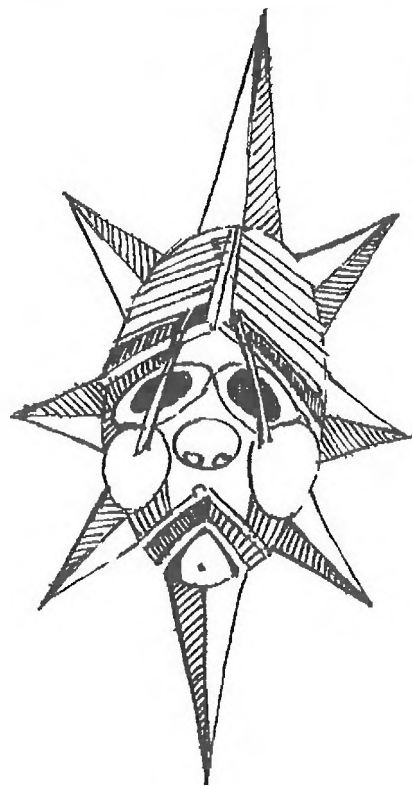
Odcięte

Skąpana w bieli szczelina poranka, migotliwa
 Uluda krzewiącego się w grudce jego soli szczęścia,
 Przynajmniej chwilowej powłoki, spod której się wygrzebuje,
 By zaraz o tym zapomnieć. Takie błędne kluczenie, a
 Jednak wszystko posiada w sobie tak proste wskazówki,
 Że można je łamać jak patyki i wyrzucać za siebie.
 Położenie okazuje się nadmiernie zbędne, ktoś chce ci
 Wręczyć swój najnowszy plan, bo wybiera się na drugi
 Kraniec kontynentu, i planując sobie skoczniejszy żywot,
 Zaprowadza teraz wokół siebie ostatnie porządki. Dokąd to,

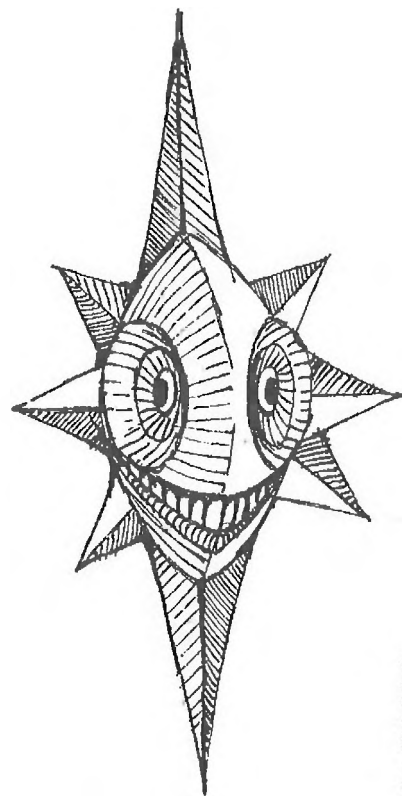
I skąd to bredzenie? Maligna tego stanu ma swoją cudownie
 Rozstrojoną klawiaturę, po której przebiegają zdrewniałe
 Dotyki coraz to gorętszej wiary w zmianę rejsu
 Nie mającego już swego kursu losu. I odcięta, i rzędna
 Niczego już nie przecinając, siatka jest rozpruta, a koniuszki
 Współrzędnych powiewają w kosmicznych dziurach, skąd wyje
 Jakiś otchłanny wiatr; a owe linie rwą się jakby wchodziły
 Komuś do ust, chciały je zaszpunktować i odwlec kolejne,
 Wyszeptane zaklęcia tego punktu, gdzie jesteśmy, nie
 Mieszcząc się między żadnymi styczynami, który nie jest wszak
 Punktem zwrotnym, oparcia czy wymiany. Aż w końcu

Okazuje się to realnym odwzorowaniem, rabunkowym
 Snem, gdzie dziewczyna w stroju kłowna wręcza ci
 Pileczkę, i nagle z sufitu spada na nią obręcz, przez którą
 Zaczyna coraz to szybciej skakać jak przez skakankę.
 Poszło się bowiem w miasto, w jego gęstą jak sierść krew,
 I nie wróciło, włokąc się dookoła wygiętej osi. Tam mi coś wyznasz,
 Stwierdziła, i znaleźliśmy się na brzegu bajorka. Zakrakala
 Wrona, z gałęzi zwisał sznur. Wszedłem i wyszedłem
 Z wilgotnej pakamery sklepu, koperta, jaką kupilem, trzymała
 Jeszcze mocno wilgoć, na schodach przed szarym,
 Zapadłym domkiem siedziała ćmiąca postać.

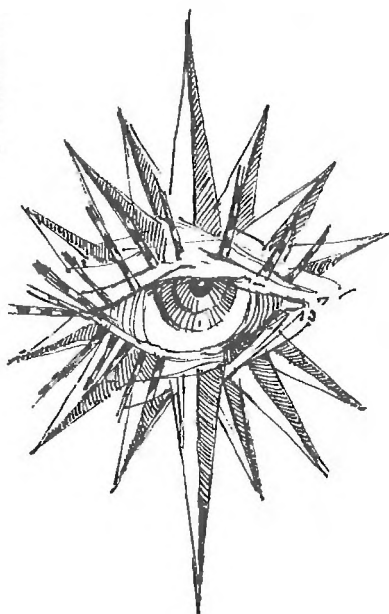
Potem zaszło niebo, choć niebo nie zna potem. Taki piorunowy
 Przebieg ma twoje uwięznięcie – kratery, przeręble, zakurzone
 Polne ścieżki, asfalty i chwasty, nękające cię upomnienia
 I zaświaty cudzych roszczeń. Szturchania i wypatrzenia.
 Nakluwana próżnia. Zaproponuj cieniowi transakcję, ureguluj
 Swą nicość za życia, ażeby chyżo już balansować nad czymś
 Widzimi się, i nie wykręcaj pękniętych żarówek. Pokój jeszcze się
 Tli niczym światłem, kalekim pasmem widzenia wobec niczego.
 Jestem wciąż na progu, nieregularnie podzielony, w kawałkach,
 Oczekując na przerwę bez wyraźnego sygnału, zagadkowo
 Oczywisty, przepalony jak wolfram i skrzący niczym rdzewiejący klucz
 Na dnie ściekowego kanału. Jesteś, a wtedy samo się zawiesza.



Rys. Wojtek Łuka



Rys. Wojtek Łuka



Wydzielenie

Coś musiało się kończyć w kulisach tego dnia,
Skoro zakończenie było wiadome już u zarania wielu
Miesięcy, tak płynnie spelzających z obręczy
Trzymających cię w lotce pośpiechu, gotowaniu się na wszystko,
Że nawet światło wypruwało swe ostatnie włókna z
Niemo wpatrzonych ust, ulatując w smutnym dymku pary, którą
Dały się pokryć wszystkie zamieszkałe w lustrze odbicia,
Więc nie miało chyba sensu to dalsze scalanie,
Ugniatanie w lepką śnieżkę tych śnieżynek. To bardziej

Przypomina czekanie na nadzieję nadziei, choć nadzieje nie
Materializują się dzięki czekaniu. Byłeś poszlaką dla tych,
Którym obiecano mannę, byłeś tego promieniem w tej
Przyziemnej zawierusze, gdzie bieguny każdego dowodu rozchodziły się
Poza widzialne krańce, z domniemanego zakresu wchodząc w kres
Zgadywanki o tym, co stanie się dalej, jeśli rzeczywiście dalej
Miało coś bić i skrzyć, potrzebując stale szerokiej czaszy
Czasu, która opadałaby jak nasiona dmuchawca, rojnie i gęsto.
Niepotrzebne są więc żadne równania.

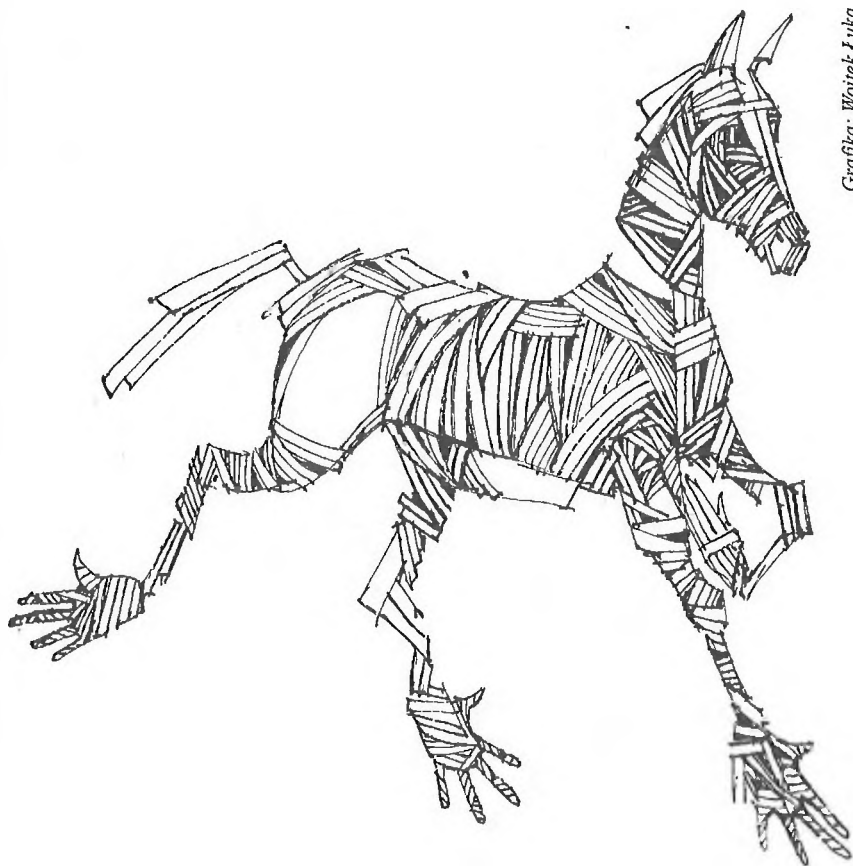
Nie mając gdzie się podziać, zatamowany, puszczasz ciągle, od
Momentu pierwszego zawahania, swoje oko, dajesz
Porozumiewawcze znaki każdemu, kto jeszcze cię zauważy, zawieszając
Się na cętkowanej linii sekund, żeby nie lechtała ci stóp
Owa jawna przepaść, którą dają ci te wszystkie ściany, schody,
Sufity, podłogi i dachy, bo na żadną otwartą przestrzeń
Nikt nie jest gotów, biegle zabiegając o swój skromny czyściec
Miejsca aż do ostatniego gwizdka żywota, w tak słonecznej
I obfitującej w niespodzianki jamie, jamie twego kolejnego
Dnia bez reszty i szansy na nowy wymiar odnowienia.
Bezcielesnego odzycia po raz wtóry. I te chwile są jeszcze

Tutaj? Mieszaniki cyjanku i potasu, o malinowym
Podniebieniu. Podcięte niczym odbity blask, zasuszone jak koralik
Wilczej jagody, owe jaskółki przygniecione zbyt szybkim manewrem
Odległej jeszcze burzy. Mieściłbyś się w tym perspektywicznym
Bagnie, ale nie masz czemu oddać się do przymiarki. Twoją
Miarą jest twój bezlik. Twoje cienie nie mają gdzie pierzchać,
Podają się więc za cudze, stłoczone w oddechu na końcu
Jego dyszla, i anonimowo zagradzają dostęp do wszystkiego,
Czego nie możesz odwlec i przeniknąć jak natury tej rachuby.
Kiedy znajdziemy się w twoim położeniu, będę cię pilnie
Nasłuchiwał, i z najdalszego zakątka szarych sfer w niebieskie
Się przeczołgiwał, by zalec w przydrożnym rowie mlecznej drogi,
Na początku głodu mając jedyne wyjście poza to
Płaskie przyciąganie, które i tak nie skupi żadnej uludy w
Najpospolitszą, kryształową kulę. Nic bowiem nie daje za wygraną,
Kapitanie, więc jeśli to miałeś w zanadrzu, spotkamy się w
Porzuceniu krytycznych mas, w bezdenności stopniowalnych zejść
Na bosc plaże każdego ze snów, prym wiodąc w obniżaniu
Poziomu jasności, gdyż tylko tak szmuglowane racje nie
Ocierają się o pewność, co staje się niewymienialną walutą,
Nie zachodzącą przyczyną dla następnych przeniesień w rosnącą
Szramę coraz prędszego wytracenia, przyciąganiem przyciągania,
Zbyciem bycia, ażeby odrzucenie nie zaznało w nas granicy.



Bronok

JÓZEF MUSIOŁ



Grafika: Wojtek Luka

Samochód postawił na placu na zapleczu Sądu. Miasto – mimo iż urosło do przeszło stu tysięcy mieszkańców, przez całe lata, sądu – tego jednego z symboli miejskości – nie miało. Przedtem było tylko uzdrowiskiem, a potem uznano, że jeszcze jedna inwestycja przemysłu węglowego jest ważniejsza od jakiegoś tam sądu.

Wiedział, że kiedyś musi dotrzeć do tamtego miejsca, o którego pamięć tym intensywniej zaczynała się upominać im starszy się stawał. Pragnął więc nie tylko przejechać główną ulicą, jak to dotąd czynił, ale zejść tam w dół, cofnąć się i zmierzyć z tamtymi przeżyciami, zejść w dzieciństwo i czasy odległe, jesteśmy przecież częścią tamtego, choć tego sobie nie uzmysławiamy. Często pędząc do przodu, nie bacząc na to co za nami, zdobywając to nowe, gubimy tamto, co też nasze. Naszą przeszłość, nasze radości, doznania wielkie i małe, klęski i zwycięstwa, nasze doświadczenia. No tak, ale jak sięgnąć po tamte, które często w głębokim ukryciu w nas tkwi, jak otworzyć śluzę pamięci, często ułomnej? Czy w ogóle można na niej polegać, przecież często jest zawodna, wszak tamten obraz uchwycony w określonej atmosferze, przy określonych możliwościach percepcyjnych, po latach mógł ulec zniekształceniu. Jak odtworzyć tamto, sprzed przeszło pół wieku, jak odczuć tamten zapach siana na łące, usłyszeć szum wody w Szotkówce? Jak wreszcie odtworzyć wydarzenia, niektóre wyraźne, inne zupełnie zamazane, a jeszcze inne wyostrome kontrastem minionych dziesiątek lat?

Cofnąć się i na obraz zapamiętany, albo wyobrażony, nakładać kliszę filmu wykonanego dzisiaj, czy odwrotnie? Szukał więc tej łąki, którą od strony południowej okalała niczym wstążka wijąca się rzeka Szotkówka,

a od północy zamykała czerń lasu wznoszącego się aż po Bożą Górę. Rzeka przechodziła przez zabudowania w których już z daleka można było dostrzec wielkie koło młyna i tartaku wodnego. Patrzył z lewego brzegu Szotkówki na zabudowania wtopione w dole, między rzeką i łąką. Widok ten przypominał pewne regiony Francji, krajobrazy opisywane w powieściach i ukazywane w filmach francuskich. Pamiętał jak w tamtym miejscu, wody rzeki się spiętrzały i siłą tego małego wodospadu uruchamiały ogromne koło, które z kolei napędzało piły tartaku, bądź żarna kół młyńskich. Szum spiętrzonej wody słychać było już w odległości kilku kilometrów.

Im bliżej był tamtego miejsca swego dzieciństwa, tym głębiej wtapiał się w tamten świat, świat rzeczywisty i urojony. Rzeka miejscami była głęboka, pozwalała z brzegu do niej skakać, dno miała piaszczyste. Zamknął oczy i widział przez wodę srebrne ziarna piasku. Najgłębiej było pod olchą. Wtedy jeszcze bał się w to miejsce skakać. To była chyba niedziela, bo Ludwik był ubrany w niedzielne ubranie – tak się wtedy mówiło na ubranie, którego się na co dzień nie nosiło. Ludwik był o ileś lat starszy. Wyelegantowany stał na brzegu. No „skakuj” – i wepchnął go do rzeki. Spadając złapał go za nogawkę. Obaj znaleźli się w głębokim odcinku rzeki, z tym iż Ludwik w niedzielnym „ancugu”, a on w krótkich galotkach. O mało co nie utopili się, bo nie bardzo umieli pływać. Porwał ich jednak prąd rzeki w miejsce gdzie jej głębokość nie przekraczała jednego do półtora metra. Szukał ścieżek prowadzących w tamto miejsce. Wdzierała się w pamięć wojna, okupacja, konfiskata gospodarstwa. Siedzieli na brzegu rzeki Szotkówki. On – siedmiolatek, bez ojca którego pognały wichry wojny i jego kuzyn – Rafał,

starszy o siedem lat – syn oficera, który wraz z wojskiem polskim znalazł się we Lwowie, a następnie w radzieckim obozie jenieckim dla polskich oficerów. Los ich ojców nie był znany. Siedzieli w milczeniu i patrzyli w rzekę wypatrząc pojawiających się tam ryb. Rafał wyciąga agraftę, taką zwykłą nazywaną na Śląsku zicherką. Zaczyna ją wyginać i nadawać kształt haczyka, potem wyciąga w kieszeni jakąś linkę, na którą zawiesza tak skonstruowany haczyk. Z gałęzi wycina patyk, na który zawiesza sznurek i rzuca do rzeki. Zawieszona na sznurku agrafta błysnęła w słońcu. Niby łowią, a każdy myśli gdzie są ich ojcowie, czy ich jeszcze zobaczą. Rafał był starszy i nadawał ton, w tym co robili, w tym wypatrywaniu co dzieje się ze sznurkiem wędki w wodzie i również w tym dziwnym milczeniu dzieci wojny. Nagle Rafał się odzywa: jeżeli złapie się ryba, uciekam.

Gdzie?

Do Warszawy, w której przecież mieszkalem z ojcem.

Siedzą w bezruchu. Nagle wędką zaczęło szarpać. Rafał wstał, cofnął się w tył delikatnie podnosząc patyk. Wreszcie wyciągnął rybę na brzeg. Zaczęli wręcz krzyzczeć: on – będziemy piec rybę, wtedy o wszystko było trudno, a Rafał – uciekam do Warszawy. Delikatnie ściągał rybę z haczyka i wyginającą się zdobycz z powrotem wpuścił do rzeki.

Coś ty zrobił? – wyrzucił Rafałowi.

Ona też pragnie być wolna – odrzekł spokojnie. Wiedział jak walczyła o tę wolność gdy trzymałem ją w ręce?

Niedługo potem Rafał znikł. Nikt dokładnie nie wiedział gdzie jest, czy żyje. Ponura okupacja hitlerowska. Najpierw rozstrzelano Wadusia i to gdzieś aż w Dijon, potem Józka z sąsiedniej wsi, bo jako przymusowo wcielony do Wehrmachtu dokonał samookaleczenia, gestapo aresztowało siostrę i kuzynkę. A on raz służył jako pasterz w dużym gospodarstwie rolnym w Markłowicach, potem na Pochwaci, a jeszcze później w miejscowym probostwie. Wreszcie front. To dziwne, ale dokładnie pamięta, że wtedy na to nie tylko on czekał. Styczeń 1945 r. Główną ulicą od Pszczyny przez Bad Königsdorf, tak Niemcy przechrzcili Jastrzębie, do Wodzisławia – wówczas Loslau – sunął pieszy transport śmierci więźniów gnanych z Auschwitz. Ten kto nie mógł iść dalej, tego kula karabinu SS-mana zabijała. Kilku lub kilkunastu ludzi, z narażeniem życia uratowały śląskie rodziny. Ukryci w pokojach na strychu lub piwnicach czekali na wolność. Pamiętał, był to bowiem marzec 1945 roku, powiew wiosny. Wraz z matką i liczny rodzeństwem, polem uciekali w dół, w kierunku łąki. Tartak i dom stały opuszczone. Wszystkie drzwi były otwarte. Było pogodnie. Świeciło słońce, oświetlało wiszące na ścianach obrazy świętych. Niektóre obrazy z potrząskanymi szybami, podeptane leżały na ziemi. Uciekali jednak dalej. Uciekali dróżką na Bożą Górę. W okazałym budynku było już kilka rodzin, podobnie jak oni uciekinierów. Jeden duży pokój był jeszcze wolny. Matka jak kokoszka lokowała dzieci w każdy kąt pokoju. Noc. Wkracza grupa rosyjskich żołnierzy, ogorzałe twarze i to powtarzające się pytanie: Niemcy u was? Nie – wszyscy prawie jednogłośnie odpowiedzieli. Starsze siostry schowały się wcześniej pod ławami i łóżkiem. Wyszli. Za chwilę krzyk i wołanie o pomoc. Tak, pamięta, wyszedł na korytarz i spojrzał w toń nocy. Grupa żołnierzy wlokła młodą dziewczynę, co dopiero wyprowadzoną z domu. Wołanie o ratunek ścisza-

ło się w miarę oddalania się żołnierzy ze swoją ofiarą w kierunku lasu. Potem wołanie o pomoc ustało. Długo jeszcze wracało do niego to wołanie o pomoc, której nikt nie udzielił. On również. I o to miał wyrzuty sumienia, choć pomocy tej udzielić nie mógł. Rano pod drzwiami przywlokła się zmaltretowana dziewczyna. Była to około dwudziestoletnia, o nieprzeciętnej urodzie dziewczyna z pobliskiej miejscowości, która tak jak jego rodzina szukała w tym domu schronienia przed nawałnicą frontową. Ruscy szli jak burza nie licząc się ze stratami. Szok: karabiny na sznurku, pistolety maszynowe dziwne, takie z talerzami nazywane pepeszami. Najbardziej Niemcy bali się katiusz. Gdy wyrzucali pociski to grały świstem. Niemcy wtedy mówili na to stalinorgel – organy Stalina, albo Trommelfeuer. Do tej broni Ruscy nikogo nie dopuszczali. Front się zatrzymał. Plądrowanie, grabież i gwałty to codzienność. Wybite krowy, skradzione konie, ziemia zraniona stalowymi gąsienicami i lejami po artyleryjskim ostrzale. Wreszcie wiosna. Ci co przeżyli wracali do swych gniazd. Gospodarze chcą ziemię ożywiać, pobudzać ją do życia. Czym to jednak wykonać, kopaczką, widłami, łopatą? Nie było koni, bo albo je wybili, albo skradzione wywozili w głąb Rosji.

Linia frontu przesunęła się w głąb III Rzeszy. Rosyjscy żołnierze lubili dzieci. Raz już siedział nawet na ich czołgu i wspólnie z nimi krzyczał: Na Berlin! W ostatniej chwili ściągnęła go z czołgu starsza siostra. W opuszczone domy wracali ci co przeżyli więzienia i obozy. Jego ojciec, tuż za frontem, etapami wracał na swoje. Kilku gospodarzy zaczęło się zastanawiać, jak sprostać wiosennym pracom na roli. Nade wszystko brakowało siły pociągowej. Troska ta nasilała się też w całej jego rodzinie. Nie wiedzieć dlaczego pewnego poranka zagnało go nad Szotkówkę. Nagle cud się zdarzył. Z porannej jeszcze mgły, na łące wyłonił się, niczym we śnie, koń. Zaszokowany przysiadł na brzegu rzeki i zobaczył jak dostojnie kroczył, oglądając się, to w prawo, to w lewo, młody, choć już nie źrebak, średniej wielkości koń, maści brązowej, dobrze odżywiony. Konie o takim kolorze sierści w tych okolicach nazywano bronokami. Bronok był bez siodła i uprzęży. W pierwszej chwili nie mógł uwierzyć, że jest to realny koń, a nie zjawą, zjawą wymarzona. Tak marzyć mógł tylko ktoś, w którego życiu koń stanowił coś naturalnego, z kim się żyje na co dzień, który pomaga i na którym ciąży obowiązek, który wreszcie daje poczucie bezpieczeństwa. Wprawdzie gna się go do pracy ale i normalnie po ludzku lubi i szanuje, tym bardziej, gdy się go straciło. Konfiskata przez okupanta majątku rodziców, w tym kilka koni – ta tęsknota posiadania znów konia w gospodarstwie, zwiększała się w miarę trwania okupacji. I tu nagle – w mgle na łące, nagle ta tęsknota się spełniła. Koń kroczył dumnie wzdłuż rzeki w kierunku tartaku.

Urzeczony tym zjawiskiem jeszcze długo, jak zahipnotyzowany wiódł wzrokiem za oddalającym się konikiem. Takiego konia nikt tu przedtem nie miał. Takiego nie widział ani w folwarku skonfiskowanym przez Niemców, ani w transportach koni skonfiskowanych przez Rosjan gnanych na wschód. Dla konwojowania koni Rosjanie urządzali łapanki mężczyzn. Tylko niewielu spośród nich powróciło – już później, po porozumieniu Gomółki z Chruszczowem, w końcu 1956 r.

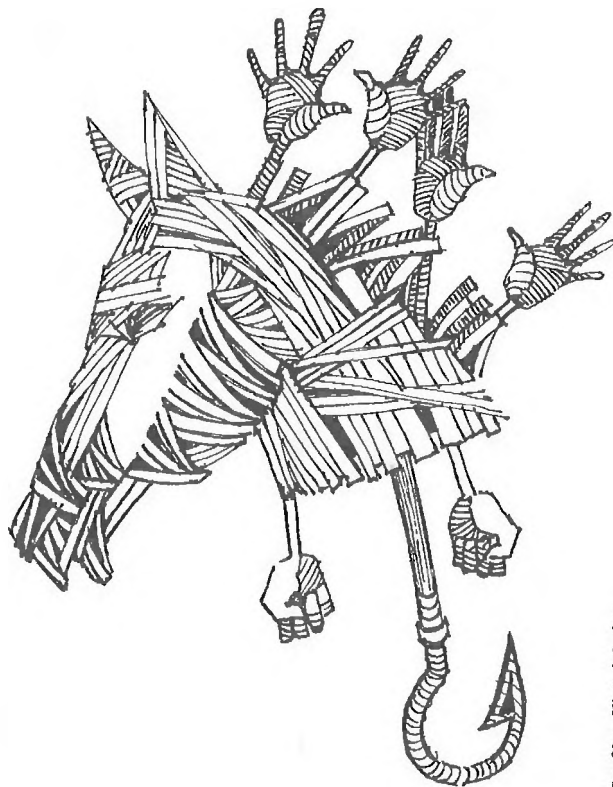
Uciekł z transportu, czy nie dał się złapać, bo zgodnie ze swą naturą pragnął pozostać wolnym? – pomyślał.

Pamiętał jak szedł od strony łąki w kierunku dawnego lasu, powszechnie nazywanego żurokiem. Łąka cała w kwieciu, niczym utkany z kwiatów dywan na Grand Plac w Brukseli. A teraz? Łąka przecięta wybrzuszonym nasypem kolejowym prowadzącym z kopalni. Tu codziennie pojawiał się i znikał, ale nie uciekał. W jego ruchach było coś z dumy i pewności siebie. Chwileczkę, jak to było, iż oni się o nim dowiedzieli? Tak, to on podzielił się tym z ojcem. Mówił mu o samotnym, pięknym koniu, który codziennie przemierza łąkę i znika. Początkowo ojciec mu nie wierzył. Gdzie tu koń, skoro Ruski wszystkie zgarnęli? Poszła jednak wieść do kilku rolników. Zaczęli się skradać nad rzeką, obserwować łąkę, trasy które przebywa. Początkowo obserwowano go z brzegu rzeki stanowiącego coś w rodzaju trybuny, zbiorowo, niczym na wyścigach, choć Bronok zniewalał ich nie szybkością galopu, a jakąś dumą i nieprzeciętną urodą. Potem podchodzili indywidualnie, niektórzy przekraczali mostek na rzece i owsem, który gdzieś tam im jeszcze się uchował, próbowali go sobie zjednać. Na nic. Koń tylko spojrział, a gdy uznał, że za nadto są już blisko niego, z wolna zaczął swój bieg, po czym znów dostojnie zwałniał. Wyraźnie to ich podrażniało, bo to podbiegali do niego, to znów się zatrzymywali. Po prostu, to on dyktował ich zachowanie. Przystąpiono do skuteczniejszej, ich zdaniem, metody ujęcia tego samotnego zwierza. Organizowano zasadzki, a to przy mostku rzeki, a to pod lasem Buławy, skąd często wychodził na łąkę. Pamiętał jak jeden z rolników przyszedł na łąkę z uzdą, a inny z powrozem, choć o łapaniu na lasso nie miał pojęcia. Każdy już widział go w swojej oborze, zaprzęgniętego w pług lub przy wozie. Jak gdyby odgadując ich myśli wyrwało mu się: Ale ten koń nie będzie chodził ani w wozie, ani w pługu, to jest jakiś koń z cyrku. Przyszli na łąkę wczesnym rankiem, każdy na inne miejsce. Zajmowali miejsca niczym myśliwi stanowiska w czasie polowania. Jest! Wychodzi na łąkę! Z różnych miejsc lekko zgięci zaczęli go podchodzić. Ale wtedy Bronok z majestatycznego porannego spaceru, gdy zobaczył czekających na niego ludzi, przeszedł w kłus, a potem galop. Gdy był dostatecznie daleko spowolnił i wywinął długim ogonem. Trwało to już kilka dni, a prawie codzienne polowanie okazywało się bezskuteczne. Stawało się to już irytujące dla wszystkich. Bronok raz pokazał się na łące, to znów znikał w lesie Żuroka. Po prostu drwił z tych, pożałuj Boże, kowbojów. Z czasem schwytanie tego konika stało się wręcz obsesją. Pazerność zderzona z nieskutecznością była tak wielka, że zrodziło to swoiste sprzysiężenie, nawet tych, którzy na co dzień nie darzyli się wzajemnym zaufaniem. Początkowo konkurencja podsycana ambicją, aby złapać go wyłącznie dla siebie, ustępowała na rzecz ogólnego działania. Powstał swoisty komitet, „komitet ujęcia Bronoka”. Wydawało się, że to jednolite działanie doprowadzi rolników do sukcesu. Ale w tej swoistej koalicji, każdy po cichu myślał tylko o sobie. Na pozór każdy z jej członków wypełniał zlecone mu zadanie: jeden dokonywał porannej i wieczornej obserwacji, inny organizował dostateczną ilość powrozów, a jeszcze inny zorganizował silną uzdę. Ale właśnie tego ostatniego, po cichu podejrzewano najbardziej, że potem będzie miał argument: moja uzda, mój koń. Pod pokrywką jednolitości wrzało i to tak, że rolnicy zapomnieli o roli, zaniedbywali wiosennych prac polowych. Tymczasem Bronok hulał jak wiatr po pięknej łące, ścieżkach i duktach leśnych, grając im na nosie.

Niektórzy z nich mieli za sobą doświadczenia żołnierszy dwóch wojen światowych i niejedno widzieli i przeżyli, nie jedno życie, nie tylko przeciwnika, ale zwierza unicestwili, poczulili się dotknięci do żywego. Ustalono więc: musimy go mieć żywego albo – zaakcentował Łozik – zabitego. Zabitego, zapytał retorycznie drugi? Nie chodzi aby go zabić, ale aby go mieć – zaakcentował sąsiad. Ponad podziałami i intencjami każdego z nich ustalono, że najczęstszą trasę, jaką Bronok przebywa to ścieżka prowadząca do lasu Żuroka. Tę ścieżkę zamieniono na pułapkę. Wzdłuż ścieżki założono liny i powrozy na drzewach w głębi lasu, a na końcu, pułapkę, zasznurowano tak, aby koń nie mógł się z niej wydostać. Wszystko obmyślono perfekcyjnie. Liny obłożono gałęziami, a Łozik, dla kamuflażu nawieszał na nich nawet liście buku który tam rósł.

Pamiętał jak dziś, gdy zacni gospodarze z samego rana leżeli na ziemi i wypatrywali zuchwałego konia. Jeden leżał na ziemi i trzymał w ręce powróż, drugi trzymał obok siebie przygotowaną uzdę. Nagle jest tam na łące, wyłania się i dumnie, utartą drogą podąża w kierunku wejścia do Żuroka. Wszyscy zamarli, oddech wstrzymany, żadnego poruszenia. Byli w tym bezruchu zjednoczeni, nie dlatego, żeby im groziło niebezpieczeństwem Bronokowi. Był już blisko, około jednego metra przed wejściem w pułapkę, ale wtedy krzyknął „jest!”. Bronok odwrócił się, zaczął strzyc uszami i zamiast w leśną pułapkę pocwałował tam w dół, w kierunku wodnego młyna, blisko łąki. Znikł. Byli tak blisko celu, a tu ten głupek musiał go nam spłoszyć, krzyczeli. No wiecie, nie wytrzymał, ja mu się nie dziwię, bo i ja ledwo wytrzymałem – bronił go jeden z gospodarzy.

Po przeszło pół wieku starał się dojść w to miejsce i odtworzyć w pamięci tamtą scenę, znaleźć miejsce, w którym przywarły twarz do ziemi oczekiwał go z napięciem, a kiedy podniósł głowę i zobaczył jak Bronok po-



dąży w pułapkę krzykiem go spłoszył. Dlaczego tak postąpił, przecież też chciał aby ten konik stał w oborze ojca. Miał wtedy ukończone dwanaście lat. Często z kartką w bucie i jakimś meldunkiem, którego treści nie znał, tą właśnie trasą podążał na Pochwacie. Wtedy szedł do ludzi, którzy się ukrywali, którym nie pozwalano być wolnymi, bo chcąc skorzystać z wolności ponieśliby niechybną śmierć. Czy idąc tym nieuczęszczanym wtedy, traktem przez las, do Jastrzębia Dolnego, a potem drogą, która przypominała wąwóz, na Pochwacie, aż do Gogolowej, bał się śmierci? Nie, o śmierci nie myślał! Wyobraźnię dziecka tego nie obejmował, ale bał się, że go zamkną i pozbawią wolności. Tego konia też chciano jej pozbawić. Uciekł z transportu, aby być wolnym i oto miał wejść w swoistą leśną klatkę? Może to było przyczyną, odruchowo, wyrwanego okrzyku?

Wściekli rozeszli się. Stanowisko opuścił ostatni, czuł się winny, złamał solidarność swego środowiska w którym był i jego ojciec. Zamiast prosto przez pola wracać do domu, znalazł się na wzniesieniu skraju lasu niedaleko zabudowań wodnego tartaku. Zsuwał się brzegiem ścieżki leśnej w dół, tuż nad źródło z którego zawsze bila zimna jak lód, krystalicznej czystości woda. Woda tworzyła półmetrowe wgłębienie. Usiadł obok, zgął rękę i niczym chochlą nabrał wody w dłoń. Wtedy w lustrze wody zobaczył dziwną umorusaną twarz. Była to jego twarz, twarz brudna od ziemi do której tam na skraju Żuroka przywarł oczekując nadejścia tego konika. Półotwartą dłonią nabierał źródlanej wody i pił, a potem ochładzał nią gorące czoło. Lasek żył wiosną, maliny i ostróżki były jeszcze zielone. Krzewy jagód, zwanych tu borówkami, nie miały jeszcze owoców. Spojrzał w górę na jarzębiny – one też czekały swego czasu. Był w połowie wysokości brzegu lasu. Powiodł wzrokiem w dół. Na ogromne drewniane koło młyńskie lała się woda. Niczym lornetką przesunął wzrok w lewo i nagle na łące dostrzegł jak Bronok wolno, wśród ubarwionej

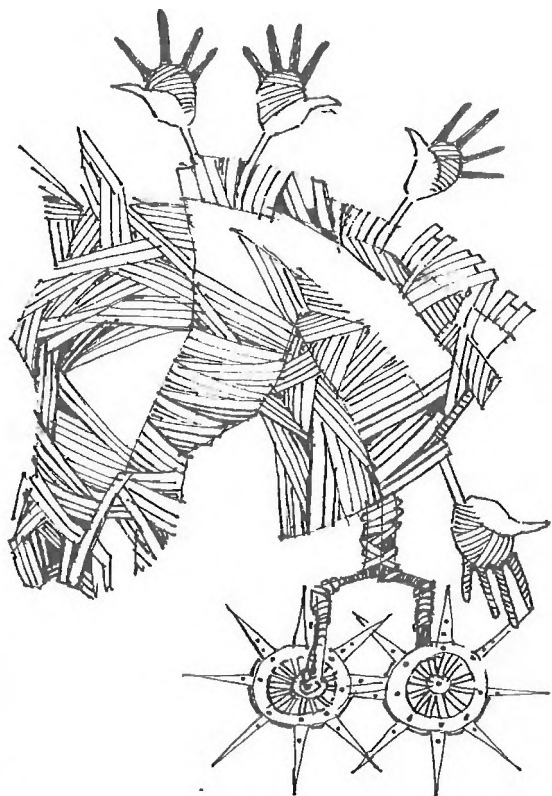
różnym kwieciami trawy łąki, majestatycznie idzie w górę, w kierunku lasu zamykającego łąkę od strony wzgórza nad którym stał okazały dom Buławy.

Trzeba to przyznać, gospodarzom zaimponował Bronok. Gorączka polowania na konia jakby ustawała. On, ich, starych rolników, znawców koni pokonał. Podejmowali jeszcze próby jego ujęcia. Raz nawet wetknął głowę w zasadzkę, ale nagle stanął jak wryty, potem się cofnął i pognął w dół przez łąkę. Zaczynało do niego docierać, że ten koń swoim zachowaniem utożsamiał jego pragnienia wolności. Ten mały konik urastał, w jego oczach, do roli olbrzyma. Nie dostawał ani owsa ani siana. Żywił się trawą, skubał tą wyschniętą, podobną do siana, ale był wolny.

Potem wypatrywał go codziennie, ale nie spotkał. Gdzieś go pognano – pomyślał. Pewnie czuł tu zagrożenie i wyniósł się w bezpieczniejsze miejsce.

Szkola podstawowa już zaczęła funkcjonować. Pewnego razu coś go powiodło nad Szotkówkę i mimo jeszcze zimnej wody skoczył, aby trochę popływać – pływał już coraz lepiej, choć było to ciągle pływanie po piasku, bo innego stylu wtedy nie znał. Kiedy wychodził z rzeki, dostrzegł wyraźne ślady zdeptanej trawy, które prowadziły na środek łąki. Nagle na trawie zaskoczyła go czerwień krwi. Trochę go to przeraziło, ale jako dziecko wojny do widoku krwi był przyzwyczajony i szedł jej tropem w głąb coraz szerzej poległej trawy zielonej łąki. Bronok leżał we krwi z raną postrzałową. Kula przeszła między łopatkami. Rana wylotowa była poszarpana, taka jaką widział u niejednego zabitego rosyjskiego żołnierza. Koń leżał bokiem, oczy miał rozwarste. Ślady krwi dowodziły, iż postrzelony szedł na swą łąkę i na niej zginął z wykrwawienia. Odsłonił grzywę, dotknął jego szyi, jeszcze była ciepła. Został postrzelony niedawno, skonstatował, może przed paroma godzinami? A więc człowiek, który walczył o wolność nie mógł znieść, że to zwierzę pragnęło żyć wolnym – pomyślał. Zabił go jeden z tych, co z zabijaniem walczył.

Po przeszło pół wieku od tamtych lat doszedł na skraj fragmentu zniszczonej łąki. Gdzie ta rzeka, w której się kąpał i razem z Rafałem na haczyk z agrafki łowił ryby? Nie ma Rafała! Zginął w Powstaniu Warszawskim i spoczywa wśród swoich z batalionu „Parasol” na Powązkach. Łąka przecięta nasypem kolejowym. Szotkówka już nie ta, stała się ściekiem. Nie ma Żuroka. Paradoks, pomyślał. Człowiek budując pozostawia po sobie zranioną ziemię i ściek, brudny ściek ludzkiej zachłanności i braku wyobraźni. Dwie kopalnie, las bloków, skazane na śmierć uzdrowisko – wirowało mu w głowie. Zabicie tamtego konika okazało się zapowiedzią kresu tego wówczas życiodajnego uzdrowiska. Bezwzględny człowiek, wydarł tej ziemi jej skarb, zniszczył i przeciął żyły, w których płynęły wody życia, wody które go leczyły. Za perłę zbudował betonowe miasto. Za jaką cenę to czyni? Czy ogarnia wyobraźnię co będzie potem, stawiał sobie pytania bez odpowiedzi. Czy pokolenia, które przyjdą, jeżeli w ogóle będą miały możliwość egzystować, będą wiedzieć coś o tych barwach łąk, zapachu siana, widoku czystej, pełnej ryb wody, o tym koniku, który, chcąc pozostać wolnym, został przez ich przodków zabity?



Nawet czterech świętych: Wendelin, Florian, Jan Nepomucen i Antoni z Padwy nie uratowało niemodlińskiego zamku przed głupotą, bezduszością i niegodziwością. Stare mury ograbili po wojnie Rosjanie, potem rujnowała PRL-owska niemoc, w końcu złupila je kapitalistyczna buta i zachłanność. Patronów nie miała tulowicka porcelana, szybko poszła pod topór likwidacji. Za to „Jedlice” szkio topi w najlepsze. Niewielki Krasiejów na czołówki gazet wepchnęły najstarsze na świecie dinozaury. Kontrasty powiatu opolskiego, w tym i ten, że mniejszość niemiecka stanowi tu tak naprawdę większość, bo 90 proc. mieszkańców.

był „złoty sklep”, „wielka sala”, „salonik marmurowy”, „biały salon”, biblioteka... Zostały gołe mury, które są doskonałą egzemplifikacją powszechnego zjawiska dewastowania zabytków sztuki i architektury. Nie wszystkich na szczęście, bo na Opolszczyźnie w przyzwoitym stanie są pałace w Mosznej, Kamieniu Śląskim, czy Prószkowie. Nie zmienia to jednak faktu, że prawie w każdym zakątku Polski znaleźć można zrujnowane zamki i dwory. Ta choroba trawi zwłaszcza Dolny Śląsk, gdzie przybrała rozmiary epidemii.

Nie święci zamki lepiej

WIESŁAW
KOSTERSKI

Niemodlin. Na drewnianych podestach stoją na gospodarczym dziedzińcu figury świętych Wendelina i Antoniego, zdjęte z balustrad barokowego mostu nad dawną fosą, który wiedzie do przejazdu pod więzłą bramą zamku. Rzeźby będą odnawiane. Na swoim miejscu, najbliżej zamkowych murów, pozostał Jan Nepomucen. Oblicze świętego – patrona spowiedników, tonących, żeglarzy i flisaków – wielce zafrasowane. Ten wyraz twarzy jest teraz dobrym komentarzem do tego, co zrobiono z zamkiem.

Zamek w ruinie

Spacer wokół zabytku przynosi bowiem traumatyczne doznania. Zewnętrzne mury gryzie wilgoć, elewacje plamą liszaje zacieków, tynki płatami odpadają ze ścian. Ledwie trzyma się taras i wiodące nań schody. Rdza dobrała się do krat w oknach. Tu, gdzie były parkowe alejki i rabaty, ziemię pokrywa płatanina chwastów i dzikich krzewów. Dobrze, że cały teren okala solidny parkan – pozostałość po obecności wieżniów, którym w latach siedemdziesiątych kazano ogrodzić posiadłość.

Wprost z zamkowego dziedzińca wchodzi się do kaplicy. Wewnątrz obraz katastrofy budowlanej – zerwane posadzki i zdobienia, grzyb, zniszczone elewacje. W miejscu ołtarza sarta gruzu, o którą opiera się kamienna tablica z niemieckim napisem. Powietrze tak ciężkie od wilgoci i zaduchu, że można je nożem kroić. Jednego tylko nie udało się odebrać kaplicy – niezwyklej wręcz akustyki.

Zamkowe komnaty – puste, obskurne, śmierdzące – wyglądają jak człowiek, którego obdarto z szat i godności. Każde piętro to przykład barbarzyńskiej działalności dawnych administratorów i właścicieli zabytku. To, że rozszabrowano meble, rozebrano piece kaflowe i kominki, wyrwano ze ścian dekoracje, mieści się jeszcze w granicach pospolitego przestępstwa i da się jakoś wytłumaczyć chciwością, ale że w kilku salach wycięto drewniane belki stropowe naruszając konstrukcję budowli, tego już pojąć nie można w żaden sposób. Stropy zawisły w powietrzu, by nie runęły, podparto je lasem kółków.

Przez lata ten zamek metodycznie ograbiano ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość: z dekoracji, rzeźb, mebli, obrazów i żyrandoli. Trudno to sobie wyobrazić, ale w jego wnętrzach

Szansa na nowe życie

Właścicielem niemodlińskiego zabytku jest przedsiębiorca z Instytutu Postępowania Twórczego w Łodzi, spółki z grupy kapitałowej zrzeszającej firmy hotelarskie oraz wyższe uczelnie, w tym Wyższą Szkołę Humanistyczno-Ekonomiczną w Łodzi. Szkoła, która jest własnością osób prywatnych, powołała Fundację Zamku Książąt Niemodlińskich. Łódź i Niemodlin. Mariaż biznesu z historią i architekturą.

– Łódzka szkoła, oprócz swoich zadań edukacyjnych, zajmuje się również ratowaniem zabytków – mówi Magdalena Dąbrowicz-Rzeczycka, prezes Zarządu Fundacji. – Ma ich kilka, ale takiego, jak ten jeszcze – nie. Zamek kupiła od osoby prywatnej, która wcześniej zapłaciła za niego symboliczną złotówkę.

Nowi właściciele nie zrobili wyceny posiadłości. Trudno więc powiedzieć, ile jest teraz warta. Zrobili natomiast szacunkowe przymiarki kosztów i wyszło, że na odbudowę będą musieli wydać około 200 mln zł. Prace potrwać kilka lat. Najpierw wykonane będą badania archeologiczne, potem trzeba będzie przekopać całe podzamcze i fosę, w końcu powstaną ekspertyzy konserwatorskie i architektoniczne. Dopiero wówczas zapadną decyzje, co i jak zrobić. Co zachować, a co zmienić. A final?

– W planie mamy utworzenie centrum szkoleniowo-konferencyjnego – zdradza M. Dąbrowicz-Rzeczycka. – Będzie tu hotel. Chcielibyśmy też udostępnić kaplicę na działalność artystyczną.

Fundacja odrestaurowała już ogrodzenie podzamcza. Trzeba było to zrobić, bo mur runął, co groziło utratą figur czterech świętych. Przy okazji odkryto podziemne tunele. Zrobiono też ekspertyzy stanu technicznego, z których wynika, że choć zniszczeń jest sporo, to konstrukcja budowli nie jest aż tak mocno naruszona, jak się pierwotnie wydawało. Być może uda się nie zorganizować w Niemodlinie praktyki studenckiej w ramach odbudowy zamku.

Jeśli wierzyć legendzie, wysiłki fundacji diabli wezmą. Zamek niemodliński ma podobno taką właściwość, że po każdej renowacji wychodzą na świat

że elewacje czerwone plamy. Bierze się to od czasu zbiorowej defenestracji siedmiu mnichów, którzy szukając wytchnienia po trudach drogi, mieli swoim przybyciem na zamek przerwać huczną biesiadę, której oddawał się książę opolski Bolko. Ten w przypływie wściekłości kazał zrzucić nieszczęśników z wieży do fosy. Od tamtej pory na murach wychodzą ślady krwi, które tylko gęsto rosnący bluszcz skutecznie zakrywał...

– Będzie hotel, będą miejsca pracy, rozkwitnie turystyka, bo zainteresowanie zamkiem jest duże, uczelnia będzie miała możliwość organizowania swoich imprez – M. Dąbrowicz-Rzeczycka wylicza zalety przedsięwzięcia.

Czy fundacja postara się odzyskać zagrabione mienie?

– Starać się można, ale czy jest to możliwe? – zastanawia się M. Dąbrowicz-Rzeczycka. – Trzeba byłoby zatrudnić detektywów, by ustalić, co stało się z wyposażeniem. Wszystkie utracone rzeczy są na liście konserwatora, jako zabytki zaginione. Było postępowanie w prokuraturze, ale je umorzono. Burmistrz prosił nas o pochodzące stąd meble, które są teraz w ratuszu.

Władze lokalne okazują fundacji dużo sympatii, ale na tym w zasadzie kończy się ich wsparcie. Barierą są przepisy i pieniądze. Wniosek do wojewódzkiego konserwatora zabytków w Opolu o dofinansowanie w połowie prac zabezpieczających, które kosztować mają około 2,5 mln zł, wrócił do fundacji z odmową, którą konserwator uzasadnił brakiem środków.

– Nasza pomoc ograniczy się do spraw administracyjnych, bo tylko takie powiat ma możliwości – powiada starosta opolski Henryk Lakwa. – Efektem współpracy są pozwolenia budowlane, przyspieszyliśmy też terminy wydawania dokumentów, które pomogą fundacji w staraniach o uzyskanie funduszy unijnych.



Figura św. Jana Nepomucena przy moście nad dawną fosą.

Prokuratura umorzyła postępowanie

Sięgający korzeniami XIII wieku zamek rozkwitł w XVIII i XIX stuleciu, kiedy był własnością rodu Praschmów. Wówczas przechodził przebudowy i udoskonalenia, które nadały mu dzisiejszego kształtu architektonicznego. Ostatniego przedstawiciela Praschmów na Niemodlinie – Friedricha Leopolda – hitlerowcy ubrali w mundur i wysłali na front. W zamku przebywał rzadko, tylko podczas urlopów. Dobrami zarządzała jego żona.

Przez pewien czas rezydencja była schronieniem dla rozmaitych instytucji i organizacji. Część pomieszczeń zajmował lazaret. Hitlerowskie władze postanowiły nawet przenieść do Niemodlina Archiwum Państwowe w Katowicach, co spotkało się z dezaprobatą hrabiny. Ostatecznie jednak w marcu 1944 roku przywieziono z Katowic 24 skrzynie z dokumentami. W styczniu 1945 roku Praschmowie uchodząc przed Armią Czerwo-

ną opuścili Niemodlin. Osiedli w Kapelen w Niemczech Zachodnich.

Tu, gdzie jeszcze niedawno powiewały flagi ze swastyką, zatknięto flagi z sierpem i młotem, co namacalnie wskazywało, że posiadłość zarekwizowała Armia Czerwona. Na potrzeby wojennej komendantury. Wkrótce polskie władze wprowadziły w jej miejsce Powiatowy Urząd Ziemski, który miał zajmować się wznawianiem produkcji rolnej w poniemieckich majątkach przejmowanych od Rosjan. W rzeczywistości pod szyldem tego urzędu kwitła bujnie inna działalność – zagospodarowanie (czytaj. szabrowanie) poniemieckiego mienia, w tym także wyposażenia zamków i pałaców.

Potem podupadającą rezydencją Praschmów zarządzały władze oświatowe. Zespół zamkowy był siedzibą gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, w końcu trafił w objęcia Ministerstwa Sprawiedliwości i Okręgowego Zarządu Zakładów Karnych, który chciał otworzyć w nim szkołę pracowników służby więziennej. W 1990 roku posiadłość przeszła w ręce prywatne. Gmina sprzedała ją nowemu właścicielowi, podpisując umowę pod rządami ustawy o ochronie zabytków.

No, właśnie! Aż się prosi, by przy okazji renowacji poszukać bata prawnego i zmusić byłych właścicieli do zwrotu zagrabionego majątku. Więc?

Starosta opolski nie kryje sceptycyzmu: – Instytucje, które są za to odpowiedzialne same nam wskazały, że ta droga jest zamknięta. Postępowanie prokuratorskie umorzono, mimo że mieszkańcy Niemodlina wiedzą, jak zamek wyglądał jeszcze dziesięć lat temu. Były kradzieże, wyposażenie wywieziono. Na szczęście są zdjęcia, jest dokumentacja i dzięki temu uda się wiele rzeczy odnowić. Ważne, że obiekt ma gospodarza, że zyskał kolejne życie. Jest świetnie zlokalizowany, a uczelnia otworzy w nim swoją filię. Będzie to nobilitacja dla Niemodlina, dla tego środowiska. Tutaj jest największe bezrobocie w powiecie opolskim, tutaj – jak nigdzie indziej – potrzebne są takie inwestycje.

Urzędnicy w fabryce porcelany

Katastrofa na powiatowym rynku pracy spowodowała upadek tułowieckiej porcelany, którą zmiotły z powierzchni ziemi urzędnicze decyzje. Kiedyś głośno było o fabryce – była największym pracodawcą w okolicy, miała dobry towar, rynki zbytu w kraju i za granicą. Podzieliła jednak los niemodlińskiego zamku – pozostały puste hale, zapuszczone trawniki i coś w rodzaju muzeum, w którym rolę eksponatów grają porcelanowe zastawy. Rozpanoszyły się za to małe firmy, które wydzierzały cały teren.



Figury św. Antoniego z Padwy i św. Floriana w renowacji (Zamek w Niemodlinie).

– Jeszcze nie tak dawno mieszkańcy myśleli, że fabryka odbija się od dna, że znowu znajdzie swoje miejsce na rynku – opowiada H. Lakwa. – Zainwestowano nawet w dwie linie produkcyjne, w mediach mówiono, że są nowi odbiorcy. A tu nagle, w ciągu pół roku, nastąpiła likwidacja zakładu, który nie miał żadnych zobowiązań – ani wobec urzędu skarbowego, ani wobec ZUS-u.

Porcelana była firmą państwową, spółką akcyjną Skarbu Państwa. Poszła za kilka milionów, choć na początku chciano za nią dużo więcej. Była jedynym znaczącym przedsiębiorstwem w gminie, która liczy niecałe 6 tys. mieszkańców.

Opakowania wypełnione doskonałością

W rynkowych realiach lepiej poradziła sobie Huta Szkła „Jedlicze”. Najpierw grała solo, teraz należy do grupy kapitałowej Warta Glass Group, mając za partnerów podobne przedsiębiorstwa w Sierakowie (produkuje butelki) i na Litwie (szyby samochodowe). Robi około 100 rodzajów słoików – tradycyjne i niestandardowe o skomplikowanych kształtach: kwadratowe, sześciokątne, faliste. Towar sprzedaje na pniu, prawie na cały świat, nawet do USA.

– Produkuje puste opakowania pełne doskonałości – Piotr Hadasik, wiceprezes „Jedlicza”, przywołuje reklamowy slogan, opisujący zgrabnie działalność huty.

W hali produkcyjnej ogłuszają automaty linii technologicznych. Przekleństwem jest też wysoka temperatura. Całość funkcjonuje jednak jak pod igłę, według rytmu nadawanego taśmą wiozącą rozżarzone słoiki do schłodzenia. Pracowników niewiele. Obsługują wyrafinowaną technikę, w tym urządzenia do badania jakości, które w okamgnieniu fotografują z czterech stron każdy słoik, wylapując w ten sposób wszystkie wady. I tak codzienne, przez 24 godziny na dobę, w świętek i piątek. Milion słoików każdego dnia.

Nadzieja w silesaurusie

Krasiejów. Sobotnie popołudnie. Przykościelny plac zajął wystrojeny w weselne bibeloty muzealny egzemplarz auta, którym nowożeńców przywieziono na ślub. Dobrze, że nie wybrali dorożki. Tutaj to pechowy środek lokomocji. Jak głosi legenda, dorożka wioząca młodą parę do kościoła zatonała w niedalekim Czarnym Dole, pozostałości po starorzeczcu Małej Panwi. Ciało narzeczonego nie odnaleziono, a ludzie do dzisiaj boją się tego miejsca i omijają je z daleka.



Zdewastowane wnętrza niemożlińskiego zamku.

Senny nastrój wsi przerywa kraksa rowerowa. To efekt jazdy pijanego mężczyzny, któremu sformatowany alkoholem mózg odmówił posłuszeństwa, skutkiem czego rowerzysta stracił równowagę i wywinąwszy koziołka wyrzwał twarzą o asfalt. Wstał szybko i jakby nigdy nic wsiadł na rower i odjechał, mijając budynek starej szkoły z dwujęzycznymi tablicami, w którym mieści się regionalna izba pamięci i muzeum paleontologiczne z najstarszymi dinozaurami świata.

Gdyby nie one Krasiejów znany byłby głównie z tego, że jest najstarszą wioską w gminie Ozimek. A tak stał się sławny. W wyrobisku eksploatowanym przez cementownię Górażdże znaleziono duże ilości kości prehistorycznych stworzeń, które wcześniej mielone były razem z margłem przeznaczonym do produkcji cementu. Profesor Jerzy Dzik odkrył nawet szkielet najstarszego dinozaura, którego – od miejsca znalezienia – nazwał *silesaurus opolensis*, śląski jaszczur spod Opola. I *silesaurus* wprowadził

do Krasiejowa biznes, o jakim mieszkańcy wsi pomarzyć nawet nie mogli – Dinopark.

Górnice wyrobisko imponuje rozmiarami i ceglanym kolorem ziemi. Trasy spacerowe prowadzą do pawilonu wystawowego, w którym dosłownie pod stopami, pod szklaną podłogą, leżą szkielety stworzeń sprzed ponad 225 milionów lat. Wówczas na tych terenach znajdowało się gigantyczne jezioro sięgające granic dzisiejszej Francji, do którego rzeka naniósł szczątki martwych zwierząt. Według paleontologów, obszar wykopaliska kryje jeszcze kilka tysięcy prehistorycznych kości.

Dinopark powstał kilka lat temu, ściąga turystów, przynosi pierwsze pieniądze. Inwestorzy zwietrzyli interes i chcą zbudować w jego pobliżu hotel, kawiarnię, ściankę wspinaczkową. Wyrobisko nadaje się do zalania wodą i zrobienia z niego sztucznego jeziora z makietami dinozaurów. To dopiero byłaby atrakcja.



Dwujęzyczna tablica na budynku wystawy z dinozaurami w Krasiejowie.

CV

*On, który potrafi rozgryźć ziarno pieprzu. Kawaler;
palący dużo, by zająć czymś ręce. Rzecz jasna bez nalogów.
Czasem zanurzanie palców w stearynie. I fotografie,
pod słońce, z długim czasem naświetlania. Poszlaki.
Nagminnie niekaralny. Krótkie sny o zabijaniu.
Histeria, nerwobóle w okolicach serca i haluksy.
Co dzień badawcze spojrzenie na twarz w lustrze,
bez mrugnięcia. Dwie krople w worek spojówkowy;
trzepotanie przez pięć minut, nieuzasadniona ulga. Ambitny.
Mówi językami. Zwroty grzecznościowe, tryby, konwersacje.
Natrętne wygładzanie serwetek, patrzenie w oczy przechodniom
i spuszczenie wzroku w ostatniej chwili. Otwarty na wyzwania.
Król życia. Bierze odszczepki. Kolekcjoner kamyków.
Kreatywny. Szkoły, szatnie, boiska, ławki rezerwowych.
Umiejętność pracy w zespole. Sen w pozycji bocznej ustalonej.
Mieszanie alkoholi, skróty myślowe, kwaśne deszcze.
Wieczorami w taksówce wymiotuje z głową wystawioną przez okno.
Przesładza herbatę, przesala makaron. „Pieprzysz, bracie”.
W wolnych od pracy chwilach lubi myśleć.*

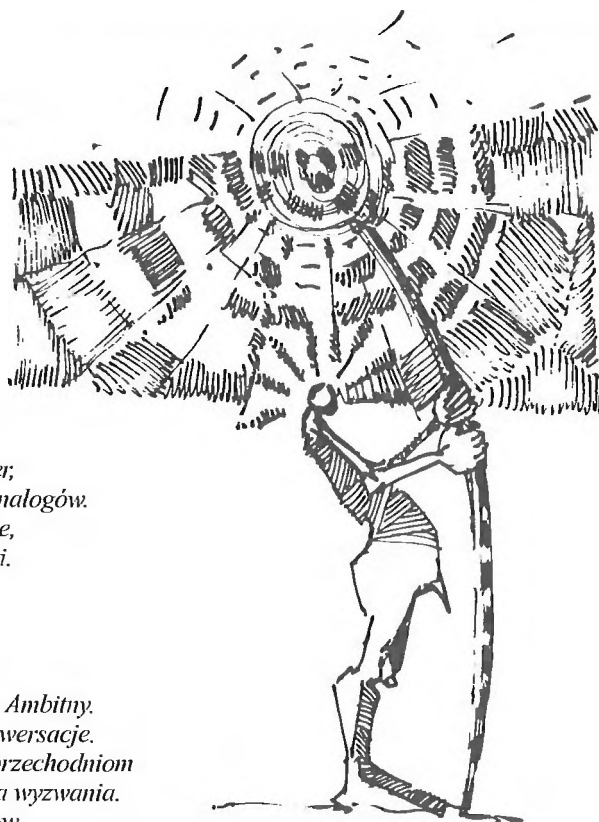
Wyraża zgodę na przetwarzanie danych osobowych.

*Weszliśmy od strony kuchni, tacy nieuczesani
z rozgniecionymi owocami pod podeszwą
kucharka wzdrygnęła się na nasz widok
właśnie gotowała zupę i drobne krople potu
na jej karku powiedziały nam wszystko o smaku*

*Cicho wstępowaliśmy dalej, w chłodne pokoje
w których cytryny na obrazach i psy na kanapach
mielśmy na sumieniu poranne zogniskowanie promienia
w małym lusterku, podpalenie koronkowego obrusu
i ucieczkę z prędkością światła*

*Cale przedpołudnie spędziliśmy w ogrodzie
żywić się tłustymi owocami i obmyślając
plan zdobycia świata z zaskoczenia
prawdziwa akcja jednak rozgrywała się głębiej:
rosły nam paznokcie, czerniała skóra, dzieliły się komórki*

*Była połowa lipca
i naprawdę wszystko jeszcze mogło się zdarzyć*



Rys. Wojtek Łuka

PROGNOSTYK

*Ciężar właściwy naszych księzek
muzyka niepoważna grana na wielu instrumentach
kurz na kartkach i mrówki w zagłębieniach dłoni
oglądanie kliszy pod światło
oglądanie światła przez kliszę
słońce, słońce, słońce
przeświecone negatywy, ludzie bez twarzy
twarze bez oczu, oczy bez tęczyówek*

To będzie chłodne lato

*Zwierzęta będą chciały leżeć na kanapach
myśli schowamy pod skórę
wyciągniemy miękkie materiały
będą nas męczyć wahania temperatur
zmiany gęstości powietrza
ludzie o wyraźnych konturach
wieczorami powoli będziemy przegrywać się w karty*

To będzie dziwne lato

*Dni będą się zaczynać od zwarzonego mleka
cyganki przestraszą się tego co wyczytały z naszych rąk
wiersze nie będą się dobrze na nas układać
sen przyjdzie powoli i siądzie w kącie pokoju
fluorescencyjna figurka zamruga i zgaśnie
wino szybko wywietrzeje i zmieni się w wodę*

*To będzie już najwyższa pora
roku*

Z AGATĄ OCHOTĄ-HUTYRĄ i ADAMEM HUTYRĄ,
małżeństwem aktorskim z Teatru im. Adama Mickiewicza
w Częstochowie,
rozmawia MAREK MIERZWIAK



Pierwszy wspólny występ. „Miłość i gniew” Johna Osborna. Premiera w marcu 1993 roku.

Mów codziennie, że mnie kochasz

– Czy jest pan zazdrosny o żonę?

– Ale w jakiej sytuacji? Teatralnej czy prywatnej?

– Zaczniemy od teatralnej. Jest taka rola, która wymaga, aby żona była obejmowana przez innego mężczyznę, tulona, ba! nawet całowana?

– Nie byłbym zazdrosny, może dlatego, że sam jestem aktorem i wiem, że to co na scenie, trzeba oddzielić od tego, co w życiu. Nie mam takich uczuć, a pewnie mógłbym mieć, bo różnego rodzaju przedstawienia z udziałem mojej żony widziałem.

– A pani jest zazdrosna?

– Raczej nie... Tak próbuję zebrać myśli... Nie, chyba nie.

– A czy jesteście zazdrośni o swoje sukcesy?

– Absolutnie nie. Bardzo cieszę się z każdego przedsięwzięcia, w którym Adam uczestniczy i w którym odnosi sukces. Wspomagam go i dopinguję. W tym wypadku jestem absolutnie pewna swoich uczuć.

– Jest rok 1994, mąż dostaje Złotą Maskę za dwie role – Jimmiego Portera w spektaklu *Miłość i gniew* i za Albina w *Ślubach pannieńskich*. Co pani sobie wówczas pomyślała – kiedy kolej na mnie?

– Dawno to było i może faktycznie nie pomyślałam – a kiedy ja dostanę, i czy w ogóle dostanę? Zawsze uważam, że wszystko musi zaistnieć w swoim czasie. Każdy ma swój czas i tamten był Adama, mój widocznie wówczas jeszcze nie nadszedł. On w pełni na tę nagrodę zasłużył.

– Kiedy dostałem Złotą Maskę, to pomyślałem, że bardziej ta nagroda należy się Agacie niż mnie. Pierwsza myśl po odebraniu tej nagrody była taka: „Czekam teraz na Maskę dla mojej żony”. Mamy podobne poglądy na pewne sprawy i nigdy we mnie takie uczucie nie narodziło się, że jej zazdroszczę sukcesów i dobrych ról. Wręcz przeciwnie – myślę: „Ale jesteś świetna, oby tak dalej”.

– Długo żona na tę nagrodę nie czekała. Rok później zdobyła Złotą Maskę za dwie role: Śmierci w *Historiji o chwalebnyim Zmarłychwstaniu Pańskim* i za rolę Basi w spektaklu *Usta przewrotne*. Myślicie o nagrodach, widzach,

kiedy wychodzicie na scenę? Czy też o tym, aby oddać najlepiej psychologię postaci, którą gracie?

– Zabierając się do pracy nad kolejnym przedstawieniem myślę tylko o skonstruowaniu postaci. Jeżeli już przedstawienie jest gotowe, pokazujemy je widzom i wiadomo, czy wszystko poszło w całość, za którą nie powinniśmy się wstydić. Pewnie, że są takie myśli, że warto to gdzieś jeszcze pokazać dalej i może w związku z tym coś się zdarzy, bo przecież ten zawód jest nieodłącznie związany z tym, żeby być zauważonym. Zawsze chcę pokazać postać, ale przecież to jasne, że za postacią kryje się ja. Jeśli postaci, które gramy, ja czy Agatka, są dostrzeżone w przedstawieniu, to cudownie. Chcę ten zawód wykonywać maksymalnie dobrze i jeśli mi się to udaje, a wiemy, że czasami to różnie bywa, to miło.

– Dlaczego została pani aktorką?

– Tak po prostu wyszło. To trochę było podświadome. Egzaminów do szkół teatralnych są dużo wcześniej niż na inne uczelnie, więc spróbowałam zdawać do takiej szkoły, niczym właściwie nie ryzykując, bo miałam złożone papiery i wstęp na Uniwersytet Warszawski bez egzaminów z racji udziału w Olimpiadzie Humanistycznej. To miała być próba, która mnie nic nie kosztowała. Albo uda się, albo nie.

– Czyli to nie było marzenie pani życia?

– Nie. Ciągnęło mnie do tego zawodu coś, co chyba tak do końca nie było jasne. Wybrałam Wrocław – daleko od domu. Może wówczas chciałam już wyfrunąć z gniazda i żyć po swojemu. Mam cudownych rodziców, siostrę, ale może potrzebowałam sprawdzić swoją samodzielność.

– Co pani zaprezentowała na egzaminie?

– Już nawet dokładnie nie pamiętam. Teraz do egzaminów ludzie przygotowują się przez rok, a ja wówczas coś tam wybrałam, co mi leżało na sercu. Bo ten egzamin to nie był nóż na gardle, muszę, marzę, jestem bardzo zdeterminowana. Może dzięki temu dostałam się, kto wie?

– A pan marzył o Hamlecie, Makbecie i królu Edypie?

– Też nie marzyłem. Myślałem o geografii, bo zawsze lubi-

łem ten przedmiot i do dziś mnie fascynuje, ale tak się złożyło, że spotkałem na przyjęciu małżeństwo aktorskie – Gosię i Jarka Dworników – i w trakcie takich niezobowiązujących rozmów Jarek zapytał mnie, co ja chcę dalej robić? Odpowiedziałem, że może geografia, ale tak do końca nie jestem przekonany. I trafić chciał, że wówczas w Bielsku-Białej odbywał się Festiwal Teatrów Lalkowych. Przyjeżdżały grupy z całej Europy. Dostałem od nich wówczas karnet na te przedstawienia. I zachwyciłem się. Wówczas – nawet nie wiem, czy to ja powiedziałem – że może bym spróbował zdawać do szkoły teatralnej. Chyba też było coś z chęci przeżycia tego egzaminu, bo to wszak przygoda – jakby na to nie patrzeć. Jarek udzielił mi dwóch konsultacji i pojechałem na egzamin. I zdałem. I w szko-

le poznałem Agatę. Gdy zawisa lista z przyjętymi, to w pierwszej chwili człowiek jest otumaniony. Ale za chwilę zaczyna dostrzegać swoje koleżanki i kolegów z roku. Koleżanki szczególnie piękne – tym bardziej. I na pewno gdzieś Agatę zauważyłem, ale wówczas jeszcze nic nie wiedziałem.

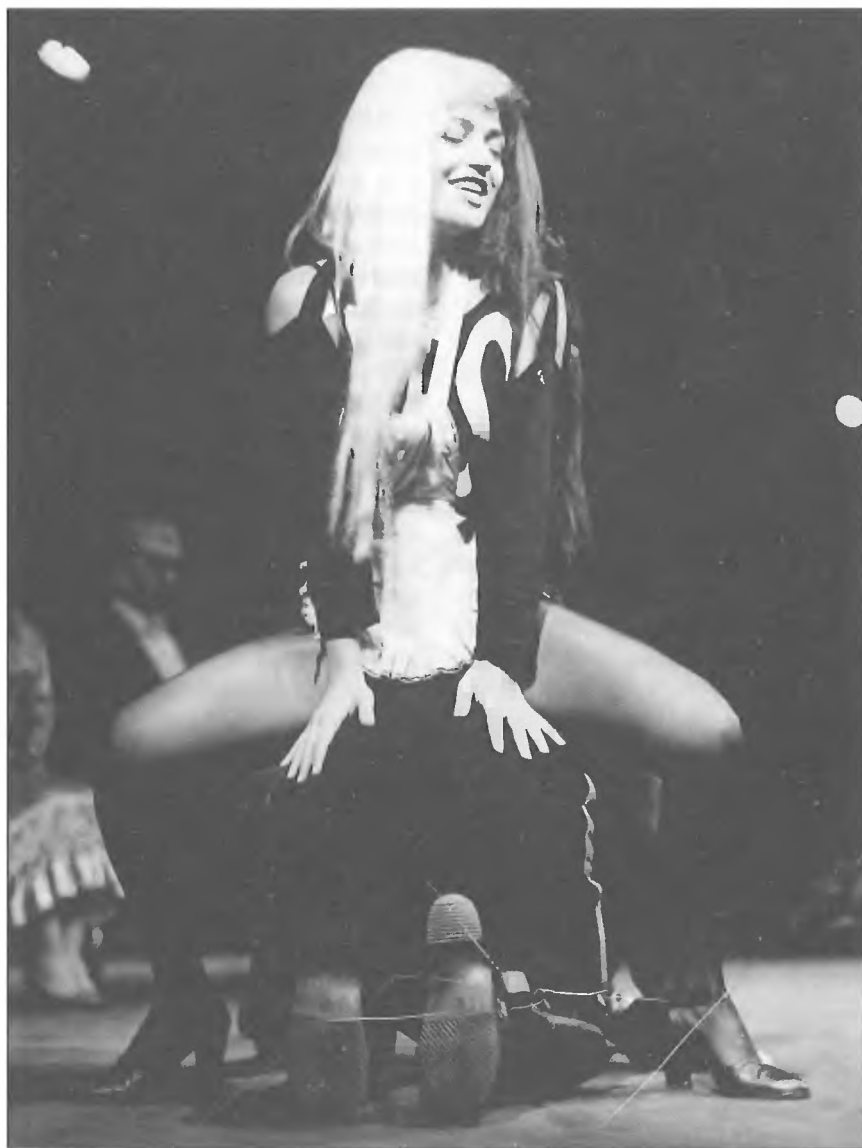
– Serce nie odpowiedziało...

– Dopiero za jakiś czas wspólne studiowanie zaowocowało małżeństwem.

– Kiedy zaiskrzyło po raz pierwszy?

– Pod koniec studiów, chyba na IV roku. Wcześniej byliśmy kolegami z grupy, razem z Adamem przygotowywałam jakieś sceny, ale nic poza tym. Zaiskrzyło w ostatniej chwili. Zawsze żartuję, że byłam jego ostatnią szansą.

– Wyszumiał się i chciał ustatkować się u pani boku?



W „Lyszej śpiewaczce” Ioneski w reżyserii Henryka Talara. Wrzesień 1995 roku.

– Nie wiem, ale pewne rzeczy, najważniejsze, przychodzą nieoczekiwanie.

– Ludzie mogą z sobą bardzo długo przebywać i nic z tego nie wynika. Połowa IV roku – pamiętam taki kluczowy moment – chciałem dać jej odczuć, że bardzo mi na niej zależy i pamiętam jak stałem w kuchni, w akademiku, w którym mieszkaliśmy razem – w akademiku, nie w pokoju – więc stałem w tej kuchni, trzymałem w ręku różę i zastanawiałem się czy jestem w stanie pójść do jej pokoju i zaprosić na koncert *Republiki*. Przemogłem strach, a ona zgodziła się i od tego momentu już byliśmy ze sobą.

– Nie pamiętam tej sceny z różą, ale moja koleżanka zawsze powtarza, że to dobrze jest dla małżeństwa, jak to mężczyzna jest tym „bardziej chcącym”. U nas było też tak po bożemu, czyli Adaś był tą stroną starającą się i bardziej zabiegającą, a ja powoli, powoli, skłaniałem się ku niemu.

– **Narzeczęstwo trwało długo?**

– Niecałe pół roku i już została moja żona.

– W maju, przed obroną pracy magisterskiej, już był ślub. W miesiącu bez „r”, w dodatku maryjnym, który ma przynosić pecha...

– Sporo lat i jest ciągle O.K.

– **Miłość, małżeństwo, skończone studia i trzeba było poszukać pracy. Od razu wiedzieliście, że przyjdziecie do Częstochowy?**

– To może brzmi banalnie, ale trafiliśmy tu przez przypadek. Byliśmy w Gdańsku, bo Adam miał tam propozycję pracy w teatrze, i to na etacie. Ale dla mnie nie było tam miejsca, więc zrezygnowaliśmy. Nie wiem, czy zrobiliśmy dobrze czy źle – czasami o tym myślę – ale bardzo chcieliśmy wspólnie zacząć pracę.

– Częstochowa to przypadek. Nasz kolega z roku zaraz po studiach przyjechał tutaj i kiedy spotkaliśmy się, powiedział, że dyrektor bardzo chętnie przyjąłby parę młodych osób. Wówczas dyrektorem był Tadeusz Kijański. A my chcieliśmy być razem.

– Mówiono nam, że to nie muszą być świetne sztuki, wybitni reżyserzy, ale ważne jest, żebyśmy dużo pracowali. To najwięcej człowieka uczy i rozwija. To był początek lat 90. i nie było wielu dzisiejszych

możliwości. Dziś niekoniecznie od razu trzeba zacząć się w teatrze. To może przyjść potem. Wówczas było inaczej.

– Przyjechalśmy do Częstochowy na rozmowę i dyrektor zaprosił nas do współpracy. Podjęliśmy decyzję, że bierzemy etaty i przyjeżdżamy.

– Na razie. I tak to „na razie” trwa do dziś. Bo z czasem wszystko zmienia się. Dochodzą dzieci, trzeba załatwić nianię do dzieci, jak my jesteśmy w teatrze, załatwić przedszkole, i tak powoli wrasta się w otoczenie. I w pewnym momencie dochodzi się do wniosku, że nieważne, gdzie się jest – ważne, z jakimi ludźmi się przebywa.

– I czy chce się robić to, co się robi. Mamy tutaj bardzo wielu przyjaciół na których zawsze możemy liczyć i z którymi możemy fajnie spędzać czas.

– **Czyli jest dobrze?**

– Jest dobrze! Na pewno mogłoby być lepiej, ale nie jest źle.

– **Wasz debiut?**

– Moim debiutem było zastępstwo. Sztuka Tadeusza Kijańskiego *Zabawa w śmierć*. Była tam rola dziwki i ja wówczas byłam autentycznie przerażona, że od takiej roli zaczynam. Aktorka, która to grała, wyjechała do Ameryki i musiałam ją zastąpić. A takim prawdziwym debiutem była sztuka *Brat naszego Boga* Karola Wojtyły. – Zacząłem od sztuki *Aktorski pasjans* i nie zapomnę tego tytułu, bo to się źle skończyło. Grały dwie nestorki tego teatru i dwóch młodych aktorów. No i jak to w teatrze bywa – przedstawienia są lepsze albo gorsze. Myśmy akurat mieli to nieszczęście, że ten debiut nie był zbyt udany, bo to była kiepska sztuka. Bardzo wielu rzeczy wtedy nie wiedziałem. Nie wiedziałem, że na przykład nie wszystko zależy od aktora, że w teatrze różnie się układa. Sztuka szybko zeszła z afisza.

– **Nie pomyślał pan wówczas: „po co ja zostałem aktorem?”**

– Myślałem: „czy ja mogę być aktorem?”. Czy mam takie umiejętności, które pozwolą mi uprawiać ten zawód. Wchodziliśmy w kolejne sztuki i dużo graliśmy. No i z latami coraz więcej rzeczy do mnie docierało. Ale przyznaję, że po premierze tej sztuki i po oszczędnych recenzjach, przychodziły takie myśli:

„Boże miało być świetnie, a jest fatalnie”. Koledzy nie byli niemili, ale nie byli też zbyt wylewni, a ja nie miałem świadomości, w czym gram. Teraz przynajmniej w większości przypadków wiem, w czym gram i jaką ma wartość to, co proponuję.

– **Jaka jest to wartość i od czego zależy?**

– Nauczyłem się dużo i potrafię dosyć szybko połapać się, w czym uczestniczę. Jeśli wiem, że to nie jest zbyt dobre, staram się to zmienić i trudniej mi wmówić, że jest dobrze, gdy ja wiem, że jest źle.

– **Ale co pan może?**

– Aktor w teatrze może różne rzeczy. Przedstawienie to jest złożony organizm. Jest reżyser, scenograf, są aktorzy, ktoś pisze muzykę...

– **Ale pierwsze skrzypce gra reżyser i mówi: „Tak pan zagra”. I nie ma dyskusji.**

– Jest tak albo i nie. Bywają reżyserzy, którym można wytłumaczyć, że tak nie powinienem grać. Stare powiedzenie aktorskie mówi, że jak reżyser coś pokazuje, to mu trzeba powiedzieć: „Oj, bo ci tak zagram”. Ale często da się jakoś wpłynąć na reżysera, przedstawić swoją opinię i wizję postaci. No i można dojść do porozumienia.

– **A jak nie?**

– Jest takie zwyczajowe prawo, że aktor raz w roku może odmówić grania w jakimś spektaklu.

– **Odmówił pan?**

– Tak wprost to nie, ale raz czy dwa razy ominąłem przedstawienie, w którym miałem brać udział.

– **Pani myśli podobnie?**

– Nigdy nie mam takiej absolutnej pewności, że ja mam rację, a ta druga osoba nie. Staram się wówczas popatrzeć na to z różnych stron. Myślę sobie, że reżyser, który patrzy chłodnym okiem i tak ma więcej racji, i dlatego mam w sobie sporo pokory. Oczywiście, że są czasami ewidentne sytuacje i człowiek mówi: „No, nie!”. Dotyczy to jakichś rozwiązań sceny, ale nie całości spektaklu, bo zawsze chciałabym uważać, że reżyser jest mądrzejszy ode mnie.

– Reżyser jest tym, który wyznacza kierunki i musi pilnować całości. Bo przedstawienie musi być jednolite i mieć na sobie piętno reżysera właśnie.

– Twierdzę – może za kilka lat przyznam się do błędu – że jeśli re-

zyser jest słaby, robi przedstawienie bez koncepcji, to i najlepszy aktor polegnie. Jeżeli natomiast jest dobry reżyser, to on nawet słabszego aktora tak poprowadzi, że wypadnie całkiem dobrze

– Reżyserzy bywają różni, ale publiczność nie przychodzi na reżyserów, przychodzi na aktorów i jeśli przedstawienie jest niedobre, to aktorzy obrywają i od publiczności, i od krytyków.

– To prawda. Zauważyłam, że te recenzje, jeśli można je tak nazwać, chociaż ja od pewnego czasu nie czytam ich i nie obchodzi mnie, co tam napisano – opisują reżysera, jeśli przedstawienie jest dobre. Jeśli źle i wszystko jest do d..., jak to mówimy, za wszystko wini się aktorów.

– Aktorzy wiedzą, że zazwyczaj oni są oceniani. Bo to my dajemy twarz, wychodząc na scenę.

– To nie jest tak, że cały czas analizujemy, co zrobiliśmy dobrze, co źle i dyskutujemy, bo moglibyśmy od takiego myślenia oszaleć. To tak jak w życiu. Albo np. słyszymy, że zbiera się cudowna ekipa, aby nakręcić jakiś film. Wszyscy rozumieją się jak w rodzinie, myślą tylko o tym powstającym dziele, czyli wszystko jest cudowne i cały świat sprzyja pracy, a później powstaje coś, co jest nie do oglądania. Sztuka żyje później własnym życiem i jest w niej zawsze metafizyka. Nigdy nie można być do końca pewnym, że wszystko zrobiło się dobrze i już nie trzeba nic poprawiać. Przychodzi ktoś inny, patrzy swoim okiem i zauważa nasze mankamenty, zdawałoby się, w genialnej roli. I trzeba wówczas jeszcze coś zmienić.

– Macie już dziś pewność, że aktorstwo jest waszym powołaniem i zawodem na resztę życia?

– Czasami myślę sobie, że fajnie byłoby być kelnerką w swojej kawiarni albo pubie. Myślałam też, tyle zawodów jest na „A”, a ja musiałam wybrać właśnie aktorstwo. Ale jakby się coś stało i musiałabym zrezygnować z aktorstwa, to co ja mogę robić? Przecież nic w życiu nie umiem oprócz grania na scenie.

– Aktorzy w życiu mają jeszcze coś, oprócz swojego zawodu. Próbują sprawdzać się w innych okolicznościach. No bo zawód, który uprawiamy jest taki, że jesteśmy potrzeb-

ni dokładnie do momentu, do którego jesteśmy potrzebni. A ten moment jest bardzo nieokreślony. Przychodzi nowy dyrektor, nowy reżyser i mówi: „Pan mi nie odpowiada. Panu już dziękujemy”. I taki moment nad każdym z nas – no, może nad wieloma – wisi.

– Jest to zawód, który uczy widzieć świat. Ludzi nie odbierać jednoznacznie, tego na czarno, tego na biało. My zawsze staramy się szukać prawdy. Bronimy postaci nawet z gruntu źłej. To nasza praca, ale nie jest ona taka, jak każda inna.

– Po raz pierwszy zagraliście razem...?

Małżeństwo w *Miłości i gniewie* Osborna. To był tekst, który pozwalał czerpać z naszych doświadczeń. Włożyliśmy w tę sztukę kawał serca, ale do momentu prób generalnych, nie wiedzieliśmy, jaki będzie tego efekt. Później doszły nas głosy, że przedstawienie bardzo podobало się. Pomijam już tę Złotą Maskę dla mnie, ale pamiętam dużo ciepłych słów od widzów, którzy potrafili zaczepić mnie na ulicy i wypowiedzieć swoją opinię na temat tego spektaklu.

– Jacy jesteście na co dzień, co was interesuje, jakie macie pasje, co dla was jest najważniejsze?

– Jesteśmy ważni dla siebie. Nasze dzieci są ważne, nasz dom, który bardzo lubię.

– Ale ten dom jest specyficzny, bo wychodzicie rano na próby, później wracacie i znowu wieczorem znikacie w teatrze.

– Dla mnie jest ten dom bardzo zwyczajny.

– Z Agatką staramy się, żeby taki był. Mamy wielu kolegów, którzy nie mają co robić albo zrezygnowali z zawodu. Ta świadomość, no i doświadczenie, jakie zebraliśmy w ciągu kilkunastu lat małżeństwa, uświadamiają, że jeżeli gdzieś szukać pomocy w trudnych chwilach, no, to właśnie w domu, w rodzinie.

– W wielu rzeczach zgadzacie się ze sobą, a w jakich macie odmienne zdanie?

– Oczywiście, że czasami o pewnych sprawach inaczej myślimy. Adam pewne rzeczy chce załagodzić, a ja bardziej kategorycznie podchodzę do nich, może mam ciut trudniejszy charakter niż on, chyba jest bardziej ugodowy.

– Trudno mi o siebie w ten sposób mówić. Ale akurat z tym mogę zgodzić się.

– Ale nie jest pan pod pantoflem?

– Wydaje mi się, że nie, ale zdarzały nam się różne sytuacje, w których nie zgadzamy się. Ale żaden z konfliktów nie spowodował, że było z nami bardzo niedobrze.

– Ale co to znaczy: „być pod pantoflem”? Że niby ja rządę wszystkim? Absolutnie tego u nas nie ma. Wiele rzeczy ustalamy wspólnie. Obydwoje mamy co do wielu spraw wątpliwości i nie jesteśmy ludźmi, którzy wszystko stawiają na ostrzu noża – tak ma być i bez dyskusji.

– Każdą ważną decyzję podejmujemy wspólnie. Nie zdarza nam się zaskakiwać partnera mówiąc: „Wiesz, kochanie, właśnie kupiłem drugi dom”. Chociażby dlatego, że nie byłoby za co kupić nawet dodatkowego pokoju.

– Jesteście szczęśliwi?

– Jak jesteśmy wszyscy zdrowi, to jest fajnie. Szczęście to są chwile – to może być chwila, kiedy jesteśmy na wakacjach, albo taka, że teraz wracamy do domu, siadamy wszyscy czworo przy stole, jemy obiad, dzieciaki są wesołe, nic nie dzieje się złego.

– Jednostkowe szczęście wynika ze szczęścia zbiorowego.

– Trzymał pan na scenie żonę w ramionach i mówił jej, że ją kocha?

– Czy ja cię trzymałem i mówiłem... pewnie tak. Tyle ról, że pewnie tak było. Ale nie zapadło mi to szczególnie w pamięć.

– Na scenie jesteście partnerami i staramy się nie myśleć, że jesteście razem, bo to może przeszkadzać w pracy.

– A kiedy mąż powiedział ostatnio, że panią kocha?

– Zdarza się to często, a powiedział to parę dni temu. Adam wychodzi z założenia, że liczą się czyny, nie słowa. Nie trzeba tego mówić...

– ... zbyt często.

– Chociaż podobno kobiety potrzebują to słyszeć, obojętnie: czy to prawda, czy nie. Że są piękne, mądre, inteligentne i że są kochane. Dlatego mów mi to codziennie.

– Dobrze, postaram się nadrobić zaległości.

Z dr. KAROLEM RAFAŁEM BULĄ, muzykologiem,
prezesem Towarzystwa im. Karola Szymanowskiego,
rozmawia REGINA GOWARZEWSKA-GRIESSGRABER

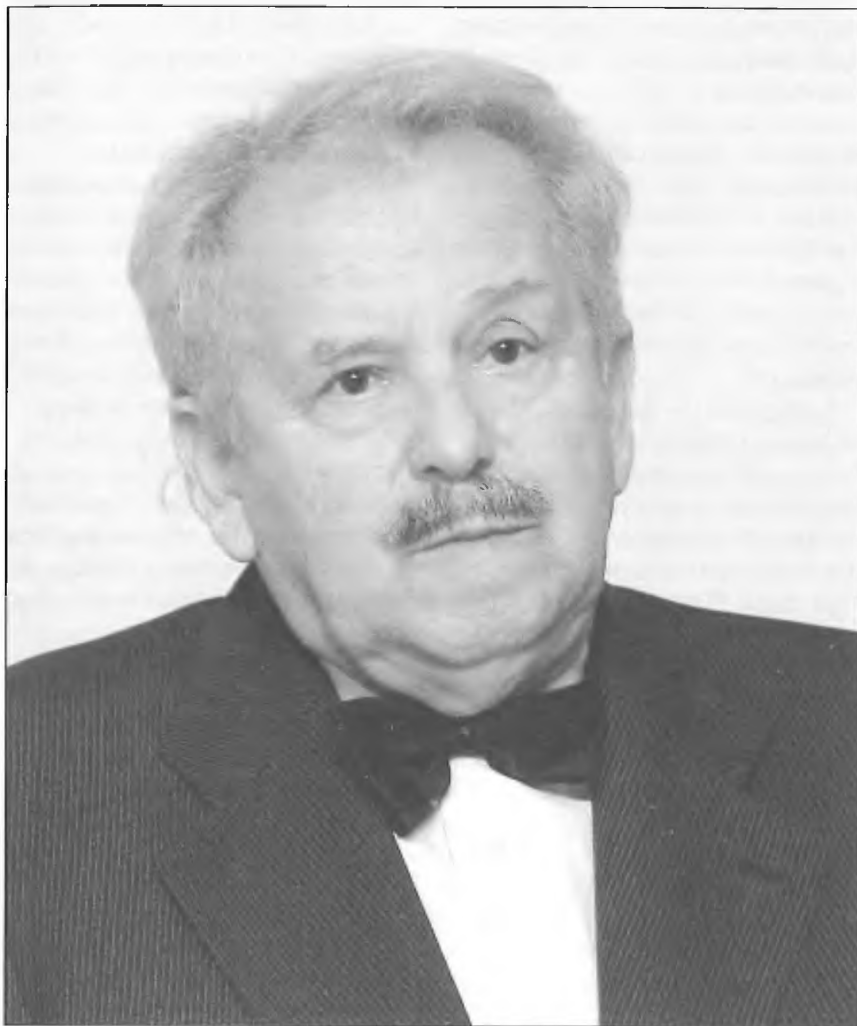


Foto: Zbigniew Sawicz

Do Szymanowskiego trzeba dojrzeć

– Skąd wzięło się pana zainteresowanie muzyką i postacią Karola Szymanowskiego?

– Trudno nie być zainteresowanym drugim największym kompozytorem polskim po Fryderyku Chopinie. Dla mnie, muzykologa, jest to niewyobrażalne. Myślę, że trochę podczas studiów ukierunkowała mnie prof. Stefania Łobaczewska. Miałem pisać u niej pracę magisterską na temat wpływu muzyki Szymanowskiego na „Wierchy” Artura

Malawskiego. Właściwie zabierałem się już do pracy nad tym tematem, gdy pani profesor zmarła, a nikt inny nie chciał podjąć się prowadzenia mojej pracy. Zmieniłem wówczas temat na analizę dorobku Bolesława Szabelskiego.

– Mówi pan o wielkości kompozytora, a mnie bardziej interesuje, co bezpośrednio do pana przemówiło w muzyce Szymanowskiego?

– Znalazłem w jego twórczości wszystko czego szuka człowiek kochający mu-

zykę. Wrażliwość, doskonały warsztat i nieprzerwane dążenie do ideału.

– Do mnie, na przykład, muzyka Szymanowskiego przemawia przez swoją plastyczność.

– O tak, i pewnie przez swe wielkie bogactwo. To właśnie określam szerokim pojęciem „warsztat”, który zresztą u niego ciągle ewoluował. Przy tym była to zawsze muzyka budząca ogromne emocje i spotykająca się coraz częściej z uznaniem. Począwszy od pierwszych „Preludiów” w jego muzyce każdy dźwięk ma sens.

– Od naszych sąsiadów Czechów powinniśmy się uczyć, jak promować narodowych kompozytorów. Dworzak czy Janacek są grywani w całym świecie. Dlaczego Szymanowski ciągle jest mało zauważany poza granicami naszego kraju?

– To na szczęście się zmienia. Jego dojrzała twórczość przypadła na okres dosyć niefortunny, tuż przed II wojną światową. Nie mógł wykorzystać w pełni swoich sukcesów kompozytorskich, chociażby tych paryskich czy praskich. Cóż, to był rok 1935. Dwa lata później Szymanowski zmarł, a po kolejnych dwóch latach wybuchła II wojna światowa. Po wojnie od nowa trzeba było zainteresować świat jego twórczością. I udało się. W ostatnich latach muzyka Szymanowskiego ma już swoje uznane miejsce w programach sal koncertowych poza granicami Polski. Wykonują ją najwybitniejsi artyści, dziełami orkiestrowymi dyrygują najwięksi dyrygeneci, jak np. Sir Simon Rattle, szef berlińskich Filharmoników.

– Dwa lata temu świętowany był Rok Szymanowskiego. Czy to pomogło w promocji jego muzyki?

– Rok Szymanowskiego spowodowany został przez Towarzystwo im. Karola Szymanowskiego z okazji 125. rocznicy urodzin kompozytora i 70. rocznicy jego śmierci. Towarzystwo podjęło wysiłek dotarcia do Sejmu RP, a potem do wszystkich polskich instytucji kultury na całym świecie. Także i do ludzi, którzy nie pochodzą z naszego, polskiego środowiska, ale wskazują zainteresowanie twórczością Szymanowskiego. Wszędzie staraliśmy się zwracać uwagę na jego dorobek i wspomniane rocznice. Cóż, 100. rocznica urodzin w 1982 roku została w Polsce zmnarowana ze względu na stan wojenny, chociaż czyniono wcześniej spore przygotowania do obchodów owej pięknej rocznicy. Niestety poszły one w próżnię. Polska społeczność muzyczna, rezygnując z szerokiego udziału w obchodach, solidaryzowała się z przeciwnikami stanu wojennego.

– Bywa, że tej międzynarodowej promocji sprzyjają na pozór małe kroczki.

– Oczywiście. Jako dyrektor Międzynarodowego Konkursu Wokalistyki Operowej im. Adama Didura w Bytomiu nalegałem np. aby w programie konkursu dla sopranów nie zabrakło Pieśni Roksany z opery „Król Roger” Szymanowskiego. Okazało się, że zagraniczne uczestniczki bardzo chętnie sięgają po tę pozycję, doceniając jej uniwersalne wartości artystyczne.

– **Czy współczesnego słuchacza łatwo zainteresować muzyką Karola Szymanowskiego?**

– Nasze koncerty festiwalowe (pamiętam, że w lipcu w Zakopanem co roku odbywają się Międzynarodowe Dni Muzyki Karola Szymanowskiego) posiadają tę zaletę, że nie mają charakteru imprez monograficznych. Jeżeli przeważa w nich muzyka Szymanowskiego, to z różnych epok, z różnymi wykonawcami. Tak, żeby coś przemówiło do słuchacza, jeżeli jest to jego pierwszy kontakt z Szymanowskim. Potem jest szansa, że sięgnie po kolejne utwory. Do Szymanowskiego trzeba bowiem dojrzeć. To nie jest tak, że początkującemu słuchaczowi zaszerwuje się „Metopy” i on je od razu zaakceptuje. Z „Mitami” jest już łatwiej, bo mało kto pozostanie obojętnym, słuchając „Źródła Aretuzy”. Nokturn i Tarantela też podobają się niemal wszystkim. Popularnością cieszą się pieśni z cyklu „Rymy dziecięce” i „Pieśni kurpiowskie”, a już inne cykle, na przykład do słów poetów niemieckich, są raczej trudne. Co ważne, w naszych koncertach obecne jest zwykłe słowo wiążące. Trudna muzyka wymaga werbalnego przygotowania słuchacza. Tak, żeby słuchając muzyki, już coś wiedział o kompozytorze i utworze. Jeżeli stanie wobec utworu muzycznego bez jakiegokolwiek przygotowania, a nigdy z taką muzyką nie obcował, to istnieje niebezpieczeństwo, że mógłby się do niego zniechęcić. Komentator, uprzedzając temat, daje mu szansę na to, że z czasem przekona się do wartości muzyki. Niech przykładem będzie tegoroczny, lipcowy festiwal w domu Szymanowskiego w Zakopanem, Atmie. Zgromadził liczną publiczność. Nie starczało miejsca w pomieszczeniach Atmy. Ludzie stali na ganku i słuchali muzyki przy otwartych oknach.

– **Jakie macie najbliższe plany, aby zachęcać słuchaczy?**

– Myślę, że Szymanowskiemu powinno sprzyjać przyszłoroczne połączenie go z Chopinem, z okazji obchodów „Roku Chopinowskiego”. Już robiliśmy podobne koncerty. Na przykład Wiesław Szlachta grał Mazurki Szymanowskiego i Mazurki Chopina. Inni artyści łączyli preludia Chopina z preludiami Szymanowskiego. Takie zestawienia zawsze wypadają interesująco. Bardzo chciałbym, aby w przyszłym roku znalazły się środki na wy-

konanie w kolejnym XXXIII już festiwalu w Zakopanem wszystkich utworów fortepianowych Szymanowskiego, łącznie z IV Symfonią Koncertującą. Chcemy zaprosić mocną reprezentację międzynarodową, w tym także Polaków mieszkających i koncertujących za granicą – Wiesława Szlachtę (Belgia), Teresę Czekaj (Francja), Adama Wodnickiego (USA)...

– **Jesienią ubiegłego roku Towarzystwo podpisało umowę o współpracy z duńskim Towarzystwem im. Carla Nielsena w Odense.**

– Ta współpraca nabiera rumieńców. Podczas tegorocznego letniego festiwalu w Zakopanem muzyka Nielsena była bardzo bogato reprezentowana. Gościliśmy duńską pianistkę oraz polską śpiewaczkę, Klaudię Kidoń, mieszkającą od kilkunastu lat w Danii, absolwentkę katowickiej Akademii Muzycznej. W Kopenhadze mieszka też muzykolog Ewa Maria Jensen, która jest Polką z pochodzenia. To właściwie ona zainicjowała naszą współpracę. Przyjechała do Polski i zapytała, czy nie byłibyśmy zainteresowani kontaktami z Danią. Początkowo wydawało mi się, że Szymanowski w Danii jest wystarczająco dobrze znany. Przecież w Odense przez lata pracował prof. Karol Stryja, który promował polskich kompozytorów. Okazało się jednak, że nawet wielu duńskim muzykom twórczość naszego kompozytora jest nieznana. Ambasada polska zaprosiła mnie w ubiegłym roku do Kopenhagi, wraz z prof. Joanną Domańską, wiceprezesem Towarzystwa, która wystąpiła z trzema koncertami, oczywiście z muzyką Karola Szymanowskiego, ale również z utworami Chopina. Wówczas została podpisana umowa.

– **Dodajmy, że pianistka Joanna Domańska, profesor katowickiej Akademii Muzycznej, przepięknie gra kompozycje Szymanowskiego.**

– To wybitna odtwórczyni jego utworów. Ma konieczną wrażliwość na niuanse, czasem wręcz ukryte, nie zawsze dostrzegane wartości muzyki tego kompozytora. Mam nadzieję, że w ślad za dotychczasowymi nagraniami płytowymi zechce dokonać nagrań całokształtu fortepianowej twórczości Szymanowskiego.

– **Wróćmy do Odense...**

– Tam poznałem pana Knuda Kettin-ga, prezesa Towarzystwa im. Carla Nielsena. Szybko zaprzyjaźniliśmy się, co w takich kontaktach jest bardzo ważne.

– **W Polsce muzyka Nielsena zabrzmiała podczas festiwalu w Zakopanem i Katowicach, a co zrobili Duńczycy dla Szymanowskiego?**

– To uzasadnione pytanie. Myślę, że strona duńska stara się wywiązać z wynikających ze współpracy postanowień. Duńskie towarzystwo wydało np. specjalny biuletyn poświęcony Szymanow-

skiemu. Ich towarzystwo nie ma jednak w statucie organizowania festiwalu. Propagują Szymanowskiego w filharmoniach, operach. Te działania też są cenne. Mamy nadzieję, że dzięki temu wielkie dzieła spotkają się tam z należy-tym odbiorem. W przygotowaniu jest m.in. wystawienie „Króla Rogera”. W przyszłym roku z koncertami wystąpi ponownie Joanna Domańska a prawdopodobnie również warszawski Kwartet „Prima Vista”, który ma w programie kwartety smyczkowe Nielsena i Szymanowskiego. Perspektywa rozwoju kontaktów nastraja optymizmem.

– **Jak doszło do tego że pan, człowiek tak silnie związany ze Śląskiem, działa w towarzystwie z siedzibą w Zakopanem, promując muzykę kompozytora związanego mocno właśnie z tamtym regionem?**

– Promocja muzyki Karola Szymanowskiego, to działanie ponadregionalne a związek z Towarzystwem wynika z mojej ogólnej aktywności. Początkowo wybrano mnie do zarządu, potem powierzono mi funkcję prezesa. Jestem nim już piątą kadencję. Myślę, że nie świadczy to źle o tym, co robimy w Zakopanem, w kraju, a także za granicą (koncerty i wykłady w Berlinie, Pradze itd.). Prezesurę rozpocząłem z długami, ale szybko wyszliśmy na prostą i jakoś dajemy sobie radę. Po 1989 roku sytuacja zmieniła się na niekorzyść działań wszelkich towarzystw muzycznych. Nie ma stałych subwencji i wszystko robimy w oparciu o składki, dary, wsparcie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz sponsoring.

– **Wygląda więc, że skoro prezes i wiceprezes Towarzystwa są ze Śląska, to tutaj bije serce promocji muzyki Karola Szymanowskiego.**

– Towarzystwo zawsze miało swe silne wsparcie w ludziach z naszego regionu. Wojciech Kilar, Tadeusz Żmudziński i Henryk Mikołaj Górecki byli w pierwszym zarządzie. Potem był Leon Markiewicz, Teresa Michalik, byłem ja. Śląscy muzykolodzy i muzycy od dawna interesują się twórczością tego kompozytora. Zresztą, katowicka Akademia Muzyczna nosi jego imię. W Akademii odbywa się festiwal poświęcony Karolowi Szymanowskiemu zawsze w powiązaniu z innym, jemu współczesnym kompozytorem. Pomysł ten pochodzi od pierwszego prezesa Kola Arkadiusza Kubicy i kontynuowany jest przez katowickie Koło Towarzystwa, działające przy Akademii. Szymanowski był i jest nam bliski. Przecież był w Katowicach i niewiele brakowało, a piastowałby stanowisko profesora w Konserwatorium Śląskim w Katowicach. W 1936 roku zdradzał taki zamiar! Niestety w realizacji tego zamiaru przeszkodziła mu śmierć.



Zdzisław Krzyszkowiak był mocnym punktem naszej lekkoatletycznej reprezentacji, także na Stadionie Śląskim (tu zwycięża na bieżni w Chicago z w meczu z USA w 1962 r.)

Powrót „królowej”?

JERZY
MACHURA

Nadspodziewanie udany występ polskich lekkoatletów w sierpniowych mistrzostwach świata w Berlinie sprawił, iż zrobiło się bardzo głośno o uznawanej za „królową sportu” dyscyplinie. Przypomnijmy, że nasi reprezentanci zdobyli w stolicy Niemiec 8 medali, w tym dwa złote: Anna Rogowska – w skoku o tyczce i Anita Włodarczyk w rzucie młotem (z rekordem świata). Tak udanego występu polskich lekkoatletów jeszcze nie notowały dotychczasowe kroniki mistrzostw świata!

Nic więc dziwnego, że pojawiły się hurraoptymistyczne komentarze co do przyszłości „królowej” w naszym

kraju, a zarazem wybuchła dyskusja o stanie bazy lekkoatletycznej w Polsce, a raczej: o jej braku. Wznoszony w stolicy Stadion Narodowy czy inne stadiony przygotowywane z myślą o EURO 2012, nie będą dysponowały bieżnią lekkoatletyczną. Jedynym tego typu, nadającym się do organizowania imprez wielkiej rangi, obiektem może się pochwalić Bydgoszcz, ale tamtejszy Stadion im. Zdzisława Krzyszkowiaka pomieści „tylko” 20 tysięcy widzów, zbyt mało, by organizować lekkoatletyczne MŚ. Zatem, dlaczego nie na Stadionie Śląskim? Modernizowany obecnie nakładem ponad 300 mln zł stadion w Chorzowie będzie wyposażony m.in. w bieżnię, dach z poliwęglanu i, co

najbardziej istotne – pomieści aż 55 tysięcy widzów. Czyli...: – To miejsce, gdzie można zorganizować nawet mistrzostwa świata w lekkoatletyce – rozbudza nadzieje miłośników sportu, nie tylko na Śląsku stwierdził marszałek województwa śląskiego – Bogusław Śmigieński. Choć w łonie działaczy Polskiego Związku Lekkiej Atletyki zdaje się zwyciężać koncepcja budowy nowego obiektu w stolicy, to jednak minister sportu Mirosław Drzewiecki przyznaje, że to właśnie przebudowywany chorzowski stadion jest potencjalnym miejscem dużych imprez lekkoatletycznych, dodając, że „Nie wszystkie zawody międzynarodowe muszą odbywać się w Warszawie”. A zatem, choć Stadion Ślą-

ski przegrał walkę o piłkarskie EURO 2012 rodzą się godne pochwały koncepcje związane z innymi dyscyplinami – pomyśły by na zmodernizowanym chorzowskim stadionie organizować wielkie międzynarodowe imprezy lekkoatletyczne. Byłby to powrót do wcale bogatej przeszłości.

Swoją lekkoatletyczną świetność Stadion Śląski przeżywał w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Wtedy reprezentacja Polski nazywana była „Wunderteamem”, siejąc postrach na stadionach całego Starego Kontynentu. W tamtych czasach modne były mecze międzypaństwowe, w których rywalizowały dwie (czasem trzy) narodowe reprezentacje, po dwóch zawodników z danego kraju w każdej konkurencji. W właśnie podczas takich zawodów na bieźni, skoczniach i rzutniach padały tu znakomite wyniki z rekordami włącznie. Wyniki, jakich nie powstydziliby się dzisiejsze tabele najlepszych osiągnięć w świecie.

Starsi miłośnicy „królowej sportu” pamiętają zapewne mecz ze światową potęgą czyli ZSRR w 1967 r. Był to wspaniały sportowy spektakl, a widzowie na trybunach Śląskiego mieli czym się emocjonować. Przypomnijmy np., że podczas tego meczu Irena Kirszenstein (później znana jako Szewińska) wyrównała rekord świata w biegu na 200 m z czasem 22,7 s. W 1969 r. w trakcie trójmecz z NRD i ZSRR, Rosjanka Nadieżda Czyżowa jako pierwsza kobieta na świecie pokonała w pchnięciu kulą granicę 20 m, ustanawiając rekord świata wynikiem 20,09 m. Oczywiście nie brakowało i rekordów krajowych, a co ciekawe, najczęściej notowano je w skoku w dal.

To były piękne dni

W 1968 r., w meczu z Włochami rekord Polski w skoku w dal rezultatem 8,11 m ustanowił zawodnik Górnik Zabrze a pochodzący z Jaworzna Andrzej Stalmach. Wynik ten do dziś jest rekordem województwa śląskiego. A to przecież już 40 lat! Właśnie skocznia w dal Stadionu Śląskiego wyróżniała się wyjątkową magią. Bo, po rekordzie Stalmacha, już w 1969 r. Andrzej Stępień skoczył w Chorzowie 8,21 m przebijając się do ścisłej światowej czołówki. A wcześniej, w 1957 r., pochodzący z Czeladzi Henryk Grabowski ustanowił właśnie tu, podczas meczu z ekipą NRD, jeden ze swoich 8 (!) rekordów kraju skacząc 7,80 m.

Może więc warto przypomnieć, „ku poźrępieniu serc” śląskich miłośników „królowej sportu” w, ostatnich latach mocno wygłodzonych, tamte wielkie lekkoatletyczne spektakle.

Właśnie wspomniane spotkanie z NRD w 1957 r. było pierwszym po wojnie meczem międzypaństwowym organizowanym w naszym regionie. Na niespełna rok przed polską victorią na Mistrzostwach Europy w Sztokholmie, gdzie byliśmy prawdziwą rewelacją zdobywając aż 8 złotych medali i objawiając się jako pierwsza potęga na kontynencie. Mecz z NRD nasi panowie wygrali dość łat-



Oszczepniczka Daniela Jaworska po rekordowym rzucie w Chorzowie, na archiwalnej fotografii znanego śląskiego fotoreportera CAF – Stanisława Jakubowskiego.

two 128:84 i a panie zremisowały 53:53. Oprócz rekordu Grabowskiego (rok później zdobył brąz na ME), poprawki do tabel najlepszych osiągnięć w dziejach polskiej lekkoatletyki wnieśli: Zbigniew Lewandowski 2,05 w skoku wzwyż i Eugeniusz Rusinówna – 14,71 w pchnięciu kulą. Śląskiej publiczności godnie zaprezentowały się takie asy, wygrywając swoje konkurencje jak: Zdzisław Krzyszkowiak (późniejszy dwukrotny mistrz w Sztokholmie w biegach na 5 i 10 km), Janusz Sidło (mistrz w rzucie oszczepem), Edmund Piątkowski (mistrz w rzucie dyskiem), Zbigniew Makomski (4 w Sztokholmie na 800 m), Olgierd Ciepiły (4 – rzut młotem) czy Elżbieta Krześnińska (mistrzyni olimpijska z 1956 r. i wicemistrzyni z 1960 w skoku w dal).

Wielkie widowisko

Najwięcej emocji dostarczył niewątpliwie rozegrany w pierwszych dniach lipca 1967 r. mecz z ZSRR przegrany przez męską reprezentację 99:111, ale niespodziewanie wygrany przez żeńską drużynę 66:51. Oprócz wspomniane-

go wyrównującego rekord świata biegu na 200 m, zanotowano także rekord Europy w pchnięciu kulą mężczyzn – Edward Guszcza (ZSRR) uzyskał 19,64 m poprawiając osiągnięcie Węgry Vilmosa Varju o 2 cm. Padły także 3 rekordy Polski (jedne wyrównano) i 3 – ZSRR, a szczególnie oklaskiwano rekordowy rzut oszczepem Daniela Tarkowskiej – Jaworskiej – 58,68 m.

Było to wydarzenie ze wszech miar udane, zarówno w kontekście stricte sportowym, ale i widowiskowym. Zresztą „oddajmy głos” ówczesnym komentatorom śląskiej prasy.

Oto fragmenty z „Trybuny Robotniczej” z poniedziałku 3 lipca 1967 r.: „Niezapomnianych przeżyć – po raz pierwszy w takim rozmiarze na naszym terenie – dostarczył międzypaństwowy mecz lekkoatletyczny Polska – Związek Radziecki, w sobotę i niedzielę na Stadionie Śląskim. Pojedynek dwóch najsilniejszych w Europie zespołów lekkoatletycznych był – zgodnie z oczekiwaniami – pasjonujący i trzymał wszystkich w napięciu aż do ostatniej konkurencji. Mecz drużyn kobiecych wygrała Polska – nadszpiewa-

nie wysoko, bo różnicą aż 15 punktów – 66:51! W spotkaniu teamów męskich zwyciężyli reprezentanci ZSRR – 111:99. Mecze oficjalnie punktowane były osobno dla kobiet i osobno dla mężczyzn. W nieoficjalnej punktacji łącznej – jak łatwo obliczyć – wygrała Polska 165:162”.

Ta sama gazeta pisała też: „Mecz był wielkim przeżyciem. Pozbawiona przez wiele lat wielkich imprez lekkoatletycznych publiczność naszego województwa, choć nie wypełniła Stadionu Śląskiego po brzegi, lecz najwyżej w połowie, mogła przekonać się, jak wielkim przeżyciem jest taka „lekkoatletyka na szczycie”. I dalej sprawozdawca „TR” – Zbigniew Dutkowski konkludował: „Można chyba powiedzieć, że śląska publiczność „polknęła lekkoatletycznego bakcyła”. Zdała egzamin bieżnia na Stadionie Śląskim doskonale przygotowana, zdała egzamin rzutnie i skocznie, zdała egzamin organizacja. Spikerka poprawiła się w drugim dniu imprezy.

Wielkie, niezapomniane przeżycie sportowe! Lekkoatletyka dowiodła raz jeszcze – tym razem publiczności przywykłej raczej do piłki nożnej, że jest „królową sportu”. Cieszymy się, że w tej kró-

lewskiej dyscyplinie zaliczamy się do czołówki międzynarodowej”.

Ale nie tylko śląscy dziennikarze wrażliwi zachwyty. Sięgnijmy do roczników nie istniejącego już, a jakże kiedyś poczytnego warszawskiego tygodnika „Sportowiec”. Tytuły publikacji: „Mecz rekordów” i „Wielki spektakl” mówią same za siebie, a słowa uznania tym bardziej miały wartość, jeśli zważyć, że przecież w tamtych latach warszawski „Stadion Dziesięciolecia” był właściwie monopolistą na tego typu imprezy i zawody o Memorial Kusocińskiego – jednego w owych czasach z najważniejszych mitingów (choć wtedy takiej nazwy jeszcze nie używano) lekkoatletycznej Europy.

„To było naprawdę imponujące, wszechstronnie przygotowane widowisko. Organizatorzy międzypaństwowego spotkania w lekkiej atletyce Polska – ZSRR, rozegranego na chorzowskim gigancie, uczynili wszystko, by mecz dwóch lekkoatletycznych potęg otrzymał godną oprawę” – pisał „Sportowiec” i dalej: „Nadano chorzowskiemu meczowi bardzo wysoką rangę. Wyrazem tego może być tradycyjna na Śląsku, pięknie pre-

zentująca się orkiestra górnicza, z udziałem fanfarzystów w górniczych strojach, przeprowadzany po każdej konkurencji ceremonial nagradzania jej uczestników, świetnie przygotowana organizacja widowni. O przysposobieniu urządzeń sportowych mówią najlepiej wyniki, jakie osiągnęto podczas meczu”.

Sprawozdawcy narzekali jednak na kiepską informację na stadionie, na spike-ra, postulując potrzebę zainstalowania wielkiej świetlnej tablicy z wynikami, znanej z transmisji telewizyjnych z Rzymu, Tokio czy Budapesztu.

I jeszcze inne cytaty, które choć dziś mogą śmieszyć, albo uchodzić za nieistotne, to jednak oddają one klimat tamtych czasów, więc chyba warto je przytoczyć, choćby ze względu na retrospekcje u starszych czytelników „Śląska”:

„Kolejny wielki plus tego meczu, to wcale nieblahe sprawy zaopatrzenia. Zorganizowano je wręcz wzorowo. Mimo upału nie brakło napojów orzeźwiających, szerokiego asortymentu owoców, każdy kto czuł się głodny mógł szybko i na miejscu ten głód zaspokoić. Piszemy o tym dlatego, ponieważ funkcjonowanie przenośnych punktów zaopatrzenia widowni jest również bardzo ważne dla wytworzenia sobie pełnego obrazu i poglądu na organizację imprezy. Od tej strony śląskie przedsięwzięcie zdało egzamin bardzo dobrze”.

Ale jak się okazało, reporterzy ze stolicy szybko jednak zgłodnieli, i tu pojawił się problem, bo...: „Ekipa „Sportowca” wracała tuż po zakończeniu lekkoatletycznego meczu. Nie było więc zbyt późno. Mimo woli jednak nasunęły się nam pewne refleksje związane z Międzynarodowym Rokiem Turystyki. Piękna jest szosa z Katowic do Warszawy, szczególnie jej przebudowany odcinek wiodący do Częstochowy. Ale zarówno tam, jak i na dalszej części trasy, nie dostrzeżesz ani jednego przydrożnego zajazdu, nie ma tego, co spotkać można w Słowiku pod Kielcami czy też pod Słupcą w drodze na Poznań. Jakiś motel, jakaś gospoda turystyczna, bardzo by się na tej szosie przydały”.

Nawet biorąc poprawkę na zadęcie ówczesnej propagandy, także w prasie sportowej, niewątpliwie mecz z ZSRR był jednym z najważniejszych tego typu wydarzeń w historii tej dyscypliny w Polsce.

Gwoli kronikarskiej dokładności dodać trzeba, że tego samego roku Stadion Śląski był też areną Ogólnopolskiej Spartakiady Lekkoatletycznej, która miała oczywiście rangę mistrzostw kraju, jedynych w dziejach chorzowskiego stadionu.

Rok później zorganizowano na Śląskim mecz z męską reprezentacją Włoch, wygrany przez Polaków 117:113. Włosi ustanowili swoje rekordy krajowe, oczywiście na skoczni – w dal, a także w trójskoku (Giuseppe Gentile – ten sam, który parę miesięcy potem podczas IO w Meksyku odebrał „kanguruowi z Zabrze” czyli Józefowi Szmidtowi rekord świata, ostatecznie zdobywając brązowy medal). W ówczesnych komentarzach prasowych podkreślano bardzo miłą atmosferę towarzyszącą tymże zawodom a największą radość sprawił nam Andrzej



Irena Kirszenstein w 1967 r., na chorzowskiej bieżni wyrównała rekord świata na 200 m.

Stalmach. Wynikiem 8,11 wpisał się na listę światowej czołówki i potwierdził swe wielkie możliwości. Zawodnik Górnik Zabrze poprawił własny rekord kraju – 7,96). Świetnie spisali się też nasi czterystumetrowcy, którzy wtedy królowali na europejskich bieżniach i jedynie Niemcy z RFN mogli z nimi rywalizować. W meczu w Chorzowie Polacy pomogli gościom ustanowić rekord kraju w sztafecie 4x400 m. Także sprinterzy pokonali mocnych przecież Włochów, a Henryk Szordykowski wygrał oba średnie dystanse.

Rekord świata i... początek końca

22 czerwca 1969 r. na Stadionie Śląskim odbyła się impreza Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, a jej okrasą był start znakomitych lekkoatletów z egzotycznych zakątków: z Kenii i Kuby. Zwłaszcza występ biegacza z Afryki był nie lada wydarzeniem, wszak to właśnie Kenijczycy byli rewelacją Igrzysk Olimpijskich w Meksyku, rozegranych w październiku 1968 r. W biegu na dystansie 3 km wystąpiły takie sławy jak: Naftali Temu (złoty medalista z Meksyku na 10 km), Amos Biwott (mistrz olimpijski na 3 km z przeszł.) czy maratończyk Paul Moses. Oczywiście Kenijczycy na chorzowskiej bieżni nie mieli sobie równych, ale w biegu na 1500 m, niespodziewanie Benjamin Jipcho uległ naszym średniodystansowcom zajmując dopiero 4 miejsce. A wygrał Henryk Szordykowski przed Witoldem Baranem. A przecież Jipcho na następnej olimpiadzie w Monachium został wicemistrzem w biegu przeszkodowym.

W 1969 r. w trakcie trójmeczów z NRD i ZSRR oprócz znakomitego rezultatu w pchnięciu kulą kobiet, wart podkreślenia był wynik Andrzeja Stępnia (Społem Łódź) 8,21 m – rekord który przetrwał do 1975 r., kiedy Grzegorz Cybulski skoczył w Paryżu 8,24 m. Na chorzowskiej bieżni zanotowano również znakomity czas triumfatorki biegu na 100 m przez płotki. Niemka Karin Balzer uzyskała 13,2 s., ale przy nadmiernej pomocy wiatru.

Nasi lekkoatleci sprawili w tym trójmeczach spory zawód potwierdzając postępujący regres. Katowicki „Sport” z 14 lipca 1969 r. eksponował, co oczywiste, „fantastyczny rekord świata w Chorzowie”, ale nie mógł przekazać zbyt wiele dobrych rezultatów naszych reprezentantów, toteż na tejże pierwszej stronie odnotował sporymi literami nazwiska mało ze sportem związane: „Aczkolwiek pogoda nie dopisała, na trybunach Śląskiego giganta zgromadziło się w oba dni po około 20 tysięcy widzów. Nadzwyczajne pojedynki, których rezultatem jest m.in. rekord świata (Cziżowa – ZSRR – 20,09 w pchnięciu kulą), 1 rekord Polski (Stępień – 8,21 w skoku w dal) i kilka wyników na najwyższym światowym poziomie (po bito m.in. 14 rekordów stadionu) obserwowali z łoża honorowej m.in. sekretarze KW PZPR w Katowicach, tow. Wiesław Kiczan, Stanisław Skibiński i wiceminister hutnictwa, Ryszard Trzcionka”.



Oto ten, który w 1968 r. ustanowił na skoczni w Chorzowie dwa rekordy Włoch – w dal i w trójskoku, a potem na igrzyskach w Meksyku odebrał rekord świata Józefowi Szmidtowi czyli Guiseppe Gentile.

Niestety był to schylek „Wunderteamu”. Na 32 żeńskie i męskie konkurencje wygraliśmy zaledwie 5. Zenon Nowosz na 100 m, Jan Werner na 400 m, Witold Baran na 5 km, wspomniany Stępień oraz Tarkowska – Jaworska w oszczepie. Przegraliśmy nawet naszą koronną konkurencję 4x400 m – to wtedy właśnie nasi rekordziści kontynentu doznali pierwszej od trzech lat porażki z europejskimi konkurentami. Polscy biegacze tłumaczyli się silnymi podmuchami wiatru w niecie chorzowskiego stadionu, zapierającymi dech w piersiach...

W efekcie ulegliśmy na wszystkich frontach: z NRD 43:85 (kobiety) i 91:121 (mężczyźni) oraz z ZSRR 51:77 (k) i 89:122 (m). Zwycięzcami trójmeczów okazali się NRD-owcy, którzy pokonali ZSRR 109:102, ale wśród kobiet wygrał team ZSRR 67:61. Absencje chorej Ireny Szewińskiej i Henryka Szordykowskiego niewiele tylko usprawiedliwiały te wyniki. Ale i tym razem „królowa sportu” dobrze czuła się na Śląskim, a na łamach „Sportu” Manfred Matuschewski (NRD-owski halfmiler (800 m), trzykrotny medalista ME, w tym dwukrotnie złoty – w Belgradzie 1962 i w Budapeszcie 1966) zwierzał się: „Chciałbym czę-

ściej startować na Stadionie Śląskim. Bieżnia jest tutaj znakomita.”

Ale ani Matuschewskiemu, ani innym znanym lekkoatletom nie dane było już startować w Chorzowie. Z końcem lat sześćdziesiątych na arenach wprowadzano tartan (u nas jako pierwszy stadion warszawskiej Skry), a na Śląskim bieżnię zastąpił tor żużlowy. I to był początek agonii. Potem, co prawda podejmowano nieśmiało próby wskrzeszenia „królowej” na zmodernizowanym stadionie MORiS przy ul. Lompy w Chorzowie, ale skończyło się na krajowych mitingach zaliczanych do Grand Prix PZLA.

Teraz, gdy Chorzów pożegnał się z nadziejami na Euro, myśl o reaktywacji lekkoatletyki wraca tym mocniej. Niedawno na łamach prasy marszałek województwa śląskiego Bogusław Śmigielski zapowiedział: „Bieżnia będzie gotowa razem ze stadionem” i że „Duże zawody lekkoatletyczne można będzie zorganizować w Chorzowie choćby w 2011 r. Jesteśmy w kontakcie z PZLA, a już przed rokiem jedna ze spółek energetycznych z naszego regionu wyraziła gotowość sfinansowania takiej imprezy”.

Zatem, poczekajmy na powrót „królowej”. Oby nie jednorazowo...

Przypowieść o Olimpiadzie

Dawno, dawno temu, około 776 r. p. n. e. zdarzyło się, że Pelops Zakochał się w blondynce Hippodamei, córce króla Ojnomaosa i Chciał ją za żonę.

Ojnomaos, człowiek zabawowy i lubiący gry z losem, zgodził się, Ale pod warunkiem, że Pelops wygra z nim wyścig na rydwanie; Jeśli nie - straci głowę.

Uroda Hippodamei warta była ryzyka, Pelops przystał na to. Zabawy jednak lubił umiarkowanie, jeszcze mniej igraszki z losem, Zechciał więc mu pomóc.

Złotem przekonał królewskiego woźnicę do wyjęcia gwoździ z Rydwanu władcy. Gdy wyścig odbywał się, pojazd się rozsypał i Szedł Ojnomaos między trupy.

Potem Pelops posłał tam też sprzedajnego sługę, wziął nagrodę za Wygrany wyścig, blondynkę i władzę. Ku pamięci zaś swego tryumfu Ustanowił Igrzyska Olimpijskie.

Ta prosta historia słusznie popadła w niepamięć, bowiem miłość, Zdrada i przewrotność zdarzają się zawsze i przemija władza, ale Zwycięzcy dyktują wartości.

Wznośmy więc i my płonący znicz co parę lat, boć nie ma dobra Bez zabawy, urody ciała, konkurencji, dopingu i intryg.

Przypowieść o Odysie

Odyszeusz dokonał wszystkiego, co opisał Homer. Co jednak było dalej, co było?

Penelopa starzała się, tyła, jej marzenia się błękały między stajennym parobkiem a wzdęciami brzucha.

Syn Odyszeusza za nic miał ojca. Dużo pił i widziano go, jak leżał wśród świń w chlewie.

Odyszeusz patrzył, patrzył, patrzył. Któregoś dnia spakował tobolek.

Wyszedł o świcie.

Szedł i szedł do Itaki.

Przypowieść o humaniście

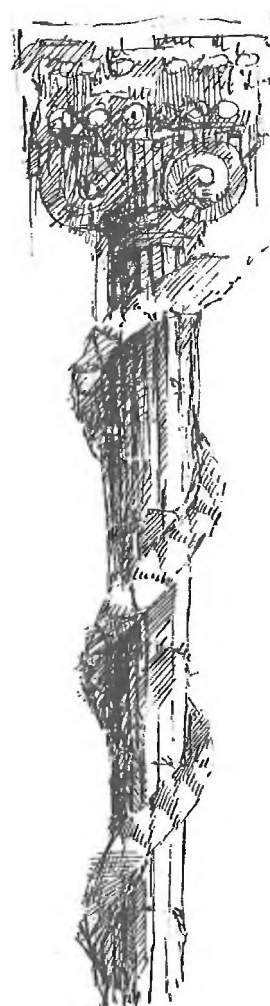
Regulując swój świat wewnętrzny – Zapala światła obiektywne.

Studiując alfa-bet Wynajduje surowicę przeciwko

Zapaściom optymizmu, Choć marzy też o winie, kobietach i psie.

Byłby wbijał gwoździe do (własnej) trumny Od wewnątrz, gdyby godziło to ład z nieładem.

Aliści powiesi się z powodu Zmiany pogody.



Rys. Wojtek Łuka

Przypowieść o Orfeuszu i Eurydyce

Orfeusz idzie za Eurydyką do piekła I ściska szyję żmiji, która ją ukąsiła. Niebawem jej martwe ciało Zamieni się w długi wiatr.

Będzie on podążał za Orfeuszem Aż do Władcy Śmierci. Sprawdzi, Że jego muzyka zablęka się wśród Bogów, jako pozór obietnicy Na powrót Eurydyki.

Ale też ona, przeniknięta trucizną Żmiji, będzie wołała spokój, gary, Dzieci zasmarkane, popularne szlagiery.

Orfeusz wie o tym i woli Odwrócić głowę W drodze powrotnej, Czego bogowie mu zakazali.

Niech ją piekło pochłonie!

Lepsza martwa Żmija, niż ukąszona Miłość.

Przypowieść o zwykłym człowieku I

Pan Kowalski - zwykły przeciętny człowiek -
Był Jezusem Chrystusem, kiedy należało, ale
Stchórzył w ostatniej chwili. Przyjął pocałunek
Judasza i trzydzieści srebrników zainwestował
Z nim w Agencję Towarzystwą.

Teraz jest szanowanym przedsiębiorcą;
Kłania mu się nawet prokurator, a władza
Umywa ręce, sławiąc jego dobroczynność.

Kiedy był Van Goghem,
Uciął w chwili szaleństwa ucho.
Ale zdążył namalować autoportret,
W chwilę przed operacją plastyczną.

Teraz sławi sztukę czystą
I dobrze zamrożoną wódkę.

Kiedy wybrano go trybunem ludu,
Powiesił krzyż na piersi i ogłosił wolność;
Powiódł tłum ku szczęśliwej przyszłości.

Niebawem jednak wrócił,
Bo ktoś musi pilnować interesu,
Zadbać o żonę, zabezpieczyć dzieci,
A o stosownej porze
Zjeść kolację
Przed znojnym pięknem snu

Teraz pan Kowalski będzie panem Bogiem

Przypowieść o królu III

Zajmijmy się teraz – powiedziałem królowi –
Metafizyką i socjologią.

Od metafory
Przejdźmy do komnaty, bo sługa przewyższa
Świadomością pana i nic z tego nie wynika.

Ten pałac – odpowiedział – jest nienaruszalny.
Męczy głowę i ręce, ulega pojęciom
O najwyższym stopniu abstrakcji, a one
Ulegają jemu: sprzężenie zwrotne.

Przejdźmy
Od komnaty do tematu,
A światłość wiekuista
Niech
Się
Śączy.

Przypowieść o zwykłym człowieku II

Pan Kowalski mierzył
Siły na zamiary.

Spoglądał na dłoń:
Linia życia biegła spokojnie,
Linia miłości przecinała inną,
Która zmierzała do zawału.

Zamknął ją na czas,
Pomyślał o etyce bez kodeksu,
Potem o koszuli w paski.

Padł deszcz.

Przypowieść o dzikim maku

Polny kwiat,
Powiedzmy: dziki mak.

Chwilami narkotycznie zdobi,
Chwilami więdnie.

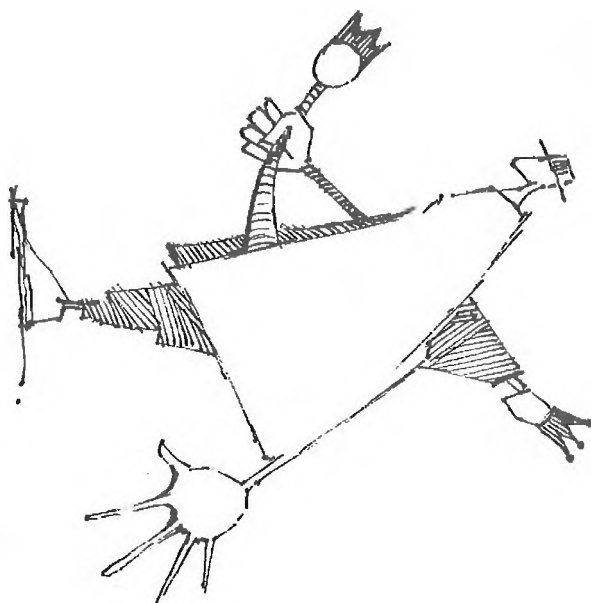
Sprawiedliwie
Przed innym zielskiem
Zdycha.

Nie zmienia jednak
Swej istoty.

Jest chwastem,
Ironią porządku i użyteczności,
Zdziwieniem sensu.

Jest okiem Boga,
Któremu nudzi się trwanie i
Śmieje się artysta.

Dlaczego więc
Dalem się oswoić?



Rys. Wojtek Łuka

Tylko sześć dni

DAGMARA
DRZAZGA

75 lat temu (4-6 września 1934 r.) w Norymberdze miał miejsce VI zjazd NSDAP. Wydarzenie to stało się tematem jednego z najsławniejszych filmów dokumentalnych świata: *Triumfu woli* w reżyserii Leni Riefenstahl. Do dziś nie milkną spory, czy jest to – jak utrzymywała po wojnie jego autorka – jedynie wizualne świadectwo tamtych dni, czy też precyzyjnie wykreowany propagandowy majstersztyk.



Leni Riefenstahl podczas realizacji filmu dokumentalnego o berlińskiej Olimpiadzie w 1936 r.

Wyczekiwano go. Miał udręczoneму narodowi przynieść nadzieję odrodzenia. Był marzeniem pokonanego kraju w pierwszych latach między i chaosu Republiki Weimarskiej. Nowy Zygfryd Niezłomny,

Zbawca Niemiec, Pocieszyciel. W 1922 roku, a więc 11 lat przed powstaniem Trzeciej Rzeszy, napisano słowa brzmiące niczym religijne prośbom:.. Nikt nie wie, skąd nadchodzi. Może z książęcego pałacu albo

domu robotnika. Ale każdy to wie: On jest Führerem. [...] Pewnego dnia objawi się tym, którzy na niego czekają”.

Przepowiednie germańskiego milenium, nastania Złotego Wieku zjednoczenia Austrii i Niemiec oraz powstania królestwa czystych rasowo Ario-Germanów pod przewodnictwem „Mocarza z Wysokości” i znakiem swastyki – obecne już były w wizjach takich volkistowskich „mistyków” i „mistrzów duchowych”, jak Guido von List, Jorg Lanz von Liebenfels czy Alfred Schuler, żyjących na przełomie XIX i XX stulecia. Jednakże pragnienie podporządkowania się silnemu wodzowi osiągnęło apogeum po przegranej I wojnie światowej, w obliczu „hańbiącego” traktatu pokojowego, a następnie kryzysu, inflacji i bezrobocia. Zagubione społeczeństwo obserwujące na ulicach niemieckich miast upadek starego świata, bezkompromisową walkę polityczną, skrytobójcze mordy, dewaluację wszystkich odwiecznych wartości – od religii po rodzinę i państwo (z którym większość nie identyfikowała się lub bała się w nim żyć) – potrzebowało czytelnego wzorca, tytana potrafiącego dokonać rzeczy na pozór niemożliwej: scalenia tych odłamków ludzkich we wspólnotę narodową.

Charyzmatycznym przywódcą niemieckiego narodu miał się okazać Austriak z przygranicznego Braunau nad rzeką Inn, malarz pocztówek i lokator noclegowni dla ubogich przy wiedeńskiej Maldemannstrasse – Adolf Hitler. Rzeczywiście Niemcy musieli znaleźć się na dnie rozpacz, by wynieść na najwyższy urząd w państwie byłego gefrajtra i agresywnego demagoga monachijskich piwiarni. Wydaje się, że prócz frustracji i kompleksów, które w krótkim czasie doprowadziły społeczeństwo do narodowo-socjalistycznego amoku, ważnymi przyczynami takiego stanu rzeczy były poczucie narodowej krzywdy oraz chęć zemsty, umiejętnie podsycane przez hitlerowską propagandę. Erich Fromm, badający pewne cechy charakteru zbiorowego Niemców, określił je mianem „mechanizmów masochistycznych”, ponieważ ich podstawę stanowiły słabość i przerażenie szukające swojej odwrotności, a więc mocy i potęgi. Frustracja ta musiała gdzieś znaleźć ujście: „Hitler kazał nienawidzić. Tym lepiej. Zawsze łatwiej znieść samotność i trwogę, jeśli się widzi sprawcę zła” – zauważył Franciszek Ryszka.

Był koniec lutego 1932 roku. W berlińskim Pałacu Sportu rozkrzyczany i rozhisteryzowany tłum już od dłuższego czasu czekał na swojego Führera.

ra. Wśród tej cizby znalazła się Leni Riefenstahl – znana tancerka i aktorka górskich filmów Arnolda Fancka, a teraz także i reżyser; bowiem ukończyła właśnie swój pierwszy film *Niebieskie światło*. Riefenstahl poszła do Palacu Sportu przez zwykłą ciekawość, zbyt często słyszała nazwisko Hitlera nic o nim nie wiedząc. I kiedy właściwie postanowiła opuścić opóźniające się spotkanie z Wodzem, ten pojawił się nagle i przemówił. „W tej samej chwili doznałam niemal apokaliptycznej wizji, której nigdy nie zapomnę” – odnotowała na kartach swoich *Pamiętników* – „wydawało mi się, że powierzchnia ziemi rozwiera się przede mną, a z jej środka wytryskuje olbrzymia struga wody, tak potężna, że sięga nieba, a ziemia trzęsie się w posadach. Byłam jak sparaliżowana. Choć nie mogłam zrozumieć większości tego, co mówił, byłam tym urzeczona i miałam poczucie, że ta widownia poszłaby za nim wszędzie”. Te słowa nie tylko obrazowo opisują nastrój berlińskiego spotkania z Hitlerem oraz – jakże znamienne – psychologiczną reakcję ludzką, ale stają się wprowadzeniem do *Triumfu woli*, najsłynniejszego filmu Leni Riefenstahl i jednocześnie jednego z najbardziej złowrogich filmów dokumentalnych świata.

Triumf woli został zrealizowany podczas dorocznego *Parteitagu*, czyli zjazdu NSDAP, który odbywał się w Norymberdze we wrześniu 1934 roku. Od samego początku organizowania zjazdów (czyli od 1923 r.) ich celem miało być demonstrowanie siły i jednoci rosnącego w siłę ruchu oraz mitologizowanie jego przywódcy. Stałymi elementami były więc defilady, które Führer odbierał stojąc w odkrytym samochodzie, jego przemówienia, spotkania z reprezentantami różnych warstw społecznych, nocne przemarsze z płonącymi pochodniami czy powtarzające się niczym refren okrzyki „Heil Hitler” – początkowo jedynie pozdrowienie partyjne, z czasem obowiązujące wszystkich Niemców. Scenariusz *Parteitagów* rozrastał się, wkrótce potrzebne już było perfekcyjnie zainscenizowane masowe widowisko. W tym celu w 1934 roku minister propagandy Joseph Goebbels mianował berlińskiego architekta Alberta Speera „kierownikiem artystyczno-technicznym” zjazdów. Powstało także kilka zespołów, których celem była szczegółowa organizacja wydarzenia: wyżywienia, komunikacji, noc-



W „Białym szaleństwie” (1937).

legów dla setek tysięcy uczestników. A liczba ich rosła z każdym rokiem – w 1926 było ich 30 tysięcy, w 1929 – ponad trzykrotnie więcej.

„To ma być artystyczny dokument, który niesie pewną wizję [...] Ofiaruję mi pani sześć dni, tylko tyle” – nalegał Hitler podczas spotkania z Leni Riefenstahl. Nie chciała realizować tych zdjęć, ale był nieustępliwy więc w końcu skapitulowała. Obiecał całkowitą swobodę artystyczną i produkcyjną. Zaczęła kompletować ekipę, która w końcu liczyła aż 170 osób. kazała rozłożyć szyny i tory kamerowe oraz zainstalować windę na 38-metrowym maszcie, aby filmować z różnych punktów widzenia i przez to osiągnąć lepsze efekty wizualne. Ona, wrażliwa artystka i autorka podziwianego przez Hitlera mistycznego *Niebieskiego światła* nie chciała przecież tworzyć zwyczajnej kroniki dokumentującej norymberski zjazd. Dlatego eksperymentowała ze światłem, ruchomą kamerą, obiektywami i kompozycją kadrów. W efekcie powstało 130 tysięcy metrów naświetlonej taśmy z czego wybrała 3 tysiące, które przez wiele miesięcy nieustannie przemontowywała, dodawała nowe sceny, zmieniała kolejność poszczególnych sekwencji.

W wielu pracach opisujących fenomen narodowego socjalizmu i *Führerprinzip* – zasadę wodzostwa, zwraca uwagę użycie stricte religijnych terminów takich jak: „konsekracja”,

„chrzest”, „procesja”, „wiarę”, „apel”... „błuznierstwo”, „zwiastowanie”. Bo też kult Führera, wyrażany w trakcie *Parteitagów*, miał prawdziwie religijny charakter; cała inscenizacja i dramaturgia zgromadzeń służyła uzyskaniu sakralnego efektu. Film Riefenstahl nie tylko znakomicie wpisuje się w tę kreację rzeczywistości, ale sam ją tworzy, wykorzystując, jak pisze Jan Obermeier, „podświadomą tęsknotę obecnych za zbawieniem”.

Hitler – jako nowy Mesjasz – przynosi swoje ciało na ołtarz Ojczyzny, ofiaruje je narodowi, a naród jednoczy się z nim w komunii. Przy procesjach, dymach pochodni i dźwiękach dzwonów, między wiecznym życiem tysięcletniej Rzeszy a bohaterską śmiercią jej męczenników dokonuje się najgłębsze ludzkie spełnienie. Bez tej ofiary życia nie byłoby zmartwychwstania. W filmie – mimo ciągłego odwoływania się do przyszłości i pokoju,

w którym będą żyć następne pokolenia – następuje ustawiczna **afirmacja śmierci**. O narodowych zobowiązaniach, konieczności poświęcenia i posłannictwie mówi Hitler do zgromadzonej młodzieży, a słowa Wodza wzbudzają żywiołowy entuzjazm: „Chcemy ujrzyć jedną Rzeszę, a was tak wychować, by ten naród był kiedyś ofiarny [...] i wy musicie do tego dążyć [...] chcemy, by ten naród [...] potrafił być twardy. Niemcy w was trwać będą wiecznie”. Żądanie ofiarności w ustach Hitlera oznacza zarówno absolutne podporządkowanie własnych pragnień narodowej wspólnoty, jak i gotowość oddania życia na froncie, co spełni się już wkrótce. Ci młodzi mężczyźni, chłopcy właściwie – na wzór gloryfikowanych pierwszych poległych ruchu – nie mogą zaprzepaścić pokoleniowej i rasowej jedności. Jedyne podporządkowani najwyższej woli Przywódcy, istniejący przez niego i dla niego otrzymują ów status pełnoprawnego przedstawicielstwa: „Wy jesteście ciałem z naszego ciała i krwią z naszej krwi” – z naciskiem obwieszcza Führer, a Riefenstahl łączy na stole montażowym zbliżenia twarzy Hitlera, germańskiego orla, swastyki i znów powraca do twarzy zebranych. W ten sposób wizualnie konsekruje jednego najwyższego kapłana i jego wyznawców. To właśnie przez odpowiednio skomponowane zbliżenia Riefenstahl sankcjonuje monumentalizm, heroizuje uczestników zjazdu i ich Wodza. Wystarczy jednak przyrzeć się dokładniej: twarze *Parteigenossen* (uczestników zjazdu) nie



„Triumf woli”, reż. Leni Riefenstahl (1935).

wykazują jakiegokolwiek indywidualizmu czy myślenia. I nie jest to „błąd” Riefenstahl: zarówno zebrani w Norymberdze, jak i cały naród, musieli zostać odarci z krytycznego myślenia i jednostkowej wrażliwości. Każdy przejaw indywidualnej refleksji mógłby przecież doprowadzić do załamania propagandowej konstrukcji faszystowskiego państwa.

Führer oraz inni uczestniczący w zjeździe liderzy NSDAP (Rosenberg, Todt, Dietrich, Goebbels) nieustannie mówią o pracy, rozkwicie przemysłu i handlu w drugim roku istnienia Trzeciej Rzeszy, a jednak ich prawdziwą, podskórnie wyczuwalną intencją jest wojna, która jednak nie wydaje się tu apokalipsą. Przeciwnie, w całym filmie padają takie określenia, jak: „wielka wojna”, „walka za Führera” (nagrodzona owacją), „wspaniała armia – duma narodu”, „oczekiwanie na rozkazy” oraz Hitler jako ten, który „gwarantuje zwycięstwo”. On sam kończąc zjazd mówi o najbardziej wartościowych cechach niemieckiego narodu, mianowicie o „waleczności i ofiarności”. Do tego należy przecież dodać widoczne w całym *Triumfie woli* przemarsze, defilady, mundury, pokaz nowoczesnej maszynery wojennej i broni. Kilka lat później, kiedy Europa stanie się wielkim frontem, Hitler powie swoim współpracownikom, że norymberskie *Parteitag* „w wielu aspektach stanowiły cenne przygotowanie do wojny”, a „z kolei umożliwiły poczynienie nieocenionych doświadczeń w zakresie transportu wojennego”. Poza tym trzeba pamiętać, że ci silni i wysportowani, a upokorzeni przecież „germańscy wojownicy”, z takim pietyzmem por-

tretowani przez Riefenstahl, nie oglądali obrazów własnej militarnej siły od końca I wojny światowej, której wybuch powitali zresztą z nieukrywaną radością. Przyszły Führer zadał sobie niemało wysiłku, by jako obywatel austriacki walczyć w niemieckiej armii, szczycił się swoją żołnierską przeszłością, a Krzyż Żelazny Pierwszej Klasy zawsze nosił na piersi z największą dumą. Frank Capra, amerykański reżyser filmowy włoskiego pochodzenia, twórca m.in. serii filmów dokumentalno-propagandowych zatytułowanych *Dlaczego walczymy*, analizując *Triumf woli* stwierdził, iż „film ten nie strzelał z pistoletów i nie zrzucał bomb, ale jako broń psychologiczna osiągnął swój cel – nikt się nie sprzeciwił. Był po prostu śmiertelnością”.

Wszystkie te idee i działania prowadziły do wojny pojmowanej jako przeznaczenie i zarazem absolutna konieczność. Hitler stanął na czele narodu, był jego Führerem, ale jednocześnie uosabiał najgłębsze pragnienia Niemców. Bez ich przyzwolenia nie mógłby sięgnąć po władzę. To naród uprawomocnił jego dążenie do wojny, która w końcu przerodziła się w totalną i potworną klęskę, ale wówczas nikt nie dopuszczał takiej możliwości. Ci stojący w równych rzędach, świetnie wyszkoleni i zdyscyplinowani młodzi mężczyźni widoczni w całym filmie Riefenstahl nie wzięli się znikąd. Umocnieni przekonaniem o własnej sile, reprezentują ów „duch ciała”, o którym w *Mein Kampf* pisał Hitler i wierzą, że będą niepokonani nie jako poszczególne jednostki, ale jako naród. A to oznacza, że każde ich pojedyncze istnienie ma znaczenie

o tyle, o ile „odczuwa wspólnie z innymi”.

Ówczesny widz siedząc w fotelu sali kinowej mógł uczestniczyć w Zjeździe NSDAP w nie mniejszym stopniu jak pewien chłopak w mundurze ze swastyką na rękawie wyłowiony przez jednego z operatorów w oknie kamienicy. Ciekawe, czemu nie bierze udziału w paradzie? A może właśnie przedelfował przed swoim Führerem i teraz szybko przybiegł do domu przy norymberskiej Frauenkirche, aby w towarzystwie matki i siostry jeszcze raz nasycić oczy obrazem parady? Poczucie wspólnoty musiało przenieść się z Norymbergi na ekran, a z niego do serc i umysłów oglądających film ludzi. Stąd tak wiele ujęć z tzw. uczestniczącą kamerą, ujęć subiektywnych, szwenków, jazd i panoram. Kamera ma w filmie uprzywilejowaną pozycję, jest wszechobecna, pozwala widzom oglądać zarówno dachy Norymbergi, jak i duże zbliżenie twarzy kancle-rza. Pokazuje jego boskie i zarazem ludzkie oblicze. Ten ruch kamery, ale także wykorzystywany przez Riefenstahl ruch wewnątrzkadrowy, podkreślają dynamikę *Parteitag* świetnie korespondując ze wszystkimi przemarszami, przejazdami Hitlera i defiladami.

Film niewątpliwie rozpowszechniał kult Wodza, stając się niezwykle skutecznym narzędziem propagandy, ale działał również odwrotnie: umacniał Hitlera w przekonaniu, iż został on zesłany przez Opatrzność, by zbawić naród. (Na przykład według Riefenstahl Hitler miał jej powiedzieć: „Bardziej niż wszystko inne ważna jest dla mnie moja polityczna misja. Czuję, że mogę być kimś, kto uratuje Niemcy”). Podobne przemówienie o swoim posłannictwie wygłosił stojąc przed sądem w 1924 roku po nieudanym puczu monachijskim). Kluczową rolę odegrały w tym względzie nie tylko monumentalne ujęcia pokazujące wielką i kamą ludzką masę, ale właśnie zwyczajne „przebitki” – zbliżenia pojedynczych osób. Ogrom ludzi Hitler widział przecież stojąc w oknie hotelu lub na trybunie, ale reakcji psychicznych, jakie wywoływał w najdalej szeregach uczestników, już nie mógł zauważyć. O ile u żołnierzy dyscyplina i militarny dryl są zazwyczaj odruchem warunkowym, o tyle masowe, jednoczesne reakcje ludzkie były zupełnie spontaniczne. Przeglądając się ujęciami wmontowanym przez Riefenstahl: twarzom w ekstatycznym uwielbieniu, wzruszeniu czy ciekawości (nawet kilkuletnich dzieci wspinających się na palce, by zobaczyć Führera), rzeczywiście mógł uwierzyć w swoją boskość oraz w całkowitą zgodę społeczeństwa na wizję świata, jaką mu proponował.

W *Triumfie woli* słowo „Niemcy” od-
mieniane jest przez wszystkie przypadki,
podkreślane przez crescendo przemówie-
nia stanowi ich finał, widnieje także
na hitlerowskich sztandarach. Nie poja-
wia się natomiast ani jeden wyraz doty-
czący antysemityzmu. Jedyne wyjątki,
to zdanie wypowiedziane przez Juliusa
Streichera (zapalonego nazysty, który tuż
przed egzekucją po procesie zbrodniarzy
hitlerowskich w Norymberdze, stojąc
pod szubienicą krzyknął jeszcze: „Heil
Hitler”), nawiązujące bezpośrednio do
nabrzmiwającego coraz bardziej
„problemu żydowskiego”: „Naród, któ-
ry nie dba o czystość swojej rasy musi
zginąć”. Zastanawiające, dlaczego
w Norymberdze 1934 roku, a więc wte-
dy, gdy antysemickie poglądy Hitlera
były przecież ogólnie znane, nie pojawia
się ta kwestia. Tym bardziej iż w zjeź-
dzie brały udział tysiące ludzi, a poprzez
perfekcyjną inscenizację imprezy wra-
żenia, jakich doświadczał tłum, były
ogromne. Wydaje się, iż przede wszyst-
kim położono nacisk na wierność, lojal-
ność oraz gotowość do poświęceń, jakie
wymagane są od dobrych Niemców.
Uwypuklono przynależność do narodo-
wej wspólnoty silnie identyfikującej się
z Führerem. Hitler musiał także odnieść
się do tzw. nocy długich noży (podczas
której zaledwie dwa miesiące wcześniej
na jego polecenie wymordowano więk-
szą część kierownictwa SA), nie mógł
więc kreować wizerunku kolejnego
wroga zagrażającego Rzeszy. Jednak
powód całkowitego przemilczenia pro-
blemu żydowskiego jawi się również
zupełnie prozaicznie: Hitlerowi po pro-
stu nie zależało na rozpowszechnianiu
jego antysemickich poglądów poza gra-
nicami Niemiec. Jeszcze nie teraz.
W drugim roku sprawowania władzy
bardzo silnie dążył do stworzenia wła-
snego wizerunku jako człowieka, który
bezwzględnie pragnie utrzymania po-
koju. Dlatego nawet pięć lat później szu-
kał wymaginowanych pretekstów, aby
przedstawić światowej opinii publicz-
nej konieczność napaści na Polskę. Hit-
ler wiedział, że *Triumpf woli* pokazywa-
ny będzie za granicą, co rzeczywiście
miało miejsce. Film otrzymał przecież
ważne nagrody: Złoty Medal w Wenecji
(1935) i Grand Prix na festiwalu filmo-
wym w Paryżu (1937). Führer nie chciał
antysemickiej agitki, lecz wielkiego, ar-
tystycznego filmu – prawdziwej symfo-
nii wizualnej na temat potęgi nazistow-
skiego ruchu zjednoczonego pod jego
przywództwem – i takie dzieło otrzymał.

Dokument ten miał premierę 28 mar-
ca 1935 roku w berlińskim Ufa Palast
am Zoo. Na uroczystości obecna była
cała nazistowska śmietanka, dyploma-
ci i zagraniczni goście. Według „Illu-
strierter Film-Kurier” film „przedsta-
wiał historię norymberskich dni”, dalej
następował entuzjastyczny opis dzieła
z „drżącymi ulicami”; „słoneczno-zło-

tym firmamentem”, „oślepiającym bla-
skiem stalowych hełmów” czy „bez-
kresnymi masami ludzi”.

Triumpf woli całkowicie zaspokajał
ambicje Hitlera, w przeciwieństwie
do zrealizowanego o rok wcześniej
pierwszego filmu z *Parteitag* (pierw-
szego z „prawdziwego zdarzenia”, bo
amatorskie rejestracje powstawały
również na wewnętrzny użytek partii),
mało znanego dziś *Zwycięstwo wiary*
również w reżyserii Riefenstahl. Czy-
tając jej *Pamiętniki* odnosi się wraże-
nie, że Leni Riefenstahl traktowała ten
film z wyraźną niechęcią, wręcz jakby
wystydziła się go. A był to przecież
utwór dla niej ważny: nie tylko pierw-
szy „mariaż” z ruchem, ale przede
wszystkim zdobycie doświadczenia fil-
mowca – dokumentalisty, którego nie
miała i które przeniosła później zarów-
no do *Triumfu woli*, jak i do *Olimpia-
dy*. Jak się okazało realizowane bez
przygotowania i w pośpiechu *Zwycię-
stwo wiary*, miało być przymiarką
do właściwego filmu, tego z 1934 ro-
ku. Kiedy bowiem zestawia się ze so-
bą *Zwycięstwo wiary* i *Triumpf woli* wi-
dać uderzające podobieństwo obydwu
filmów: wydaje się, że z pierwszego
dokumentu zostały wręcz „przeniesio-
ne” całe sekwencje i wiele pomysłów
realizatorskich. Nawet muzyka jest
identyczna. Zastanawiać więc może,
dlaczego *Zwycięstwo wiary* to mimo
wszystko film wtórny, zupełnie pomi-
jany? Oczywiście przyczyną jest zagi-
nięcie negatywu, ale czy było to „tyl-
ko” przypadkowe zagubienie? Powód
jest zgoła inny: w 1933 roku na zjeź-
dzie NSDAP nie mogło zabraknąć dru-
giej co do ważności osoby w partii
– Ernsta Röhma. W niecały rok później
legendarny przywódca SA już nie żył
(został zastrzelony podczas nocy dłu-
gich noży na rozkaz Hitlera). Jedną
z hipotez zakłada, że polecono wyma-
zać wszystko, co mogłoby go w jaki-
kolwiek sposób przypominać. Dlatego
nakrecono drugi film z norymberskie-
go *Parteitag*; *Triumpf woli* powstał
więc do tego samego scenariusza, ale
już bez Röhma.

Po zrealizowaniu *Triumfu woli* jaki-
kolwiek inny film będący apoteozą
Führerprinzip – był już zbędny. Rów-
nież w „rzeczywistości” nie było wy-
darzenia, które mogłoby się równać
z kultem Hitlera, tak dobrze widocz-
nym i uchwyconym przez kamerę fil-
mową, jak w Norymberdze. Istniała
jednak konieczność ustawicznego roz-
powszechniania wizerunku Przywódcy,
a „ponieważ nie godzi się pokazy-
wać obrazu bóstwa”, nazistowscy
twórcy filmowi przystąpili do tworze-
nia filmów, których głównym bohate-

rem jest genialna, silna i niepodlegają-
ca wpływom innych jednostka. Po-
wstają zatem dzieła skupiające się
na takich postaciach historycznych,
jak: król Fryderyk II, Bismarck, Para-
celsus, Fryderyk Schiller, konstruktor
silników Rudolf Diesel, rzeźbiarz An-
dreas Schuler, burmistrz Wiednia Karl
Lueger. Wszystkie te filmy – mimo
oczywistych pozorów historycznej
opowieści – podtrzymują mit Führera,
są w pewnym stopniu projekcją jego
osobowości, umacniają przekonanie
o wyższości niemieckiego narodu oraz
konieczności prowadzenia agresywnej
polityki w Europie. I kiedy w *Die En-
tlassung* (1942) w reżyserii Wolfganga
Liebeneinera w swoim ostatnim prze-
mówieniu filmowy Otto von Bismarck
mówi: „Książęta przychodzą i odcho-
dzą, ludzie umierają, ale naród jest
wieczny. [...] To, co musi pozostać, to
Rzesza. Jeśli ludzie i Rzesza staną się
jednym, wówczas Rzesza także będzie
wieczna. Wykonałem swoje zadanie.
To tylko początek. Kto je dokończy?”.

Odpowiedź może być już tylko jed-
na: Adolf Hitler.

Po zakończeniu *Triumfu Woli* Leni
Riefenstahl zrealizowała w Norymber-
dze rok później jeszcze jeden film
– *Dzień wolności: Nasz Wehrmacht*
o ćwiczeniach Wehrmachtu pod-
czas VII zjazdu. Nie przywiązywała
jednak do tego dokumentu większego
znaczenia; po wielkim wyzwaniu ja-
kim był *Triumpf woli*, film o manewrach
wojskowych musiał jej się wydawać
etiudą na zadany temat. Tym bardziej
iż myślała już o nowych projektach.

Parteitag odbywały się nadal. Miały
też swoje hasła przewodnie: ten w 1935
– „Zjazd wolności” – gdyż 16 marca te-
go roku wprowadzono ponownie po-
wszechny obowiązek służby wojsko-
wej; 1936 – „Honor”, jako że w marcu
tego roku niemieckie oddziały zajęły
Nadrenię i (mimo iż było to pogwałcenie
postanowień wersalskich) Niemcy
uznali ten fakt za sprawę odzyskania ho-
noru; 1937 – „Praca” w związku z zapo-
trzebowaniem przemysłu zbrojeniowe-
go; 1938 – „Zjazd Wielkich Niemiec”
po anslusie Austrii, 1 września 1939
roku – co zakrawa na drwinę historii
– miał się rozpocząć. „Zjazd pokoju”...

Niniejszy artykuł powstał na pod-
stawie rozprawy doktorskiej Dag-
mary Drzazgi *Cielesność zhańbiona. Wizerunek ciała w kinie Trzeciej Rze-
szy* napisanej pod kierunkiem prof.
zw. dra hab. Andrzeja Gwoźdźcia
w Instytucie Nauk o Kulturze
na Wydziale Filologicznym Uniwer-
sytetu Śląskiego w Katowicach
w 2008 roku.



Kamienica przy ul. Sobieskiego 24 w Katowicach. Tutaj mieszkał Ludomir Różycki.

Tutaj mieszkał Ludomir Różycki

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Po raz pierwszy w Katowicach prof. Różycki znalazł się 3 kwietnia 1945 r. Jego piękną willę na Żoliborzu w Warszawie spalili Niemcy. Miał za sobą 6 lat okupacyjnych przeprowadzek i koczowania u przyjaciół. Ostatnio z takiej prowizorki korzystał w Krakowie. Tam dowiedział się o Katowicach, w których skrzykiwali się znajomi muzycy, aktorzy i literaci przybywający z różnych stron kraju i świata.

Dotarł do prof. Bolesława Szabelskiego, kompozytora, kolegi po fachu, od kilku tygodni, wraz ze skrzypkiem Mieczysławem Kowalskim, śpiewakiem Adamem Didurem i innymi artystami rezydującego w obszernym lokalu przy ulicy Sobieskiego 24. Byli tam sublokatorami korzystającymi z uprzejmości Marcina Kamińskiego, najemcy mieszkania, który przed wojną był pianistą i pedagogiem szkoły muzycznej w Cieszyńcu, a po wyzwoleniu – kierownikiem referatu muzycznego wydziału kultury i sztuki Urzędu Wojewódzkiego. Młody i nieżonaty jeszcze gospodarz, chcąc nie chcąc swój apartament przemianował na „tymczasową bazę kwaterunkową dla wracających z tułaczki muzyków”.

Gdy dowiedział się, że w swoim domu będzie gościł autora *Casanovy*, poczuł się chyba najszcześniejszym na świecie człowiekiem: „Zdecydowałem, że na cześć znakomitego gościa – mimo trwających trudności aprowizacyjnych – należy przygotować powitalne, i w miarę wystawne śniadanie. Zobowiązałem się dostarczyć odpowiednie wiktuały, a Mieczio miał zająć się posprzątaniem reprezentacyjnego pokoju i przygotowaniem stołu do posiłku. Pobiegłem do miasta, odwiedzając rodziców, brata i siostrę, a także znajomych. Tak oto w błyskawicznym tempie zebrałem trochę specjałów. Niosłem także ze sobą z trudem zdobytą butelczynę czystej wódki. Po drodze opowiadałem wszystkim, kto przyjechał do Katowic i zatrzymał się w moim mieszkaniu. Sensacja! Cieszyłem się z poznania i bezpośredniego spotkania ze sławnym kompozytorem, którego szereg utworów fortepianowych miałem przecież od lat w swoim repertuarze”.

Od tamtego dnia oczarowany swoim idolem Marcin Kamiński, po synowsku i konsekwentnie będzie zabiegał o wszelkie wygody prof. Różyckiego. Niebawem stanie się głównym promotorem jego twórczości. Najpierw odstąpi mu kompletnie wyposażone mieszkanie a następnie wystara się o przyznanie Różyckiemu stanowiska dziekana i profesora kom-

pozycji w Śląskim Konserwatorium Muzycznym. Tutaj, od 11 maja 1945 r., kompozytor będzie prowadził naukę harmonii specjalnej, czytania partytur i instrumentacji na orkiestrę symfoniczną. Jako studenci jego wykładów słuchali m.in. Stanisław Hadyna (późniejszy kompozytor, dyrygent, pisarz i założyciel Państwowego Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”) i Karol Stryja (po latach pierwszy dyrygent i kierownik artystyczny Filharmonii Śląskiej).

Stary, ale jary

Od wiosny 1945 r. w mieszkaniu nr 5 przy Sobieskiego 24 zamieszkali: prof. Ludomir Różycki, jego żona śpiewaczka Stefania Mławska-Różycka oraz ich córka Krystyna. Tych troje, jak na filmowym kadrze, w literackiej opowieści o Załęskim Przedmieściu uchwycił Jarosław Lewicki. Zatyłował ją *Sluga dzielnicy* a na jej głównego bohatera wykreował niejakiego Jamrozika, wszędobylskiego woźnicę i dorożkarza, bacznie obserwującego osiedle żegnające dawnych i witające nowych mieszkańców: „Kompozytor był stary, schorowany, miał obok siebie dwie piękne kobiety – żonę i córkę. Jamrozika zachwyciła zwłaszcza córka, blondynka, ubrana była w szary redingot, który nosiła z wdziękiem, matka również była piękna, jej twarz była nieruchoma, a to sprawiało wrażenie pewnej wyniosłości”.

Jamrozik, z dworca na ulicę Sobieskiego przewoził bagaże Różyckich i fisharmonię kompozytora. Potem plotkując opowiadał, że jego pasażer wprowadził się do sześciopokojowego apartamentu, wcześniej zajmowanego przez rosyjskiego generała. Swego nowego znajomego zastał kiedyś na fotelu w osiedlowym salonie fryzjerskim przy Gliwickiej 5 – przed wojną nazywanym „Figaro”. Tutaj „kompozytor podczas strzyżenia nucił coś, co było skrzyżowaniem Nocy Walpurgii z Lekką Kawalerią” – z literacką dezynwolturą odnotował Lewicki, który w 1947 r. urodził się na Załęskim Przedmieściu, tutaj spędził dzieciństwo a po latach czerpiąc ze wspomnień, przyprawił je szczyptą uroczych, aczkolwiek odrobinę fikcyjnych ingredientów.

– Rzeczywiście, kobiety w rodzinie Różyckich miały w sobie coś z dumnej hiszpańskiej księżniczki – zauważa Ewa Wyszogrodzka, prawnuczka kompozytora. – Tylko fryzurę jego córki a mojej babci Krystyny pisarz zanadto przerabował, ona nigdy nie była blondynką i do późnej starości



Maestro nad partyturą podczas wieczoru kompozytorskiego 14 grudnia 1945.

ozdobą jej głowy pozostały gęste, prawie kruczoczarne włosy. Ten drobiazg trzeba więc uznać za literacką bajeczkę. Poza tym moja babcia Krystyna, czyli „córka kompozytora”, wróciła do Katowic dopiero w 1949 r.

Wracając jeszcze do relacji Lewickiego stwierdzającego, że „kompozytor był stary i schorowany”, trzeba zauważyć, że nie są zupełnie wiarygodne, gdy porówna się je z opisami Bolesława Mierzejewskiego, sławnego aktora. Panowie byli sąsiadami. Bolo mieszkał opodal na Gliwickiej i często gościł Ludomirka podczas mniej lub bardziej salonowych uroczystości. Podziwiał żywotność swego starszego kolegi i był pełen uznania dla jego wigoru: „Poza wielkim talentem muzycznym był w życiu rozkosznym medium. Jak już mówiłem był uroczym „ochlaptusem” często nad miarę, wówczas bawił całe towarzystwo swoim humorem. Podkreślałam to, bo kiedyś ta zaleta stałaby się przyczyną wypadku. Było lato. Wybraliśmy się łodzią na jezioro z większym towarzystwem. Kochany Ludomirek wyjął jak zawsze butelczynę, częstując nas wszystkich. Sam sporo przepijał. No i rozebrał go animusz oraz chęć popisów pływackich, o których nie miał zielonego pojęcia! Zaczął więc się rozbierać i koniecznie chciał nam pokazać, jak się nurkuje. Trzeba było metodą perswazji i łagodnych pieszczot uratować go od niechlubnej śmierci”.

Sympatyczny portrecik Stefanii i Ludomira naszkicowała Stefania Podhorska-Okolów, która spotkała ich w kilka lat po wojnie: „Byli tak samo

pogodni, weseli, serdeczni, pełni prostoty i bezpośredniości, wszystkim ludziom życzliwi, jak dawniej. I dziś są również tacy sami”.

Taki jak na tym zdjęciu

— **T**o moja najbardziej ulubiona pamiątka po pradziadku Ludomirze – mówi Ewa Wyszogrodzka, która urodziła się w pół roku po jego śmierci. – Taki był z wyglądu i taki pozostał we wspomnieniach najbliższych: dobry, ciepły, życzliwy i zawsze uśmiechnięty, prawdziwy brat lata. Choć majestatyczny i patriarchalny, u każdego wzbudzał sympatię, podobno był trochę zawadiacki, ale przede wszystkim fajny, taki jak na tym zdjęciu.

Podobizna prof. Różyckiego utrwalona około 1945 r. zajmuje centralne miejsce w rodzinnej fotogalerii państwa Wyszogrodzkich z katowickiej Koszutki. Maestro mieszkał już wtedy na Załęskim Przedmieściu, w kamienicy, przed wojną należącej do słynnego adwokata i senatora Stanisława Kobylińskiego. W rękę trzyma modną laseczkę, jest ubrany w ciemnego koloru palto z futrzanym kołnierzem a na głowie ma melonik a'la Toulouse-Lautrec.

Sugestywny portret profesora zachował się we wspomnieniach dra Marcina Kamińskiego, pianisty i kompozytora, który pamiętnej wiosny 1945 r. miał zaszczyt gościć autora *Erosa i Psyche*: „Ludomir Różycki był stosunkowo niskiego wzrostu, z postacją przysadziastą i obfitą w tuszę. Na krótkiej szyi miał osadzoną dość dużą głowę z mocno siwiejącą i przerzedzoną czupryną. Głowa od razu, na pierwszy rzut oka, kształtem swoim przypominała znaną z portretów i ilustracji, wyróżniającą się w budowie czaszkę Ryszarda Wagnera. Dolną szczękę miał kompozytor cokolwiek wysuniętą do przodu, co nadawało twarzy pewien rys energii i stanowczości. Na końcu nosa znajdowało się charakterystyczne, jak u jakiegoś boksera po otrzymanym ciosie, skrzywienie na prawo. Punktem centralnym twarzy twórcy *Pana Twardowskiego*, zwracającym na siebie uwagę, były jednak niebieskie o stalowym odcieniu oczy, tryskające pogodą i szczerem, dobrodusznym humorem. W zachowaniu Różyckiego brak było jakiegokolwiek pozy „wielkiego człowieka”, czy nawet szczypta wyniosłości „sławnego kompozytora”. Różycki każdym odezwaniem się ujmował nas skromnością i przyjacielską bezpośredniością”.

Foto: ARC. Filharmonii Śląskiej

Światową sławę i wciąż żywą legendę Różyckiego poświadczają jego fotosy zdobiące awersy kart pocztowych – co jakiś czas oferowanych na amerykańskich giełdach internetowych. Dwie spośród nich trafiły do albumu Wyszogrodzkich. Kilka lat temu odnalazł je Piotr Madej, znajomy z Kanady, odkupił i podarował prawnuczce wielkiego kompozytora.

W Katowicach pisane

Muzeum Historii Katowic chlubi się pięknym fortepianem i biurkiem, przy których kompozytor spędził 7 pracowitych lat na Śląsku. Tam też znalazły się meble i malowidła, dawniej zdobiące ściany mieszkania przy Sobieskiego 24.

Prof. Różyckiemu odpowiadała atmosfera miasta nad Rawą i bezpośredniość ludzi, z jaką spotykał się na ulicach, w tramwajach i biurach. Informował o tym w prywatnym liście napisanym w kilka dni po zakwaterowaniu na Załęskim Przedmieściu: „Katowice, 22 kwietnia 45 r. Wczoraj spotkałem jednego jegomościa, który usłyszawszy moje nazwisko o mało nie rozplakał się ze wzruszenia, był na *Erosie* we Wrocławiu, drugi również w tym biurze, widział *Młyn diabelski* – słowem, mam tu wielu nieznanych przyjaciół! Tylko muzycy w Polsce mają wieczne do mnie pretensje, ale to są błahostki i nie trzeba się takimi drobiazgami przejmować. Najważniejszą rzeczą, żeby zrekonstruować moje partytury, a na to potrzeba mi spokoju”.

Pierwszym utworem skomponowanym przez mistrza w mieszkaniu przy Sobieskiego był *Polonez uroczysty E-dur* na orkiestrę symfoniczną. Został napisany na zamówienie Związku Kompozytorów Polskich. Dostojny i radosny utwór, trwający zaledwie 3 minuty, od 1946 r. był wykonywany przez orkiestry symfoniczne występujące pod batutą kompozytora. W Katowicach Różycki napisał poemat symfoniczny *Warszawa wyzwolona*. W latach 1945-1948 maestro występował na scenach i estradach Katowic prezentując bogaty i różnorodny dorobek kompozytorski.

W domu przy Sobieskiego 24, na podstawie wyciągu fortepianowego zrekonstruował zniszczony w czasie powstania warszawskiego manuskrypt poematu symfonicznego *Pan Twardowski* a następnie doprowadził do wykonania utworu w Operze Śląskiej. Ten mniej znany utwór powstał na trzy lata przed słynnym baletem o tym samym tytule.



Prof. Ludomir Różycki w Katowicach, 1945.

Na Załęskim Przedmieściu Różycki rekonstruował też partyturę *Casanova* do nowego libretta Zbigniewa Lipczyńskiego. O tym przedstawieniu inauguracyjnie pokazanym w styczniu 1951 r. z okazji 50. jubileuszu pracy artystycznej kompozytora i wystawianym najpierw w Operze Śląskiej a potem w Teatrze Wyspiańskiego, ze względu na rekordową liczbę przedstawień, wciąż przepelnioną widownię i długie kolejki do kas biletowych, kalamburzyści zwykli mówić – „nowa kasa”.

Filharmonia Śląska uczciła Różyckiego uroczystym koncertem 19 stycznia 1951 r. Dla wypełnionego po brzegi audytorium zasłuchanego w utworach mistrza śpiewała Natalia Stokowacka a przy fortepianie zasiadł Władysław Kędra. Całość poświęconą twórczości Jubilata, prowadził młody dyrygent Marian Lewandowski.

Będąc już w siódmej dekadzie życia, prof. Różycki nosił się z zamiarem skomponowania *Legendy Śląskiej*. Jako miłośnik Tatr i góralszczyzny projektował napisanie baletu *Janosik*. W Katowicach skomponował partyturę poematu symfonicznego *Pieta*, w którym już po raz drugi opowiada o rozpacz i cierpieniach stolicy rujnowanej i palonej przez okupanta. Pierwotna wersja tego utworu zaginęła podczas powstania warszawskiego. Nowa została zaopatrzona w podtytuł *Na zgliszczach Warszawy*.

W latach 1951-1952 niedomagający na zdrowiu kompozytor rekonstruuje swoją dawną operę zatytułowaną

Meduza – poświęconą Leonardowi da Vinci. Pracował nad nią w mieszkaniu przy Sobieskiego 24 a w czasie wakacji w willi „Pan Twardowski” nad Wrzosówką w Zachełmiu. Gdy go tam odwiedził Marcin Kamiński, zastał mistrza w melancholijno-refleksyjnym nastroju i jako godny zaufania przyjaciel dowiedział się:

– Czuję się nieszczególnie, ale staram się po kilka godzin dziennie pracować nad *Meduzą*. Nic nie mów o tym żonie, bo ta zaraz zapędzi mnie do łóżka, zmuszając do brania różnych mikstur, proszków, których nie znoszę. Mimo pozornie wielkich sukcesów, moje życie nie było łatwe, a dobiła nas wszystkich straszna okupacja. Gdy wspominam owe koszmarnie lata, jest mi wstyd, że wśród Niemców, znakomitych artystów, miałem przyjaciół... Wielu z nich żyje, ale z żadnym nie nawiązuję nawet kontaktów korespondencyjnych. Na pewno są wściekli, że przegrali wojnę, a my ich nienawidzimy za wymordowanie wielu niewinnych ludzi... Włosi też wojowali! Nie dopuszczali się jednak takich zbrodni. Gdy skapitulowali, przekonali się na własnej skórze, co to hitleryzm, co to SS, czy gestapo. Ale, Marcinu, idź sobie spokojnie na rybki. Może coś złapiesz, a jeśli nie, będziesz miał miły wypoczynek. Ja się zabiorę do *Meduzy*.

W ostatni dzień roku 1952 Kamiński odwiedził swego ukochanego profesora w jego katowickim mieszkaniu. Ucieszył się, gdy usłyszał:

– Partytura *Meduzy* gotowa. Właśnie skończyłem pisanie. Będziesz musiał poruszyć wszystkie sprężyny, by opera została wystawiona. A ja zaraz z Nowym Rokiem zabiorę się do *Młyna*. Ta opera kinowa, parodia życia kapitalistycznego, powinna mieć powodzenie.

Nikt wtedy nie przypuszczał, że są to ostatnie godziny życia wielkiego kompozytora.

Wśród kolegów i przyjaciół

— Ulubionym miejscem spacerów Różyckich, również i za życia Ludomira, był – wtedy jeszcze zaciszny i romantyczny – plac Wolności oraz park Kościuszki. Spośród sąsiadów mieszkających kiedyś na Sobieskiego 24 i do końca pozostających przyjaciółmi znakomitego muzyka, Ewa Wyszogrodzka mile wspomina zakwaterowanych na tym samym piętrze – Plócienniczaków, na parterze ginekologa Prelicza i rodzinę Durczoków a na ostatniej kondygnacji – Brożków; najserdeczniej jednak sędziwego i zawsze eleganc-

kiego aktora Bolesława Mierzejewskiego, mieszkającego nieopodal przy Gliwickiej 9, który do ostatnich dni długiego życia chlubił się serdecznym koleżeństwem ze „swoim ukochanym Ludomirkiem”, o czym nie omieszczał zapewnić w wydany drukiem i cytowanym już *Maratonie z Melpomeną*.

Członkom rodziny swego przyjaciela niezmiennie okazywał dowody sympatii i przywiązania. – Gdy spotykaliśmy się na Gliwickiej lub placu Wolności, pan Bolesław już z daleka uchylał kapelusza, zanim jeszcze zdążył się uklonić. Czułam się trochę speszona, bo przecież wtedy byłam dopiero dorastającą panienką a on eleganckim, szarmanckim mężczyzną i wspaniałym aktorem – wspomina Wyszogrodzka. – Czasem zatrzymał się na chwilę i wracał wspomnieniami do swoich spotkań z pradiadkiem we Lwowie, Warszawie i Krakowie.

W skomplikowanych i powikłanych politycznie pierwszych powojennych latach, u Różyckich na Załęskim Przedmieściu zaczęli bywać koledzy i przyjaciele z okresu międzywojennego i czasów okupacji.

Z ich domem przy Sobieskiego wiązały się dramatyczne wspomnienia Ferdynanda Goetla i jego żony Haliny – znajomych z warszawskiego Żoliborza. Wiosną 1945 r. ani on, ani jego przyjaciele nie mieli najmniejszej wątpliwości, że NKWD wspólnie z ubekami, nie przepuści żadnej okazji, aby sięgnąć po głowę prezesa polskiego Pen Clubu. Tego, który jako pierwszy zaczął mówić i pisać o zbrodniach w Katyniu. Tropili go i deptali mu po piętach a wśród poszukujących znalazł się nawet sam towarzysz Adam Ważyk, wtedy jeszcze nieugięty i bezkompromisowy sojusznik czerwonej inkwizycji.

W gościnnym mieszkaniu Różyckich przy Sobieskiego Ferdynand Goetel spędził ostatnią noc na polskiej ziemi. Potem, w ścisłej konspiracji udał się w długą podróż do kwatery głównej gen. Władysława Andersa. Trasa jego ucieczki na Zachód wiodła przez Katowice. Tutaj Ferdynand potajemnie przybył z żoną Haliną i tutaj spędzili ostatnią wspólną noc, stąd Goetel wyruszył do Włoch a żona wróciła do Krakowa. Po latach pani Halina z wdzięcznością opowiadała o bezinteresownej dobroci kompozytora i jego żony: „Dotarliśmy wreszcie do Katowic. Ale gdzie skryć się teraz do czasu odjazdu? Gdzie przenocować? Przyjęli nas, niebezpiecznych przecież gości, i to bardzo serdecznie, państwo Różyccy. Tak, to ten znany kompozytor, Ludomir Różycki”.

Nazajutrz wczesnym rankiem Ferdynand zaopatrzony w paszport i holenderskie nazwisko Johan Menten, przemknął się na peron katowickiego dworca i czym prędzej zaszył w kącie przedziału. Ten peron był ostatnim skrawkiem polskiej ziemi, do której już nigdy nie pozwolono mu wrócić.

W 1948 r. Różycki zakończył pracę w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach i przeszedł na emeryturę. W uznaniu zasług dla kultury narodowej władze państwowe przyznały mu dożywotnią pensję oraz dom w Żelaznym, wtedy zwany też Szczęsnem. Ostatnie lata życia kompozytor spędzał w Katowicach na Załęskim Przedmieściu lub w stylowej willi malowniczo usytuowanej w dolinie sudeckiej Wrzosówki na dobrze nasłonecznionych zboczach Karonoszy.

Bliskie sercu pamiątki

Do dziś, w domowej galerii przedstawicieli rodu Wyszogrodzkich i Różyckich możemy oglądać wizerunki Ludomira w towarzystwie żony, córki i wnuczki. Jest to jedyne miejsce na świecie, chroniące oryginalne podobizny wielkiego artysty w otoczeniu rodziny. Pomiędzy portretami zachował się urokliwy sudecki pejzaż z willą „Pan Twardowski”. Od mieszczącej kamienicy przy Sobieskiego dzieliło ją kilkaset kilometrów, ale dla śpiewającej Stefani i muzykującego Ludomira była wymarzoną Arkadią jesieni życia.

Po śmierci Stefani Mławskiej-Różyckiej, w roku 1964, wiele pamiątek trafiło do zbiorów prywatnych, katowickich muzeów i archiwów.

– Wspólnie z babcią Stefanią opiekowała się tymi pamiątkami pani Wanda Pogodzińska z Towarzystwa im. Ludomira Różyckiego – wspomina Ewa Wyszogrodzka. – W naszym domu bywali wtedy przyjaciele mego pradiadka i wielbicieli jego twórczości: znakomity muzyk oraz adwokat, mecenas Roman Hrabar, kompozytorzy Marian Rzońca i Karol Stryja, literat Wilhelm Szewczyk, krytyk muzyczny Józef Michałowski a najczęściej – najbardziej zasłużony dla całej rodziny Różyckich – pianista i pedagog Marcin Kamiński.

Towarzystwo im. L. Różyckiego w Katowicach uległo rozwiązaniu w 1971 r. W swojej dysertacji doktorskiej poświęconej osobie i twórczości kompozytora, dr Kamiński podkreśla, że prawdziwym spiritus movens tej organizacji była wdowa po kompozytorze – Stefania Mławska-Różycka.

Do dziś w salonie państwa Wyszogrodzkich stoi mahoniowy, berliński „Schmekel” – legendarny instrument Ludomira. Ćwiczyły na nim: jego córka, wnuczka i prawnuczka Ewa; grali też jej trzej synowie. Najstarszy z nich Piotr został wyróżniającym się studentem prof. Bernarda Steuera i jednym z najwybitniejszych saksofonistów klasycznych Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego. Później z wyróżnieniem ukończył Akademię Muzyczną w Kopenhadze i zdobywał kolejne nagrody międzynarodowe, złotymi zgłoskami wpisując się w drzewo genealogiczne swego wielkiego antenata.



„Pan Twardowski” – willa nad Wrzosówką (fotokopia obrazu pędzla Krystyny Rodzykówny).

Dzisiejszy odcinek „Śląskiej ojczyzny polszczyzny” ma dwoje autorów. Towarzyszy mi Karolina Traczyk, moja tegoroczna magistrantka z polonistyki wrocławskiej, która swą pracę dyplomową poświęciła „Pamiętnikowi górnika” Edwarda Jelenia. Czytelnikom „Śląska” chcemy razem przybliżyć najważniejsze ustalenia językowej analizy tego oryginalnego tekstu.

A zaczęło się wszystko przed paroma laty, kiedy kolega ze szkolnej ławy tarnogórskiego ogólniaka – Stanisław Dyrda ze Stolarzowic, emerytowany magister inżynier z „Boryni”, zamieszkały w Rybniku-Nowinach, obdarował mnie dokonaniem Edwarda Jelenia, swego pradziadka po kądzieli, wpisującym się w bogatą tradycję pamiętnikarstwa górników (por. na ten temat: „Pamiętniki górników”, wstęp i red. B. Gołębiewski, Katowice 1973).

Pochodził Edward Jeleń z Dębieńska Wielkiego koło Rybnika. Urodzony w roku 1855, w wieku trzynastu lat rozpoczął pracę w kopalni, w krótkim czasie przechodząc kolejne stopnie górniczego awansu. W latach 1877-1879 odbył służbę w wojsku pruskim przy granicy francuskiej. W latach 1883-1896 mieszkał w Zabrze, ale większość swego życia spędził w Dębieńsku. Gdy miał lat 75, postanowił spisać swe wspomnienia w pamiętniku, którego narrację doprowadził do lat dwudziestych XX wieku. Słabnący wzrok nie pozwolił mu dzieła dokończyć. Zmarł w roku 1945 i został pochowany w swym rodzinnym Dębieńsku.

Wystarczy przytoczenie dowolnej konstrukcji z pamiętnika pochodzącej (a oryginalne zapisy zachowamy w całym odcinku), np.: *Gdy był 6 lat stary Poczonem chodzić do Szkoły, za ni-jakiego Rehtora który się nazywał Szpak*, by się zorientować, że mamy do czynienia z tekstem napisanym autentyczną gwarą, jak widać – bardzo dalekim od przestrzegania reguł ortograficznych i interpunkcyjnych.

W cytowanym fragmencie pojawia się typowy śląski germanizm *gdym był 6 lat stary* – „gdy miałem 6 lat”, składniowa kalka niemieckiego *wenn ich 6 Jahre alt war*. Autor doczepia też ruchomą częstotkę 1. osoby liczby poj. czasu przeszłego „-m” do spójnika *gdym*, co współczesnym użytkownikom polszczyzny zdaje się coraz rzadziej (*gdym byłem*, a nie *gdym był*, słyszy się dziś prawie wyłącznie). Mamy też charakterystycznego śląskiego *rehtora*, czyli „nauczyciela”, czasownik *poczonem* – „zacząłem” i formę *nijaki* – „niejaki” – z pochyłonym „e”.

Do swego przelożonego w kopalni autor zwraca się ze słowami typu: *bydą tacy dobrzy albo dobrze wiedzą kaj*, tworząc – przeniesione z niemieckiego – grzecznościowe postacie czasownika

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Pamiętnik górnika Edwarda Jelenia

w 3 osobie liczby mnogiej – tak jak replika niemiecka jest konstrukcją *zostały mi wozy na Bryndzwerku* („pochylił”) *stoć* (jeden ze śląskich piłkarzy powiedział niedawno temu w wywiadzie telewizyjnym: *widziałem go pierwszy raz w życiu grać*, a zdanie to w swej istocie gramatycznej jest nie tylko nawiązaniem do składni niemieckiej, ale i do łacińskiego połączenia biernika z bezokolicznikiem – do tzw. *accusativus cum infinitivo*).

Z germanizmów leksykalnych pamiętnika Jelenia można przywołać ta-

kie wyrazy, jak *fater* (niem. *Vater*) – „ojciec”, *cug* (niem. *Zug*) – „pociąg”, *banhof* (niem. *Bahnhof*) – „dworzec kolejowy”, *nul* (niem. *Null*) – „zero”, *tej* „herbata” (niem. *Tee*), oraz określenia związane z górnictwem: *gruba* (niem. *Grube*) – „kopalnia”, *szychta* (niem. *Schicht*) – „czas pracy, dniówka”, *szleper*/*šleper* (niem. *Schlepper*) – „ładowacz”, *hajer* (niem. *Hauer*) – „rębacz”, *cymerhajer* (niem. *Zimmerhauer*) – „cieśla górniczy”, *aufseher* (niem. *Aufseher*) – „dozorca”, *sztajger* (niem. *Steiger*) – „sztygar”, *sztreka* (niem. *Strecke*) – „chodnik w kopalni”, *bohrloch* (niem. *Bohrloch*) – „otwór wiertniczy”.

Samogłoski pochyłone, kontynuanty dźwięków do połowy XV wieku długo wymawianych, występują w pamiętniku prawie bezwyjątkowo: pochyłone „a” przyjmujące brzmienie „o” – *głęboko, fajno, ciężko, ryszawo, piykno, czorno, biolo, jedwabno, nocno, kozdo, czytomo, mom, chytom, pamientom, gwizdom, pytol, widziol, powiedziol, szczypol, prol, pisol, chciol, jod, przedeptol, miol, pomyślol, dostol, cierpiol, tańcowol, zebroł, pamientol, wisiol, podowol, kozol, natol, obiod, śniodanie, prowda, jo, nos, wos, nom*, pochyłone „e” przyjmujące brzmienie „y” – *tyysz, szewcim, symnq, kutymu, czasym, ze syrem, żodym, splaczym, pogrzyb, dłużyj, mlyka, idymy, bierymy, niysz, Nijmcy, miyszko*. Dawne pochyłone „o” natomiast – w języku literackim zapisywane jako „ó” i w wymowie tożsame obecnie z „u” – w tekście Edwarda Jelenia zapisywane jest z reguły jako „o”, bo też i starzy Ślązacy do dziś nie ułożą samili tego dźwięku z „u”: *bez zymbow, chłopow, wozow, mog, mowia, mowi, głod, pońda, woz, przywioz, wieczor, dwoch, krotko*.

Górnik z Dębieńska utrwalił w swym pamiętniku wiele jeszcze innych słów w charakterystycznym śląskim brzmieniu: *cera* „córka”, *starka* „babcia”, *starzik* „dziadek”, *ujek* „wujek”, *stryk* „stryj”, *piechty* „pieszo, na piechotę”, *poszol* „poszedł”, *abo* „albo”, *przyda* „przyjdę”, *tydnia* „tygodnia”, *dońda* „dojdę”, *myni* „mniej”, *najmyni* „najmniej”, *Pon Boczek* „Pan Bóg”, *trula* „trumna” – tak jak zapis *śniq* – „z nią” – oddaje typowo śląską artykulację przedrostka-przyimka „z” w pierwotnej postaci bezdźwięcznej „s”.

Wspomnienia Edwarda Jelenia z Dębieńska są więc cennym dokumentem polszczyzny śląskiej przełomu XIX i XX wieku oraz źródłem informacji na jej temat. W kontekście szerszym przekazują wiedzę o świecie, o zwyczajach, a także o panujących w tamtym czasie stosunkach społecznych.

KAROLINA TRACZYK,
JAN MIODEK



Przemysłowy Śląsk bił wszelkie rekordy zanieczyszczenia środowiska. Brudne powietrze można było nie tylko wyczuć, ale i zobaczyć. Dosłownie. Technicznie i ekonomicznie dogorywał stary przemysł. Wtedy powstała Fundacja Ekologiczna Silesia. Po to, by od nowa, edukacyjnie zagospodarowywać przestrzeń „po truci”.

Była pierwszą fundacją ekologiczną w województwie katowickim. Uchwała o jej powołaniu została podjęta przez Wojewódzką Radę Narodową w grudniu 1988 roku. Statut Fundacji Ekologicznej Silesia został zarejestrowany 28 września 1989 roku. Jej pierwszy prezes i współorganizator – dr Adam Graczyński, dobrze wiedział, że najpilniejszą i najtrafniejszą inwestycją w ochronie środowiska jest wielka edukacja. W teorii i praktyce, z udziałem wszystkich. Chodziło o to, by optymalnie wykorzystać wiedzę i doświadczenie dorosłych oraz entuzjazm i wrażliwość przyrodniczą dzieci i młodzieży.

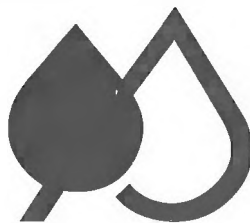
Szybko nawiązano współpracę z odpowiednimi instytucjami państwowymi oraz Sejmową i Senacką Komisją Ochrony Środowiska. Był to czas tworzenia nowego prawa ekologicznego, powoływania kluczowej dla poprawy sytuacji – Inspekcji Ochrony Środowiska oraz przygotowywania pierwszej „Polityki ekologicznej państwa”.

Dzięki porozumieniu z wojewódzkim Kuratorem Oświaty i Wychowania w Katowicach, rozpoczęło się zazielenianie terenów zaniedbanych. W Katowicach i Chorzowie uczniowie pod opieką fachowców posadzili pierwszych 20 tys. drzew i krzewów. Tak rozpoczęła się największa w regionie „zielona” lekcja pod kryptonimem „Posadź swoje drzewko”. Trwa już 20 lat. Przysporzyła regionowi blisko 600 tysięcy drzew i krzewów. Trudno zliczyć ilość konkursów wiedzy nt. ochrony środowiska, debat, imprez artystycznych, warsztatów ekologicznych, czy klubów „eko”, jakie powstawały pod jej opieką.

Niezwykle ważne w działalności Fundacji są wydawnictwa. W 1990 r., w dziesięciotyśiętnym nakładzie ukazała się pierwsza książka Silesii – „Eko-alarm” Jolanty Matiańskiej. Ten reporterski zapis sytuacji ekologicznej na Śląsku z celnymi grafikami R. Twardocha stał się początkiem biblioteki ekologicznej. Powiększył ją znakomicie kolejny jej prezes – Józef Żyła.

Tytułów przybywało. Pisali najlepsi w swoich dziedzinach. Profesor Franciszek Piątek o współzależnościach pomiędzy ekologią a ekonią; prof. Irena Norska-Borówka o wpływie zdegradowanego środowiska na zdrowie dzieci śląskich; dr Sławomir Sokół o przyrodzie, która ostrzega; prof. Jerzy Borkiewicz o gospodarce odpadami; prof. Adam Lipowczan o halasie.

Fundacja Ekologiczna Silesia wydała również, pierwszy w kraju komiks ekologiczny „Co się stało na Niebieskiej Planecie?” J. Matiańskiej i M. Leśniarskiej. Przybywały kolejne pozycje z praktycznymi wskazówkami – jak skutecznie rozwiązywać problemy ekologii? Wśród nich: „Finansowanie ochrony środowiska w świetle integracji



Silesia ma 20 lat!

z Unią Europejską”, pakiet edukacyjny – „Przyroda najlepszym nauczycielem”, „Gospodarka odpadami w gminach”. Stworzono księgozbiór Silesii, liczący dziś bez mała 800 tytułów.

Równocześnie powstawały filmy popularno-naukowe, znakomicie oceniane przez widzów i jurorów na różnych festiwalach. Te bardziej znane to m.in.: „Złe powietrze”, „Śmierć czai się w metalach”, „Śmieci”, „Złoto na hałdach”, „Energia: dlaczego i jak ją oszczędzać? W sumie 170 tytułów.

Trudno przecenić działalność Fundacji, która wokół ochrony środowiska zgromadziła wiele środowisk i pozarządowych organizacji. Związali się z nią studenci – uczestnicy konkursów na najlepszą pracę maderską na uczelniach woj. śląskiego. Fundacja skupiła przedstawicieli wielu gmin, lokalne środowiska społeczników. Tych, którzy m.in. chronili dzieci przed skutkami skażonego środowiska w Szopienicach, Bukownie, Miasteczku Śląskim.

Tysiące młodych mieszkańców Śląska od lat uczestniczy w akcji „Sprzątanie świata, Polska”, której Silesia jest koordynatorem. Współpracują z nią firmy, uczelnie, uczniowie i nauczyciele śląskich szkół. To ci ostatni, rywalizując w konkursie Fundacji „Na najlepiej prowadzoną edukację ekologiczną dla zrównoważonego rozwoju”, stali się prawdziwymi mistrzami.

Od trzech lat Fundacja Ekologiczna Silesia jest organizacją pożytku publicznego. Podczas niedawnej jubileuszowej konferencji, poświęconej roli organizacji pozarządowych w edukacji ekologicznej, prezes Fundacji Eugeniusz Cwiężek powiedział skromnie: cieszymy się, że przez 20 lat byliśmy przydatni. Z pomocą finansową Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach udało nam się z kolejnymi rocznikami uczniów i przedszkolaków wybudować aż 3200 przedszkolnych ogrodów w całym województwie. Są to wspaniałe miejsca niekonwencjonalnych lekcji ekologii w terenie. I mam nadzieję dodać, że kolejne 20 lat będą nadal, dzięki wielu Przyjaciółom Fundacji, bardzo owocne i pożyteczne nie tylko dla Śląska.

JOLANTA KARMAŃSKA

Przypadki składowania przez dziesięciolecia milionów ton toksycznych odpadów w Tarnowskich Górach, Jaworznie, Szopienicach, Ogrodzieńcu i wielu innych miejscach województwa śląskiego pokazują, jak wielką nieodpowiedzialnością była cicha rezygnacja z „Programu rządowego dla terenów poprzemysłowych”, przyjętego w kwietniu 2004 roku przez Radę Ministrów.

Problem ich rewitalizacji zaostriżyl się pod koniec lat 80. ub. wieku. Wiele wysłużonych śląskich hut, koksowni, zakładów chemicznych było w stanie śmierci technicznej i ekonomicznej. Te nie zestruturyzowane musiały upaść. Pozostały po nich rozszabrowywane budynki, hale przemysłowe, maszyny. A przede wszystkim śmiertelnie skażone tereny. Na powierzchni i pod ziemią. Takich miejsc województwo śląskie ma najwięcej, połowę w skali kraju.

Dla naukowców stały się one naturalnym tematem badawczym. Ośrodki naukowe regionu, wśród nich m.in. Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowych, Główny Instytut Górnictwa, Politechnika Śląska i Uniwersytet Śląski spenetrowały problem dogłębnie. Służby ekologiczne również. Dekadę temu powstała nawet „pod skrzydłami” Urzędu Marszałkowskiego Grupa Robocza ds. Zagospodarowania Terenów Poprzemysłowych w woj. śląskim, by zastanowić się jakie kroki należy podjąć na szczeblu państwowym, wojewódzkim i lokalnym, by zidentyfikowane problemy rozwiązać.

Odpowiedzi przychodziły także z zagranicy. Stany Zjednoczone, Francja, Niemcy, Belgia, Wielka Brytania i wiele innych krajów chętnie dzieliły się swoimi doświadczeniami w tej dziedzinie. Każdy z tych krajów likwidował zagrożenia na podstawie rządowej strategii rewitalizacji terenów po przemysle.

Bez programu...

Takie rozwiązanie zapowiadał przed pięcioma laty „Rządowy program...”, który miał stworzyć warunki i wykreować mechanizmy, sprzyjające zagospodarowaniu terenów poprzemysłowych zgodnie z zasadami zrównoważonego rozwoju. Program ten był wielką nadzieją przede wszystkim dla najmocniej zdegradowanego i skażonego Śląska.

Zapisano w nim m.in.: „biorąc pod uwagę realne możliwości finansowania, proponuje się ograniczenie działań rekultywacyjnych... do terenów, na których występuje największe zagrożenie dla zdrowia ludzi i środowiska... działaniami pilotażowymi objęte zostaną wybrane regiony, gdzie była największa koncentracja przemysłu, dotkniętego w ciągu minionych dekad przemianami strukturalnymi. Dotyczy to przede wszystkim tere-

nów pogórnich węgiel kamienny i rud metali oraz terenów pohutniczych i innych uciążliwych dla środowiska gałęzi przemysłu na obszarach Górnego i Dolnego Śląska...

Tego programu już nie ma! Rządowy Zespół Doradców Strategicznych Premiera uznał go za niepotrzebny!!! Przepadł po cichu. Bez informacji, bez sprzeciwu śląskich parlamentarzystów i władz województwa. A przecież najbardziej skażone w regionie miejsca tkwią w granicach obszaru metropolitalnego, na terenach gęsto zaludnionych.

Co w zamian?

Odpowiedzi należy szukać, śledząc przypadki ich nieudolnej rewitalizacji. Jednym z nich jest casus największej góry toksycznych odpadów po ZCH „Tarnowskie Góry”. Rozbrajanie tej prawdziwej, chemicznej bomby trwa z przerwami 14 lat! Nad jej unieszkodliwianiem od początku ciąży trudności finansowe, zawilości prawne i wątki kryminalne. Ostatni dyrektor Zakładów Chemicznych za karęgodne zaniedbania został skazany wyrokiem sądu.

Niebezpieczne dla środowiska odpady z borem, borem, strontem, cynkiem, kadmem, arsenem, ołowiem i wieloma jeszcze trującymi składnikami na nieuszczelnionym podłożu, wokół zakładów i wzdłuż rzeki Stoly prawie przez dwa stulecia. W sumie zgromadzono ich 250 mln ton. Truczyny z tych składowisk bez trudu przenikały do zbiorników najczystszych, trąsowych wód podziemnych, strategicznego rezerwuaru wody pitnej dla kilkuset tysięcy mieszkańców Śląska. (Tona dziennie!) Nie można było dłużej czekać. Przystąpiono do likwidacji tej toksycznej bomby.

W 2000 roku prace przerwano. Powód to niezapłacenie przez Skarb Państwa 17 mln złotych za wykonane prace przy budowie składowiska, a więc i zamrożenie przez Unię Europejską kilkudziesięciomilionowej dotacji. W połowie 2001 roku wykonawca powrócił na plac budowy. W 2006 roku ponownie prace przerwano. Nie udało się bowiem śląskim parlamentarzystom zapobiec skreśleniu dotacji rządowej na tę inwestycję. Zabrakło 100 milionów złotych w chwili, gdy dwie

Pasztet nieekologiczny

trzecie niebezpiecznych odpadów było już ulokowane w dobrze uszczelnionych, częściowo przykrytych sarkofagiem kwaterach nowego składowiska.

Wkrótce inwestycja zostanie wznowiona ponownie. Ale tylko częściowo. Wylącznie na terenach pozostających w gestii Starosty Tarnogórskiego, reprezentującego administrację rządową. Zalega na nich 72 tys. metrów sześciennych państwowych odpadów, które będą neutralizowane i przemieszczane na nowe składowisko za pieniądze (18 mln złotych) z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach oraz Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska.

A co z odpadami z prywatnych działek, na których zalega 500 tys. metrów sześciennych toksycznych odpadów? Te działki o powierzchni 10 hektarów sprzedała w 2004 roku, w trakcie prac na składowisku, rządowa Agencja Mienia Wojskowego osobom prywatnym. Działki są dalej prywatne, ale odpady już państwowe. Kto ma zapłacić za ich unieszkodliwienie?

Luki w prawie

Ten zagmatwany prawnie „nieekologiczny pasztet” pozostawiono bumistrzowi Tarnowskich Gór i Tarnogórskiemu Starostwu. By ten problem rozwiązać trzeba zmienić prawo...

A co z prawodawstwem krajowym, które po 20 latach transformacji nie daje odpowiedzi na pytanie kto i za czyje pieniądze powinien unieszkodliwić niebezpieczne odpady po likwidowanych przedsiębiorstwach państwowych? Co z przedsiębiorstwami, które nadal pracują i... nie są w stanie udźwignąć kosztów utylizacji swoich odpadów z kilkudziesięcioletniej, trucicielskiej działalności?

W takiej sytuacji są Zakłady Chemiczne „Organika-Azot” w Jaworznie, od kilkudziesięciu lat producent środków ochrony roślin. Wytwarzano tam również zabronione dziś – DDT i lindan. Te substancje jak i najgroźniejsze w środowisku dioksyny, z najsilniejszą z nich TCDD, a także substancje rakotwórcze, arsen i cyjanki, pestycydy, metale ciężkie, od lat znajdują wokół zakładów i nieuszczelnionego wyrobiska popiaskowego „Rudna Góra” ekolodzy z Greenpeace.

Badają oni jaworznicki teren w ramach prowadzonej od lat kampanii „Rzeka nie jest ściekiem”. Odcieki z tego wysypiska trafiają do potoku Wąwolnica i dalej z jej wodami do Przemszy, Wisły i Bałtyku.

Jaworznicka bomba chemiczna zawsze była pod szczególnym nadzorem Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Katowicach. Dlatego te zakłady chemiczne prowadzą działania naprawcze na miarę swoich i samorządowych możliwości. W skali, która nie łagodzi problemu. Bo to zadanie niewyobrażalnie kosztowne. Chodzi przecież o likwidację zagrożenia o najwyższym ryzyku dla środowiska.

We wrześniu br. odbyła się w Sosnowcu debata nt. „Roli funduszy ekologicznych w likwidacji zagrożenia dla środowiska oraz tzw. bomb ekologicznych w województwie śląskim”. Uczestniczący w niej prezydent Jaworzna Paweł Silbert głośno pytał, jak to możliwe, że zagrożenie, które w sytuacji np. nawałnicy może zamienić się w niewyobrażalnie niebezpieczną klęskę ekologiczną, pozostaje bez wsparcia rządu?

Dlatego w sprawie toksycznych odpadów „Organiki-Azot”, marszałek województwa śląskiego wspólnie z prezydentem Jaworzna oraz prezesem tego przedsiębiorstwa skierowali apel o pomoc do premiera. Bez odzewu.

Odpowiedzi nie tylko w tym przypadku powinniśmy domagać się wszyszy i to jak najgłośniejszej. Bomby chemiczne: w Tarnowskich Górach, Jaworznie, Szopienicach, Świętochłowicach wokół stawu Kalina, w Ogrodzieńcu, Czechowicach Dziedzicach, palące się hałdy pogórnice, zasolone wody kopalniane, poprzemysłowe wysypiska odpadów, do których nikt się nie przyznaje, nie są wyłącznie własnością Śląska.

Nie ludźmy się! Najgroźniejszych bomb chemicznych nie rozbiorą celowe fundusze ekologiczne. Na liście priorytetów NFOŚ i GW widnieją tylko dwa zakłady w likwidacji z woj. śląskiego: ZCH „Tarnowskie Góry” oraz P.M.I.B. „Izolacja” w Ogrodzieńcu. To zaledwie kropla pomocy w morzu rewitalizacyjnych potrzeb regionu.

Potrzebne są rozwiązania systemowe, oparte na silnych fundamentach prawnych i dobrze przygotowanej strategii. Deklaracje dobrej woli to za mało!

JOLANTA MATIAKOWSKA



Zwałowisko nad Stolą



Stola bez odpadów

Zdjęcia: z archiwum WIOŚ w Katowicach



Kolumny dofinansowane ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Tak się złożyło, że wystawę *Mistrzowie warsztatu* w Muzeum Śląskim oglądałem akurat w dniu konferencji prasowej poświęconej powrotowi „na salony” *Galerii Malarstwa Polskiego 1800-1939*. Obrazy w niej prezentowane znam bardzo dobrze, bo wielokrotnie pokazywałem je krewnym i znajomym „z prowincji” oraz cudzoziemcom, tym ostatnim na przykładzie tych dzieł, opowiadając trochę o polskiej historii sztuki a także naszych skomplikowanych dziejach, romantycznej duszy i miejscowej mitologii w ogóle, bo są do tego rodzaju „prelekcji” kapitalnym materiałem ilustracyjnym. Obejrzałem więc najpierw nową aranżację *Galerii* i... byłem oczarowany. Inne ściany, nowe oświetlenie, właściwie – wszystko nowe, nawet „stare” obrazy. Wiem, że są świeżo po konserwacji, ale to raczej całe ich otoczenie sprawia, że jakby lepiej je widać. To pewnie złudzenie, ale miałem wrażenie, że teraz mają dla siebie więcej przestrzeni.

Wróćmy jednak do mistrzów matrycy z drewna, kamienia, metalu. Muzeum Śląskie specjalizuje się w gromadzeniu grafiki polskiej, głównie współczesnej. Kolekcja dawnych, świetnych artystów europejskich jest skromna – to zaledwie 28 prac 19 twórców, nie tworzy jakiegś jednolitej całości, nie jest rozwijana i – jak pisze w katalogu Henryka Olszewska-Jarema, która wraz z Katarzyną Jarmułą była kuratorem wystawy – postrzegana jest „jako zbiór zamknięty”. Mam nadzieję, że nie do końca i, jeśli nadarzy się Działowi Sztuki jakaś niebawoma okazja zdobycia na przykład Goyi, zbiór się znów „otworzy”. Piszę to, bo ogromnie lubię grafikę, zwłaszcza tę tradycyjną, najbardziej konserwatywną, posługującą się niemal wyłącznie czernią i bielą dla oddania całego bogactwa barw świata.

Ekspozycja *Mistrzowie warsztatu* jest częścią 19. *Międzynarodowego Triennale Grafiki – Kraków 2009*. A raczej Kraków-Katowice 2009, gdyż nasze miasto stało się jedną ze stolic tej dziedziny sztuki w Europie. Poza Muzeum Śląskim jeszcze Rondo Sztuki, BWA, Galeria ZPAP, galerie Górnośląskiego Centrum Kultury pełne były grafiki od tej tradycyjnej do najnowocześniejszej, tworzonej komputerowo i powielanej techniką druku cyfrowego. Przy tej okazji powróciło pytanie, czy twórców posługujących się myszą i klawiaturą można w ogóle nazywać grafikami skoro ich prace mogą być drukowane w nakładzie praktycznie nieskończonym. Nie podejmuję się rozstrzygnięcia tej kwestii. Choć – „na chłopski rozum” – ten spór można doprowadzić do ab-

surdu, przenosząc jego przedmiot na inny grunt. Np. czy poeta może napisać dobry wiersz tylko piórem (gęsim, w ostateczności wiecznym), czy też wolno posłużyć mu się komputerem.

Wystawa w Muzeum Śląskim składa się z dwóch części. Tej europejskiej, o której była już mowa, oraz współczesnej, polskiej, gdzie zaprezentowane zostały prace naszych twórców dwudziestowiecznych, żyjących i tych, którzy już odeszli. To zestawienie pod jednym tytułem *Mistrzowie warsztatu* dzieł artystów z podręczników historii sztuki z pra-

Świat z kresek i płam

cami stosunkowo „młodymi” wydaje się na pozór dość śmiało, żeby nie powiedzieć – szokujące. Bo oto z jednej strony oglądamy Dürera, Piranesiego, Rembrandta, czy Adriaena van Ostade, z drugiej – grafiki tworzone m.in. przez ludzi, których możemy spotkać na katowickiej ulicy. Po obejrzeniu wystawy wszelkie wątpliwości znikają. Prace „dwudziestowiecznych” ogląda się z taką samą przyjemnością, jak to, co pozostawili po sobie „historyczni”. Mimo ogromnych różnic w podejmowanych tematach, w sposobie ich ujmowania, w samych założeniach estetycznych twórcy klasycznych miedziorytów, akwafort, akwatint, czy mezzotint należą – moim zdaniem – do jednego Zakonu. Używam tego słowa nieprzypadkowo, choćby z uwagi na to, że – jak mi się wydaje – posługiwanie się tradycyjnymi technikami wymaga przysłowiowej benedyktyńskiej cierpliwości. Ale jeszcze ważniejsza jest wiara, że warto godzinami zajmować się metalową płytą, kamieniem, drewnianym klokiem, aby efekt tej pracy powielić w ograniczonej ilości egzemplarzy przy pomocy prasy, farby i papieru.

Wyliczenie wszystkich twórców i omówienie wszystkich prac wymagałoby księgi. Ograniczę się więc tylko do kilku osobistych refleksji o niektórych, pomijając też nazwiska najbardziej znanych mistrzów z dawnych epok. Jeśli ktoś się do Muzeum

Śląskiego wybierze – i tak ich przede wszystkim będzie chciał zobaczyć (w Luwrze są tysiące obrazów, a turyści zawsze prawie biegiem zmierzają do Giocondy). Wspominałem już, że najbardziej trafiają do mnie grafiki czarnobiałe. Czerni przechodzi w różniące się intensywnością szarości, aby nagle na kartce pojawiło się światło bieli. W pracach realistycznych dzięki temu możemy podziwiać efekt trójwymiarowości obrazu (dotyczy to choćby akwaforty Adriaena van Ostade *Scena rodzajowa*, czy również akwaforty *Lustro* Jana Szmatlocha). Tym razem jednak zwróciłem również uwagę na akwaforty Thomasa Rowlandsona ręcznie barwione. Ten angielski rysownik z przełomu XVIII i XIX wieku, komponując swoje sceny rodzajowe (*Kłopoty z podróżowyniem*, *Mecz bokserki*) z precyzją fotoreportera „łapie” autentyczną chwilę w całej jej dynamice, jednocześnie zaś ze złośliwością satyryka zmienia uczestniczące w epizodach postacie w karykaturę. Z przyjemnością kontemlowałem bogactwo detali umieszczonych przez artystę na tych pracach. Może dlatego, że lubię groteskę i satyryczną deformację. W sali „polskiej” też znalazłem artystów karykaturujących rzeczywistość. Stwierdziłem wtedy, że właściwie każdy z mistrzów europejskich ma następcę (nie epigona!) wśród grafików współczesnych. Akwaforty Piranesiego na przykład, przedstawiające monumentalne obiekty architektoniczne i *Katedra* Tadeusza Michała Siary. Dwie epoki, dwa odmienne style architektoniczne, ale przecież w tych pracach rzuca się w oczy niesłychana precyzja kreski, dbałość o każdy detal, nawet – „skądowanie” obrazu. *Wielkiego konia* Dürera, zwierzęta domowe Adriaena van der Velde zestawień można ze *Stadniną* Aleksandry Fichny-Chelkowskiej itd. itp. Nie chodzi tu jednak wyłącznie o podejmowanie pokrewnych tematów, które w sztuce „są wieczne”. Tych twórców łączy wielki dar tworzenia z zegarmistrzowską precyzją z kreski i płam świata, w którym „chce się być”.

Nową (ale tradycyjną) grafikę polską reprezentują na wystawie artyści z różnych środowisk w kraju (Witold Skórczewski, Eugeniusz Get-Stankiewicz, Zbysław Grzywacz, Andrzej Pietsch itd.). Nazwiska mówią same za siebie. Cieszy mnie, jako lokalnego patriotę, że w tym zestawie najlepszych znalazła się tak liczna nasza drużyna regionalna. To świadczy o tym, że Śląsk nie tylko muzyką stoi, ale i grafiką, czy może więcej – sztukami plastycznymi.

BOGDAN WIDERA



DESCRIPTION OF A BOXING MATCH.

Remarks. A more determined and spirited contest than this has seldom been witnessed. The first twelve rounds were exceedingly hard fighting without the slightest attempt to clasp or other idle work. The life of the contest ought to be a great measure, by attributed to his party for he was full of fight until the strength failed him, which with an accidental but desperate blow, altogether of surprising force, the beating he received was nothing in comparison to what he had gone for his opponent's head was reported admirably, and his eyes were thrown. I was present myself, as being a London man, and to Mr. The throw away, numberless hits and was always slow. The report, though, as we have before observed, supported him until his opponent was exhausted when he retired however it was still possibly and well. All my readers think that they spray 2 work.

Thomas Rowlandson, *Mecz bokserski*, akwaforta ręcznie barwiona



Jan Szmatoch, *Lustra*, akwaforta



Adrian van Ostade, *Scena rodzajowa*, akwaforta



Krzysztof Witold Skórczewski, *Lalki*, miedzoryt, mezzotinta

Mistrzowie
warsztatu
w Muzeum Śląskim



Chalupa z Kromolowa z 1860 r. (Zagłębie Dąbrowskie)



Chalupa z Dzieńkowic z 1857 r. (pszczyńskie)



Nostalgia i oczekiwanie



Sianokosy



Zagroda średniozamożnego chłopca z pszczyńskiego, II połowa XIX w.



Kuźnia z Zamarsk k/Cieszyna z 1843 r.



Piotr Oleś, chorzowianin, który pod lat pracuje głównie w Niemczech, jest ciekawym, bardzo ekspansywnym fotografikiem, działającym w różnych obszarach twórczości. Od fotografii komercyjnej i handlowej, po skrajnie kreatywną. W rodzinnym mieście dał się poznać parę lat temu, gdy na zlecenie Urzędu Miejskiego przygotował wystawę i album *Metropolis*. To była zaskakująca wizja Chorzowa, w którego znajomy i swojski miejski pejzaż wmontowano najnowocześniejsze budynki i obiekty z wielu światowych metropolii. Oleś, posługując się obiektywem i komputerami, niejako zainscenizował rzeczywistość nieistniejącą realnie, co najwyżej w nieziszczalnych marzeniach. Chorzów w dalekiej przyszłości? Nawet nie to, bo trudno sobie wyobrazić w mieście nad Rawą gigantyczne drapacze chmur, wiadukty, mosty, olbrzymie biurowce i odrzutowce fruujące nad ulicą Wolności. To raczej była gra wyobraźni, rodzaj zabawy, bo przecież trzeba było wyłuskać w tym wyimaginowanym świecie ulice, place i kamienice, które naprawdę w Chorzowie istnieją.

Korzenie, nowy album Olesia, też jest efektem inscenizacji i kreacji. Ale innej niż w *Metropolis*, gdzie ludzi, mieszkańców miasta, nie oglądaliśmy. Tutaj człowiek, jego życie codzienne i odświętne, stanowią równie ważny czynnik co architektura i otaczająca ją przyroda. Urząd Miasta w Chorzowie, a w szczególności I zastępca prezydenta, Joachim Otte, podracując fotografikowi ten pomysł, upiekł na jednym ogniu kilka pieczeni naraz. Oto bowiem pochwalili się i przypomnieli, że to na terenie Chorzowa mieści się Górnśląski Park Etnograficzny, zwyczajowo nazywany Skansenem, a jednocześnie pozyskali oryginalne wydawnictwo, które łączy efekt promocyjny z artystycznym. Niekąto przy okazji pokazali też, że na terenie Skansenu organizowane są ciekawe imprezy edukacyjne, rekreacyjne, folklorystyczne i inne. Takie jak Odpust (drewniany kościół p. w. św. Józefa Robotnika z roku 1791, przeniesiony z Nieboczów koło Raciborza, ożywa nie tylko 1 maja), Dzień Miodu, Dzień Rzemiosła, Dożynki itp. Rozdział zamykający album jest rejestracją tych imprez.

Ale zasadniczy trzon tego okazałego wydawnictwa stanowią fotografie prezentujące w cieka-

Nasze korzenie

wych ujęciach drewniane budowle wiejskie przenoszone w ciągu minionych trzydziestu lat do Chorzowa z różnych części Górnego Śląska i Zagłębia Dąbrowskiego. Większość obiektów pochodzi z XVIII i XIX stulecia. Zostały sfotografowane w taki sposób, że nawet można się zastanawiać, czy podtytuł albumu – *Skansen w Chorzowie* – oddaje ich zasadniczy sens. Tak, te budynki i zagrody rzeczywiście stoją w sąsiedztwie Stadionu Śląskiego, ale przecież w tym ujęciu są „jak żywe”; w niczym nie przypominają unieruchomionych w bezczasie obiektów muzealnych. Czy decydują o tym tylko gromady ludzkie, przebrane w stroje ludowe z epoki i danego subregionu i wtopione w ten pejzaż? Nie, bo tu nawet przyroda została użyta w funkcji animacyjnej. Drzewa, kwiaty, zboża, trawy rosną i obumierają, bo taki jest porządek rzeczy na tym świecie. To nie jest sztuczna scenografia, tylko immanentna część ludzkiego bytowania. Chłopom towarzyszą konie, owce, kozy, pszczoły, zaś sprzęty codziennego użytku, przynoszące chleb i przyodziewek, nie wyglądają na porzucone, nawet jeśli w danym momencie nikt akurat nie trzyma ich w ręce. Być może zostały właśnie odłożone na bok? Bo Oleś rozróżnia na tych zdjęciach czas pracy i odpoczynku, rolniczego trudu i należytej zabawy, codzienność od sakralności. Podzielił i pogrupował fotografie wedle prostej i czytelnej reguły. Rytm życia wyznaczają pory roku, w ich obrębie – pory dnia. To one narzucają charakter i typ zajęć. Układają scenki rodzajowe, niejako w naturalny sposób reżyserowane we wnętrzach chałup bądź w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Bo życie bynajmniej nie toczy się tylko w izbach czy kuchniach; za progiem rozciąga się też część naszego jestwa. Naszego? Musimy to uznać, skoro wyraźnie mówi się tu o wyznaczaniu międzypokoleniowych i międzypokowych ciągów tradycji i dziedzictwa kulturowego. Wszak widzimy tu zarówno ludzi młodych,

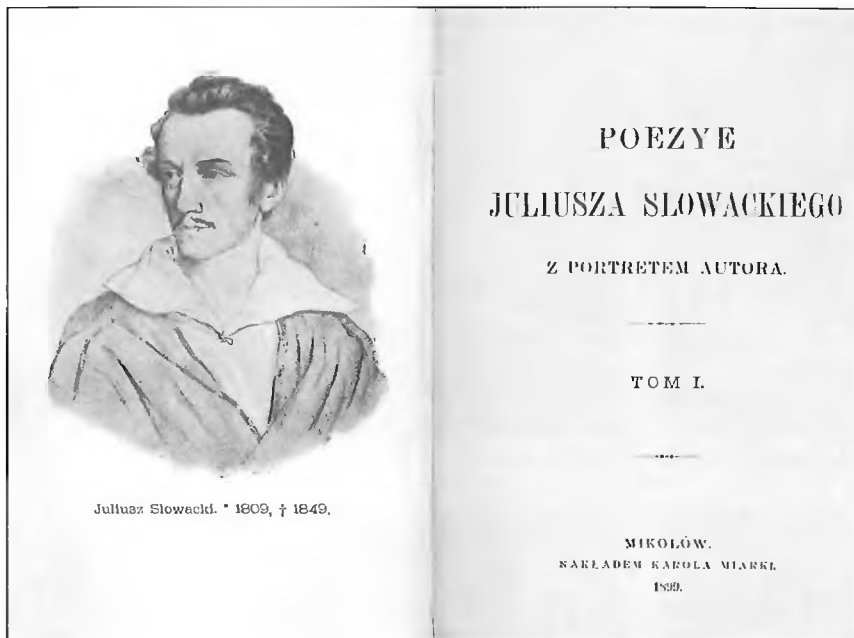
jak i starych, zaś zdawkowe podpisy pod fotografiami, czasami też pełniące funkcje podrozdziałów hasła – typu *Upał*, *Wesele pszczyńskie*, *Pierwszy przymrozek* etc. – przypominają, że ci ludzie rzeczywiście byli naszymi przodkami. I to wcale w nie tak odległych czasach. Dość spojrzeć na przykład na chałupę ostatniego polskiego sołtysa Katowic. Na jej, i innych także, najbliższe otoczenie. Na płoty, gołębniki, kapliczki, ule czy studnie z żurawiami.

Piotr Oleś przesycił swe fotografie żywymi barwami. W tym tkwi także element kreacji i delikatnej mitologizacji. Uczynił to celowo, świadomie, jakby chciał podkreślić, że ten świat wcale tak bezpowrotnie nie odszedł w niepamięć i niebyt. Nadal żyje w zachwycającej urodzie i symbiozie z przyrodą, z naturą. Nawet nie z historią rozumianą jako ciąg dat i wydarzeń zamierzchłych, odnotowanych w zastygłych kalendarzach, do których nikt już nie zagląda. Ten świat ciągle rodzi się na nowo i po prostu trwa na naszych oczach. Jak film, który nie ma wyraźnego początku i jednoznacznego finału. Kolejne sekwencje zdarzeń, nawet jeśli nie człowiek je układa, lecz natura czy Bóg, zapewne – domyślamy się – będą się powtarzały.

Mitologizacja nie oznacza tu jednak mistyfikacji. Rzecz jasna, wiemy, że ludzie wtopieni w ten lekko wyidealizowany pejzaż są „przebiezańcami”, ale nie tu z atmosfery komercyjnej cepeliady. Olesiovi udało się to, co przed laty Janowi Rybkowskiemu w filmowej adaptacji Reymontowskich *Chłopów*. Ten świat i ci ludzie żyją, a nie pozują do archiwalnej fotografii. Poranne wiosenne mgły, ostre przejaskrawienia słoneczne, nabrzmiałe nadchodzącym deszczem chmury, blask zmrożonego śniegu i tyle innych zjawisk w przyrodzie, towarzyszących od zarańcia człowiekowi, zostało tu uchwyconych w swych naturalnych przejawach, ale też narzucającej się i – by tak rzec – agresywnej urodzie. O dziwo, nie ma tu jednak nastroju sentymentalizmu i nostalgii za życiem lepszym, prostszym. Bo czy trzeba tęsknić do czegoś, co w tak oczywisty sposób po prostu jest?

KRZYSZTOF KARWAT

„Korzenie. Skansen w Chorzowie”. Fotografia Piotr Oleś. Urząd Miejski w Chorzowie, Chorzów 2009, s. 107



wszystkich, zarówno popularnej literatury dla ludu, jak i dzieł klasyków polskiej literatury. Temu celowi służyła m.in. zainicjowana przez prowadzącego wydawnictwo od 1882 r. Karola Miarkę młodszego „Nowa Biblioteka Pisarzy Polskich”, wychodząca od 1888 r. Właśnie w tej serii w roku 1899, a więc w roku 50-lecia śmierci poety, w wydawnictwie Miarki ukazała się czterotomowa edycja *Poezji Juliusza Słowackiego*, zawierająca m.in. jego liryki, dramaty i poematy wydane za życia poety. W roku 1909 postanowiono tę edycję kontynuować, wydając jako jej tomy V i VI *Pisma pośmiertne*. Znalazły się w nich, oprócz wierszy z różnych okresów życia poety, jego dramaty – *Horsztyński*, *Beatrice Cenci*, *Fantazy*, *Agezylausz*, *Samuel Zborowski* i *Zawisza Czarny*. Autorem wyboru i opracowania tych tomów był ksiądz Kamil Juliusz Kantak, który poprzedził je przedmową, uzasadniającą sens ich wydania:

Słowacki w edycjach Karola Miarki

JACEK
LYSZCZYŃA

Setna rocznica urodzin Juliusza Słowackiego przyniosła w 1909 r. wiele wydań jego poezji, podejmowanych przez oficyny przede wszystkim warszawskie i lwowskie, co wynikało oczywiście nie tylko z rocznicowych zainteresowań osobą poety i jego twórczością, ale przede wszystkim z dokonującego się na przełomie wieków XIX i XX ponownego „odkrycia” przez filozofów i pisarzy młodopolskich twórcy *Króla-Ducha* jako autora poezji mistycznej. Efektem tego były także publikacje nieznanych wcześniej, pozostałych dotąd w rękopisach tekstów literackich i listów poety, jak również rozwój badań nad jego twórczością.

Fala zainteresowania Słowackim nie ominęła również Śląska. Najlepszym dowodem na to mogą być echa jego poezji w twórczości np. Jana Nikodema Jaronia i Augustyna Świdra, który też wspominając swą patriotyczną i literacką edukację w drużynie „Sokola” pisał o lekturach dzieł polskich poetów ro-

mantycznych, m.in. właśnie Słowackiego. Na Śląsku zresztą, podobnie jak i Wielkopolsce, polska poezja romantyczna trafiała do zainteresowanych już kilkadziesiąt lat wcześniej, gdyż w przeciwieństwie np. do zaboru rosyjskiego nie istniały tu cenzuralne bariery i zakazy publikacji dzieł emigracyjnych autorów. Już w pierwszej połowie XIX w. ukazywały się edycje polskiej poezji romantycznej m.in. we wrocławskiej oficynie Józefa Schlettera, a w latach sześćdziesiątych dostępne były wydania poznańskie oraz lipskie z oficyny Brockhausa.

**SŁOWACKI
W MIKOŁOWSKIEJ OFICYNIE**

Na Górnym Śląsku w obchody stulecia urodzin Juliusza Słowackiego włączyło się oczywiście wydawnictwo Karola Miarki, którego ambicją było dostarczenie polskiej strawy duchowej dla

Wydanie zupełne popularne dzieł Słowackiego w stuletnią rocznicę narodzin poety jest na czasie. Wydania dotychczasowe nie zadowalały ze wszystkim. Zamieszczono w nich tylko te pisma, które wielki pisarz wydał sam za życia. Czyniono to i u innych naszych wielkich poetów. Ale Mickiewicza i Krasińskiego dzieła wydane za życia obejmują najważniejszą część ich twórczości. [...] Przeciwnie u Słowackiego. Tutaj dzieła wydane przez poetę samego stanowią nie tylko mniejszą część ilościowo, ale nawet nie obejmują tych właśnie utworów, które sam cenil najbardziej. Obraz przeto otrzymywany z wydań popularnych jest najpierw niepełny. A że właśnie owe niektóre strony dzieł Słowackiego, jako jedynie znajome szerszej publiczności, uchodzą za pełne jej oblicze duchowe; dlatego tak mało się zna, tak mało rozumie i tak mylnie pojmuje twórcę Króla-Ducha. Niedostatkowi temu pragniemy zaradzić, uzupełniając swoje wydanie dzieł Słowackiego dalszymi tomami, zawierającymi dzieła pośmiertne.

Dalej wyjaśniał zasady dokonanego wyboru utworów:

Umieszczamy w nich wszelkie utwory, jakie zachowały się w całości. Z ulamkowych dajemy wyjątki, przedstawiające całość formalną lub myślową. W ten sposób podajemy publiczności wraz z poprzednimi tomami pierwsze wydanie popularne zupełne dzieł Słowackiego. Nie obejmuje wprawdzie wszystkiego, co napisał, pozwala jednakże wytworzyć sobie pełne pojęcie myśli i sztuki jego.

RELIGIJNOŚĆ SŁOWACKIEGO

Predmowę uzupełniała krótka rozprawa *O religijności Juliusza Słowackiego*, której autor starał się wy-

tłumaczyć postawę światopoglądową poety po roku 1842, kiedy to poznał on Andrzeja Towiańskiego i przystąpił do założonego przez niego Koła Sprawy Bożej, stając się żarliwym wyznawcą głoszonych przez Mistrza idei mistycznych. Co prawda rok później Słowacki z Koła wystąpił, odrzucając krępujące go najwyraźniej sekciarskie więzy organizacyjne, łącznie z praktyką publicznej spowiedzi, nie porzucił jednak wiary w głoszony przez Towiańskiego system mistyczno-religijny. Bazując na tym fundamencie Słowacki stworzył w latach następnych swój własny, daleki od ortodoksji katolickiej system zwany genezyjskim od tytułu poematu prozą *Genezis z Duchą*, w którym wyłożył całą swą teorię ewolucji ducha, doskonalącego się w trakcie wędrówki przez coraz to wyższe formy materialne. Cała twórczość literacka Słowackiego z tego okresu jest poetycką wykładnią tego właśnie systemu mistycznego, zgodnie bowiem z wypowiedzianą wprost przez poetę koncepcją twórczości literackiej jej uzasadnieniem i celem nie miała być jakakolwiek doskonałość estetyczna, a właśnie skuteczność głoszenia owych idei genezyjskich. Temu służyć miał w intencji poety np. poemat *Król-Duch* oraz jego późne dramaty i liryki, w większości niedokończone i nie wydane za życia.

Nielatwą więc sztuką było przekonanie potencjalnego czytelnika tych pism Słowackiego o ich zasadniczej zgodności z ortodoksją religijną. Ks. Kantak w swym szkicu dowodzi więc, że filozofia i religia Słowackiego była

[...] bliska prawdziwego chrześcijaństwa tak dalece, że odbiegnięcia [...] tłumaczą się nie złą wolą, ale brakiem dostatecznych wiadomości teologicznych.

Trudno byłoby dowodzić katolickiej prawomyślności Słowackiego z jego okresu genezyjskiego analizując głoszone przez niego idee mistyczne, więc autor rozprawy nacisk kładzie na etyczny i praktyczną stronę jego postępowania:

Z teorii takiej wypadająca etyka całkiem utożsamiała się z katolicką. Należy podnieść, że w tej mierze Słowacki postępował od r. 42 całkiem po katolicku. Praktyki religijne wykonywał, pracował nad udoskonaleniem moralnym. Wyzbył się dawniejszych namiętności, przede wszystkim pokora zastąpiła miejsce pragnienia sławy. Miał się za robotnika Pańskiego.

ZAGADKA DWÓCH TOMÓW?

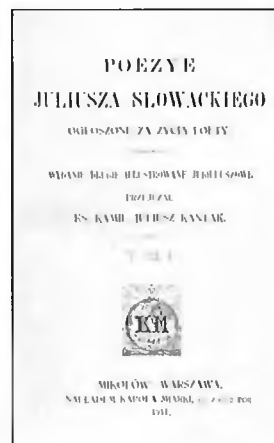
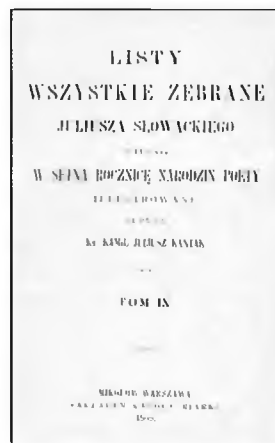
Uwieńczeniem całej edycji dzieł Słowackiego, zainicjowanej w roku 1899, były dwa tomy listów, opublikowane jako IX i X tom jego dzieł

poetyckich pod tytułem *Listy wszystkie zebrane Juliusza Słowackiego wydane w setną rocznicę urodzin poety, ilustrowane, zebrał ksiądz Kamil Juliusz Kantak*, w roku następnym 1910 wydane także przez ks. Kantaka w dwóch osobnych tomach jako *Listy do matki i wszystkie inne, wydanie zupełne pierwsze, ilustrowane, w setną rocznicę urodzin poety*. We wstępie do tej edycji autor opracowania pisał:

Listy Słowackiego stosunkowo lepsze się doczekały losu od dzieł jego. Od razu bowiem prof. Malecki wydał korespondencję do Matki, stanowiącą i jakościowo i ilościowo [...] najważniejszą część korespondencji poety. Później ogłoszono listy do innych osób; wydania zupełnego dotychczas nikt się nie podjął. Niniejsze wydanie obejmuje całą korespondencję Słowackiego, tj. wszelkie listy do wszelkich osób, jakie do końca 1909 r. ogłoszono.

Oprócz listów poety do matki znalazły się tam więc wszystkie znane wówczas listy do 30 adresatów, m.in. Wojciecha Stattlera, Andrzeja Towiańskiego, Seweryna Goszczyńskiego.

Kim był autor jubileuszowej, podjętej w stulecie urodzin Słowackiego edycji „pism pośmiertnych” i korespondencji poety? Ks. Kamil Juliusz Kantak wydał co prawda w oficynie Miarki jeszcze w roku 1912 w ramach „Nowej Biblioteki Pisarzy Polskich” tom utworów Mickiewicza i dwa tomy poezji i prozy Zygmunta Krasińskiego, później jeszcze w roku 1944 podczas wędrówki z wojskiem gen. Władysława Andersa tom poezji Słowackiego w Jerozolimie, zapisał się jednak w naszych dziejach przede wszystkim jako historyk Kościoła i duszpasterz emigracji, której poświęcił wiele lat swego długiego, liczącego 95 lat życia. Postać to niewątpliwie niezwykła. Urodzony 15 grudnia 1881 roku w Luboni koło Leszna, ukończył gimnazjum w Bydgoszczy, następnie studiował w seminarjach duchownych w Gnieźnie i Poznaniu. Święcenia kapłańskie przyjął w 1904 roku, a 5 lat później uzyskał doktorat z teologii na uniwersytecie we Fryburgu. Był wikariuszem katedry poznańskiej i profesorem historii Kościoła w seminarium



Intrygującą sprawą wydaje się natomiast numeracja kolejnych tomów dzieł Słowackiego, wydanych w oficynie Miarki – w 1899 ukazały się tomy 1-4, dziesięć lat później w tomach 5 i 6 pisma pośmiertne, natomiast tomy listów nosiły numery 9 i 10. Gdzież więc są tomy 7 i 8? Można się tylko domyslać, iż numery te „zarezerwowano” dla jeszcze dwóch tomów dzieł poety, które poprzedzać miały tomy korespondencji. Otóż zgodnie z cytowaną deklaracją, iż w tomach 5 i 6 znaleźć się miały utwory niepublikowane za życia poety, takich dzieł było o wiele więcej, niż pomieszczono ich w owych tomach *Pism pośmiertnych*. Może więc planowano edycję kolejnych jeszcze dwóch tomów, która ostatecznie nie doszła do skutku? W każdym razie następna podjęta w wydawnictwie Miarki edycja dzieł Słowackiego, przygotowana przez Zdzisława Londońskiego, miała właśnie 8 tomów.

duchownym w Poznaniu, habilitację z zakresu historii Kościoła uzyskał na Uniwersytecie Karola w Pradze. W latach 1912-1914 opublikował w dwa tomy *Dziejów Kościoła polskiego*, był także autorem licznych prac naukowych poświęconych m. in. historii polskich franciszkanów, Wielkopolsce i Pomorzu. W roku 1921 wyjechał do Gdańska, dwa lata później przeniósł się do Warszawy, był także wykładowcą historii Kościoła oraz języków łacińskiego i greckiego w seminarium duchownym w Pińsku. Po wybuchu wojny został aresztowany przez wojska sowieckie, następnie był kapelanem wojskowym w Gruzowcu. Wraz z armią gen. Andersa dotarł do Bejrutu, gdzie pozostał już do końca życia, poświęcając się organizowaniu tam życia religijnego i pracy naukowej, tam też zmarł 1 grudnia 1976 roku.

Reprodukcje kart tytułowych pochodzą z książek znajdujących się w zbiorach Biblioteki Śląskiej.

– To już IX edycja Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona”. Rozmawiamy w budynku administracyjnym Teatru Nowego, a wokół trwają prace budowlane, poświadczające, że nie będziecie w tym miejscu jedyną wyspą kultury. Tworzy się tu piękna przestrzeń, wykorzystująca zabytkowe obiekty.

– Z sąsiedztwa wyprowadziła się już szkoła, a budynek ten będzie pełnił funkcje reprezentacyjne. Znaleźć się tam ma m.in. punkt informacji turystycznej, galeria promocji miasta, siedziby paru stowarzyszeń społecznych. Z tyłu mamy „Impresję”, czyli artystyczny lokal z galerią, gdzie odbywają się także koncerty (tutaj będą się toczyły dyskusje po spektaklach festiwalowych). No i niebawem zakończy się adaptacja obiektu, którego gospodarzem będzie Filharmonia Zabrzeńska. Nieopodal stoi budynek, będący źródłem westchnień całego zespołu Teatru Nowego. To zrujnowana sala gimnastyczna, która byłaby wymarzoną miejscem dla malej sceny. Rzecz jasna, przydalaby się nie tylko na czas festiwalu. Wiadomo nie od dziś, że mamy problemy z lokowaniem spektakli w kameralnych i niekonwencjonalnych miejscach, a jednocześnie dobrze wyposażonych technicznie.

– To oczywiste, że Teatr Nowy jest nie tylko administratorem tego festiwalu, ale także stara się w nim uczestniczyć jako zespół artystyczny. Co ze swego repertuaru wstawicie do konkursu?

– To będzie *Brzydal* młodego niemieckiego dramaturga Mariusa von Mayenburga w reżyserii Rafała Matusza. Rzecz o chorobliwym dążeniu współczesnego człowieka do sukcesu za wszelką ceną. Ta propozycja dobrze mieści się w formule programowej naszego festiwalu. Czwórka naszych aktorów wystąpi w sobotę 24 października, na zakończenie konkursu. Następnego dnia ogłoszenie wyników. Cieszę się, że do jury powracają ceniony krytyk i redaktor naczelny miesięcznika „Dialog”, Jacek Sieradzki.

– Tegoroczny program jest bardzo bogaty i rozłożony na wiele dni, wzmocniony także imprezami towarzyszącymi.

– Uznaliśmy, że nie warto „ubijać” programu i pokazywać po dwa-trzy przedstawienia dziennie, jak to się dzieje na przykład w Gdyni podczas

POD PATRONATEM „ŚLĄSKA”



Jerzy Makselon, dyrektor Teatru Nowego w Zabrzu.

Jarzyna, Klata i inni

FESTIWAL

Rozmowa z JERZYM MAKSELONEM,
dyrektorem Teatru Nowego w Zabrzu

festiwalu „Raport”. Zabrze ma swoje potrzeby, ale i ograniczenia. Stąd zasada, by pokazywać tylko jeden spektakl dziennie. To większe szanse dla tzw. zwykłego widza. Kłopoty finansowe, jakie odczuwamy we wszystkich sferach życia, nie mogły pozostać bez wpływu na organizację naszego festiwalu. Niestety, nie da się już utrzymać tak niskich, pewnie najniższych w kraju, cen biletów na spektakle konkursowe. Będą wyraźnie droższe, co pozwoli zbilansować koszty, choć oczywiście bez dotacji z Ministerstwa, Urzędu Marszałkowskiego i pomocy ze strony miasta nie byłibyśmy w stanie zaprosić tylu przedstawień.

– Nie boi się pan, że to uderzy przede wszystkim w tę najwzdzięczniejszą, najmłodszą część widowni?

– Porównajmy z cenami biletów na przykład na koncerty rockowe, na występy gwiazd popu. Młodzię w przypadku atrakcyjnych propozycji gotowa jest pokonywać wiele kilometrów, by zobaczyć i usłyszeć swoich idoli. W tegorocznym programie „Rzeczywistość przedstawiona” też nie brakuje artystów wielkiego formatu. Za możliwość obejrzenia ostatnich produkcji takich reżyserów jak Grzegorz Jarzyna czy Jan Klata trzeba zapłacić. Odpadają koszty podróży do Warszawy czy Wrocławia.

– Postawiliście na głośne nazwiska.

– I taki program, który nie pominie najważniejszych nurtów w polskim teatrze współczesnym.

– Nie zabraknie też – właściwie to już tradycja – łódzkiego Teatru im. Jaracza, który zwykle zbiera sporo nagród festiwalowych.

– Bo to świetna scena, która zawsze ma coś do powiedzenia w obszarze współczesnego dramatu. Tak się dobrze składa, że *Rowerzyści* Volkera Schmidta w reżyserii Anny Augustynowicz powstał w koprodukcji z Teatrem Współczesnym w Szczecinie. To bardzo interesujący spektakl. Dostaniemy zatem „dwa w jednym”. Pokażemy to przedstawienie 22 października.

– A co na dobry początek?...

– Festiwal startuje 17, w sobotę. Grzegorz Jarzyna w swoim Teatrze Rozmaitości wystawił *Między nami dobrze jest* Doroty Masłowskiej. A zatem wspomniane przez pana głośne nazwiska, głośne przedstawienie. Następnego dnia goście będącie ciekawie prowadzony Teatr im. Osterwy z Gorzowa

Wielkopolskiego, gdzie Tomasz Zygałdo wystawił *Dzień Walentego* Iwana Wyrupajewa, z gościnnym udziałem Anny Seniuk. Dramaturgia współczesna nie jest łatwa w odbiorze, najczęściej wymaga przygotowania, tzw. wyrobienia. W tym przypadku jest inaczej. Liczę na pełną widownię.

– Co ponadto?

– Na początku nowego tygodnia pokażemy *Szajbę* Małgorzaty Sikorskiej-Miszcuk w reżyserii przywoływanego już Jana Klaty. Spektakl powstał we Wrocławiu, w Teatrze Polskim. Następnie będą *Zbombardowani* Sarah Kane w reżyserii Marka Kality, z pochodzącymi z Zabrze siostrami Popławskimi. To produkcja Teatru Konsekwentnego z Warszawy. Potem zobaczymy *Proce* Nikołaja Kolady w reżyserii Romualda Szajda z warszawskiej Sceny Prezentacji, z Bartoszem Opanią.

– No i będzie ponownie w Zabrzu – to także niepisana reguła – ciągle zaskakujący nowymi pomysłami Teatr im. Modrzejewskiej z Legnicy.

– Wystąpi na Scenie w Łaźni Łańcuskowej przy ulicy Wolności 408. To adres dobrze znany nie tylko zabrzańskim teatromanom. Tym razem będą to *Fotografie* Janusza Andermana w reżyserii Pawła Kamzy.

– Życząc powodzenia.

Rozmawiał:
KRZYSZTOF KARWAT

Foto: ARC Teatru Nowego w Zabrzu

Pojawiła się nowa propozycja wielokulturowej imprezy spod znaku teatru. Inicjatywę podjęła młodzież z Sosnowca tworząca nieformalną grupę teatralną, która wyłoniła się w trakcie warsztatów zorganizowanych w ramach Festiwalu Kultur Europejskich i Sztuk Performatywnych (przygotowanego przez Polskie Stowarzyszenie Dom Europejski w listopadzie 2006 roku w Sosnowcu). Opiekunką grupy została aktorka Małgorzata Chojnacka-Lewandowska, prowadząca wówczas zajęcia teatralne. Od tamtej pory działają wspólnie jako Młodzieżowa Akademia Teatralna. W jej skład wchodzi blisko 50 osób.

Na początku lipca członkowie MAT przystąpili do realizacji międzynarodowego przedsięwzięcia. Nawiązano kontakt z trzema zagranicznymi grupami młodzieży z miast partnerskich Sosnowca: Theatre TOUS AZIMUS z Roubaix we Francji, SMARTIES z Komárom na Węgrzech i Theatergruppe BBS-WIO z Idar-Oberstein w Niemczech. Następnie młodzi aktorzy z tych szkół przybyli do Polski w celu wspólnego opracowania zaproponowanego przez MAT projektu artystycznej wymiany „Zderzenie Kultur Europejskich i Sztuk Performatywnych – Wieża Babel”. Środki pozyskano w ramach unijnego programu „Młodzież w działaniu” oraz dzięki współfinansowaniu przez UM. Goście ponownie odwiedzili Zagłębie Dąbrowskie w dniach 4-13 września, by zaprezentować cykl spektakli oraz stworzyć wspólnie z polskimi kolegami niepowtarzalne widowisko „Wieża Babel – Rewolucje”.

5 września odbyła się uroczysta inauguracja „Zderzeń”, podczas której Teatr Tańca z Częstochowy zaprezentował autorski spektakl Włodzimierza Kucy *Promocja*. W tej satyryczno-filozoficznej opowieści autor sięgnął po tematykę alienacji i wypaczeń współczesnego społeczeństwa, takich jak konsumpcjonizm, zanik relacji międzyludzkich, trywializacja wartości. Drugiego dnia w Teatrze Dzieci Zagłębia w Będzinie odbyły się otwarte warsztaty technik lalkarskich oraz pokazowy spektakl *Dzikie lądy* łączy animacje lalkowe z teatrem żywego planu. Ponadto uczestnicy wzięli udział w spotkaniach z aktorami, warsztatach pantomimy i koordynacji ruchu oraz zajęciach w pracowni plastycznej, a także w debacie „Dokąd zmierza europejska kul-



W ciągu kolejnych czterech dni zagraniczne grupy zaprezentowały spektakle grane w językach narodowych.

Zbudowano Wieżę Babel

WSPÓŁPRACA Z ZAGRANICĄ

tura – innowacyjność i kreatywność w kulturze i edukacji kulturalnej”.

W ciągu kolejnych czterech dni zagraniczne grupy zaprezentowały spektakle grane w językach narodowych. I tak młodzież z Węgier przygotowała inscenizację jednoaktowej satyry *Pocieszne wykwinutisje* Moliere’a, grupa niemiecka zaprezentowała współczesną, humorystyczną interpretację opowieści o Nibelungach pt. *Das Nibelungenlied*, a Francuzi oczarowali widzów spektaklem *FOOT-BALL et autres reflexions*, z przymrużeniem oka przedstawiającym podejście kobiet i mężczyzn do sportu. Cel „Zderzeń” określono jasno: „Chcemy wykorzystać możliwości, jakie dają nam sztuki performatywne i wszelkie środki ekspresji teatralnej, także pozawerbalne, we wzajemnym komunikowaniu się, poznawaniu i zrozumieniu”. W ten sposób na pierwszy plan prezentowanych widowisk wysunęła się intonacja głosu, gest i ruch sceniczny, wzrosło znaczenie muzyki, światła, dekoracji i kostiumów.

Późnym wieczorem 12 września w ogrodach Muzeum w Pałacu Schoena w Sosnowcu odbył się spektakl finałowy *Wieża Babel – Rewolucje*, stworzony wspólnie przez gości, gospodarzy i statystów z klas teatralnych I LO im. W. Roździeńskiego w Sosnowcu. – Ustaliliśmy z partnerami, że jego wiodącym tematem będą rewolucje, ważne wydarzenia historyczne, jakie miały miejsce w krajach pochodzenia uczestników, i to jak wpłynęły na kształtowanie się kultury i tradycji tych krajów – wyjaśniła Małgorzata Chojnacka, spiritus movens

projektu. W delikatnie sączącym się świetle i w strugach deszczu na niewielkiej polanie zebrali się blisko 40 aktorów, którzy stworzyli niemy krąg wokół ustawionej pośrodku symbolicznej wieży. Z chwilą, w której rozbrzmiała patetyczna, chóralna muzyka, postaci pogrążyły się w transie uwielbienia dla budowli – w ten sposób podkreślono mityczny charakter idei Wieży Babel. Chwilę później pojawiła się widmowa postać w bieli sunąca (na ukrytych pod kostiumem szczudłach) w stronę stojącej między drzewami publiczności oraz towarzysząca jej dziewczynka w czerwonej sukni. Obie wkroczyły między widzów i zaczęły wyciągać wszystkich na środek „sceny”, a wtedy zgromadzeni aktorzy rozbiegli się w czterech kierunkach.

Publiczność szybko zrozumiała i podjęła grę ruszając w stronę pierwszego wzgórza, na którym rozbłysły czerwone światła. Tam właśnie grupa z Theatre TOUS AZIMUS z Roubaix zaczęła kreślić obraz Rewolucji Francuskiej – dramat wielkiego głodu, rzućcie w przestrzeń błagania o odmianę losu, a wreszcie radość z uchwalenia Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela. W chwilę później światła rozjaśniły drewnianą platformę umieszczoną wśród drzew kilkanaście metrów dalej. Rozległy się okrzyki, padły pierwsze strzały, ktoś upadł na ziemię – rozpoczęto inscenizację powstania węgierskiego z 1956 roku. Młodzi ludzie unieśli w górę podartą węgierską flagę i sztandary z hasłem „Ruszkik haza!”, a wtedy na kolejnym wzgórzu światło wyłoniło z mroku szereg postaci splecionych ze sobą ramionami. Nagle w tej zwartej strukturze pojawił się falujący ruch zwiastujący destrukcję – postaci po kolei wyłamywały się z szeregu aż wreszcie „Mur Berliński” upadł.

Ostatnia scena należała do Polaków – na szczycie wielkiej jaskini, wysoko ponad głowami widzów, w kłębach gęstego dymu pojawił się tłum protestujący wobec wprowadzenia stanu wojennego. Ich smutny pochód przebrały brutalne oddziały ZOMO. Zwieńczeniem wspomnienia tych wydarzeń był szereg wysoko uniesionych rąk prezentujących znak zwycięstwa. Na zakończenie spektaklu ponownie zebrani wokół wieży aktorzy i widzowie zaśpiewali wspólnie *A mury ru-
nq... I pogrzebią stary świat!*

EWA M. WALEWSKA

Irlandczyk Martin McDonagh to objawienie ostatnich lat w teatrze europejskim. W tym także polskim, bo na wielu scenach pojawiły się jego mroczne dramaty, ukazujące Zieloną Wyspę bynajmniej nie jako krainę szczęśliwości i błogiego spokoju, lecz zapyziałą prowincję, która tłamsi w sobie rozmaite kompleksy i przerażające człowiecze atawizmy (z powodzeniem grano McDonagha m.in. w Katowicach i Opolu). To są sztuki świetnie napisane, z gatunku tych, o których zwykło się mówić, że „nie można ich zepsuć”. Rzeczywiście, dają wielkie pole do popisu przede wszystkim aktorom. Pełno-krwiste postacie, ostre dialogi, atmosfera fizycznej i psychicznej klaustrofobii, jaka paraliżuje wszystkich – oto atuty tych tylko pozornie realistycznych obrazów, bo irlandzki region Connemara jawi się w nich jak wypreparowany mikroskopijny model świata, o którym Bóg i ludzie zapomnieli, pozostawiając go siłom zła, jakie mogą się w nas wyzwać. Ci, którym dane jest tu jednak egzystować, przyjmują ten fakt jak niesprawiedliwy wyrok, od którego nie ma odwołania. No, chyba, że jakimś cudem zdoła się stąd uciec. Ale nie wszyscy dostają taką szansę. Pat – w bielskim spektaklu gra go Grzegorz Sikora – skorzystał z niej, więc może pojawiać się w Leenane niczym gość, który tylko z drobnym sentymentem zabawi w rodzinnych stronach i znowu wyjedzie gdzieś daleko, do Anglii zapewne, a tam jest życie, praca, pieniądze. I nadzieja. Tutaj jej nie ma. Tutaj można tylko do znudzenia powtarzać codzienne czynności domowe i z bezsilnością obserwować, jak upływa czas i człowiek się starzeje.

To przypadek Maureen (w tej roli Anna Guzik). Kiedyś nazywanej „królową piękności z Leenane”, ale ktoś o tym jeszcze pamięta? Pat? Tak, ale czy jego zaloty są szczerze? Może to tylko alkohol i atmosfera wsiowej zabawy pchnęła go w ramiona dawnej znajomej? Maureen jest jak stygmatyczka, cierpi i bezskutecznie szuka jakiejś moralnej odnowy; obok niej ciągle kręci się i mamrocze jej zniedołężniała, złośliwa matka, śledząca każdy jej ruch i w swoisty sposób ją ubezwłasnowolniająca (w roli Mag Grażyna Bulka). Do ich domostwa, którego ubóstwo – także materialne – wyobrażają surowe deski ścian i marne sprzęty kuchenne, czasem zagłównie młodszy brat Pata, Ray (Sławomir Miska), bezceremonialny, zachowujący się



Grażyna Bulka jako Mag. To dobra rola.

W zaduchu beznadziei

niczym zapóźniony w rozwoju kibol czy dresiarz.

Także w kostiumach, szarych i biednych, odbija się stęchlizna tych marnych żywotów. Nad sceną nieledwie unosi się zaduch beznadziei i zapach moczu dobywający się ze zlewu, bo do niego Mag zwykła wylewać nocnik. Ten jej rytuał to stałe źródło kłótni i wzajemnych upokorzeń, jakimi bez skrupułów i z nie skrywaną nienawiścią obdarowują się matka i córka. Między nimi toczy się okrutna gra. Maureen – pozornie – ma w niej przewagę, ale czujemy, że mimo wszystko karty rozdaje Mag, która pod przymilnymi gestami i wyciszonymi prośbami o bulionik czy owsiankę kryje fałszywy uśmiešek, wzmocniony bystrymi spojrzeciami, a te dobrze nie wróżą. Tak, Mag trochę udaje bezradną i sklerotyczną, bo w rzeczywistości cały czas panuje nad sytuacją i nie potrafi ukryć wynikającej z tego satysfakcji. Nawet, gdy zjawi się Pat i spędzi noc z jej córką, Mag nie straci zimnej krwi. Zrobi wszystko, by córki – i swego życia – z ręki nie wypuścić. To dobra rola Grażyny Bulki, dość energicznie kuśtykającej, gdy nikt nie patrzy, od ściany do ściany, ubranej w jakiś koszmarny dres i takąż czapeczkę nasuniętą głęboko na czoło. W ten kostium – w finale – przebierze się jej córka. Dosłownie przejmie jej rolę. Jak matka bezsensownie kiwać się będzie na bujanym fotelu. To przejmujące sceny.

Maureen w wykonaniu Anny Guzik to też kawał solidnego rzemiosła aktorskiego, decydującego o atrakcyjności tego spektaklu. To kobieta zmęczona, choć momentami nadspodziewanie energiczna i nieustraszona, więc w końcu nie mamy wątpliwości, kto

sprawił, że Mag ma poparzoną i obandażowaną prawą dłoń i dlaczego w finale nie daje znaków życia, niemal wypadając z fotela. Ale niepotrzebnie w scenach z Patem – sędzę, że reżyser poszedł stanowczo za daleko – Maureen jest tak rozerotyzowana. Przecież niebawem z listu Pata, którego treść znamy z „offu”, dowiemy się, że noc nie była spełniona. Co się stało? Nie wiemy.

Czy to odrzuciło Pata? Chyba nie, ale dziwny układ, jaki stworzył się między niedoszłymi kochankami, pozostaje niejasny, więc i męskie role stają się niedorobione. Zabrakło owego drugiego czy trzeciego dna. Metafizycznego i jeszcze bardziej mrocznego. Jak to bywa, na przykład, u Strindberga czy Ibsena. Może to uczucie

było wymyślone, wykreowane w głowie Maureen, która przecież – dowiemy się o tym później – kiedyś już leczyła się w psychiatryku? Po co zatem ten erotyzm na scenie? Bo tego cienia szaleństwa, którego źródłem mogłaby być tyleż choroba psychiczna, co i doskwierająca samotność, a na nią lekarstwa tu nie ma, wcześniej w Maureen nie dostrzegaliśmy. Kim zatem jest Pat? Swojakiem, który chce wykorzystać okazję? Cynikiem czy konformistą? Wrażliwym młodym człowiekiem, z którego jednak uczucie i pamięć o nim wyparowały?

W jakimś stopniu te pytania powinny pozostać otwarte – mam tego świadomość. Ale nie po to, by wywołać w nas, widzach, rodzaj takiej rozterki, która nakazuje podejrzewać, że złamane tu zostały zasady psychologiczne tudzież te, które regulują damsko-męskie gry, spełnienia i niespełnienia erotyczne. Ta powierzchowność w odczytaniu tych relacji (w związku z tym także – pośrednio – uproszczenie toksycznego układu matka-córka, bo może ta pierwsza przed czymś tę drugą chciała ochronić, a nie tylko w imię egoizmu ukarać?) zaważyła na osłabieniu siły rażenia sztuki McDonagha. Nie udało się wejść głębiej. Tam gdzie kończy się realizm jego tak wyraziste kontury nagle rozmywają się, nakierowując naszą uwagę daleko poza ten dziwny skrawek Irlandii.

KRZYSZTOF KARWAT

Martin McDonagh: „Królowa piękności z Leenane”. Reżyseria Grzegorz Chrapkiewicz. Scenografia: Jan Kozikowski. Muzyka: Krzysztof Maciejowski. Premiera 12 września 2009 roku na Małej Scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej.

TEATR

ARC Teatru Polskiego w Bielsku-Białej

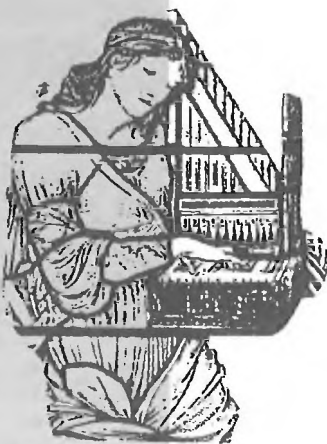
Z wybitnie uzdolnionym rodzeństwem Krzeszowców śląska publiczność, nie tylko ta, która przychodzi na koncerty „Silesii”, obcuje od kilku lat. Teraz ma okazję zaprosić ich do swoich domów, jako że dwaj bracia: Szymon – skrzypek, prymariusz Kwartetu Śląskiego i pedagog katowickiej Akademii Muzycznej i Adam – wiolonczelista, student tejsze uczelni w klasie Pawła Głombika, niemal równocześnie wydali płyty, zresztą bardzo podobne i w treści, i w stylu realizacji.

Obaj bracia zmierzili się z repertuarem XX-wiecznym. Na płycie Szymona, zatytułowanej *Kaleidoscope* znalazły się utwory czołowych kompozytorów polskich: Krzysztofa Meyera (*Sonata* z 1975 roku), Stanisława Moryty (*Aria e Corale*, 1984), Krzysztofa Pendereckiego (*Cadenza*, 1984), Pawła Szymańskiego (tytułowy *A Kaleidoscope for M. C. E.*, 1989), Tadeusza Wieleckiego (*Przędzie się nieć*, 1992) Witolda Szalonka (*Chaconne – fantasia*, 1997) i Eugeniusza Knapika (*Filo d'Arianna*, 2005). Spośród tych nagrań dwa stanowią transkrypcje – utwór Pendereckiego jest w oryginale przeznaczony na altówkę, zaś Knapika – na wiolonczelę. *Filo d'Arianna* powstało na zamówienie zorganizowanego w katowickiej Akademii Muzycznej konkursu na wiolonczelę solo. Było tam utworem obowiązkowym, a nagrodę za jego wykonanie zdobył... Adam Krzeszowiec. I on włączył *Filo d'Arianna* do swojej płyty, tym razem w wersji oryginalnej. Poza tym nagrał na niej dwa poważne dzieła: *Sonatę* George'a Crumba z 1995 roku oraz *Sonatę* Zoltana Kodaly'ego z roku 1918.

Płyta Szymona Krzeszowca to dzieło dojrzałego artysty, świadomego środków i efektów, które stosuje, gotowego do interpretowania muzyki o różnych poetykach, dziejących się w różnych czasach i przywołujących odmienne muzyczne i pozamuzyczne konteksty. Materiał krąka został jakby specjalnie dobrany, by uwyrażnić te właśnie umiejętności. Otwierająca go *Sonata* Meyera to przykład precyzyjnego, matematycznego wręcz kształtowania narracji muzycznej w oparciu o proporcjonalny podział odcinków muzycznych przedzielanych charakterystycznymi kulminacjami. Artysta umiał uwypuklić szlachetność formy utworu i wypełnić ją ekspresyjną treścią. W utworze Moryty przedzierzgnął się Krzeszowiec w „rasowego muzykanta”, wkładając odpowiedziany przez kompozytora staroświecki kostium „romantyczno-góralsko-Szymański”.

Diametralnie inne zadanie miał w utworze Pawła Szymańskiego, w którym konstrukcja zdecydowanie góruje nad ekspresją, a zadaniem interpretatora jest zagrać fascynację nieustannymi

MIEDZY NUTAMI



Bracia Krzeszowcy

fluktuacjami montowanych i demontowanych struktur. W porównaniu z zawilym w aspekcie narracji *Kalejdoskopem* Szymańskiego i zbliżonym do niego pod względem estetycznym *Przędzie się nieć...* Tadeusza Wieleckiego *Cadenza* Pendereckiego – swoiste pendant do koncertu altówkowego krakowskiego twórcy robi wrażenie przyjaznej dla słuchacza, zwartej, zgrabnie napisanej. Nie od rzeczy są przechwałki Pendereckiego, że w gronie polskich kompozytorów wyróżnia się cnotą panowania nad formą... Podobnie mógłby się chwalić Knapik, chociaż jego utwory, kontemplacyjne, rozciągnięte w czasie do maksimum, wymagają od odbiorcy nierównie więcej wysiłku. *Filo d'Arianna* to swego rodzaju „streszczenie” Knapika – dobry utwór do grania i nagrywania.

Rewelacyjny jest finał płyty – *Chaconne-Fantaisie* Witolda Szalonka, jedno z dzieł późnych, wciąż jeszcze mało znanych, nie wciągniętych należycie w refleksję nad dziejami muzyki polskiej XX wieku. Można rzec o niej: muzyczny testament i nie nadużyć wytartego, skądinąd często nadużywanego, wyrażenia. Niezwykła szlachetność – istotność inwencji, obecność wiele mówiących nawiązań do muzycznej tradycji, mistrzowskie panowanie nad mową muzyczną, a nade wszystko

ów lekko ironiczny dystans – cecha Szalonkowa nie do podrobienia... Płyta, którą nagrał Szymon Krzeszowiec, jest świetnym materiałem dydaktycznym, mieści się na niej wszak kawał historii muzyki polskiej XX wieku w jej cennych, wartościowych przejawach. Oprócz tego jest to płyta piękna.

Celem Adama Krzeszowca było również w jakimś sensie zapełnienie luki w znajomości muzyki skrzypcowej u nas. Ani Zoltan Kodaly, ani George Crumb nie zostali bowiem w Polsce skonsumowani „prawidłowo”, tj. w odpowiednim czasie i w odpowiedniej ilości. Kodaly, dość często wykonywany przed wojną, został po 1945 roku zdegradowany do roli twórcy jednej z XX-wiecznych koncepcji szkolnego wychowania muzycznego, zaś o Crumbie dowiedziała się publiczność radiowej Dwójki dopiero w latach 80., gdy przyszła moda na „duchowość” w muzyce (przebojem Dwójki w tych latach był kwartet smyczkowy *Czarne anioły*).

Otwierająca płytę wiolonczelowa sonata Crumba również odpowiada na zapotrzebowanie na muzykę „duchową”. Jest niezwykle ekspresyjna, tajemniczo-zaczepna, chociaż jej materia jest bardzo jednorodna, a forma przykładowo uporządkowana. Wszystko mieści się – nomen omen – „między nutami”, a Adam Krzeszowiec potrafił to „coś” wywołać, czy też zasugerować niczym dyplomowany spirytysta. W utworze Kodaly'ego mógł sobie za to pofolgować jako zwyczajny muzyk, gdyż jest to kompozycja bazująca na „zdrowych” źródłach muzyki ludowej. Nie umiem odpowiedzieć na pytanie o jej „węgierskość”; wydaje się być miejscami bliższa wzorom Liszta i Brahmsa niż tym, które propagował Bartok jako autentycznie ludowe. Mniejsza o źródła, ważne jest, że w monumentalnym, trwającym pół godziny dziele odkrył młody wykonawca ocean pięknych miejsc „do grania”, dzięki czemu można się do woli delektować jego czystym, zdecydowanym artykułowanym dźwiękiem, potocznością frazy, niewysiloną wirtuozerią i młodzieńczą werwą. Płytę zamyka – symbolicznie – Knapikowe *Filo d'Arianna*, wykonane starannie, z gustowną, nieprzesadną dozą medytacyjnego nastroju i „uczuciem”.

Płytę Szymona Krzeszowca wydała firma Dux, krążek młodszego z braci – Polskie Radio Katowice. Obie mają starannie opracowane komentarze, przy czym *Kaleidoskop* wyróżnia się nowocześnie szatą graficzną. Nie muszę sprawdzać, od razu widać, że to ręka Ewy Sataleckiej, która od dawna „oprawia” plastycznie płyty i programy Kwartetu Śląskiego. Reżyserem dźwięku w obu publikacjach była Beata Janowska-Burzyńska.

MAGDALENA DZIADEK

Dossier Marka Weissa, migoczące zaledwie w kuluarach *stricte* literackich, w blasku teatralnych ramp i echach operowego śpiewu słynie od zgoła trzydziestu lat. Pochodzący z Chorzowa wybitny reżyser i inscenizator, związany m.in. z Teatrem Wielkim w Warszawie, Poznaniu, Łodzi, Operą Warszawską, Wrocławską i gdańską Operą Bałtycką (od bieżącego roku jest jej dyrektorem naczelnym i artystycznym) zdobył uznanie nie tylko w kraju, ale również za granicą. Zapraszany do współpracy przez europejskie, azjatyckie i amerykańskie przybytki Melpomeny, gościł w Bułgarii, Holandii, Finlandii, Grecji, Izraelu, USA, Korei Południowej, Japonii i wielu innych. Jego debiutancka powieść, nosząca tytuł *Boskie życie* ma szansę utrwalić nazwisko artysty także na firmamencie literackim. Owe późne, a co za tym idzie, niezwykle dojrzałe prozatorskie juvenilia, opalizują bogatą gamą strategii narracyjnych, chwytów formalnych, rozwiązań tematycznych. A wszystko to spowite w woal erudycyjnej stylistyki pisarza i orbitujące wokół binarnego leitmotywu: człowiek i sztuka oraz człowiek a Bóg.

Oś fabularna powieści stopniowo i konsekwentnie zmierza ku ujawnieniu odbiorcy kolei losu trzech głównych bohaterów. Przecinanie się ich trajektorii życiowych jest pochodną wspólnego rdzenia genealogicznego. Ale, jak się okazuje, nie tylko. Spośród trzech niepowtarzalnych biografii jest również, dzielony przez każdego z bohaterów, chleb powszedni artystycznego życia oraz zmagania na polu wiary, których odzwierciedleniem mógłby być metaforyczny starotestamentowy obraz Jakubowej walki z Aniołem. Jakub, od którego opowieść się rozpoczyna, jest pisarzem, znanym szerokiemu gronu czytelników apokryfistą, spekulującym w swoich powieściach na temat tajemnicy życia Chrystusa. Autor darzy go biogramem żarliwego opozycjonisty, który niegdyś, za czasów peerelowskich, działając w szeregach Solidarności, opiewał w opowiadaniach swoje ówczesne autorytety: Michnika i Kuronia. Starsza siostra, Weronika oraz Piotr, najmłodszy z rodzeństwa, to utalentowani tancerze baletowi, słynący na najbardziej prestiżowych scenach teatralnych świata. Elementem waloryzującym snutą przez narratora opowieść jest wprowadzenie w obręb świata przedstawionego realiów zaczerpniętych z rzeczywistości pozaliterackiej. I nie mam tu na myśli wyłącznie usytuowania czasoprzestrzennego – osadzenia akcji w czasach zmierzchu komunizmu i galopującego kapitalizmu odrodzonej demokratycznie Polski, nawiązania do przełomowych wydarzeń



Prozatorskie juvenilia

w kraju, pochodzących z tego okresu czy lokalną topografię – ale także wykorzystanie przez autora personaliów znanych osobistości. Życie artystyczne tych trojga bohaterów naświetlają takie postacie, jak Agnieszka Osiecka, Czesław Miłosz, Karol Wojtyła, Jerzy Andrzejewski, cała plejada gwiazd Piwnicy pod Baranami, itd. Częstokroć transpozycja ta, owo zageszczenie personologiczno-faktograficzne, powoduje zacieranie się fikcji i wywołuje efekt obcowania nie z epicką matrycą, lecz biografiami osób prawdziwych.

To, co w znacznej mierze decyduje o uroku powieści Marka Weissa to specyfika ukształtowania jej narracyjnej materii oraz finezyjna nieciągłość, meandryczność konstrukcji czasu. Fundamentem pierwszej części opowieści, zatytułowanej *Przez chwilę razem*, są wspomnienia trójki protagonistów, które nachodzą siebie i objaśniając się nawzajem, tworzą wspólną mnemoniczną mozaikę. W zależności od punktu widzenia danej postaci, historia, która przedstawiona zostaje odbiorcy, odsłania swe proteuszowe oblicze i ulega nieustannemu procesowi reinterpretacji. Dzięki temu mamy do czynienia z niezwykle żywymi, stwarzanymi wciąż na nowo obrazami, które podczas lektury dookreślamy i weryfikujemy. Plastyczności tej towarzyszy ciągła rotacja temporalna. Nie

chodzi tu tylko o popularny chwyt sprzężenia teraźniejszości z przeszłością czy przeszłości z przyszłością, ale nakładanie na siebie przeżywanego indywidualnie czasu wszystkich bohaterów. Osiągnięty dzięki temu efekt trójwymiarowości potęguje doświadczenie wspomnianej już polifonii narracyjnej, z drugiej zaś strony rodzi w czytelniku stan permanentnej czujności i gotowości do zmiany wcześniej przyjętej perspektywy. Dychotomiczna budowa, jaką charakteryzuje się *Boskie życie*, ma swe odzwierciedlenie na wielu płaszczyznach, począwszy od empirycznego podziału książki na dwa potężne rozdziały, a skończywszy na konstrukcji charakterologicznej. Wraz z nawet najsutelniejszym pociągnięciem autorskiego pióra pojawia się bardzo wyrazisty profil każdego z bohaterów, ich osobowości nie są jednolite i nie znają odcieni szarości, zawsze widzimy je albo ciemnymi albo jasnymi. Kontrasty te rodzą się wraz z rozwijającymi się i następującymi kaskadowo opowieściami poszczególnych postaci. Dla przykładu droga Piotra, wiedzie od kariery baletowej do zakonu. Od życia zakonnego do sławy heretyka. Przez radosne kaznodziejstwo i publiczne krzewienie idei braterstwa do ateizmu. Od upadku systemu wartości po jego wskrzeszenie w niesieniu pomocy sierotom... Celemu temu repertuarowi skrajności towarzyszy pogarda żywiona dla brata homoseksualisty, własna aseksualność i jątrzący psychikę kompleks Edypa. To w konstruowaniu przede wszystkim tej postaci, autor sięga do aparatury psychoanalitycznej wypracowanej przez Freuda i Junga, nadając olbrzymie znaczenie sferze onirycznej, interioryzacji i przeciwstawieniu się archetypicznym wzorcom, a nade wszystko autoanalizie jej bycia-w-świecie.

Sinusoida egzystencjalna, jaką pisarz przypisuje swoim bohaterom, choćby w swym największym ekstremum, zawsze naznaczona jest walką o godność, podjęciem wyzwania rzucanego przez dramatyczne zawilości losu. I, jak można się przekonać podczas lektury, nie jest to tylko batalia o zachowanie swej tożsamości, suwerenności wobec Innych, ale też próba odnalezienia się w krętych, niekiedy ślepych uliczkach labiryntu ponowoczesności. Siedlisku, w którym zawsze czai się potwór sekularyzacji, strywalizowanej religii, kultury 3K: komercji, konsumpcji i konformizmu. Dlatego też powieść tę, choć pozbawioną wyraźnych motywacji moralizatorskich, można ująć w ramy swoistej przypowieści o człowieku – współczesnym Don Kichocie zmagającym się z wiatrakami na miarę swoich czasów.

ANNA KOŁODZIEJSKA



Lukasz Suskiewicz, *Egri bikaver*, Wyd. Forma. Stowarzyszenie OFFicyna, Szczecin, Bezręcze 2009; seria Kwadrat.

W poszukiwaniu miejsca

Dzisiaj zyskuje literatura wspomnieniowa dzienniki, umiejętnie zebrane i przedstawione dokumenty na dany temat czy wreszcie reportaże. Ukazane w nich perypetie są atrakcyjniejsze od najwymyślniejszej nawet fikcji. Zaskakujące scenariusze życiowe potrafią przykuć uwagę czytelnika, tym bardziej że stanowią one zawsze jakąś próbę diagnozy świata, w którym żyjemy. Gdy jeszcze do reportażu dodamy szczyptę fabularnego suspense, z trudem oderwiemy się od takiej lektury. Właśnie w książce Łukasza Suskiewicza pt. „Egri bikaver” ów żywioł reporterskiego oglądu rzeczywistości wydaje się być głównym atutem – symbioza opowiadania i reportażu daje w efekcie interesującą narrację ożywiającą przedstawiane postacie, sytuacje, uczucia, ponadto łamie stereotypy i wymaga od czytelnika aktywnego współuczestnictwa. Co więcej ciągle obecność samoświadomości twórcy, pewnego dystansu wobec opisywanych doświadczeń, powoduje, że inteligencja i spostrzegawczość autora zostaje przyprowadzona szczyptą ironii oraz paradoksu. Łukasz Suskiewicz w „Egri bikaver” zwierza się: „Wyjazd wydawał mi się doskonałym pomysłem. Wyobrażałem sobie, że będziemy żyć jak bohaterzy powieści. Fabuła będzie raz zwalniać, raz przyspieszać, zgodnie z zasadami narracji. Postacie będą pojawiały się, wygłaszały swoją kwestię, a potem znikaly... Z takim przeświadczeniem wsiadłem do samolotu, bacznie wszystko obserwując”. Ta cecha obserwatora, a zarazem zaangażowanego uczestnika wydarzenia sprawia, że mamy przed sobą prawdziwe życie

z całą feerią różnorodnych postaci, zjawisk, kontrastów systemów wartości, światopoglądów, zachowań. Paralelizm i niestrudzone przenikanie się odmiennych subkultur czy to na planie psychologicznym, czy ekonomicznym, eksponuje nie tylko charakter środowisk, w których przebywa narrator-bohater, ale również, a może przede wszystkim jego osobowość i etos, tym wyrazistszy, że poddany bezpośredniej próbie miejsca i czasu. A zatem uczestniczymy w przygodach młodego absolwenta wyższej uczelni, który nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w kraju postanawia wyjechać do Irlandii i Wielkiej Brytanii (signum temporis!). Za pracę? Za chlebem? Bo tak robią inni? Emigracja zarobkowa w kapitalizmie to przecież nic wyjątkowego. Aby doświadczyć nowych wrażeń? Innych kobiet, innego klimatu, kraju-brazu? Innego sposobu na spędzanie czasu? Innej kultury wreszcie? Na pewno tak, więc wszystko to są pytania retoryczne. Ilustrują stadium uniwersalnego rozwoju, gdzie dominuje współbicie, powszechność, typ – zawierają konfrontację, a jednocześnie kompromis wobec tego, co odmienne. Dla bohatera jest to aspekt ważny, ale nie najważniejszy; poprzez wędrówkę przez labirynty zachodniej cywilizacji, poprzez postawy Polaków na obczyźnie, poprzez trendy i fuzje środowisk artystycznych, usiłuje on określić, czyli nadać sens stadium własnemu, indywidualnemu rozwojowi. Tutaj sytuacja dotycząca jego samego jest o wiele bardziej złożona, składa się z subtelnych odcieni oraz brutalnych konstatacji autorefleksji. Próby wyrażenia tego, co osobiste, aby nie stały się jedynie gestem rozpacz, muszą odwołać się do tradycji. Stąd symboliczny powrót z emigracji do rodzinnej Częstochowy – do tego co rodzinne, prawdziwe, polskie od wieków. I z pewnością byłoby to piękne kolo przemiany i dojrzalności bohatera, który, aby utrwalić swoją tożsamość wraca „na ojczyzny łono”. Cóż za wspaniały, egzystencjalny happy end! – chciałoby się wykrzyknąć. Jednak pierwsza, okrutna i bezpardonowa, rozmowa z częstochowskim tak-sówkarzem, stanowi jakże gorzką i bolesną konkluzję dla młodego człowieka: nie ma dla niego miejsca ani tam, ani tutaj! Pozostał sam z etosem i z rozbrajającą go świadomością twórcy, umykającą w literackie gry w „nieznośnej lekkości stylu”.

BOGDAN NOWICKI



Jarosław Maślank, *Haszyszopenki*, Wydanie I, Wydawnictwo W.A.B., 2008. s. 252.

Wojna bez wojny

Horror ipeenowsko nieoprawny, pełny grozy wyzierającej z niejednoznacznych postaw, gdzie śmierć jest tylko zwieńczeniem życia bez wolności – tak o swoim prozatorskim debiucie wyraził się Jarosław Maślank. Określenie niezwykle trafne, zważywszy, że świat, udokumentowany w nim, można by scharakteryzować jako labirynt zła, którego ścieżki wybrukowane są beznadziejnością, brutalnością i budzącym odrąg realizmem. W powieści przywołano bowiem upióry peerelowskiej degenerolady stanu wojennego, obnażając i jednocześnie hiperbolizując przy tym wszystkie jej wynaturzenia. Aby zintensyfikować odbiór, autor wykorzystwał tu konstrukcyjne elementy gatunku, jakim jest parabola, lokując ekspresję w sferze symboliczności, wymagającej od czytelnika wzmożonej aktywności interpretacyjnej.

Małe miasteczko, nazywane przez mieszkańców pieścizotliwie Kurwidółkiem, przywodzi echa klaustrofobiczności i moralnego upadku Camusowskiego Oranu czy też *theatrum absurdum* Kafki. W rezydium wszechobecnej i kategorycznej przeciętności, fundowanej przez szarą rzeczywistość, ziejącą brudem i oparami pędzonego nielegalnie samogonu, osadza Maślank swego głównego bohatera, Maksymiliana. Chłopiec, prze-

pełniony jeszcze nieskazitelnym młodzieńczym buntem przeciwko zastanym realiom historyczno-społecznym, stoi na inicjacyjnym progu, przeżywa tożsamościowe rozterki, pierwsze miłosne rozczarowania, bóle dziecka pozostającego poza horyzontem zainteresowań ze strony rodziców. Co rusz, przed jego oczami przewijają się, zdeformowane destylatem twarzy, kadry z życia naszpikowane śmiercią, zdradą i okrucieństwem. Jednym z wątków, wokół którego centralizuje się fabuła, są zabawy Maksza z przyjacielem Wronkiem, synem miejscowego szefa MO. Z czasem, jak możemy zaobserwować, imaginacyjne bitwy na kijki czy też czmychanie przed kosmicznym najeźdźcą, ustępują miejsca przewrotnym formom dręczenia Trzynachy, sąsiada ormowca. Od uprzykrzających mu żywot „niewinnych” haszyszopenków, (cuchnących bomb sporządzonych z przegniłej wartości piwnicznych weków, podkładanych na wycieracze), droga wiedzie ku bestialskiemu mordowi na byłym funkcjonariuszu.

Bazując na figurze kontrastu autor *Haszyszopenków*, usytuowawszy na tle społecznego bestiarium postać niewinnego dziecka, pokazuje nie tylko mechanizm powolnej, acz nieuchronnej jej degeneracji, diagnozuje ponadto przyczyny zwyrodnienia. Moralistyczny wymiar utworu sprowadzałby się do parafrazy popularnego przysłowia: w zdrowym państwie, zdrowy obywatel. Ramą obrazu, jaki wylania się z powieści Maślanka, jest powszechne skażenie, poczynając od podstawowej komórki socjalnej – rodziny, na społeczności narodowej skończywszy. Jego źródło – trwające ponad trzydzieści lat – zniewolenie, ukoronowane absurdalnym stanem „wojny bez wojny”, przekształca bohatera w powieściowego działania się w korywó cieni, sennie podążających ku egzystencjalnemu dnu. Uniwersum wykreowane tu przeraża zatem w dwójnasób. W swym przynębiającym nastroju niczym spirala hipnotyczna pogrąża czytelnika w groteskowej przestrzeni bez wyjścia, finalnie zaś łączy świadomość, że inspiracją dla powieści stanowiła rzeczywistość, w której jeszcze tak niedawno dane było nam uczestniczyć.

ANNA KOŁODZIEJSKA

Istnieją postacie bardziej znane z pozazawodowych dokonań, które przyciemniają w powszechnej świadomości inne ich osiągnięcia. Jedną z takich osób jest Joanna Szczepkowska, znakomita aktorka teatralna, felietonistka i prozaiczka, niezmiennie w wywiadach indagowana o jedno wypowiedziane dwadzieścia lat temu zdanie. Dwie dekady temu w wypowiedzi udzielonej dziennikarce Dziennika Telewizyjnego powiedziała: *Proszę państwa, 4 czerwca 1989 roku skończył się w Polsce komunizm*. Wielokrotnie tłumaczyła się z tego jednego zdania, przez jednych interpretowanych jako gest wyzwalający dumę, a przez innych jako infantylny incydent. Książka rozpoczyna się takim właśnie dialogiem z przypadkowo spotkaną kobietą, pytającą DLACZEGO Szczepkowska to zrobiła. Aktorka zastanawia się czy chodzi o przyczynę czy o sprawcę – DLACZEGO właśnie ona. Odpowiada sobie, że całe życie prowadziło do tego gestu, lecz że do tej pory wiedziała to tylko ona sama. Niedawno z uwagi na dwudziestą rocznicę pierwszych demokratycznych wyborów wystąpienie Szczepkowskiej przywoływano szczególnie często, i choć nie wiadomo ile osób oglądało Dziennik Telewizyjny tego wieczoru, to wydaje się, że prawie wszyscy wiedzą o co chodzi. Ostatnia zmiana polityczna sprokurowała parafrazę tego zdania funkcjonującego własnym życiem, jednak zwykle w związku z nazwiskiem aktorki.

W książce pod znaczącym tytułem *4 czerwca* opowiada o wydarzeniach, które ją ukształtowały, doprowadziły do telewizyjnego studia i współczesności. W uporządkowanych chronologicznie epizodach od 1953 roku do 1989 roku wspomina wydarzenia, tak jak pojmowało je dziecko, potem nastolatka, młoda kobieta i matka: *W każdym z krótkich rozdziałów spróbuję przywołać obraz, który został w mojej pamięci jako coś co było cieniem wszechobecnej polityki. Jeśli to oczywiście polityką można nazwać* (s. 6). Narratorka nie była graczem wielkiej polityki, choć poznała postacie z dzisiejszych podręczników do historii. Jako nastolatka zastanawia się nad otaczającą rzeczywistością: *Dla czego właściwie w Polsce nie ma takich kolorów? Ulice, place, niezliczone kawiarnie są jakby uśpione. Brudnozielona klatka schodowa ma kafelki koloru taniego papieru toaletowego* (s. 53). Ale jednocześnie nie jest typem kontestatorki, chce być piątkową uczennicą, deklamować wiersze na akademii. Potem przychodzi '68 – nastolatka pamięta przedstawienie *Dziadów* i emocje widowiska, lecz najpierw 8 marca ważniejsze jest szkolne przedstawienie *Ślubów panińskich*, przytłoczone przez wyda-



4 czerwca roku pamiętnego

żenia pod Uniwersytetem, potem smutne pożegnania na dworcu wschodnim. *Od marca wszystko jest inne. Nawet na ulicach, chociaż nie straciły nic z klimatu codzienności. W okolicach Krakowskiego Przedmieścia, w pobliżu Uniwersytetu chodzą studenci, którzy od marca noszą czapki z daszkiem (...) Uśmiech na widok studenta to wszystko, co zostało po Marcu* (s. 90).

W kilku miejscach powtarza się autocharakterystyka, którą można by obdarzyć zapewne innych. Schizofreniczne rozdwojenie na to, co przekazywane w domu i na to, co wyuczone ze szkoły, konieczność ukrywania wątpliwości, lęk przed otwartym buntem – *Od dawna, właściwie od dzieciństwa, mam poczucie, że są we mnie dwie osoby. Jedna, wychowana przez rodziców, patrząca ich oczami, świadoma prawdy ich historii, a druga wychowana przez szkołę, otrzymująca piątki z dziejów PRL-u, patrząca na świat tak, jak patrzeć pozwala władza* (s. 147). Ojciec – znany aktor Andrzej Szczepkowski został prezesem Związku Zawodowego Pracowników Kultury i Sztuki, jednak we wspomnieniach córki starał się zachować dystans wobec władzy, matka przekazywała niezafalszowaną historię, prowadziła na re-

ligię u sióstr. Dowcipny ojciec zdołał wmówić kilkuletniej córce, że pochodzący pierwszomajowe mają związek z jej urodzinami, lecz nie mógł unieważnić innych elementów życia codziennego.

Książkę czyta się niezwykle szybko, co sprawdziłam na sobie – wystarczą dwie godziny, z dużą przyjemnością lektury, gdyż Szczepkowska jak co dwa tygodnie udowadnia w felietonach zamieszczanych w *Wysokich Obcasach* ma łatwość pisania i pointowania. Jej teksty są zazwyczaj melancholijne, podszyte jednak wiarą w ludzi. Narratorka czasem dziecięco naiwna, wydaje się nie rozumieć niektórych mechanizmów polityki, na pewno zaś nie godzić się na bylejakosć, lekceważenie drugiego człowieka, nieuczciwość i chodzenie „na skróty”. Lubie czytać jej felietony, gdyż stanowią kontrapunkt dla zadziornej, zwykle „na nie” Kingi Dunin. Ukazały się już trzy ich zbiory – *Drugie podwórko*, *Sześć minut przed czasem*, *Jak wyprostować koło?*, powieść o sentymentalnym tytule *Kocham Paula McCartneya*, natomiast monodram *Gola baba* z powodzeniem przedstawiano publiczności całego kraju. Szczepkowskiej się wierzy, czyta i chce samemu coś opowiedzieć, bo trudno nie odnieść wrażenia, że jest dobrym słuchaczem skupionym na interlokutorze. Ostatnio zaprezentowała w sobotnim dodatku do „Gazety Wyborczej” poruszający wywiad z matką dziewczyny przewlekłe i jak się okazało, śmiertelnie chorej na depresję, z wyczuciem smaku przeprowadziła ją przez trudną rozmowę. Tak jak i czytelnika przez swoje życie.

Łatwo byłoby ją po „kombatancku” rozliczyć – coś takiego zrobiłaś, dla czego to właśnie ty masz być twarzą 4 czerwca. Lecz przecież nie chodzi o poklask i bycie symbolem rewolucji, tylko o radośnie happeningowe wystąpienie. Chciała jedynie, żeby było inaczej, żeby ktoś to zwycięstwo głośno powiedział, bo to się przecież nie mieściło w głowie. Zdaje sobie sprawę, że dla świadków ówczesnych wydarzeń interpretacja Szczepkowskiej może być zbyt idealistyczna, optymistyczna. Nadal bowiem mamy zwolenników i przeciwników obrad Okrągłego Stołu i zasadnicze różnice w pojmowaniu historii III Rzeczypospolitej. Komentarze internautów nie pozostawiają złudzeń, że wiele kwestii pozostaje spornych i nadzieje nie zawsze zostały spełnione, a entuzjazm powyboreczy szybko utonął w powodzi kłopotów. Dla mnie, metrykalnie słabo obciążonej wspomnieniami PRL-u (w czerwcu '89 byłam w trzeciej klasie podstawówki), lektura autobiografii Szczepkowskiej stanowiła ciekawe międzypokoleniowe spotkanie.

MIRELLA
SIEDLACZEK-MIKODA

Jerzy Suchanek

Plakula

Jerzy Suchanek: *Plakula*.
Instytut Mikołowski, Miko-
łów 2009, s. 172.

Peerel z koszmarnego snu

Jerzy Suchanek, zwłaszcza w latach 80., był nadzwyczajnie aktywnym animatorem młodoliterackiego życia na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Organizował interesujące imprezy i konkursy poetyckie m.in. w Gliwicach, Mysłowicach, Pszczynie. Także serie wieczorów autorskich. Był współwydawcą niskonakładowych arkuszy, tomików poetyckich i almanachów. Zapamiętano go nade wszystkim w Sosnowcu (jest laureatem Nagrody Artystycznej tego miasta), gdzie założył Piwnicę Literacką „Remedium”, wokół której zgromadziła się spora grupa piszącej młodzieży studenckiej. Wyrosło w niej kilka późniejszych osobowości, ważących na obrazie literackim nie tylko regionu. Wśród nich znalazł się m.in. Marian Kisiel.

Suchanek w owych latach był przede wszystkim poetą, czasami także redaktorem, recenzentem i publicystą literackim. Prozy posmakował później, a w każdym razie nie ujawniał się z wcześniejszymi próbami. Dopiero w ostatnich latach chętniej pisze opowiadania (w ubiegłym roku wydał w Bydgoszczy zbiór przypowieści *Ośle ziółka*), drukując je m.in. na łamach „Śląska”. Teraz opublikował powieść zatytułowa-

ną *Plakula*. W Instytucie Mikołowskim, co nie dziwi, bo Suchanek ostatnio aktywnie uczestniczy w życiu tego środowiska, którego liderem był zmarły parę miesięcy temu Paweł Targiel.

Plakula to powieść gawitująca między snem a rzeczywistością. Nie mamy jednak wątpliwości, że narrator opowiadający o swoich perypetiach życiowych porusza się po Polsce lat 70., może wczesnych 80., choć ciągle mówi się tu o enigmatycznym „kraju bocznych dróg i centralnych autostrad” – szarym, beznadziejnie monotonnym i skutym niewidzialnymi łańcuchami przez wszechobecne „służby porządkowe” i jej niepoliczalnych funkcjonariuszy, którym z oczu i gardel czasem wychodzą „czerwone robaki”. Topografia nieraz jest znajoma – pojawia się Sola i podgórskie okolice – czasem wymyślona, jak miasto Plask, tamtejszy teatr i środowisko artystyczne. Ale zewsząd wylazi dość ponura, siemiężna rzeczywistość, w której rozpoznajemy gnijący peerel, upstrzony propagandowymi hasłami, sloganami ulicznymi i portretami Tego, Na Którego Nieustannie Wiemie Czekamy. Bohaterowi w licznych i jakby przypadkowych peregrinacjach po tej wyjąłowanej moralnie i emocjonalnie ziemi towarzyszy Andrzej, brat-przyjaciół. W jego obliczu i sylwetce czasem może się przejrzeć jak w lustrze. Innym razem, próbując pokonać dławiającą go samotność i wszechogarniającą bylejakość, poszukuje kobiet, które dałyby mu poczucie sensu istnienia. Zanurza się w przygodach i miłostkach, ale bez powodzenia i bez ulgi. Erotyzm jest jak krótkotrwałe i nieskuteczne lekarstwo, przynoszące niespodziewane skutki uboczne.

Narrator ima się różnych, nieistotnych z jego punktu widzenia zajęć. I pisze, stuka na maszynie, dobija się do teatrów. Zresztą nie on jeden. Bo pisanie jest jak nałóg, który dopełnia życie albo je kreuje, nawet zastępuje. Ta rzeczywistość też niekiedy zdaje się być wyjęta z literatury. Jeśli z obserwacji, to raczej swego wnętrza, z niespełnień i umarłych marzeń.

KRZYSZTOF KARWAT



Przypomnienie Marca '68

Ta książka zapewne miała ukazać się w roku ubiegłym, w czterdziestolecie tzw. wydarzeń marcowych. Ale dobrze, że jest, bo okazuje się, że młode generacje Polaków niewiele wiedzą o studenckich manifestacjach sprzed lat, stowiówających – opinia historyków w tej sprawie jest zgodna – swoisty łącznik między Październikiem '56 a Grudniem '70. W mijającej dekadzie podjęto spóźnione badania nad fenomenem ówczesnych strajków i protestów, które objęły niemal wszystkie większe ośrodki akademickie, także gliwicki, katowicki, częstochowski a nawet bielsko-cieszyński. Dotąd panowało przekonanie, że właściwie tylko w Warszawie wydarzenia miały szerszy wymiar i oddźwięk, kojarzony z burzą, jaką wywołało zdjęcie z afisza Teatru Narodowego Dejmkowskich *Dziadów*. Bo rzeczywiście nadchodzące wydarzenia – zwłaszcza z 8 marca – odcisnęły trwale piętno na życiu stolicy.

To wtedy powstały załogi przyszłej opozycji demokratycznej. Także w wielu innych miastach dochodziło do antypartyjnych wystąpień, zebrani i pochody, akcji ulotkowych. Wszystkie

zostały brutalnie spacyfikowane przez ZOMO i MO, również – według receptury zastosowanej w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego – z udziałem bojówek „robotniczo-chłopskich”. Do najbardziej burzliwych wydarzeń doszło w Gliwicach 11 marca (z udziałem 2-3 tysięcy manifestantów) i 12 marca, a także w Katowicach 14 marca (na pl. Wolności) i 15 marca (na Rynku). Wbrew propagandowym hasłom, kłamstwom prasy i ugodowości władz śląskich uczelni (hambną rolę odegrała wtedy zwłaszcza „Trybuna Robotnicza” i red. Andrzej Konieczny) odruchy buntu ogarnęły tysiące studentów a także – o czym wcześniej mniej się mówiło – uczniów szkół średnich i młodych robotników (tych ostatnich było najwięcej wśród zatrzymanych, karanych i szkanowanych). Represje, które jednak na Śląsku miały łagodniejszy charakter niż w Warszawie czy Krakowie, dotknęły rodziców studentów. Z rozmaitych stanowisk usunięto m.in. 40 osób pochodzenia żydowskiego, co zadaje kłam stwierdzeniom I sekretarza KW PZPR Edwarda Gierka, który po latach utrzymywał, że na Śląsku nie było „ekscesów antysemitów”.

W książce pada wiele nazwisk uczestników tamtych wydarzeń, także w dołączonych dokumentach i wspomnieniach. Niektórzy pracownicy naukowcy i profesorowie zachowali się godnie i nie wystąpili przeciwko swoim studentom. Na Politechnice Śląskiej byli to m.in. prof. Józef Ledwoń (usunięty z uczelni) i dziekan Wydziału Automatyki prof. Tadeusz Zagajewski (zdymisjonowany), a w Wyższej Szkole Pedagogicznej jej rektor, prof. Józef Pieter (później bez szans na stanowiska kierownicze w niebawem utworzonym Uniwersytecie Śląskim). Prof. Kazimierz Popiołek, prorektor Filii Uniwersytetu Jagiellońskiego – najaktywniejszej w marcowych wydarzeniach – przebywał wówczas w szpitalu.

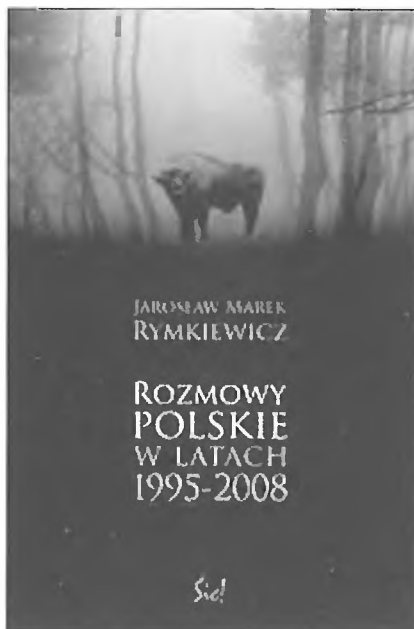
KRZYSZTOF KARWAT

Trudno napisać recenzję tej książki w taki sposób, żeby to nie była recenzja poglądów jej bohatera. Nie jest to bowiem, wbrew karcie tytułowej, książka autorstwa Jarosława Marka Rymkiewicza, lecz zapis całej serii rozmów z tym wybitnym poetą i literaturoznawcą, rozmów przeprowadzonych przez dziennikarzy różnych polskich gazet i tygodników. Zapis ten jest fascynującym dokumentem: chwilami irytujący, chwilami porywający. Świadectwo pewnej postawy, wykraczającej poza poetycką wizję świata, i jej ewolucji.

Piszę tę recenzję mając w tle relacje na żywo z wydarzeń związanych z konfliktem o Kupiecki Dom Towarowy w Warszawie. Tłum przelewa się po placu wokół hali i rośnie agresja, lećca kamienie. Ranni padają na bruk. Mniejsza o hasło tej rewolucji. Tłum rośnie. Dołączają się chuligani. Szarżuje (bez większego przekonania) policja. Sytuacja nie wydaje się być opanowana. Nie wiadomo, w jakim kierunku to się potoczy. Ale, powiadam, mniejsza o hasło. To piękna polska anarchia w najlepszym gatunku. Już bez kontusza i bez karabeli. Anarchia zmieniająca tłum w ciemny, krwiożerczy motłoch.

Jak będzie dalej, to już nie ważne, bo jakoś będzie. Pytanie, co to ma wspólnego z książką Jarosława Marka Rymkiewicza? Otóż sporo, bo choć daleki jestem od tego, by śladem niektórych krytyków oskarżać JMR o inspirowanie skinów i neofaszystów wyznania mi o uwielbieniu dla tłumu i wręcz fascynacji motłochem, to jednak staram się ten motłoch zrozumieć, spojrzeć nań oczyma poety. Ciężka sprawa. Może gdyby był bardziej patriotyczny. Może gdyby ujedonolicił swoje hasła. I gdyby w końcu okazał się bardziej metaforyczny, niż rzeczywisty... Ale gdzie tam. Telewizyjne mikrofony wychwytyują coraz gęstsze epitety, uderzenia stają się coraz głośniejsze. Z elementów patriotycznych pojawia się w czyimś plecaku chorągiewka o narodowych barwach z emblematem Polski walczącej brzmiać groteskowo u wejścia do przybytku handlu „Rota”. Biedna Konopnicka. Żal mi jej. A jednak to nie jest obraz z żadnej z książek Rymkiewicza. I nie sądzę, by był w tym wydarzeniu jakiegokolwiek ślad inspiracji JMR. Ani skinheadzi, ani faszyci, a tym bardziej motłoch po jego książce nie sięgnie – jestem o tym głęboko przekonany. Tak jak zresztą po wiele innych książek, wliczając w to „Mein kampf”.

Tymczasem wypowiedzi JMR w rozmowach z dziennikarzami zakorzenione są w rozczarowaniu i niezadowoleniu. Bo podobnie jak wielu z nas widzi rzeczy, które go rozczarowały i usłyszał obietnice, których nie spełniono, i jak każdy, ma swoją receptę



Pytania czy odpowiedzi

i po swojemu widzi korzenie zła i ma jakieś sposoby na naprawienie go. Jako panaceum jawi się Polska i Polskość. Bo winnych jest wielu. Oto fragment rozmowy, którą Tomasz Majeran i Dariusz Suska przeprowadzili z poetą w 1995 roku dla dziennika „Życie Warszawy”. JMR: „Pytanie, czy my w ogóle możemy być niepodlegli, czy nas na to stać? Polska jest dziś złapana w straszne kleszcze. Oprócz zagrożenia ze wschodu istnieje – nagle zaistniało, bo nawet nie przewidzieliśmy, że coś takiego może nas spotkać – zagrożenie z zachodu. Cywilizacja zachodnia, do której przez lata tak tęskniliśmy i którą tak naiwnie adorowaliśmy (i adorujemy), ukazała nam swoją straszną twarz: maskę śmierci. Polska staje się, nawet już stała się wielkim śmietnikiem Europy. Wszędzie śmiecie i fekalia zachodniej (może należałoby raczej powiedzieć: amerykańskiej) cywilizacji i zachodniej (amerykańskiej) kultury wlewają się tutaj.”

Mocne słowa. Mocne i prowokujące, bo z Ralphem Waldo Emersonem gdzieś miejsce dla Henry’ego Davida Thoreau? Obaj byli nie tylko wybitnymi filozofami, ale i autorami czegoś, co powinno szczególnie bohatera „Rozmów polskich” uradować – autorami koncepcji „nieposłuszeństwa obywatelskiego”, która to koncepcja legła w jakimś stopniu u podstaw nowej Polski. W kolejnych rozmowach, m.in. z Bohdanem Pociem i Cezarym Michalskim napięcie rośnie. I to się czy-

ta. Bo poza takimi skrajnymi wypowiedziami jest tam ogromna wiedza, erudycja, a co najważniejsze, myśl, którą, jak sądzę, te szokujące stwierdzenia mają ponieść w świat. I niosą. Jeszcze jak niosą. Wcale nie do skinów, ani innych ideologicznych łysoni, tylko do Ciebie, drogi Normalny Czytelniku, i oczywiście, do mnie. I co my z tym zrobimy? Możliwości jest co najmniej kilka.

Ja na przykład czuję się zaproszony do dyskusji. No bo stwierdzenie, że Polska jest wartością największą, i że ma to związek z np. z „Trenami” Kochanowskiego wymaga doprecyzowania i dyskusji. Kiedy zagłębimy się w temat, sprawa okazuje się znacznie mniej szokująca, a nacjonalizm JMR okazuje się być bliżej patriotyzmu minionych pokoleń, niż plemiennego zawodzenia na stadionach. W ogóle trybalizm w interpretacji poety wydaje się mieć nieco inne oblicze, niż ten z przystanku autobusowego w oddalonym od centrum miasta osiedlu, i to jest właśnie esencja tej arcyinteresującej książki.

Rozmowy w niej zawarte ujawniają najsubtelniejszego (m. in. rozmowa z Bohdanem Pociem) estety, aczkolwiek mocno poirytowanego niezgulstwem państwa i jego rozlicznych instytucji. Człowiek w tym wieku i z takim dorobkiem oraz zasługami dla polskiej literatury ma prawo do pewnego zniecierpliwienia, a na to że jest ono uzasadnione, „Rozmowy” dostarczają nam argumentów wcale licznych i wcale poważnych. Ponadto książka ta przekonuje mnie, iż nie jest to poza starca, który ma wszystko wszystkim za złe, a nade wszystko to, iż jego czas minął. Wywiady przeprowadzone z poetą w ciągu 13 lat (pomiędzy rokiem 1995 a 2008) zdają się sugerować ewolucję tych poglądów i różnicowanie natężenia tej „zmierzłości”. Ponadto ośmielał się przypomnieć, iż mamy do czynienia z poetą, i to jednym z najwybitniejszych, a poeci rzadko wypowiadają się o świecie bez pewnej zawodowej egzaltacji czy przesady. To także sugerują „Rozmowy polskie.”

I jeszcze jedno: poglądy polityczne autora są jego prywatną sprawą, nawet jeśli mówi o nich publicznie. Gorzej, gdy zaczyna próbować nieco praktyki, jak się przydarzyło jednemu z największych poetów współczesności, jakim z pewnością był Ezra Pound. JMR tak daleko się nie posuwa, a „Rozmowy” są doskonałym uzupełnieniem „Wieszania”. „Kinderszenen” i innych prozatorskim utworów JMR dlatego do lektury tej niezwykle udanej publikacji wydawnictwa Sic! Serdecznie zachęcam, cytując popularne kiedyś postaci ze telewizora: Naprawdę warto.

WITOLD TURANT

„Musimy to wreszcie powiedzieć: Śląsk ma genialnego pisarza.” – to słowa, które kończą najnowszą pozycję Arkadiusza Frania „Lipton story. Esencje krytyczne o sztuce pisarskiej Jacka Durskiego.” Jest to książka, która odrzuca omawianie poszczególnych dzieł tego pisarza „na rzecz podążania za tematem, za nitką, za promieniem, za zapachem.” Przedmiotem rozważań staje się „cały Durski”, „dzieło jako wszystko”. Boddżem do napisania tych kilku „esencji” stał się „krótki tekst na temat roli herbaty w życiu codziennym”, o który poprosił autor, mianujący siebie Dawidem, dysponującym „niewydolnym z założenia aparatem nauk polonistycznych, wspomagany jednak przez intuicję, zar”, Jego, Goliata pisarskiego, tytana. Wynikiem tego stał się tekst „Herbaty”, który został umieszczony jako Aneks w omawianej pozycji. Całość stanowi krytyczno-literacka interpretacja dorobku pisarskiego autora „Roku”, „Wśród krzywych luster”, „Mariackiej” oraz dwóch tomów lirycznych „Wiersze” oraz „Uderza ziemia”. Jest to jednak interpretacja wątkowa, która wyznacza główne zagadnienia charakteryzujące twórczość właśnie Jacka Durskiego.

Warto jeszcze zaznaczyć interesującą specyfikę graficzną. Tytuły wszystkich rozdziałów powstały poprzez wyjaskrawienie najbardziej znaczących zdań, cytatów, kluczowych zagadnień, będących w tekście. Frazy te zostały wytłuszczone.

Ten „osobisty tomik krytyczno-literacki” otwiera rozdział „Czar, urok” omawiający charakterystykę oraz tematykę twórczości pisarza: „Jacek Durski spisuje z pamięci genealogię mityczną własnej rodziny w krótkich spięciach lirycznych, w gwałtownych obrazach psychicznych.” „Autor na kartce białego papieru robi kleksa, płamę, przez którą przenika do innego formatu, idei.”

Kluczowym motywem twórczości Jacka Durskiego staje się figura Chrystusa i związany z Nim „przymiot mityczny: zmarłychwstanie.”, które to określenie staje się zarazem tytułem drugiego rozdziału. Chrystus staje się dla pisarza *alter ego*. Poprzez wprowadzenie lustra do głosu dochodzi „odbicie wprost”. „Zwierciadło pełni funkcję przejścia zaświatowego, do terytorium „po życiu», szczeliny, w której ruch odbywa się w obie strony, dwukierunkowo, ale i wahadłowo: podmiot-zmarli.” U pisarza śląskiego nie może zabraknąć miejsca na motyw gołębi. W książce Frania to właśnie w tym miejscu następuje analiza tego zagadnienia. „Syn Maryi zszedł na ziemię, by pomagać ludziom. Tragedia, jaka wydarzyła się w styczniu 2006 roku w hali Międzynarodowych Targów Katowickich podczas wystawy gołębi, stała się przedmiotem refleksji skurczów serca”, których to skutkiem stał się Durskiego „SMS z Wystawy Gołębi a Katowicach.”



Wywody herbaciane

Autor ukazuje specyficzny sposób pisania, tworzenia Durskiego. „Autora trawi gorączka morfiniczna” to tytuł i dalsza część wypowiedzi: „rzuca się on od biurka do biurka (...), na dyktafonie utrwała swój niepewny, heterogeniczny, wielorodny status ontologiczny.” Tak tworzy śląski Goliat. Bohater Jacka Durskiego przebywając w konkretnym miejscu traci jednocześnie zakotwiczenie z rzeczywistością. W jego świadomości zaczyna się: „demoniczny taniec z własnymi wspomnieniami (...), wziernikowanie duszy (...), wirtualna ekshumacja zmarłych, elektrostymulacja martwych figur: rojących się w myślach (...) skrywających się pod słowami.”

Jacek Durski to także interpretator rodziny. W następnym rozdziale „Jacek Durski wykonuje rysunek rodziny” „Twórca skrupulatnie pisze sagę rodu Durskich, klei ją ukradkiem z życia rodzinnego.” Dostrzegamy tu Ojca, osobę najważniejszą dla Syna Jacusia, głównego bohatera, ale jednocześnie osobę bezradną, która milcząco zgadza się na rozpad małżeństwa i seksualną aktywność żony z kochankiem (Eisengraeberem). Przeciwnieństwem matki stają się dwie ważne kobiety w życiu dorosłego Jacka Małgorzata oraz Ewa.

Durski odnajduje również swoje Eldorado, Arkadię. Jest nim Jutrosin, poznańskie ustronie. „Jutrosin, Jutro-

syn, Jutro-syn, czyli przeszłość i syn, przyszłość syna” to punkt szczęśliwości, „oaza spokoju, teren prywatnego bezpieczeństwa, punkt odniesienia zarówno dla bohatera, jak i ojca (...).” Ten jutrosiński raj nie może przestać istnieć. Bowiem: „Gdy zawodzi bliźni i zdradza materia, jest jeszcze miejsce wewnętrzne, nietknięte przez stopę cudzej świadomości.”

Durskiego „Bohater chce przełamać ograniczenie”, które zawarte jest już w rysunku rodziny. Stąd opętająca podróż, która zdominowana jest maksymalnym nagromadzeniem czasowników ruchu: „kuśtykam, szedłem”, zatrzymał, przebiegam, idę, chodzę”, a która powinna zakończyć się jasnością: „Przedzieram się przez czarny gąszcz. Wreszcie rozgarniam klującą ciemność.” Jednak: „Otworzyłem drzwi. Za drzwiami drzwi. I znowu drzwi. I następne. Otwieram i otwieram z uporem. Aż ściana. A więc wyjścia z tego labiryntu nie ma.

Autor stwierdza w następnym rozdziale, że dzieło Jacka Durskiego to wielki „Notatnik przygód artysty.” Dzieciństwo w „Mariackiej”, dorosłość w „Roku”, „impresyjny kajet twórcy głodnego” to „Wśród krzywych luster”, całokształt osobowościowy.

Jak każdy człowiek, tak również Durski ma pewien nałóg. Dlatego „Na każdym blacie zeszycik i szklanka z herbatą”. To ta tytułowa lipton, kolo-kwialnie liptonka, która staje się afrodyzjakiem i stymulatorem wszelkich działań pisarza.

Wiele miejsca w twórczości Jacka Durskiego zajmują tytułowe „Erotyzm, sugestie zmysłowe, walory jurności.” Śmiało można zatem podać za Franią, iż „Jacek Durski sporządza prywatny „spis cudzołóżnic” (...). „Kwintesencją staje się dialog poetycki Durskiego z Anną Filipczak, gdzie: „Ze złożenia „ja” – kobieta dla ciebie i „ja” – mężczyzna dla ciebie powstał super-człowiek: kobieta-mężczyzna, jedna wyspa usypiana z dwóch rodzajów tej samej ziemi.”

Jacek Durski to nie tylko pisarz, to także artysta plastyk. Stąd ten jego wspaniały tytułowy „Dar widzenia barwnego – poza warstwę słowną.” Pisarz przetwarza dźwięki na kolory. Dominuje przede wszystkim błękit. Znajdziemy również czerwień, czerń, biel, zieleń, szarość, żółć. Bowiem, powtarzając za Pawłem Sarną to „artysta multimedialny”. Autor książki dostrzega jednocześnie stylistyczny znak rozpoznawczy, niejako firmowy, Jacka Durskiego, anaforę koloru, „powtórzenie przymiotników barwnych w następujących po sobie jednostkach epitetowych.”

Kończąc, warto powtórzyć za Arkadiuszem Franią: „Jacek Durski to swoje *perpetuum mobile*.”

Józef Smyczek: *Listy z Wehrmachtu*. [Oprac. Sebastian Rosenbaum]. Wyd. Oddział IPN – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Katowicach, Katowice 2009, s. 176.

Na tę książkę złożyło się 79 listów Józefa Smyczka, młodego górnika i młodego małżonka rodem z Popielowa, wcielonego jak wielu innych Górnolazaków do Wehrmachtu. Do niemieckiego wojska trafił w styczniu 1944 roku, we wrześniu tego roku uznany został przez swoją jednostkę za zaginionego. Prawdopodobnie zginął wtedy z rąk francuskich partyzantów w Lotaryngii. Wymowa jego korespondencji jest przejmująca. Widać, że to nie jest jego wojna, że w ogóle nie lubi wojska. Z ironią pisze, że przydzielono go „do koni”, o których nie ma pojęcia. Opisuje swoje wojskowe losy, ale przede wszystkim uczucia do żony i syna, swoją tęsknotę do rodziny i domu. Piśmo po polsku, po polsku też rozmawia z kolegami ze Śląska, co jest wprawdzie zakazane, ale nie spotyka ją go za to żadne konsekwencje. Korespondencja jest poprzedzona świetnym wstępem poświęconym służbie Górnolazaków w Wehrmachcie.

Ks. Józef Dzwonek: *Citąge. Trzej bohaterowie wojny*. Wyd. DRUKPOL, Tarnowskie Góry 2009, s. 180.

Kolejna pozycja związana z II wojną światową. Opisani przez autora ludzie żyli naprawdę. Autentyczne są przedstawione w książce miejsca i wydarzenia. W *Przedmowie* autor pisze, że ta książka jest powieścią wojenną o trzech bohaterach, których „połączyła wspólna partyzancka dola”. Szkoda, że ks. Dzwonek nie zdecydował się na napisanie po prostu reportażu, na zbudowanie tej pozycji z ludzkich wypowiedzi i materiałów dokumentalnych. Fabularyzowanie opowieści, jej „literackość” okazała się bowiem mniej przekonująca niż powołanie się po prostu na świadectwa. Są zawsze bardziej poruszające niż wymyślone dialogi. Takie jak choćby wypowiedź Stacha po wyjściu z rodzinnego obiadu: *Prawdziwy partyzant musi być bohaterem w każdym miejscu i w każdej chwili. Ale bohaterstwo to nie bezmyślność, ale to prawdziwa i racjonalna kalkulacja działań, metod, sposobów i celów podejmowanych na drodze filozoficznych przemyśleń (...)*. Kto w lesie do przyjaciela wygłasza takie prelekcje?

Krystyna Szaraniec: *Konstanty Prus 1872–1961. Sylwetka dziennikarza i historyka*. [Wydanie II, uzupełnione i rozszerzone]. Wyd. Śląsk, Katowice 2008, s. 116.

Cieszy mnie to wznowienie, bo Konstanty Prus jest na pewno postacią godną przypomnienia. Działacz plebiscytowy, dziennikarz, historyk, archiwista, „współtwórca” (ofiarował część swojego ogromnego księgozbioru) Biblioteki Śląskiej, więzień Auschwitz. A przy tym popularyzator postaci dla Śląska zasłużonych, takich jak Józef Lompa, Karol Miarka, ks. Ficik, czy świątobliwa księżniczka Ofka. Druga edycja biografii Prusa, w porównaniu z dość siermiężnie wydaną przez KTSK broszurą, rzeczywiście „przybrała na wadze” i to pod każdym względem. Bliższe połowę książki stanowią ilustracje: zdjęcia, fotokopie dokumentów, wycinki prasowe, autografy. Żył 90 lat, zmarł w Pszczynie, ale pochowany jest w Mikołowie, bo – jak napisał w testamencie – *tu by mi się najbardziej podobalo przespać się do dnia zmartwychwstania*. Miasto to podobalo mu się także za życia, skoro poświęcił mu pracę *Z przeszłości Mikołowa i okolicy*.

Paweł Porwol: *Kokoszycę qaza ciszy. Z dziejów Archidiecezjalnego Domu Rekolekcyjnego im. bpa Stanisława Adamskiego w Wodzisławiu Śl.-Kokoszykach*. Wyd. Księgarnia św. Jacka, Katowice 2008, s. 160.

Uczestniczyłem w rekolekcjach w tym domu, jednak wtedy, zajęty przeżyciami duchowymi, nawet mu się specjalnie nie przyjrzałem. (Park przy domu rzeczywiście można nazwać „oazą spokoju”). Dopiero dzięki tej publikacji poznałem historię tego miejsca, bardzo ciekawą i niezwykłą. Jeśli ktoś chce się dowiedzieć dlaczego na fasadzie pałacu umieszczono jako datę jego budowy rok 1783, skoro powstał on w 110 lat później, jeśli pragnie dociec, kto naprawdę ten „śliczny zameczek wybudował”, jeśli jest ciekaw architektonicznych detali – powinien do książki Porwola zajrzeć. Ale to także publikacja dla tych, którzy zechcą się tam wybrać na rekolekcje. Mogą bowiem poznać „religijną” historię Kokoszyk od czasu przejęcia ich przez Administrację Apostolską (diecezja katowicka jeszcze się organizowała). Książka została bardzo starannie wydana, tekst uzupełniają wspaniałe zdjęcia.

***Ruda a zielona. Trasy turystyczno-edukacyjne o charakterze przyrodniczo-historycznym w Rudzie Śląskiej i okolicy. Cz. I: Ścieżki piesze*.** [Red. Adam K. Podgórski]. Wyd. Rudzkie Towarzystwo Przyjaciół Drzew, Ruda Śląska 2008, s. 116.

Na spacer do Rudy Śląskiej? Pamiętam to miasto, czy raczej zlepek różnych miejscowości, osiedli, miejsc, bo zazwyczaj mijałem je siedząc w pociągu do Gliwic, Zabrze, Wrocławia. Widok z okna wagonu nie zachęcał raczej do zwiedzania. Krajobraz był „księżycowy”. Ale po upadku ciężkiego przemysłu okazało się, że nasz „czarny Śląsk” ma naprawdę sporo atrakcji dla turysty i nie są to bynajmniej wyłącznie zabytki techniki. Ciekawa jest historia, która odśladania się przy okazji przywracania obiektom architektonicznym dawnej świetności. A zaskakująco bogaty jest tu świat przyrody – od tej martwej, ilustrującej dzieje Ziemi, po ożywioną, pełną rzadkich roślin i rozmaitych „stworzeń dużych i małych”. Po lekturze nabrałem ochoty na wycieczkę doliną coraz czystszej Kłodnicy (wcześniej Chłodnicy, bo woda w tej rzece była podobno bardzo zimna).

***Słowa, które czekają na pytania. X Ogólnopolski Turniej Jednego Wiersza*.** Wyd. Miejski Dom Kultury „Koszutka”, Katowice 2009, s. 44.

Organizatorzy konkursów poetyckich wymagają czasem od jurorów, żeby z nadesłanych materiałów złożyć książkę, co zazwyczaj kończy się katastrofą, bo w takiej antologii zaledwie kilka utworów nadaje się do publikacji, reszta zaś jest jak woda z soją w szynce. Ten tomik natomiast jest wyjątkowy, bo znalazły się w nim tylko nieliczne wiersze z X Turnieju, a całość uzupełniono utworami laureatów poprzednich konkursów. Dlatego da się czytać. Zgadzałem się też z Maćkiem Szczawińskim, przewodniczącym jury a zarazem autorem wstępu, że liczne poetyckie „igrzyska”, mimo czasem marnych plonów, są potrzebne, bo tak powstaje (nawet z ludzi piszących kiepsko) Zakon „braciszków”. Słowa, ludzi wrażliwych, czytających. Ponieważ cenię humor, więc cytuję końcówkę wiersza Weroniki Górskiej „Poeci”: (...) *blogosławieni będziemy którzy wydamy wszystko / co Microsoft Word na kartkę przyniesie / albowiem do nas należeć będzie królestwo / empiowych półek*.

HENRYK BZDOK



Kiedyś w latach siedemdziesiątych odbywały się telewizyjne prezentacje kultury poszczególnych regionów Polski w Warszawie. Reprezentacja rysowników prasowych obejmowała Czczoła, Jurę i mnie. Program jak to program prezentował dorobek kulturalny ziemi śląsko-zagłębiowskiej w stylu ówczesnej propagandy sukcesu.

W oczekiwaniu na rejestrację programu siedzieliśmy w kawiarni-poczekalni, była to wspaniała okazja – poznanie się ze znakomitościami regionu, których z racji bycia w odmiennych profesjach na co dzień się nie spotykało.

Wtedy to miałem przyjemność siedzenia przy jednym stoliku z najpopularniejszym wówczas artystą Operetki Gliwickiej – Stanisławem Ptakiem.

Podziwiałem go jako wspaniałego Artystę o ogromnym poczuciu humoru i z wielkim darem snucia zabawnych przypowieści.

Aż miło było czekać na rozpoczęcie programu słuchając Staszka, który opowiedział nam ciekawą relację z dziedziny przyrządzania nalewek, których zdawał się być nie tylko znakomitym twórcą, koneserem ale i konsumentem.

I nie było to – litewska „tris divinis” ani jakaś tam orzechówka „nut cordial” czy banalna „cytrynówka”, to o czym mistrz mówił ściągało l’acquinolina in bocca.

Słuchaliśmy, choć Staszek recept nie przytaczał, nie zdradzał sposobów mieszania, leżakowania a mówił jedynie o technicznych problemach otrzymania rentownej ilości nalewki na przewidzianą okoliczność w określonym czasie.

I tu mistrz miał problemy:... no wiecie, za bazę miałem pół litra spirytusu, zrobiłem co trzeba i odstawiłem w ciemny kąt, bo światło potrafi niekorzystnie wpływać na kolor... do urodzin było ponad miesiąc, a nalewka dojrzewała, by zachować kontrolę musiałem próbować.. no i wiecie okazało się że do urodzin mi się nie dochowała.

Ale był jeszcze czas, no to kupiłem tym razem litr spirytusu, to jest dwie butelki, kiedy to niosłem ze sklepu dozorczyń bacznie mi się przyglądała.... zrobiłem co trzeba i odstawiłem w ciemny kąt, niech dojrzewa.

Musiałem oczywiście próbować, szło dobrze, ale i tym razem panowie, znowu mi się nie utrzymało.

Poszedłem ponownie do sklepu, kupiłem trzy litry spirytusu, sześć butelek, wracam a w bramie stoi dozorczyń, patrzy na moją siatkę i mówi: – Oooo... dzień dobry Panie Ptak, a Pan to co, wesele urządza czy bal?...

PANI ZOSIA

WOJCIECH SKOWROŃSKI

Jest piątkowe popołudnie. Po dwóch dniach nieobecności wchodzę do mieszkania. Jak pocziwy obywatel mogę zająć się korespondencją. List, który dzisiaj dostałem dotyczy gospodyni bloku. Lista jest długa, ale trzeba ją wypełnić, by pani Zosia mogła otrzymać puchar i wycieczkę do Ciechocinka. To konkurs na najlepszego dozorcę. Na formularzu jest dziesięć pytań, na które trzeba odpowiedzieć zaznaczając 1., jeśli jesteśmy niezadowoleni i 5, jeśli jesteśmy wdzięczni dozorczy za to, że jest, że pomaga, że przynosi coraz to wyższy czynsz...

Wrodzony optymizm podpowiada mi, że mimo iż pani Zosi jeszcze nie poznałem, warto dać jej najwyższe noty. Jej ostatnia jazda fiurkowa o piątę rano na podwórku mówi sama za siebie. Nikt tak



PODKOPKI

szybko i sprawnie nie radzi sobie z kalużami. Na liście znajduje się jednak kilka co najmniej zaskakujących pytań. Oto niektóre z nich.

Czy Twój dozorca jest przyjaźnie nastawiony? – 5

Jak radzi sobie z odśnieżaniem zimą i „czyszczeniem powierzchni poziomych” latem? – 5

Czy pracuje wystarczająco długo i skutecznie? – 5

Kolejne pytanie było nieco dziwne. Jak radzi sobie z gryzoniami? Nie znając za bardzo jej metod działania wpisuję 5, chociaż trudno wyobrazić sobie, jak taka wątła, krucha osóбка może miotłą zatłuc szczura. Ale piątka jest. Później jeszcze kilka dodatkowych pytań na temat jej wyglądu, wysławiania się, służenia pomocą... Jedno jest pewne. Egzamin u mnie zdała celując i zaocznie. Tak wypełnioną listę z imieniem i nazwiskiem gospodyni wkładam do koperty i zanoszę do administracji. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, dumny wracam do mieszkania. Jakież było moje zaskoczenie, gdy dziś nad ranem pani Zosia, zamiast radosnego dzień dobry, tylko coś odburknęła. Zaniepokojony zaczynam jak zwykle rozmowę na temat pogody, a ona stosując „spychoterapię” mówi mi, że nie ma czasu na rozmowy, bo dużo liści spadło i musi je zgarnąć. Taka wdzięczność za celującą wypełnioną ankietę? Jedno jest pewne. Sprawę trzeba wyjaśnić. Podchodzę więc do niej jeszcze raz i stanowczym głosem pytam, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie. Pani Zosia odłożyła miotłę, poprawiła drelchowy kołnierzyk i z dużym żalem w głosie odpowiedziała: „Jak pan chcesz być lepiej traktowany to idź pan dwa bloki dalej. Tam jest pani Zosia, bo to jej rejon. Ja mam na imię Bożena.



Rys. Ryszard Twardoch

Cykl grafik Szymona Prandziocha inspirowanych ikonograficznym przedstawieniem *Vir dolorum* tworzy dziewiętnaście miniatur. Ich wymiary – w większości 8x10 cm – wymagają tego, aby kontemplować je w skupieniu. Pomimo tego, że są tak niewielkie, zawierają wiele detali, których przedstawienie wymagało sprawnego opanowania warsztatu. Owe detale są nieprzypadkowe, starannie i celowo dobrane, aby wyraźnie przybliżyć temat.

Vir dolorum – czyli *Mąż Boleści*, to jedna z nazw określających przedstawienie cierpiącego Chrystusa.

Jego genezy doszukać się można w obrazach z kręgu Kościoła wschodnio-bizantyńskiego przedstawiającego Chrystusa w koronie cierniowej, z przebitymi dłońmi złożonymi na piersiach. Mąż Boleści to Jezus żywy demonstrujący swoje cierpienie. „Nie jest On ani umierający, chociaż jest już po skonaniu, zdjęty z krzyża, zatem – powstający do życia” (E. Panofsky). Jest to moment, kiedy jego ludzkie ciało jest jeszcze żywe i doświadcza bólu, ale duch już wkrótce zmartwychwstanie. Ten wizerunek „stał się ponadczasowym obrazem Chrystusa tryumfującego nad śmiercią” (E. Panofsky). Co jest jednak takiego interesującego w grafikach tego cyklu, skoro sam motyw znany jest już od średniowiecza? Autor nawiązuje do łacińskiej nazwy „*Christus Patiens*” czyli „*Chrystus Cierpiący*”. Od wyrazu „*patiens*” – czyli „cierpiący”, „chory” pochodzi również słowo „pacjent”.

Miniatury stanowią zapis skojarzeń, które autor łączy z motywem *Vir dolorum*. Obok motywów sakralnych, a właściwie równoległe z nimi, pojawia się strzykawka, plaster, bandaż, całun. Fragment szpitalnego korytarza ginie w mroku i nie wiadomo do końca – czy to jest ziemiska rzeczywistość, czy już przejście do drugiego świata. Tabletki – lekarstwo dla ciała pojawia się obok hostii – lekarstwa dla duszy. Apteczka obok tabernakulum jako „pierwsza pomoc”. Trzy igły do strzykawki jak trzy gwoździe. Kroplówka przypomina kielich z winem. Takich zestawień jest więcej. Są też miniatury, na których pojawia się sam pojedynczy przedmiot lub scena.

W grafice zatytułowanej *Sala nr 13* autor studiuje grę światła i cienia, a odcienie szarości i czerni są tak subtelne, że trzeba się dokładnie

przyjrzeć, aby zauważyć wszystkie niuanse. Elementem, któremu Szymon Prandzioch poświęca oddzielne dzieło, jest rurka tracheotomiczna – czyli ułatwiająca oddychanie. Przedstawiona bardzo szczegółowo, wraz z wszystkimi wypukłościami, wgłębieniami i wypustkami, stanowi nie tylko dowód świetnego opanowania warsztatu, ale – jak możemy zauważyć – oprócz pełnienia swojej roli użytkowej może dostarczać również przeżyć estetycznych. Dzięki sposobowi przedstawienia nabiera wagi i znaczenia zwykły przedmiot. Przychodzi na myśl rola, jaką odgrywa w całym procesie leczenia,

Vir dolorum

któremu towarzyszy często skomplikowana aparatura. Przypomina o tym, że pacjent jest często spowity w sieć kabli, rurek, przewodów, które pomagają jego ciału. I taka rurka, dzięki swoim niezwykłym kształtom, jest niezastąpiona do sprawnego funkcjonowania całości. Jak się jednak w ostateczności okazuje, pomimo starań, takich a nie innych rokowań lekarzy, to jednak dusza podejmuje ostateczną decyzję. Jak się ma rurka do wymiaru duchowego ludzkiego cierpienia? Czy dzięki niej zostanie ono uśmierzone, wydłużone, zakończone? Tutaj otwiera się pole do dyskusji na temat roli nowoczesnych rozwiązań medycznych w utrzymywaniu zdrowia i życia.

Szymon Prandzioch z jednej strony podkreśla związek cierpienia, bólu i śmierci z ludzką fizycznością, z drugiej wskazuje na jego duchowy sens. Ten temat „jest właściwym punktem wyjścia do mówienia o cierpieniu we wszystkich jego wymiarach: fizycznym, duchowym, emocjonalnym, psychicznym, społecznym. Stawia pytania dotyczące pojmowania czasu i jego związku z człowiekiem. Istnieniu człowieka w czasie lub poza nim”, uważa autor.

Sposobem przekazu Szymon Prandzioch nawiązuje do renesansowych mistrzów. Leżący na łóżku pacjent przypomina leżące ciało Chrystusa z obrazu Mantegny. Grafiki przedstawiają dokładne studium przedmiotów. Autor uważa, że komunikat jest ważny w sztuce a najprostsza

drogą komunikacji jest realizm i figuracja. W abstrakcji pole interpretacji jest szerokie, a tutaj jest określone. Twierdzi, że człowiek buduje narrację czytając obrazy, dlatego figuracja stanowi dla niego naturalny kontekst wypowiedzi.

Przedstawione obrazy toną w mroku, na miniaturach panuje dużo czerni. Mezzotinta należy do tradycyjnych technik graficznych. Miedziorytniczym rylcem wycina się partie rysunkowe, linearne. „Wydobywa się” z czerni poszczególne przedmioty, budując w ten sposób światło. Jego brak w omawianym cyklu jest zabiegiem celowym, dzięki czemu są one pełne tajemnicy, ciszy, mistycyzmu oraz smutku. Niektóre z grafik zostały wytłoczone – np. jedna z grafik powstała poprzez przyłożenie plastra i przepuszczenie go przez prasę – powstał w ten sposób suchy wytłok.

Odnosi się wrażenie, że grafiki przepelnione są pustką, ciszą i samotnością. Inspirację stanowiła tutaj raczej nie rzeczywistość fizyczna, w której na myśl przychodzą zatłoczone szpitale, ale raczej sfera duchowa. Pomimo że sale są przepelnione pacjentami, nie znajdziemy ich na grafikach Szymona Prandziocha. Cierpienie przeżywa się w samotności a bólu, psychicznego czy fizycznego, nie sposób komuś odebrać – każdy mierzy się z nim sam.

Podczas wystawy w katowickiej galerii Fra Angelico równoległe z cyklem *Vir dolorum* zaprezentowane zostały prace przedstawiające świętych. W przeciwieństwie do niewielkich wymiarów głównego dzieła, rysunki sylwetek świętych były ponadnaturalnych wymiarów. Zostali oni przedstawieni podczas zwykłych czynności: siedzą, stoją, przenoszą dziecko. Ich sylwetki nie są wyidealizowane, jak w niektórych przedstawieniach sakralnych. Święci mają posturę ludzi, których codziennie spotykamy.

W kręgu zainteresowań Szymona Prandziocha znajduje się człowiek w kontekście wiary oraz tematyka sakralna. Jak sam twierdzi, do zajęcia się tematem „*Vir dolorum*” skłoniły go przeżycia osobiste. W życiu każdego człowieka, nawet najbardziej zabieganego i zajętego życiem doczesnym, są momenty, w których zatrzymuje się, aby poświęcić się głębszej refleksji. Do takiej chwili namysłu zachęcają grafiki Szymona Prandziocha.

BARBARA FIRLA



Amen (Lek I)



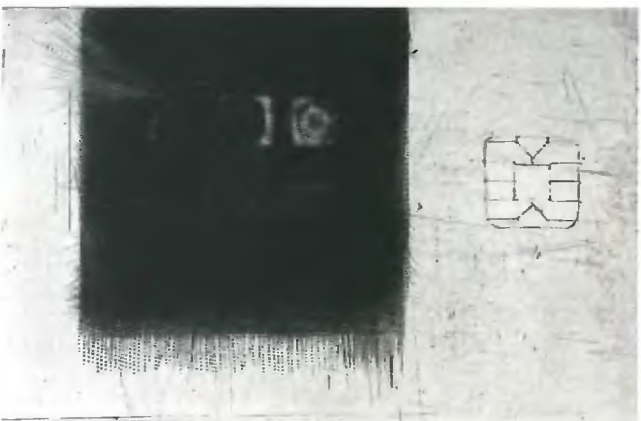
Opatrunek I



Dawka



Vir Dolorum I



Sala



Wypadek



Stanisław Hadyna – twórca Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk” ma swoje miejsce w katowickiej Galerii Artystycznej. Odsłonięcia popiersia autorstwa artysty rzeźbiarza Bogumiła Burzyńskiego dokonali prezydent Katowic Piotr Uszok i córka zmarłego 10 lat temu Artysty, który w tym roku obchodziłby 90. rocznicę urodzin – Aisza Hadyna, pedagog i choreograf. Stanisław Hadyna, jako założyciel i długoletni dyrektor artystyczny „Śląska”, napisał dla zespołu m.in. ponad 250 pieśni i 30 tańców. Jest także autorem koncertów fortepianowych, kantat symfoniczno-chóralskich, muzyki baletowej oraz kilku książek, m.in. powieści o Chopinie pt. *Niezatarte ślady*.

Stanisław Hadyna pozostawił nie tylko spory dorobek muzyczny. Kiedy musiał opuścić swój ukochany „Śląsk” napisał dramat o Mahatmie Gandhim pt. *Błogosławiony pokój czyniący* i otrzymał drugą nagrodę w światowym konkursie dramatycznym organizowanym przez UNESCO. Potem spod jego ręki wyszedł dramat o Martinie Lutherze Kingu *Zdrzućmy sny* i znów zdobył drugą nagrodę w światowym konkursie organizowanym w USA. Pozostawił dziewięć tomów prozy, które są pokłosiem zagranicznych wojaży: *Na podbój kontynentu*, *W słońcu Hellady*, *Pod niebem Allacha*, *Droga do hymnu*.

Na cokole Stanisław Hadyna uwieczniony został w swej nieodłącznej furazerce. W Galerii goszczą już płaskorzeźby aktora Zbigniewa Cybulskiego, dyrygenta Karola Stryji, grafika Pawła Stellera, literatów Stanisława Ligonii i Wilhelma Szewczyka, malarza Jerzego Dudy-Gracza oraz aktor-ki Aleksandry Śląskiej.

(wk)

**ZNAKI
I TWARZE
MIASTA**



Hadyna na cokole



Odsłonięcia popiersia dokonali prezydent Katowic Piotr Uszok i córka Artysty Aisza Hadyna.



Hołd twórcy „Śląska” złożył także wojewoda śląski Zygmunt Łukaszczyk.



„Rodzinne” zdjęcie przy popiersiu Stanisława Hadyny: prócz władz miasta i zaproszonych gości nie zabrakło przedstawicieli Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

KATOWICE: WIZJE I KONKRETY

CENA 5 Zł. (w tym 0% VAT)

ISSN 1425-3917 PZ INDEXSU 33378X



ŚLĄSK

 Śląskie. Pozytywna energia

Nr 9 (167) • ROK XV • WRZESIEŃ 2009

TADEUSZ KIJONKA – Wiersze czasu wojny

GRZEGORZ BĘBNIK – Gdy Wehrmacht ruszył na Polskę

BARTOSZ WARZECHA – Freikorps na granicy wojny

BARBARA SZMATŁOCH – Losy rodziny Korfanych

WITOLD TURANT – Clare Hollingworth w Katowicach

Śląsk nie ma siły przebicia – rozmowa z prof. ANTONIM BARCIAKIEM

ANDRZEJ JARCZEWSKI – esej, JAROSŁAW LEWICKI – proza,

KRZYSZTOF SIWCZYK – wiersze



W prenumeracie
"Śląsk"
zawsze na czas!

Rava blues festival

KATOWICE
Gwiazdy i jubileusze

Ten festiwal, pod każdym względem wyjątkowy, doczekał się najwięcej edycji spośród wszystkich bluesowych mityngów, jakie odbywały się i nadal odbywają w Polsce. W tym roku „Rava” już po raz 29. Tegorocznymi gwiazdami są: gitarzysta Eric Sardinas, wybitny harmonikarz Rod Piazza z zespołem The Mighty Flyers oraz śpiewająca pianistka Eden

Brent, która triumfowała podczas najbardziej prestiżowego plebiscytu bluesowego w kategoriach: Akustyczny Artysta Roku i Akustyczny Album Roku. Eden była ponadto nominowana w dwóch innych kategoriach. Na Rava Blues Festival od niemal trzydziestu lat prezentowani są najciekawszy bluesowi wykonawcy zarówno z Polski jak i z zagranicy. Ale na Rave jest też miejsce, dla innych gatunków muzycznych, które mocno z bluesa czerpią – jak rock n’ roll, niepokorne dziecko bluesa. Właśnie dlatego Shakin’ Dudi, czyli Irek Dudek i jego rock n’ rollowa załoga podczas te-

gorocznej edycji festiwalu świętować będą 25 lecie działalności. Na scenie pojawią się także Hoo Doo Band, The Moongang, J.J. Band, Paweł Szymański, Grzegorz Kapoła, Karolina Cygonek, L.R. Phoenix and Mr. Mo’Hell (Finlandia), BandaBand, Śląskie Ministerstwo Blues’a, Przytula & Kruk, Gosia Werbińska i Błażej Pawlina, Droga Ewakuacyjna, Old Wave, Southern Cross, Doktor Blues. Festiwalowi towarzyszyć będą działania interdyscyplinarne plastyczno-muzyczno-literackie pod hasłem *Tygła Kulturalnego*

10.10



Eden Brent

Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki Silesia

KATOWICE
VAIHINGEN AN DER ENZ, LWÓW
XIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych

Bardzo interesująco zapowiada się XIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych. W 54 koncertach weźmie udział ponad stu wykonawców z Polski, Niemiec, Finlandii, Słowacji, Ukrainy,



Lubow Kachala

Czech, Litwy, Francji. Instytucja Promocji i Upowszechniania Muzyki Silesia promuje polskich laureatów, ze szczególnym uwzględnieniem młodych artystów ze Śląska. W miastach, w których odbywają się festiwale muzyczne nie tylko w Polsce ale całej niemal Europy: w Kijowie, Ostrawie, Turku, Vaihingen (Stuttgart), Saint-Etienne, we Wrocławiu, Słupsku, Tarnowie, Nowym Sączu, Krynicy, Zakopanem, Włoszakowicach... IPIUM Silesia jest fundatorem nagród. Oficjalna inauguracja XIX festiwalu odbędzie się 10 października o godz. 17.00 w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach. Wystąpią soliści z Węgier i Ukra-

iny. Zamknięcie festiwalu nastąpi również w Akademii Muzycznej 22 października o godz. 18.00. Będzie to występ orkiestry kameralnej ze Stuttgartu Kammerorchester ARCAT. XIX Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych mieć będzie swój Prolog – 6 października w Vaihingen an der Enz oraz Epilog – 24 i 25 października we Lwowie w Koncertowej Sali Organowej, dawnym kościele pw. św. Marii Magdaleny. Zapraszamy nie tylko na katowickie koncerty!

kalendariusz koncertów na
www.silesia.art.pl
10.10 – 22.10.

IX Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Współczesnej

ZABRZE
Rzeczywistość przedstawiona

Od 17 do 25 października odbędzie się już po raz dziewiąty Ogólnopolski Festiwal Dramaturgii Współczesnej Rzeczywistość przedstawiona Zabrze 2009. Festiwal pod Patronatem Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Samorządu Województwa Śląskiego, którego



organizatorami są Miasto Zabrze i za-brzański Teatr Nowy ukazując jeden z nurtów współczesnego teatru. Nurt ukierunkowany na realizację i interpretację dramatu (polskiego jak i obcego) powstałego po 1989 roku, który stara się spełniać postulat „lustra rzeczywistości” i pokazywać człowieka w szerokim kontekście socjologicznym, obyczajowym, politycznym, religijnym. Co roku do udziału w festiwalu zapraszane są najwybitniejsze polskie inscenizacje teatralne, które prezentowane są na scenie Teatru Nowego, jak również w obiektach

postindustrialnych, charakterystycznych dla naszego regionu. W tegorocznej edycji wezmą udział: Teatr Rozmaitości z Warszawy, Teatr im. J. Osterwy z Gorzowa Wielkopolskiego, Teatr Polski w Wrocławiu, Teatr Konsekwentny z Warszawy, Scena Prezentacje z Warszawy, Teatr im. S. Jaracza z Łodzi, Teatr Współczesny ze Szczecina, Teatr im. H. Modrzejewskiej z Legnicy i oczywiście gospodarze – Teatr Nowy w Zabrzu. Ogłoszenie wyników i uroczyste zakończenie Festiwalu uświetni recital Joanny Trzpiecińskiej, która zaprezentuje piosenki z Kabaretu Starzych Panów

17.10 – 25.10



Joanna Trzpiecińska

VIII Nordalia

KATOWICE, BYTOM, RYBNIK,
SOSNOWIEC, ZABRZE...
Nauka, kultura, historia

Od 12 do 30 października w dwunastu miastach na Śląsku i w Zagłębiu odbędzie się festiwal Nordalia. VIII edycja, poświęcona państwu skandynawskiemu gości w Katowicach, Bytomiu, Chorzowie, Czeladzi, Łazach, Mysłowicach, Rybniku, Siemianowicach Śląskich, Sosnowcu, Świętochłowicach, Zabrzu i Zawierciu. Celem festiwalu jest prezentacja róż-

nych tematów z wielu dziedzin m. in.: nauki, kultury, sztuki, fotografii, wzornictwa, historii, historii sztuki, literatury, muzyki... W spotkaniach wezmą udział naukowcy z Uniwersytetu Śląskiego, artyści – plastycy, dziennikarze, tłumacze, podróżnicy... Gościem specjalnym będzie J. E. Ambasadorka Królestwa Szwecji – Dag Hartelius. Nordalia odwiedzi także profesor Jon Ove Hagen z Uniwersytetu w Oslo, który w 2008 r. uhonorowany został tytułem *honoris causa* Uniwersytetu Śląskiego. W różnorodności tematów, które będą prezentowa-

ne w tegorocznych Nordaliach dominować będzie wzornictwo. W Muzeum Historii Katowic obejrzymy wystawę



Lomen Julia Rott

fotograficzną prezentującą Urok szwedzkiego szkła użytkowego, które zostało zaprojektowane i wyprodukowane w Kosta – hucie szkła istniejącej od 1742 roku. A w Akademii Sztuk Pięknych poznamy dzieła dziesięciu współczesnych twórców na wystawie Nowa duńska grafika. Ten zbiór 54 grafik to wspaniały przekrój tendencji i stylów pojawiających się w duńskiej grafice w ciągu ostatnich 30 lat, również w ASP będzie można obejrzeć wystawę fotograficzną Anny Kojro z Warszawy. Zapraszamy!

12.10. – 30.10

BĘDZIN

MUZEUM ZAGŁĘBIA
PAŁAC MIEROSZEWSKICH
ZAMEK
ul. Świerczewskiego 15
tel. 267-77-07
www.zamek.bedzin.pl

TEATR
DZIECI ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4
tel. 267-36-25
www.teatr.bedzin.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA
BWA
ul. 3 Maja 11a,
tel. 033 812-58-61
www.galeriabielska.pl

MUZEUM
ZAMEK SUŁKOWSKICH
ul. Wzgórze 16
tel. 033 822-06-56
www.muzeum.bielsko.pl

TEATR POLSKI
ul. 1 Maja
tel. 033 822-84-53
www.teatr.bielsko.biala.pl

TEATR LALEK
BANIALUKA
ul. A. Mickiewicza 20
tel. 033 815-09-15
www.banialuka.pl

BYTOM

GALERIA KRONIKA
Rynek 26
tel. 281-81-33
www.kronika.org.pl

MUZEUM
GÓRNOŚLĄSKIE
pl. Jana III Sobieskiego 2
tel. 281-82-94; 282-36-12
www.muzeum.bytom.pl

OPERA ŚLĄSKA
ul. S. Moniuszki 21/23
tel. 281-84-39
www.opera-slaska.art.pl

ŚLĄSKI
TEATR TANCA
ul. S. Żeromskiego 27
tel. 281-82-53
www.stt.art.pl

BIELSKO-BIAŁA

GALERIA BIELSKA

BWA

sala dolna

2.10. piątek, wernisaż

Ernest Zawada

Tunel

w cyklu *Struktura – Natura*
w swojej instalacji Ernest Zawada
zderzy formę organiczną, zapelniającą
przestrzeń sali galerii, z abstrakcyjnymi
formami malarskimi. Będzie to zderzenie
natura naturans (dzieła natury) i *natura*
naturata (dzieła człowieka)



Ernest Zawada, *Terra Ignota*, instalacja, 2005.
Międzynarodowy Festiwal Sztuki Ulicy,
Warszawa

czynna do 11 października

III Foto Art Festiwal

sala dolna

16.10. piątek, wernisaż

Rus

Gert Jochems /Belgia/

życie mieszkańców Syberii
czynna do końca października

sala górna

Kubańskie wnętrza

Robert van der Hilst /Holandia/
fotografia dokumentalna

Persistenza,

Consistenze,

Construzioni,

Aqua

Giacomo Costa /Włochy/

barwne komputerowe przetworzenia
związane z współczesną cywilizacją

Requiem dla XX wieku

Yasumasa Morimura /Japonia/



Yasumasa Morimura, *Dictator*,
z cyklu *Requiem dla XX wieku* wystawy
czynne do końca października

sala górna

Ad Extra

Teodor Durski

instalacja graficzna

A Man-Eating Machine

wystawa należy do programu
tegorocznej edycji

Międzynarodowego Triennale

Grafiki Kraków 2009

czynna do 11 października

BYTOM

GALERIA KRONIKA

20.10. wtorek

Filmy palestyńskie

filmy wideo wokół tematyki
palestyńskiej, projekt realizowany
przez *Les Instants Vidéo* z Marsylii
we współpracy

z Instytucją Kultury Górnośląskiej

Festiwal Sztuki Kameralnej

Ars Cameralis

czynna do 15 listopada

CHORZÓW

GALERIA MM

5.10. poniedziałek, godz. 17.00

wernisaż

XII Jesienna Wystawa

Stowarzyszenia Chorzowskich

Artystów Plastyków (SCHAP)

czynna do 26 października

CIESZYN

DOM NARODOWY

9.10. piątek

Fascynujący Izrael

wystawa fotografii Janusza Szczotki

czynna do 28 października

GALERIA NA PIĘTRZE

20 lat dekady muzycznej

wystawa fotografii

czynna do 23 października

27.10. wtorek

Jesienią, jesienią...

wystawa pokonkursowa

czynna do 6 listopada

ŚLĄSKI ZAMEK SZTUKI

I PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

Bliscy memu sercu

wystawa fotografii

ks. Kazimierza Suchanka

czynna do 11 listopada

KSIAŻNICA CIESZYŃSKA

2071 okupacyjnych dni i nocy

wystawa historyczna w ramach

projektu *Pamięć nocy, pamięć dni*

czynna do końca roku

CZELADŹ

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ

„ELEKTROWNIA”

15.10. czwartek

Energia

wystawa multimedialna

w ramach Programu Głównego

Międzynarodowego Triennale

Grafiki – Kraków 2009

oraz Festiwalu *Ars Grafia* – 2009

w Katowicach

czynna do 15 listopada

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI

SALA ŚLĄSKA

Szczeliny istnienia

fotografie

Jerzego Lewczyńskiego

czynna do 11 października

SALA POPLENEROWA

Wacław Wantuch

Akt

wystawa fotografii

czynna do 11 października

SALA GOBELINOWA

IV Międzynarodowy Salon

Martwa natura w fotografii

czynna do 11 października

GALERIA ANTRESOLA

Janusz Mielczarek

wystawa fotografii

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

GALERIA E/CENTRUM

Viva la France!

GLIWICE

GALERIA PERKOZ

Tam, gdzie znika Słońce

wystawa fotografii

Marcina Sienko

KATOWICE

GALERIA SZTUKI

WSPÓŁCZESNEJ BWA

7 Triennale Grafiki Polskiej,

Katowice 2009

najciekawsze prace wybitnych polskich
artystów grafików powstałe w ciągu
ostatnich trzech lat

GRAND PRIX

Henryk Ożóg za zestaw prac:

„Bariera I”, „Bariera II”, „Bariera III”

czynna do 15 listopada

Przypadkowe przyjemności

część 3

Entuzjaści

swoje prace zaprezentują:

Katarzyna Skrobiszewska

Paweł Szeibel

Kuba Dąbrowski



Kuba Dąbrowski bez tytułu

czynna do 8 listopada

GCK

Sygnatury wojny

artyści zaproszeni do udziału w wysta-
wie transponują wydarzenia z wrze-
śnia 1939 na język sztuki współczesnej
za pomocą różnorodnych strategii
i technik artystycznych

Tomasz Bajer, Rainer Ganahl,

3Fala, Jerzy Kosalka,

Leszek Knaflewski,

Robert Kuśmirowski,

Anna Orlikowska, Janek Simon,

Bogdan Wende

czynna do 14 października

GALERIA ENGRAM

Projekt Bieguny

Mariusz Palka

Małgorzata Niespodziewana

projekt *Bieguny* to cykl wystaw

planowanych na przełomie

2009/2010

w Galerii Engram jako jedną

z trzech głównych wystaw

Festiwalu ArtGrafia



Małgorzata Niespodziewana, kalka

czynna do 8 października

GALERIA PUSTA

GCK

1.10. czwartek

Zwyczejni ludzie

Marek Łabno

czynna do 18 października

GALERIA ŚCIANA DZIECKA

W poszukiwaniu harmonii

czynna do 15 października

GALERIA PIĘTRO WYŻEJ

GCK

Powierzchność

Grzegorz Hańderek

czynna do 18 października

GALERIA SZYB WILSON

Rzut. Mapa. Plama.

wystawa prac

Mariana Solisza

czynna do 25 października

GALERIE

GALERIA RONDO SZTUKI
ArsGrafia Festival
Międzynarodowe Triennale
Grafiki PRINTART
 czynna do 16 października

Katowickie neony
 wystawa fotografii
 czynna do 15 października

ARCHIWUM PAŃSTWOWE
Miasta Górnego Śląska i Zagłębia.
1939-1945
 czynna do 15 października

GALERIA FOYER
 Dużej Sceny
 Teatr Śląski
 wystawa rysunków satyrycznych
 luksemburskiego grafika Pola Leursa



Apathy

MIKOŁÓW
GALERIA MDK
 2.10. piątek, wernisaż
 Anna Bochenek
 Terytoria
 malarstwo

RYBNIK
GALERIA JASNA
Wielościaty
 fotografie Adama Fleksa
 czynna do 17 października

16.10. piątek, godz. 17.30
 otwarcie wystawy fotografii
 Elżbiety Dzikowskiej
 Uśmiech świata
 spotkanie z autorką, pokaz slajdów
 z podróży autorki do Peru, archiwalny
 odcinek filmu dok. z serii *Pieprz i wania*,
 nagrany razem z Tony Halikiem

CHWAŁOWICE
 Dom Kultury
GALERIA KOLUMNOWA
Magia koloru
 wystawa poplenerowa
 czynna do 11 października

GALERIA FOTOGRAFII DeKa
Odnalezione fragmenty
 wystawa fotografii
 Wandy Hansen
 czynna do 11 października

SOSNOWIEC
SOSNOWIECKIE CENTRUM
SZTUKI – ZAMEK SIELECKI
Sosnowiec w latach 1939-1945
 w ramach obchodów 70 rocznicy
 wybuchu II wojny światowej
 czynna do 29 listopada

GALERIA EXTRAVAGANCE
Sztuka mediów – media sztuki
 J. Bemaś, S. Gdowicz, P. Szeibel
 czynna do 4 października

TYCHY
GALERIA OBOK
 16.10. piątek, godz. 18.00 wernisaż
 Plakat Tadeusza Grabowskiego

Remigiusz Dulko
 30-lecie pracy twórczej
 czynna do 10 października

MUZEUM

BĘDZIN
MUZEUM ZAGŁĘBIA
ZAMEK
Początki Będzina
 wystawa historyczna

PALAC
Będzin 1939
 czynna do 8 listopada

Będzin.
Gród nad Czarną Przemszą
 fotografie
 Krzysztofa Michalskiego
 czynna do 8 listopada

8.10. czwartek
II Forum Rekonstrukcji
Obiektów Historycznych
 23.10. piątek
 VI Regionalna Konferencja CEO
 Ślady przeszłości

BIELSKO-BIALA
MUZEUM
III FotoArtFestival
 16.10. – 31.10.
ZAMEK
Wspaniałe lata 1926-1949
 Manuel Alvarez Bravo /Meksyk/

Fotografie 1977-2008
 Morten Krogvold /Norwegia/

Pejzaże
 Charlie Waite /Wielka Brytania/

BYTOM
MUZEUM GÓRNOŚLĄSKIE
Wojciech Korfanty
 współtwórca
II Rzeczypospolitej
 przygotowana przez Archiwum
 Państwowe w Katowicach



*Stanisław Gilewski, Portret Wojciecha Korfanteo, 1923, olej
 fot. Piotr Najuch fotoniesporek.com*

czynna do 18 października

Krzysztof M. Bednarski.
Portret totalny Karola Marksa
 1977-2009
 czynna do 31 października

FILIA MGB
Andrzej Szewczyk
 prace z kolekcji współczesnej
 sztuki polskiej
 Muzeum Górnośląskie

Obszar Warowny
„Śląsk” 1933-1939
 Militaria w obrazach.
 Międzynarodowa wystawa
 grafiki komputerowej
 o tematyce militarnej

CHORZÓW
MUZEUM W CHORZOWIE
Z dziejów pieniądza.
 Polska – Śląsk
 wystawie towarzyszy
 multimedialna prezentacja
Technika mennicza
 w średniowieczu
 i czasach nowożytnych

GÓRNOŚLĄSKI PARK
ETNOGRAFICZNY
w chacie ze Strzemieszyc Wielkich
 Żuławy
 wystawa fotografii studentów
 Uniwersytetu Śląskiego Wydziału
 Etnologii i Nauk o Edukacji
 czynna do 30 października

spichlerz z Wojkowic Kościelnych
Rycerze i ich damy
 wystawa ubioru i uzbrojenia
Anno Domini 1361
 na podstawie bitwy pod Visby
 czynna do 30 października

CIESZYN
MUZEUM ŚLĄSKA
CIESZYŃSKIEGO
 wystawa fotografii członków
 Cieszyńskiego Towarzystwa
 Fotograficznego

CZĘSTOCHOWA
MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE
GALERIA MALARSTWA
I RZEŻBY
Dypłom 2009
 wystawa przygotowana
 we współpracy z AJD
 w Częstochowie

RATUSZ
Gabinet wybitnych częstochowian
 profesor
 Jerzy Władysław Kołakowski
 założyciel i pierwszy rektor
 Politechniki Częstochowskiej

Częstochowanie.
 Mieszkańcy miasta na fotografii
 w latach 1845-1918
 wystawa fotografii

Rośliny w kulturze
 i historii Europy

MUZEUM
PIELGRZYMOWANIA
 Częstochowa wśród europejskich
 ośrodków pielgrzymkowych
 wystawa ze zbiorów
 Muzeum Częstochowskiego
 oraz ze zbiorów Jasnej Góry

1966-Milenium kontra 1000-lecie
 wystawa z IPN,
 oddz. w Katowicach

Liban – spojrzenie
 w antyczną przeszłość
 wystawa fotografii J. Kreta

Żyd niemalowany
 w Ziemi Obiecanej
 medycynty o tematyce biblijnej
 z kolekcji A. B. Schottlas

ZAGRODA WŁOŚCIAŃSKA
Kultura ludowa okolic
Częstochowy
 wystawa ze zbiorów
 Muzeum Częstochowskiego

Koziegłowy – zapomniany ośrodek
 twórczości rękodzielniczej

Pawilon Wystawowy
 w Parku im S. Śluzica
 wystawa upamiętniająca
 Stulecie Wystawy Przemysłu
 i Rolnictwa 1909 r.
 przygotowana we współpracy
 z Towarzystwem Higienicznym

Zawsze z nadzieją
 wystawa organizowana w ramach
 Dni Kultury Chrześcijańskiej

CHORZÓW

MIEJSKA
GALERIA SZTUKI „MM”
 ul. H. Sienkiewicza 3
 tel. 249-17-19
www.galeriamm.chorzow.pl

MUZEUM
 ul. Powstańców 25, tel. 241-31-04
www.muzeum.chorzow.pl

TEATR ROZRYWKI
 ul. M. Konopnickiej 1
 tel. 346-19-30
www.teatr-rozrywki.pl

CIESZYN

GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ SZARA
 ul. Srebrna 1
 tel. 602-64-54-89
www.galeriaszara.pl

MUZEUM
ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO
 ul. Regera 6
 tel. 033 851-29-32
www.muzeum-cieszyn.ox.pl

TEATR
IM. ADAMA MICKIEWICZA
 plac Teatralny 1
 tel. 033 858-16-52
www.teatr.cieszyn.art.pl

CZĘSTOCHOWA

MIEJSKA GALERIA SZTUKI
 aleja NMP 64
 tel. 034 324-60-57
www.net-galeria.art.pl

MUZEUM
CZĘSTOCHOWSKIE
 aleja NMP 45 A
 tel. 034 360-56-31
www.muzeumczestochowa.pl

TEATR
IM. A. MICKIEWICZA
 ul. J. Kilińskiego 15
 tel. 034 360-56-50
www.teatr-czestochowa.pl

FILHARMONIA
CZĘSTOCHOWSKA
 ul. Wilsona 16
 tel. 034 324-42-30
www.filharmonia.com.pl

DĄBROWA GÓRNICZA

MUZEUM MIEJSKIE „SZTYGARKA”

ul. Legionów Polskich 69
tel. 262-36-95
www.muzeum-dabrowa.pl

PAŁAC KULTURY ZAGŁĘBIA
Pl. Wolności 1, tel. 262-20-63
www.palac.art.pl

GLIWICE

**MUZEUM W GLIWICACH
WILLA CARO**
ul. Dolnych Wałów 8a
tel. 231-08-54
www.muzeum.gliwice.pl

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
ul. Nowy Świat 55/57
tel. 232-13-39
www.teatr.gliwice.pl

JASTRZĘBIE ZDRÓJ

**MIEJSKI
OŚRODEK KULTURY
GALERIA**
tel. 473-10-12
www.mokjastrzebie.pl

KATOWICE

**GALERIA SZTUKI
WSPÓŁCZESNEJ BWA**
al. Korfańskiego 6
tel. 259-90-40
www.bwa.katowice.pl

GALERIA RONDO SZTUKI
Rondo im. gen. J. Ziętki

GALERIA SZYB WILSON
ul. Oswobodzenia 1
tel. 730-32-20
www.szybwilson.org.pl

**GÓRNOŚLĄSKIE
CENTRUM KULTURY**
pl. Sejmu Śląskiego 2
tel. 255-38-06
www.gck.org.pl

**MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE**
Galeria Sztuki Współczesnej
FRA ANGELICO
ul. Wita Stwosza 16
tel. 519-546-023
www.kuria.katowice.pl

Pawilon Etnograficzny
w Parku im. S. Staszica
Z nitki i z gliny
wystawa pokonkursowa
IV Konkursu Europejskiej
Sztuki Ludowej

*Przestrzeń pomiędzy
Pawilonami Wystawowymi
w Parku im. S. Staszica
Rzeźby balansujące
Jerzego Kędziory*

DĄBROWA GÓRNICZA

**MUZEUM MIEJSKIE
„SZTYGARKA”**
„...co jest duszą
i istotą naszych siedlisk”
wystawa prac Wacława Pileckiego
ze zbiorów rodziny artysty
czynna do 18 grudnia

**Wystawa militariów
z prywatnych kolekcji pod hasłem
Wrzesień 1939**

Policja 1919-2009.
Polska i świat
czynna do końca roku

GLIWICE

**MUZEUM
WILLA CARO**
9.10. piątek,
Carl Gotthard Langhans
(1732-1808) architekt
z Kamiennej Góry.
Projekty znalezione w Gliwicach



*Fragment instalacji Stół architekta. Jerzy Kos,
fol. A. Kwiecień*

Carl Gotthard Langhans, jeden z najwybitniejszych architektów urodzonych na Śląsku, autor symbolu Berlina – Bramy Brandenburskiej. Wystawie kamiennogórskiej towarzyszy instalacja *Stół architekta* oraz pokaz multimedialny z wizerunkami dzieł architekta czynna do końca października

**O wolność i niepodległość
SZP-ZWZ-AK 1939-1945**

wystawa poświęcona
Armii Krajowej i walce
Polskiego Państwa Podziemnego
w czasie drugiej wojny światowej
czynna do końca października

POKÓJ FAJKOWY

Willi Caro
1.10. czwartek
*Spotkania z grafiką
Klonowanie. TIF*
grafika prof. Waldemara Węgrzyna
czynna do 18 października

OGRÓD

Willi Caro
1939
archiwalne fotografie,
przedstawiające zniszczenia
i bombardowania miast
we wrześniu 1939 r.
czynna do 18 października

9.10. piątek, godz. 18.00
Carl Gotthard Langhans
– życie i twórczość
wykład
dr. J. K. Kosa

**ODDZIAŁ ODLEWNICTWA
ARTYSTYCZNEGO**
Biżuteria patriotyczna
ze zbiorów Muzeum w Gliwicach
czynna do końca listopada

11.10. niedziela, godz. 17.00
Spotkanie
z Janem Zielińskim
autorem książki
Słowacki. Szataniol

23.10. piątek, godz. 18.00
XXII Spotkanie z obrazem:
*Kain na paryskim Salonie
Jesiennym 2009*

Mirosław Wszolek zaprezentuje obraz
zatyulowany *Kain* (olej, płótno), który
został przyjęty na tegoroczny paryski
Salon Jesienny



M. Wszolek Kain

KATOWICE

**MUZEUM
ARCHIDIECEZJALNE**
16.10. piątek
Malarstwo
Haliny Lerman
czynna do 8 listopada

Poliptyk
wystawa Krzysztofa Kuli
w ramach Międzynarodowego
Triennale Grafiki Kraków 2009
czynna do 11 października

**MUZEUM ŚLĄSKIE
Obszary symetrii.
Dysonans.**
wystawa przygotowana w ramach
19. Międzynarodowego
Triennale Grafiki
Kraków 2009
Sybilla Skaluba
prace graficzne



*Sybilla Skaluba, z cyklu Moja Symetria,
obiekt X, drzeworyt, serigrafia*

czynna do 18 października

Grafika
Mariana Jędrzejewskiego
najlepszy (obok Jana Nowaka)
grafik nieprofesjonalny
czynna do 25 października

**Europejska grafika
– mistrzowie warsztatu**
*Projekt przygotowany
w ramach
Międzynarodowego
Triennale Grafiki
– Kraków 2009*
akcentując rangę
warsztatu graficznego
dawnych mistrzów rylca, dołączono
do prezentacji kilkadziesiąt prac
współczesnych grafików polskich
ze zbiorów Muzeum Śląskiego
czynna do końca października

Śląska Rzecz
pokonkursowa wystawa
współczesnego designu
ekspozycja prezentowana na terenie
dawnej kopalni *Katowice*
2.10. piątek, godz. 18.00
finiša wystawy
Koncert
wystąpi:
**The Complainer
& The Complainers**
czynna do 4 października

Maj – sierpień 1939.
Ostatnie miesiące pokoju
na Górnym Śląsku
interdyscyplinarna ekspozycja
historyczna przygotowana
z okazji 70. rocznicy wybuchu
II wojny światowej
czynna do 8 listopada

**CENTRUM SCENOGRAPHII
POLSKIEJ**
z cyklu *Spotkania z lalką*
...gry wyobraźni...
za parawanem teatru lalki
wystawa ze zbiorów Śląskiego
Teatru Lalki i Aktora Ateneum
w Katowicach
czynna do końca listopada

MUZEUM HISTORII KATOWIC
23.10. poniedziałek, godz. 17.00
wernisaż
Urok szwedzkiego szkła
użytkowego.
Projektanci Kosta Boda
wystawa inaugurująca cykl *Nordalia*
wernisaż uświetni koncert
Polska – Europa – Skandynawia
czyli wspólnie wielowiekowe
tradycje, kultury i historie oddane
w muzyce chóralnej
wykonawcy:
oktet wokalny Octava

Huta Baildon i jej twórcy

4 września 1939 roku
w Katowicach
wystawa fotograficzna
ze zbiorów Muzeum Historii
Katowic nabytych w 2008 roku

MYŚLOWICE
MUZEUM MIASTA MYŚLOWICE
Mysłowicki
wrzesień 1939 r.
fotokopie archiwalnych zdjęć,
dokumentów oraz eksponaty
przedstawiające życie codzienne
mieszkańców Mysłowic
w okresie okupacji
czynna do końca października

PSZCZYNA
MUZEUM ZAMKOWE
Książę idzie na polowanie
wystawa poświęcona księciu
pszczyńskiemu Janowi Henrykowi
XI von Hochberg, trofea myśliwskie,
broń, pamiątki, eksponaty
i materiały archiwalne

Pszczynscy Hochbergowie
1847-2007
fotogramy książąt pszczyńskich
z rodziny Hochbergów

RACIBÓRZ
MUZEUM
Z dziejów Poczty w Raciborzu.
W 333 rocznicę powstania
Josef Drobny – kolekcjoner

Malarstwo
Mariana Chmieleckiego
50 lecie twórczości

MUZEUM

RUDA ŚLĄSKA

MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA
Konferfekty Życzliwe
czyli karykatury Rudzian
(i nie tylko) z teki
Marka Wacława Judyckiego

Baśnie J. Ch. Andersena
w ilustracjach Joanny Gołąb

Impresje na jedwabiu
Heleny Dzionyk

RYBNIK

MUZEUM
Jeszcze jeden dzień...
Życie codzienne w Rybniku
i powiecie rybnickim w okresie
II wojny światowej
wystawa przygotowana
we współpracy z Archiwum
Państwowym w Katowicach
czynna do 25 listopada

SOSNOWIEC

MUZEUM
Triumfalny pochód cesarza
Maksymiliana I w grafikach
Albrechta Dürera
i jemu współczesnych
z Muzeum Wschodniosłowackiego
w Koszycach
ponad 60 dzieł nie tylko Albrechta
Dürera, ale także współczesnych mu
grafików włoskich i niemieckich, m.in.:
A. Altdorfera, H. Springinklee,
H. Burgknaiera, L. Becka,
H. Recka
czynna do 15 października

Barwy starożytnego Egiptu
z Muzeum Narodowego
w Warszawie
ideą wystawy jest prezentacja barw
i materiałów, które Egipcjanie wyko-
rzystywali tworząc wizerunki bóstw, fi-
gurki, amulety, przedmioty związane
z kultem grobowym a także rzeczy uży-
wane na co dzień
czynna do końca grudnia

Kolonie i osiedla robotnicze
w Sosnowcu
wystawa fotograficzna
60 zdjęć obrazuje stan obecny
kolonii i osiedli robotniczych
w Sosnowcu, autorem fotografii jest
Jerzy Łakomski
czynna do końca października

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM
Ciebie przyzwam
w siedmiu ogniach.
Żydzi tarnogórscy
– historia i obrzędowość
wystawa przybliża przeszłość tamogór-
skiej gminy żydowskiej. Nawiązując
również do obrzędowości. Jedną z sal
muzealnych została zaaranżowana pla-
stycznie na wzór wnętrza tarnogórskiej
synagogi, w której wyeksponowano
miedzy innymi: Torę (oraz przynależą-
ce do niej atrybuty, tj.: sukienka, koro-
na, rimonia i tarcza), parochet, zwój Es-
tery, menorę (symbol judaizmu), tefi-
liny, tales oraz modlitewniki w języku
hebrajskim
czynna do końca grudnia

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE
Św. Franciszek w sztuce.
W 800. rocznicę powstania
zakonu franciszkańskiego
Jacek Dębski: *wystawa jest próbą*
zmierzenia się z bogactwem ikonogra-
ficznym tego najpopularniejszego

w sztuce świętego. Na wystawie w Mu-
zeum Miejskim pojawią się trzy spla-
tające się ze sobą wątki:

wybór przedstawień
św. Franciszka z Asyżu,
fotografie miejsc i relikwii
związanych ze świętym
oraz fotografie klasztoru
pw. św. Franciszka i Klary w Tychach
autorstwa
Ryszarda Czernowa



Monstracja promienista ze św. Franciszkiem
w tronie. 2. tercja XII w.;
fol. Archiwum Klasztoru oo. Franciszkanów
w Krakowie

czynna do 28 listopada

3.10. sobota, godz. 14.00
otwarcie
wystawy pokonkursowej
Św. Franciszek
w sztuce ludowej

15.10. czwartek, godz. 17.00
Popołudnie Czwartkowe
gościem będzie
ks. prałat Franciszek Resiak
budowniczy i wieloletni
proboszcz kościoła
pw. Ducha Świętego
w Tychach

ZABRZE

MUZEUM GÓRNICICTWA
WĘGLOWEGO
Born of Fire:
the Valley of Work
fowistyczne, ekspresyjne
i impresyjne wcielenia
przemysłowych pejzaży Pittsburgh'a
ze zbiorów *The Westmoreland*
Museum of American Art
z Greensburga
60 prac – obrazy olejne, grafiki,
ryciny, litografie i zdjęcia
ukazujące przemysłowe widoki,
pracę w hutach oraz robotników
i życie w mieście



Francis Kumperda, Portrait
czynna do 4 grudnia

MUZEUM MIEJSKIE
Ekspozycja w kinie Roma
Z dziejów kin Zabrze
wystawa z okazji
100-lecia kina Roma
czynna do końca roku

ŻORY

MUZEUM MIEJSKIE
AmerIndia 2009
rekonstrukcja kultur
prekolumbijskich
projekt realizowany do końca roku

TEATRY

BĘDZIN

TEATR DZIECI
ZAGŁĘBIA
3.10. sobota, godz. 16.00
Przygody rozbójnika Rumcynsa

10.10. sobota, godz. 16.00
O dziewczynce
Katarzynie Czerwonym
Kapturkiem zwanej

17.10. sobota, godz. 16.00
Śpiąca królewna

24.10. niedziela, godz. 16.00
Dzikie labędzie

BIELSKO-BIAŁA

TEATR LALEK BANIALUKA
4.10. niedziela, godz. 11.00
Przygody
Sindbada Żeglarza

11.10. niedziela, godz. 11.00
Koziołek Matolek 2

16.10. piątek, godz. 19.00
Król umiera

18.10. niedziela, godz. 11.00
Sklep z zabawkami

25.10. niedziela, godz. 11.00
Ferdynand Wspaniały

TEATR POLSKI

Duża scena
1.10. czwartek, godz. 19.00
2.10. piątek, godz. 19.00
28.10. środa, godz. 19.00
Mayday 2

4.10. niedziela, godz. 19.00
6.10. wtorek, godz. 19.00
Mayday

7.10. środa, godz. 19.00
gościnnie wystąpi
Dariusz Niebudek
8.10. czwartek, godz. 19.00
Testosteron

11.10. niedziela, godz. 18.00
13.10. wtorek, godz. 12.00
Rewizor

20.10. wtorek, godz. 18.00
Zemsta

22.10. czwartek, godz. 21.00
Sen nocy bielskiej

24.10. sobota, godz. 19.00
25.10. niedziela, godz. 19.00
Szwajk
gościnnie wystąpi
Grzegorz Halama

27.10. wtorek, godz. 19.00
Bielska Scena
Kabaretowa

Mala Scena
9.10. piątek, godz. 19.00
10.10. sobota, godz. 19.00
Piaskownica

15.10. czwartek, godz. 19.00
Fabryka sensacji
Proszyk i Spółka

16.10. piątek, godz. 19.00
17.10. sobota, godz. 19.00
18.10. niedziela, godz. 17.00
Królowa piękności
z Leenane

29.10. czwartek, godz. 18.00
Żyd

MUZEUM ŚLĄSKIE

al. Korfantego 3
tel. 258-56-61 do 63
www.muzeumslaskie.art.pl

MUZEUM

HISTORII KATOWIC
ul. Ks. J. Szafranka 9
tel. 256-18-10
www.mhk.katowice.pl

TEATR ŚLĄSKI

Rynek 2, tel. 258-72-51
www.teatrslaski.art.pl

TEATR KOREZ

GCK, plac Sejmu Śl. 2
tel. 209-00-88
www.korez.art.pl

ŚLĄSKI TEATR

LALKI I AKTORA
„ATENEUM”
ul. św. Jana 10
tel. 253-82-21
www.ateneum.art.pl

IPIMUM „SILESIA”

ul. 3 Maja 31a
tel. 259-84-83
www.silesia.art.pl

FILHARMONIA ŚLĄSKA

ul. Sokolska 2
tel. 258-62-61
www.filharmoniaslaska.art.pl

ESTRADA ŚLĄSKA

ul. T. Kościuszki 88/90
tel. 032 251-93-38
www.estradaslaska.pl

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

pl. Rady Europy 1
tel. 208-37-00
www.bs.katowice.pl

CENTRUM

SZTUKI FILMOWEJ
ul. Sokolska 66
tel. 258-42-41
www.csf.katowice.pl

KINOTEATR RIALTO

ul. św. Jana 24
tel. 251-04-31
www.rialto.katowice.pl

KOSZĘCIN

ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA
„ŚLĄSK” im. S. HADYNY
ul. Zamkowa 3
tel. 034 310-64-15
www.zespolslask.pl

MIKOŁÓW

**MIEJSKI DOM KULTURY
GALERIA MDK**
Rynek 19, tel. 226-21-47
www.mdkmikolow.eu

MYSŁOWICE

**MUZEUM MIASTA
MYSŁOWICE**
ul. Stadionowa 7a
tel. 222-36-12 w. 51
www.muzeummyslowic.pl

RACIBÓRZ

MUZEUM W RACIBORZU
ul. Rzeźnicza 15, tel. 415-49-01
www.muzeum.raciborz.pl

RUDA ŚLĄSKA

**MUZEUM MIEJSKIE
IM. M. CHROBOKA**
ul. Wolności 26, tel. 248-44-57

RYBNIK

**RYBNICKIE
CENTRUM KULTURY**
ul. Saint Vallier 1, tel. 42-22-132
www.kultura.rybnik.pl

MUZEUM W RYBNIKU
Rynek 18, tel. 422-14-23
www.muzeum.rybnik.pl

SOSNOWIEC

**SOSNOWIECKIE
CENTRUM SZTUKI
ZAMEK SIELECKI**
ul. Zamkowa 2
tel. 266-38-42
www.zameksielecki.pl

MUZEUM
ul. Chemiczna 12
tel. 363-16-70
www.muzeum.org.pl

TEATR ZAGŁĘBIA
ul. Teatralna 4, tel. 266-04-94
www.teatrzaglebia.pl

**MIEJSKI KLUB
IM. JANA KIEPURY**
ul. Będzińska 6, tel. 291-39-48
www.kieपुरa.pl

BYTOM

OPERA ŚLĄSKA
6.10. wtorek, godz. 18.00
Carmina Burana

7.10. środa, godz. 19.00
Recital Mistrzowski
Kontrabasista
Jerzy Stuhr

11.10. niedziela, godz. 11.00
sala koncertowa im. A. Didura
Salon Poezji i Muzyki
Anny Dymnej

13.10. wtorek, godz. 18.00
Straszny dwór

16.10. piątek, godz. 18.00
sala koncertowa im. A. Didura
Talenty z Litwy
Koncert laureatów
konkursów wokalnych

17.10. sobota, godz. 18.00
Księżniczka czardasza

25.10. niedziela, godz. 18.00
Carmen

29.10. czwartek, godz. 18.00
Nabucco

ŚLĄSKI TEATR TAŃCA
9.10. piątek, godz. 19.00
Kroniki sąsiedzkie

29.10. czwartek, godz. 19.00
premiera!
Żyjąc wirtualnym snem
Living the second life dream
choreografia: Jacek Lumiński

programy edukacyjne
9.10. – 11.10.

Ogólnopolskie Warsztaty
Tańca Współczesnego

17.10. – 18.10.
24.10. – 25.10.
Studio Teatru Fizycznego

CHORZÓW

TEATR ROZRYWKI
15.10. czwartek,
godz. 16.00 19.00
Jesus Christ superstar

16.10. piątek, godz. 19.00
Spojrzenia
spektakl baletowy
fragmenty:
opery *Faust C. Gounoda*,
Bohena M. Ravela
oraz hiszpańskich
miniatur ludowych
gościnnie: Opera Krakowska

21.10. środa, godz. 19.00
22.10. czwartek, godz. 19.00
23.10. piątek, godz. 19.00
24.10. sobota, godz. 19.00
25.10. niedziela, godz. 17.00
29.10. czwartek, godz. 19.00
30.10. piątek, godz. 17.00
31.10. sobota, godz. 19.00
Oliver!

Mała scena
9.10. piątek, godz. 19.30
prapremiera!
10.10. sobota, godz. 19.30
11.10. niedziela, godz. 19.30
13.10. wtorek, godz. 19.30
Kamyk w bucie
Podivná splátka
reżyseria: I. Šebo
muzyka: Jiří Toufar
scenografia: Michał Urban

12.10. poniedziałek, godz. 19.30
Górny Śląsk – świat najmniejszy
Wieczór filmowy
z Michałem Rosą
Rysa i inne

16.10. piątek, godz. 19.30
17.10. sobota, godz. 19.30
18.10. niedziela, godz. 19.30
Shirley Valentine

20.10. wtorek, godz. 16.00
21.10. środa, godz. 16.00
Pomalu, a jeszcze raz!

24.10. sobota, godz. 19.30
25.10. niedziela, godz. 19.30
Czarodziejka z Harlemu

26.10. poniedziałek, godz. 19.30
Słowa
recital
Robert Talarczyka

27.10. wtorek, godz. 19.30
28.10. środa, godz. 19.30
Na końcu tęczy

CIESZYN

TEATR IM. A. MICKIEWICZA
9.10. piątek, godz. 20.00
Antoni Cwojdzkiński
Hipnoza
Teatr Bajka /Warszawa/
wystąpią:
Beata Ścibakówna
Rafał Królikowski

CZĘSTOCHOWA
TEATR IM. A. MICKIEWICZA
9.10. piątek, godz. 19.00
11.10. niedziela, godz. 19.00
Jeszcze jeden do puli?

13.10. wtorek, godz. 18.00
Dzień Nauczyciela w Teatrze
Stachura

14.10. środa, godz. 17.00 i 20.00
Dzień Nauczyciela w Teatrze
18.10. niedziela, godz. 19.00
Miłość i polityka

21.10. środa, godz. 18.00
22.10. czwartek, godz. 19.00
Scena na scenie
Pierwszy raz

25.10. niedziela, godz. 16.00
Koziołek Matolek

30.10. piątek, godz. 19.00
31.10. sobota, godz. 19.00
Scena na scenie
Patrz, słońce zachodzi

Scena kameralna
4.10. niedziela, godz. 19.00
7.10. środa, godz. 18.00
16.10. piątek, godz. 19.00
17.10. sobota, godz. 19.00
Wilki

23.10. piątek, godz. 19.00
24.10. sobota, godz. 19.00
25.10. niedziela, godz. 19.00
Nocną porą

GLIWICE

GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
2.10. – 4.10.
Dni otwarte
Sceny Bajki – Kina Amok
program na s. 89

2.10. piątek, godz. 18.30
3.10. sobota, godz. 18.30
4.10. niedziela, godz. 18.00
Cyrylik sewilski

9.10. piątek, godz. 18.30
10.10. sobota, godz. 18.30
11.10. niedziela, godz. 17.00
Hello, Dolly!

14.10. środa, godz. 18.30
Niech żyje ba!
piosenki Agnieszki Osieckiej
gościnnie: Teatr Zagłębia
/Sosnowiec/

16.10. piątek, godz. 18.30
Europa moich marzeń
z udziałem
Grażyny Brodzińskiej

17.10. sobota, godz. 18.30
18.10. niedziela, godz. 18.00
Księżniczka czardasza

23.10. piątek, godz. 18.00
24.10. sobota, godz. 18.00
25.10. niedziela, godz. 17.00
Anna Karenina

29.10. czwartek,
godz. 17.30 i 20.00
Smak Mamrota
gościnnie: Teatr Capitol /Warszawa/

KATOWICE

**ŚLĄSKI TEATR LALKI
I AKTORA ATENEUM**
Scena Ateneum
3.10. sobota, godz. 16.00
31.10. sobota, godz. 16.00
Klonowi bracia

4.10. niedziela, godz. 16.00
O smoku Grubeloku

10.10. sobota, godz. 16.00
24.10. sobota, godz. 16.00
Tygrys Pietrek

11.10. niedziela, godz. 16.00
25.10. niedziela, godz. 16.00
Jak pingwiny
Arką popłynęły

12.10. – 18.10.
Dni otwarte Teatru Ateneum
w ramach
Europejskiego Tygodnia
Demokracji Lokalnej
w programie m.in.
zwiedzanie Teatru
i pracowni plastycznej
17.10. sobota, godz. 16.00
Wesołe historie

18.10. niedziela, godz. 16.00
Pchla Szachrajka

TEATR ŚLĄSKI
Duża Scena
1.10. czwartek, godz. 13.00
Romeo i Julia

2.10. piątek, godz. 18.00
Mayday 2

3.10. sobota, godz. 18.00
102 urodziny Teatru
4.10. niedziela, godz. 18.00
23.10. piątek, godz. 18.00
24.10. sobota, godz. 18.00
25.10. niedziela, godz. 18.00
Poskromienie złościcy



5.10. poniedziałek, godz. 18.00
Carmina Burana
gościnnie:
Opera Śląska /Bytom/
10.10. sobota, godz. 18.00
11.10. niedziela, godz. 18.00
premiera nauczycielska!
Zbrodnia i kara
16.10. piątek, godz. 18.00
17.10. sobota, godz. 18.00
Wieczór kawalerski

19.10. poniedziałek, godz. 18.00
Kot w butach
gościnnie:
Opera Śląska /Bytom/

26.10. poniedziałek, godz. 18.00
Manru
gościnnie:
Opera Śląska /Bytom/



foto. Tomasz Zakrzewski

27.10. wtorek, godz. 12.00
28.10. środa, godz. 12.00
29.10. czwartek, godz. 11.00
Najpiękniejsze bajki świata
gościnnie:
Wrocławski Teatr Lalek

30.10. piątek, godz. 18.00
Polterabend

Scena kameralna
1.10. czwartek, godz. 18.30
10.10. sobota, godz. 18.30
11.10. niedziela, godz. 18.30
21.10. środa, godz. 18.30
22.10. czwartek, godz. 18.30
Barbara Radziwiłłówna
z Jaworzna-Szczakowej

5.10. poniedziałek, godz. 18.00
Inauguracja Roku Akademickiego
Studium Aktorskiego
przy Teatrze Śląskim
spektakl dyplomowy III roku

8.10. czwartek, godz. 18.30
9.10. piątek, godz. 18.30
Świat jest skandalem

15.10. czwartek, godz. 18.30
16.10. piątek, godz. 18.30
17.10. sobota, godz. 18.30
Zdobycie
bieguna południowego

23.10. piątek, godz. 12.45
24.10. sobota, godz. 18.30
Oskar i pani Róża

27.10. wtorek, godz. 18.30
28.10. środa, godz. 18.30
Sto
gościnnie:
Wrocławski Teatr Lalek

TEATR KOREZ
1.10. czwartek, godz. 18.00
Kabaretowa Scena Trójki
Stanisław Tym (gość)
i **Kabaret Długi**
(gospodarze)

2.10. piątek, godz. 19.00
Hamlet

4.10. niedziela, godz. 19.00
Kwartet dla 4 aktorów

5.10. poniedziałek, godz. 19.00
25.10. niedziela, godz. 12.00
30.10. piątek, godz. 19.00
Cholonek wg Janoscha

9.10. piątek, godz. 19.00 **premiera!**
10.10. sobota, godz. 19.00
Dwa
Jim Cartwright
reżyseria: Robert Talarczyk

11.10. niedziela, godz. 18.00
Babcia
Teatr Bezscenni

17.10. sobota, godz. 20.00
Kometa,
czyli ten okrutny wiek XX

18.10. niedziela, godz. 19.00
Sztuka

19.10. poniedziałek, godz. 19.00
Dietrich i Leander

24.10. sobota, godz. 19.00
Kolega Mela Gibsona

28.10. środa, godz. 19.00
Kabaretowa Scena Trójki
Kabaret
Świerszczchrząszcz (gość)
oraz
Kabaret Długi (gospodarze)

31.10. sobota, godz. 19.00
Scenariusz dla 3 aktorów

RYBNIK

TEATR ZIEMI
RYBNICKIEJ
4.10. niedziela,
godz. 16.00 i 19.00
Klimakterium ... i już
wystąpi Elżbieta Jodłowska

SOSNOWIEC

TEATR ZAGŁĘBIA
3.10. sobota, godz. 18.00 **premiera!**
4.10. niedziela, godz. 18.00
18.10. niedziela, godz. 18.00
Wiśniowy sad

9.10. piątek, godz. 19.00
17.10. sobota, godz. 18.00
Sztuka kochania
czyli Sceny dla dorosłych

10.10. sobota, godz. 18.00
11.10. niedziela, godz. 18.00
31.10. sobota, godz. 18.00
Czyż nie dobija się koni?

16.10. piątek, godz. 19.00
Wesołe kumoszki
z Windsoru

23.10. piątek, godz. 19.00
Stosunki na szczycie

24.10. sobota, godz. 18.00
25.10. niedziela, godz. 18.00
Niech żyje bał!

TYCHY

TEATR MAŁY
1.10. czwartek, godz. 20.00
Dla Elży
Kabaret
Grupa MoCarta

8.10. czwartek, godz. 18.00
Hipnoza
wystąpi:
Beata Scibakówna,
Rafał Królikowski

17.10. sobota, godz. 16.00
O smoku Grubeloku
Śląski Teatr Lalki
i Aktora Ateneum /Katowice/

22.10. czwartek, godz. 18.00
O pojeźdzenie z własną historią
– obraz W. Korfańskiego dzisiaj
prelekcja
prof. zw. dr hab.
Ewy Chojeckiej

24.10. sobota, godz. 18.00
Beltaine
& Comhlan Celtic Motion
Project
irlandzkie widowisko
muzyczno-taneczne

25.10. niedziela, godz. 18.00
Anna Dymna
inauguruje
Krakowski Salon Poezji
w Tychach
Poezja ks. Jana Twardowskiego
wystąpi:
Dariusz Niebudek
Alicja Warcaba /flet/

ZABRZE

TEATR NOWY
IX FESTIWAL DRAMATURGII
WSPÓŁCZESNEJ
Rzeczywistość Przedstawiona
ZABRZE 2009

17.10. sobota, godz. 18.00
Miedzy nami dobrze jest
reż. G. Jarzyna
Teatr Rozmaitości /Warszawa/

18.10. niedziela, godz. 18.00
Dzień Walentego
reż. T. Zygałło
Teatr im. J. Osterwy
/Gorzów Wlkp/

19.10. poniedziałek, godz. 17.00
Szajba
reż. J. Klata
Teatr Polski /Wrocław/
Scena w Demexie

20.10. wtorek, godz. 17.00 i 20.00
Zbombardowani
reż. M. Kalita
Teatr Konsekwentny /Warszawa/
widownia na scenie

21.10. środa, godz. 19.00
Proca
reż. R. Szejd
Scena Prezentacje /Warszawa/

22.10. czwartek, godz. 19.00
Rowerzyści
reż. A. Augustynowicz
Teatr im. S. Jaracza /Łódź/
i Teatr Współczesny /Szczecin/

23.10. piątek, godz. 19.00
Fotografie
reż. P. Kamza
Teatr im. H. Modrzejewskiej
/Legnica/
Łaźnia Łańcuszkowa Zabrze

24.10. sobota, godz. 18.00
Brzydal
reż. R. Matusz
Teatr Nowy /Zabrze/

25.10. niedziela, godz. 19.00
zakończenie festiwalu
Ogłoszenie werdyktu Jury
recital
Joanny Trzepiecińskiej
Piosenki z Kabaretu
Starszych Panów

TARNOWSKIE GÓRY

MUZEUM

Rynek 1, tel. 285-26-07
www.muzeumtg.art.pl

TARNOGÓRSKIE CENTRUM KULTURY TEATR ZL

ul. Sobieskiego 7
tel. 285-27-34
www.tck.net.pl

TYCHY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Katowicka 9
tel. 327-18-20

TEATR MAŁY GALERIA OBOK

ul. kard. A. Hłonda 1
tel. 227-20-67
www.teatrmaly.tychy.art.pl

ZABRZE

TEATR NOWY

pl. Teatralny 1
tel. 271-32-56
www.teatrnowywzabrze.art.pl

FILHARMONIA ZABRZAŃSKA

ul. Wolności 325
tel./fax 271-47-17
www.filharmonia.zabrze.pl

DOM

MUZYKI I TAŃCA

ul. Gen. de Gaulle'a 17
tel. 271-56-41 w. 47
www.dmit.com.pl

MUZEUM GÓRNICCTWA WĘGLOWEGO

ul. 3 Maja 19
tel. 271-88-31
www.muzeumgornictwa.pl

MUZEUM MIEJSKIE

ul. 3 Maja 91
tel. 271-56-89
www.muzeum-miejskie-zabrze.pl

ZORY

MUZEUM MIEJSKIE

ul. Dolne Przedmieście 1
tel. 434-48-82
www.muzeum.zory.pl

BIELSKO-BIAŁA**ZAMEK****Muzyka na Zamku**

12.10. poniedziałek, godz. 18.00

Koncert

wystąpią:

M. Ludwik – obój

W. Mula – trąbka

E. Bąk – fortepian

TEATR POLSKI

18.10. niedziela, godz. 19.00

Koncert Marii Koterbskiej**BYTOM****OPERA ŚLĄSKA**

10.10. sobota, godz. 18.00

Michał Bajor

piosenki M. Grechuty i J. Kofty

CHORZÓW**TEATR ROZRYWKI**

11.10. niedziela, godz. 19.00

Anna Maria Jopek

recital

17.10. sobota, godz. 19.00

Inauguracja Roku Kulturalnego**PIN klasycznie**

koncert

obok A. Lamperta wystąpią:

orkiestra

Akademii Beethovenowskiej

z Krakowa i K. Oleś-Blacha

– sopran koloraturowy

26.10. poniedziałek, godz. 19.00

Missa pacis

do rozważań Jana Pawła II

na temat pokoju

Marcin Wawrzynowicz

Sextet

CIESZYN**TEATR IM. A. MICKIEWICZA**

17.10. sobota, godz. 17.00

Rock Opera o św. Karolu

Konwent Sióstr Boromeuszek

w Cieszynie

23.10. piątek, godz. 18.00

Koncert symfoniczny

Orkiestry Kameralnej

ze Stuttgartu

dyrygent – Patrick Strub

w programie: G.F. Händel,

F. Schubert, G. Bacewicz

25.10. niedziela, godz. 17.00

Dni Kultury Żydowskiej**Koncert galowy****CZĘSTOCHOWA****FILHARMONIA****CZĘSTOCHOWSKA**

2.10. piątek, godz. 19.00

Międzynarodowy**Dzień Muzyki**

Orkiestra Symfoniczna

Filharmonii Częstochowskiej

Ligia Amadio – dyrygent /Brazylia/

K. Pelech – gitara

VII Festiwal Wiolinistyczny

im. Bronisława Hubermana

11.10. niedziela, godz. 18.00

Inauguracja Festiwalu

Orkiestra Kameralna

Filharmonii Śląskiej

M. J. Blaszczyk – dyrygent

K. Duda – skrzypce

13.10. wtorek, godz. 19.00

Koncert pamięci

Piotra Janowskiego

Muzyczny pojedynek

Paganiniego z Lipińskim

J. Wawrowski – skrzypce

Kwartet *Prima Vista*

14.10. środa, godz. 19.00

Recital mistrzowski

M. Patyra – skrzypce

Giovanni Casella – fortepian

/Włochy/

16.10. piątek, godz. 19.00

Wielkie talenty, wielkie nadzieje

Orkiestra Symfoniczna

Filharmonii Częstochowskiej

J. Salwarowski – dyrygent

Malwina Sosnowski

– skrzypce /Szwajcaria/

Samuli Peltonen

– wiolonczela /Finlandia/

18.10. niedziela, godz. 18.00

Cellonet & Leszek Możdżer

19.10. poniedziałek, godz. 19.00

Seans filmowy**Joshua Bell**

w ścieżce dźwiękowej filmu

Purpurowe skrzypce

20.10. wtorek, godz. 19.00

Koncert nadzwyczajny

Orkiestra Symfoniczna

Filharmonii Częstochowskiej

J. Salwarowski – dyrygent

Joshua Bell

– skrzypce/USA/

7. Dni Kultury Chrześcijańskiej

22.10. czwartek, godz. 19.00

Koncert zespołu Zakopower

23.10. piątek, godz. 19.00

Wieczór kameralny

Orkiestra Kameralna

Łódzkie Smyczki

R. J. Osmoliński – dyrygent

GLIWICE**GLIWICKI TEATR MUZYCZNY**

2.10. piątek, godz. 20.00

Pożegnanie lata

Ruiny Teatru Miejskiego

zespół **Raz Dwa Trzy**

godz. 21.30

zespół **Lao Che**

11.10. niedziela, godz. 18.00

Ruiny Teatru Miejskiego

Anna Szalapak recital

21.10. środa, godz. 19.00

Touch of Ireland

wystąpi: Carran Tuohill

KATOWICE**NOSPR**

9.10. piątek, godz. 19.30

Inauguracja sezonu artystycznego

Jacek Kasprzyk – dyrygent

w programie:

Nokturn Andrzeja Panufnika,

I Koncert fortepianowy

F. Mendelssohna

z udziałem solistki Yu Kosuge

oraz VII Symfonia

E-dur A. Brucknera

18.10. niedziela, godz. 12.00

Poranek z okazji 50. rocznicy

śmierci Heitora Villa-Lobosa

dyrygent – José Maria Florêncio

solistka – Anna Mikołajczyk

FILHARMONIA ŚLĄSKA

1.10. czwartek, godz. 19.00

Międzynarodowy**Dzień Muzyki**

Śląska Orkiestra Kameralna

W. Kwaśny – dyrygent, skrzypce

w programie: A. Vivaldi

2.10. piątek, godz. 19.00

Centrum Nauki i Edukacji

Muzycznej

Inauguracja roku akademickiego**2009/2010****Akademii Muzycznej****w Katowicach**

Orkiestra Symfoniczna F. Śl.

M. J. Blaszczyk – dyrygent

11.10. niedziela, godz. 19.30

Archikatedra**Dzień papieski**

Chór F. Śl.

J. Wolanin – dyrygent

11.10. niedziela, godz. 18.00

Częstochowa, Filharmonia

VII Festiwal Wiolinistyczny

im. B. Hubermana

Koncert inauguracyjny

Śląska Orkiestra Kameralna

M. J. Blaszczyk – dyrygent

A. Duda – skrzypce

w programie: G. Holst,
F. Mendelssohn-Bartholdy, B. Britten

16.10. piątek, godz. 19.00

Miłosne reminiscencje

Orkiestra Symfoniczna i Chór F. Śl.

M. Nesterowicz – dyrygent

T. Strahl – wiolonczela

w programie:

M. Rimski-Korsakow,

N. Miaskowski, G. Fauré

23.10. piątek, godz. 19.00

Żyłina w Katowicach**Slovak Sinfonietta Žilina**

Oliver von Dohnányi – dyrygent

Dalibor Kárvey – skrzypce

w programie: J. Cikker,

A. Dvořák, G. Bizet

25.10. niedziela, godz. 17.00

Podwieczorek muzyczny**z Szekspirem**

Orkiestra Symfoniczna F. Śl.

M. Diakun – dyrygent

J. Jędrusik – prowadzenie

25.10. niedziela, godz. 17.00

Imielin, kościół

X Festiwal**Jesień Organowa**

w Powiecie

Bieruńsko-Lędzińskim

Koncert finałowy

Śląska Orkiestra Kameralna

S. Bywalec – dyrygent

Julian Gembalski – organy

30.10. piątek, godz. 19.00

Chór F. Śl.

C. Freund – dyrygent

L. A. Mróz – bas

w programie:

Romuald Twardowski

– Liturgia św. Jana Złotoustego

prawykonanie polskie!

JAZZ CLUB HIPNOZA**GCK**

8.10. czwartek, godz. 20.00

The Refuge Trio /USA/

Theo Bleckmann – głos

John Hollenbeck – perkusja,

perkusjonalia, wibrafon

Gary Versace – fortepian,

akordeon, keyboard

22.10. – 23.10.

godz. 20.00

Fonda/Stevens Group /USA/

Michael Jeffry Stevens – fortepian

J. Fonda – kontrabas

H. Robertson – trąbka

H. Sorgen – perkusja

29.10. czwartek, godz. 20.00

M. Wasilewski Trio

Polska/

PIŁM SILESIA**XIX MIĘDZYNARODOWY****FESTIWAL****MŁODYCH LAUREATÓW****KONKURSÓW MUZYCZNYCH**

10.10. sobota, godz. 17.00

Sala Koncertowa AM**Inauguracja festiwalu**

wystąpią:

K. Taraszova /Ukraina/

– fortepian

B. Taraszova /Ukraina/

– fortepian

L. Kaczala – sopran

P. Radejko – baryton

J. Rak – fortepian

*Brigitta Taraszova*

11.10. niedziela, godz. 12.00

Muzeum Archidiecezjalne

Chopin w samo południe**Laureaci Ogólnopolskiego Konkursu****Pianistycznego im. F. Chopina**

wystąpią: J. Różewska, A. Świąt

godz. 17.30

Panewniki, Bazylika

Muzyka

wystąpi: Trio Trevoce /Słowacja/

godz. 18.00

Podlesie, MDK Południe

Piękne głosy

wystąpią:

N. Skrycka – sopran, Ł. Gaj – tenor

12.10. poniedziałek, godz. 17.00

Muzeum Historii Katowic

Inauguracja Festiwalu *Nordalia*

wystąpi: oktet wokalny Octava

godz. 19.00

Studio Koncertowe PR

Technika i ekspresja

wystąpią:

D. Jarzyński – klarnet

A. Czaicka – fortepian

J. Węgrzynowicz – sopran

13.10. wtorek, godz. 17.30

Zawodzie, MDK

Trio instrumentalne

Nazar

godz. 18.00

Muzeum Archidiecezjalne

Laureaci Ogólnopolskiego Konkursu**Pianistycznego im. F. Chopina**

wystąpią:

J. Kociuban, M. Fleszar

14.10. środa, godz. 17.30

Zespół Szkół Plastycznych

wystąpią: Duo Milonga

Jean-Baptiste Mathulin /Francja/

– fortepian

15.10. czwartek, godz. 18.00

Studio Koncertowe PR

Talenty z Litwy

wystąpią:

J. Slezaite – sopran

E. Grigaityte – sopran

A. Apsega – tenor

A. Eitmanavičiute – fortepian

16.10. piątek, godz. 16.00

Studio Koncertowe PR

Goście festiwalu
Tercet bandurzystek „Oriana”
J. Rudnicka, N. Hocyk,
N. Iwanonikiv

17.10. sobota, godz. 17.00
Ligota, MBP Filia nr 32
W kręgu Chopina
wystąpią:

M. Szymanowski – fortepian
M. Gołąb – mezzosopran
J. Steczek – fortepian

godz. 18.00
os.1000-lecia, MDK
W kręgu Chopina
wystąpi: S. Grigorenko /Ukraina/

18.10. niedziela, godz. 17.00
MDK Koszutka
Koncertujące akordeony
wystąpią: W. Gusak /Ukraina/
I. Korniew /Ukraina/

godz. 17.15
Piotrowice, MDK Południe
godz. 19.00
Murcki, MDK Południe
Piękne głosy
wystąpią:
N. Skrycka – sopran, L. Gaj – tenor

godz. 18.00
Zawodzie, kościół Op. Bożej
wystąpią:
M. Kozak /Czechy/ – organy
M. Gołąb – mezzosopran
W. Stysz – fortepian

19.10. poniedziałek, godz. 18.00
Teatr Ateneum
Laureaci Międzynarodowego Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari
wystąpią: I. Matula – sopran
S. Komasa – baryton

20.10. poniedziałek, godz. 17.00
Biblioteka Śląska
Laureaci konkursów wokalnych
wystąpią:
D. Gancłarski – kontratenor
L. Węgrzyn – mezzosopran
S. Olszyńska – sopran

21.10. środa, godz. 18.00
LO im. A. Mickiewicza
wystąpią: M. Kozłowski – fortepian
S. Marciniak – kontrabas
T. Śeć /Słowacja/ – baryton
K. Makowska – fortepian

22.10. czwartek, godz. 18.00
Sala Koncertowa AM
Goście Festiwalu
wystąpią:
Kamerorchester „Arcata”
Patrick Strub – dyrygent
A. Krzeszowiec – wiolonczela

godz. 18.00
Giszowiec, MDK
wystąpią:
B. Witkowska-Glik – sopran
S. Kufluk – baryton
G. Biegas – fortepian

TEATR ŚLĄSKI
18.10. niedziela, godz. 18.00
Marcin Wyrostek
Tango Corazon Quintet
recital

TEATR KOREZ
27.10. wtorek, godz. 19.00
Rosyjskie ballady i romanse
koncert Alexandra Maceradi

Hala SPODEK
10.10. sobota, godz. 11.00
29 Rava blues festival



Eric Sardinus

godz. 18.00
koncert Gwiazd

KOSZECIN
ZESPÓŁ PIĘŚNI I TAŃCA „ŚLĄSK”
4.10. niedziela, godz. 18.00
Katowice, Archikatedra
Koncert okolicznościowy
oprawa mszy

15.10. czwartek, godz. 18.00
Koszecin
16.10. piątek, godz. 19.00
Zabrze, DMI
Santo Subito

RYBNIK
TEATR ZIEMI RYBNICKIEJ
22.10. czwartek, godz. 19.00
Michał Bajor
koncert
piosenek M. Grechuty i J. Kofty

24.10. sobota, godz. 18.00
Pacific Trio

TYCHY
TEATR MAŁY
13.10. wtorek, godz. 18.00
Uroczysty koncert
chóru Gimnazjum nr 3
im. Jana Pawła II w Tychach
z okazji 10. rocznicy istnienia
dyryguje:
I. Dawidowska-Nowak

ZABRZE
FILHARMONIA ZABRZAŃSKA
9.10. piątek, godz. 18.00
Jesienne nastroje...
S. Chrzanowski – dyrygent
Beata Bilińska – fortepian
w programie: W. A. Mozart,
C. Saint-Saens, F. Liszt

11.10. niedziela, godz. 16.00
Miłość w piosence...
Zabrze, Maciejów, kościół
pw. św. Macieja
Koncert muzyki gospel
S. Chrzanowski – dyrygent
Ewa Uryga – vocal
S. Chrzanowski – dyrygent

22.10. czwartek, godz. 18.00
Motywy wojenne i wojskowe
w muzyce...
koncert
S. Chrzanowski – dyrygent
w programie: J. Haydn,
G. Rossini, R. Wagner i inni

BIELSKO-BIALA

ZAMEK
Stare kino w starym Zamku
13.10. wtorek, godz. 17.00
Aleksander Zabczyński
amant, żołnierz, człowiek

CZĘSTOCHOWA
Filharmonia Częstochowska
4.10. niedziela, godz. 16.30, 19.30
„Pomalu, a jeszcze raz”
/Teatr Capitol/

12.10. poniedziałek, godz. 19.30
Hipnoza /Teatr Bajka/

28.10. środa, godz. 19.00
Koncert Grupy MoCarta

DĄBROWA GÓRNICZA
PALAC
KULTURY ZAGŁĘBIA
4.10. niedziela, godz. 17.00
Ewa Farna koncert

11.10. niedziela, godz. 18.00
Kabaret Młodych Panów

14.10. środa, godz. 19.00
Koncert Grupy MoCarta

18.10. niedziela, godz. 17.00
Magiczny „Hollywood”
Grażyna Brodzińska i jej goście

24.10. sobota, godz. 18.00
Andrzej Piaseczny
i Seweryn Krajewski
TOUR 2009

GLIWICE
GLIWICKI TEATR MUZYCZNY
Dni otwarte
Sceny Bajka – Kina Amok
2.10. piątek, godz. 17.00
Rynek w Gliwicach
Odjazdowa BAJKA pełna AMOKU
Odjazdowy prolog
– Bajeczna zabawa

godz. 18.30
Scena Bajka, kino Amok
Bajka pełna muzyki
w programie:
uroczyste otwarcie
Sceny Bajka Kina Amok
projekcja etiudy filmowej
Jak to jest być w Amoku?
projekcja filmu T. Bagińskiego
Kinematograf
koncert
Od Titanica do Zorro
wystąpią: K. Prońko,
M. Korzonek i M. Gasz
z towarzyszeniem
Żorskiej Orkiestry Rozrywkowej
pod dyr. Lothara Dziwoki

3.10. sobota, godz. 12.00
Scena Bajka, kino Amok
Bajeczna miło w AMOKU
w programie:
Sezanie otwórz się,
czyli Bajka od kulis
godz. 16.00 i 18.00
projekcje filmowe:
Historia kina w Popielawach
reż. Jan Jakub Kolski, 1998 r.
godz. 20.00
Platige Image

godz. 16.15, 18.15 i 20.15
Sto lat w kinie
Inna Bajka

godz. 15.00
Bajkowa Pinokiomania

4.10. niedziela, godz. 15.00
Scena Bajka, Kino Amok
Odjazdowo i AMOKOWO
w programie: projekcje filmowe:
oraz No Popcorn on the Floor
i Trio Pieszka-Pendzianek-Pieszka

KATOWICE
CENTRUM SZTUKI FILMOWEJ
2.10. – 3.10.
3. Urodziny
Centrum Sztuki Filmowej
w programie wiele atrakcji, m.in.:
maratony filmowe, pokazy filmów
dokumentalnych ...

100 lat filmu polskiego
wystawa
czynna do 30 października

Wystawa Bobek, czyli opowieść
o Bogumile Kobieli
wystawa
czynna do 17 października

ESTRADA ŚLĄSKA
Jubileusz Instytucji Kultury
„Estrady Śląskiej”
11.10. niedziela, godz. 19.00
Chorów, Teatr Rozrywki
Anna Maria Jopek

MIKOŁÓW
MIĘJSKI DOM KULTURY
2.10. piątek, godz. 18.00
Koncert dla przyjaciół
Capella Nicopolensis

9.10. piątek, godz. 18.00
35-lecie Zespołu Mikołowiński
Koncert

12.10. poniedziałek, godz. 18.00
Wakacjusza
monodram w wykonaniu
Emilii Krakowskiej

24.10. sobota, godz. 16.00
50-lecie Klubu Filmowego „iks”

27.10. wtorek, godz. 17.30 i 20.30
Kabaret Moralnego Niepokoju

30.10. piątek
Przegląd Sztuki Nieprofesjonalnej

SOSNOWIEC
ZAMEK SIELECKI
23.10. piątek, godz. 17.00
Aleksandr Maceradi
Rosyjskie Ballady i Romanse

ZABRZE
DOM MUZYKI I TAŃCA
5.10. poniedziałek, godz. 20.00
Basia Trzetrzelewska
koncert

2.10. piątek, godz. 19.00
Klimakterium i już...
wystąpi m.in.: E. Jodłowska,
K. Sienkiewicz, G. Zielińska

9.10. piątek, godz. 18.00
Tori Amos
koncert

10.10. sobota, godz. 16.00
Witaj Europo!
spektakl rewiowy Teatru Sabat
z okazji 50-lecia Unii Europejskiej

Rozmowy o tradycjach i dziedzictwie górniczym

Jak pokazała niedawna konferencja naukowa przygotowana przez Muzeum Historii Katowic, nie ginie zainteresowanie tradycjami i dziedzictwem górniczym na obszarze Katowic, lecz wręcz przeciwnie – zainteresowanie konferencją zapewne przeszło oczekiwania organizatorów. Z pewnością przysłużyło się temu ożywienie, jakie panuje wokół terenów, które po kopalni „Katowice” zagospodarowuje Muzeum Śląskie na swą nową siedzibę. Znakomicie usytuowany ze swoim poindustrialnym entourage’em jest polem do popisu dla nowatorskich, niekonwencjonalnych pomysłów gospodarzy. Do uroczystego otwarcia Muzeum w tym miejscu jest jeszcze bardzo daleko – wszak to dopiero prace nad projektem, ale nie stoi na przeszkodzie, by przyszli bywalcy przywykli do powoła do nowego miejsca ważnych wydarzeń kulturalnych na mapie stolicy Śląska.

Tak więc na fali tego, jak i kilku innych pokopalnianych miejsc (jednym z nich jest istniejąca od wielu już lat galeria „Szyb Wilson” na Nikiszowcu), wzrasta zainteresowanie obiektami, jak i tym co ze sobą niosą – a więc śląskie, górnicze dziedzictwo kulturowe i tradycję, która tu i ówdzie jest ciągle obecna.

Przygotowana przez Muzeum Historii Katowic we współpracy z Polską Akademią Nauk i Polskim Towarzystwem Historycznym konferencja, była poważną debatą nad wieloma aspektami kultury górniczej.

Wyodrębniono trzy główne bloki tematyczne: „Dzieje górnictwa węglowego w rejonie Katowic”, „Górnictwo tradycje w Katowicach” i „Tematy górnicze w sztuce”.

Wśród tematów jakie poruszono w pierwszej części, znalazły się m.in. tradycje górnicze w historiografii polskiej (prof. Marek Cetwiński), górnictwo węglowe w rejonie Janowa, Rożdżenia i Szopieniec (dr Lech Szaraniec), przymusowa praca w katowickich kopalniach w latach 1945-1949 (dr Kazimierz Mieroszewski), zjawisko podważania tradycji górniczych na Górnym Śląsku po zakończeniu II wojny światowej (prof. Zygmunt Woźniczka).

W części drugiej prelegenci przedstawili tematy związane m.in. z mitologizacją górnośląskiej subkultury górniczej (dr Marian Gerlich), powinnościami niewiast czyli wizerunku kobiety w kulturze obyczajowej środowisk górniczych (dr Halina Gerlich), tradycji w górniczym dowcipie (prof. Aldona Skudrzyk), ruchu muzyczny na Śląsku (mgr Andrzej Wójcik).

Konferencję zamknęły wystąpienia poświęcone m.in. górnikom i przemysłowcom w sztuce Katowic XIX wieku (dr hab. Irma Kozina), uwagi o grafice propagandowej lat 70. XX wieku (dr hab. Barbara Szczypka-Gwiazda).

To tylko wyimek tematyki, jaką przedstawiono podczas konferencji. Jeśli do tego dodać wystąpienia uzupełniające opisujące tradycje i współczesne wierzenia przepowiadające tragedie w kopalniach czy omówienie tematu górniczego w polskim filmie fabularnym, to uczestnicy Konferencji otrzymali pełne spektrum zagadnień prezentujących tę ciągle bardzo aktualną dla Śląska tematykę.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Premiera w „Ateneum”

Tygrys Pietrek Hanny Januszewskiej, w reżyserii Krystiana Kobyłki, ze scenografią Ewy Farkašovej, muzyką Marcina Mirowskiego, choreografią Jacka Gębury, to najnowsza premiera Śląskiego Teatru Lalki i Aktora „Ateneum” w Katowicach.

Sztuka Hanny Januszewskiej Tygrys Pietrek to pierwsza w tym sezonie premiera Teatru Lalki i Aktora „Ateneum”. Ucieszą się z niej najmłodszy widzowie, bo przeznaczona jest właśnie dla maluchów. Należąca do klasyki dramaturgii teatru lalek, sympatyczna słabość, o wyraźnym, czytelnym dla małego dziecka przesłaniu, zrealizowana została w poetyce łączącej żywy plan z lalkami i maskami. Dynamiczne, rozśpiewane i roztańczone przedstawienie nawiązuje do konwencji cyrkowej. W roli tytułowej wystąpiła Krystyna Nowińska.

Świat widziany na 4 sposoby

Marek Locher, Beata Mędrak-Mikulska, Krzysztof Niesporek i Piotr Oleś – fotografie tej czwórki autorów, członków Związku Polskich Artystów Fotografików, pokazała Galeria „Katowice”. Wszyscy zaprezentowali wycinek swoich artystycznych zainteresowań. Łączy ich jedno – członkami ZPAF są od niedawna.

Marek Locher (rocznik 75) – specjalizuje się w dokumentowaniu ginącego świata Śląska, obiektów służących niegdyś kopalniom, hutom, przemysłowi, a dziś ulegającemu zagładzie, mimo swoich niepowtarzalnych walorów architektonicznych i niepowtarzalnej aurze tych miejsc. Fotografuje też ciągle działające zakłady przemysłowe, portrety mieszkańców, dzielnice miast. Zasłynął jako fotograf cyklem „Galeria Miejsc Zapomnianych”, a także zdjęciami wykonanymi w Giszowcu – dzielnicy Katowic, której historia i współczesność stała się tematem książki Małgorzaty Szejnert pt. „Czarny Ogród”.

Twórczość Piotra Oleśia prezentujemy na łamach tego wydania „Śląska” – ale w galerii „Katowice” pokazał swoje inne oblicze artystyczne.

Fotografie Krzysztofa Niesporka znane są szerokiej publiczności i miłośnikom fotografii. Poprzez portrety – zauważone bądź upozowane w studio, a także poprzez przekształcenia obrazu fotograficznego przy pomocy technik komputerowych, Niesporek zachowuje ludzi i atmosferę Nikiszowca. Pracę fotografa rozpoczął w atelier założonym przez jego dziadka Augustyna Niesporka w 1919 r. właśnie w Nikiszowcu. Dziadek Augustyn jak i całe pokolenie Niesporków to także bohaterowie „Czarnego Ogródu” Małgorzaty Szejnert. Krzysztof Niesporek uczestniczył w wielu wystawach fotograficznych a także przedsięwzięciach Klubu Artystycznej Fotografii.

Z kolei Beata Mędrak-Mikulska to najmłodsza artystka w tym gronie. Proponuje fotografię minimalistyczną, wyciszoną, impresyjną, poprzez którą – jak sama mówi „dotyka” rzeczywistość. Wiele w jej obrazach światła, szczylin, przymrużeń, poprzez które ogląda otaczający świat.



Foto. Foto. Krzysztof Niesporek

Satyra Pola Leursa

Rysunki satyryczne – dziś prawdziwy rytas – można oglądać w galerii teatru Śląskiego w Katowicach.

Artysta urodził się w Luksemburgu, jest z wykształcenia inżynierem, jego pasją są komiksy. Swoje satyryczne prace w y s t a w i a od 1980 roku. Uczestniczył w wystawach w wielu krajach w Europie a także w Korei, Brazylii, Turcji, Uczestniczył również



Jednym zdaniem

■ Archiwum Państwowe w Katowicach zaprasza na otwarcie wystawy „Miasta Górne Śląska i Zagłębia 1939-1945”.

■ „Pamięci Września” – pod takim tytułem w dniu 1 września odbył się koncert w Muzeum Archidiecezjalnym w Katowicach, którego wykonawcami byli Benon Maliszewski (baryton), Piotr Banasik (fortepian) oraz Maria Stokowska i Bernard Krawczyk – recytacje.

■ W gliwickim Teatrze Muzycznym odbyła się polska prapremiera spektaklu „Hilght School Musical on stage” w reżyserii Tomasza Dutkiewicza, w choreografii Sylwii Adamowicz, ze scenografią Wojciecha Stefaniaka i pod kierownictwem muzycznym Ewy Zug.

■ W Muzeum Miejskim w Tychach odbyło się spotkanie z Kazimierzem Kutzem związane z organizowaną młodzieżową grą powstańczą „Tu się zaczęło...” realizowaną z okazji 90. rocznicy I powstania śląskiego.

■ W 70. rocznicę zajęcia Katowic przez wojska hitlerowskie w Muzeum Historii Katowic odbyła się wystawa unikatowych zdjęć nabytych przez MHK w 2008 roku, której towarzyszył wykład dr. Grzegorza Bębniaka nt. „Wrzesień 1939 w Katowicach”.

■ Projekcja filmu opowiadającego o wydarzeniach roku 1939 na Górnym Śląsku pt. „Śląski Wrzesień” odbyła się w pomieszczeniach „Aresztu” w siedzibie IPN w Katowicach, a towarzyszyła jej promocja książki „Listy z Wehrmachtu” wydanej przez Oddziałowe Biuro Edukacji Narodowej IPN w Katowicach.

■ W Teatrze Zagłębia miało miejsce premiera wg baśni braci Grimm „Królewna Śnieżka” w reżyserii Karola Suszka.

■ Fundacja dla Śląska, Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, Śląski Ogród Zoologiczny, Polski Klub Ekologiczny były organizatorami VIII Festiwalu Młodej Sztuki Arterii 2009 Jam – pozwólmy im żyć.

■ Miejska Biblioteka Publiczna im. Gustawa Daniłowskiego w Sosnowcu była organizatorem promocji książki Aleksandry Namysło „Zanim nadeszła zagłada. Położenie ludności żydowskiej w Zagłębiu Dąbrowskim w okresie okupacji niemieckiej”.

■ Również w MBP im. G. Daniłowskiego w Sosnowcu miała miejsce wystawa „Zaczęło się w Polsce. Jesień Narodów '89”. Wernisaż połączone był z prelekcją dra hab. Antoniego Dudka.

w festiwalach rysunku satyrycznego w Polsce – w 2008 roku w Festiwalu Satyry „Billygoats”, podczas której otrzymał specjalną nagrodę, także podczas Międzynarodowego festiwalu „Karpik” w Niemodlinie – tu został laureatem I nagrody. Wystawa w Muzeum Śląskim to trzecia wystawa Leursa Polsce.

Dni Muzeum w Sosnowcu z rozmachem

Podczas tegorocznej edycji konkursu „Wydarzenie muzealne 2008 roku” Muzeum w Sosnowcu otrzymało Nagrodę Marszałka Województwa Śląskiego w kategorii „dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego za projekt „od trójkąta Trzech Cesarzy do Traktatu w Schengen”.

W ślad za tym ekspozycyjnym sukcesem Muzeum sosnowieckie w dniach 3 do 6 września przygotowało Dni Muzeum. Złożyły się na nie atrakcyjne wystawy: „Triumfalny pochód cesarza Maksymiliana I w grafikach Albrechta Dürera i jemu współczesnych” ze zbiorów Muzeum Wschodniosłowackiego w Košyczach oraz „Barwy starożytnego Egiptu” przygotowanej przez Muzeum Narodowe w Warszawie. Ponadto z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej zorganizowano konferencję naukową nt. „Zagłębie Dąbrowskie w latach wojny i okupacji (1939-1945)”. Wśród zaproszonych gości, którzy wygłosili referaty, byli m.in. prof. Jacek Chrobaczynski, prof. Stanisław Medycki, dr Mieczysław Starczewski, ks. dr Mariusz Trąba, prof. UŚ Zygmunt Woźniczka.

Wśród imprez towarzyszących znalazły się koncerty, wykład na temat techniki graficznych Albrechta Dürera, bazar egipski, w y k l a d y „ABC hieroglifów”, „Wierzenia starożytnych Egipcjan” i „Życie codzienne w starożytnym Egipcie”. Dni z Muzeum zakończyła „Niedziela z miodoobraniem”.



O Bellmerze w Teatrze Śląskim

Teatr Śląski i Towarzystwo Bellmer przygotowali spotkanie „Wokół Bellmera” z udziałem Tomasza Mana – autorem dramatu „Świat jest

skandalem” i reżyserem spektaklu, Andrzejem Urbanowiczem – malarzem, Markiem Zielińskim – dyrektorem Ars Cameralis, Janem Przyłuskim – antropologiem i reżyserem, Lukaszem Kałbasiakiem – „Gazeta Wyborcza”. Spotkanie poprowadził Lukasz Drewniak. Spotkaniu towarzyszył pokaz reprodukcji i plakatów związanych z Hansem Bellmerem.

Bohaterem sztuki napisanej na zamówienie Teatru Śląskiego jest Hans Bellmer, urodzony ponad sto lat temu w Katowicach światowej sławy artysta, surrealist, autor niepokojących, wieloznacznych rzeźb-instalacji, rysunków i fotografii. Echa spędzonego na Śląsku dzieciństwa, twórcze lata w Berlinie i Paryżu, spotkania ze współczesnymi mu wybitnymi twórcami, wspomnienia rodzinne, wszystko to łączy się w kolażu, będącym próbą ukazania inspirujących artystę zdarzeń.

Hans Bellmer (urodził się 13 marca 1902 w Katowicach, zmarł 23 lutego 1975 w Paryżu) – śląski malarz, rzeźbiarz i grafik. Był synem inżyniera, w 1923 rozpoczął naukę w berlińskiej Wyższej Szkole Technicznej. Bellmer znany jest głównie z serii rzeźbiarskich instalacji „Lalka”. Pierwsza seria „Lalek” ukazała się w 1935 jako cykl fotografii „Wariacje na temat montowania rozczłonkowanej małolatki” zamieszczonych w czasopiśmie surrealistów „Minotaure” (nr 6) wywołała wielkie poruszenie. Druga seria w 1938 – pełniła funkcję ilustracji do wierszy Paula Eluarda w magazynie „Mes-sages”. W 1938 w Berlinie anonimowo wydał własnym nakładem książkę „Lalka” (Die Puppe), zawierającą 10 czarno-białych fotografii lalki zaaranżowanych w serie „tableaux vivants” (living pictures). Po dojściu do władzy w Niemczech nazistów sztuka Bellmera uznana została za zdegenerowaną. W 1938 roku ostatecznie Bellmer opuścił Berlin i przeniósł się do Paryża, gdzie przyłączył się do surrealistów. Po II wojnie światowej pozostał w Paryżu, porzuciwszy tworzenie lalek, zajął się tworzeniem erotycznych rysunków i fotografii.

Ewangelicy w obronie polskości

Polskie Towarzystwo Ewangelickie w Katowicach, Parafia Ewangelicko-Augsburska w Katowicach i Muzeum Śląskie w Katowicach byli organizatorami sesji popularno-naukowej pt. „Wkład ewangelików w obronę polskości w Katowicach i na Górnym Śląsku w latach 1919-1939”. W programie znalazły się wystąpienia dra Arkadiusza Kuzio-Podrudzkiego: *Spotkania Tiele-Wincklerów z polskością*, Tomasza Hajewskiego – *Katowickie koło Związku Polskiej Młodzieży Ewangelickiej*, Adama Turuli – *Cień wieży spadochronowej 70 lat później*, ks. Mirosława Czyży – *Ewangelicka rodzina Korfantych w obronie polskości Górne-*

go Śląska w okresie międzywojennym. Sesję zakończył koncert pieśni patriotycznych w wykonaniu prof. Michaliny Growiec.

„Światowidz” – oblicza fotografii

Wystawa „Światowidz” w galerii „Pusta” Górnos Śląskiego Centrum Kultury prezentowała fotografie Lukasa Biedermanna, Krzysztofa Szlapy, Tomasza Zajacę i Roberta Panasa – młodych fotografów reprezentujących różne środowiska artystyczne. Tytuł wystawy nawią-



Krzysztof Szlapy. Widokówki z miasta we mnie.

zuje do rzeźby przedstawiającej Światowita, słowiańskie bóstwo o czterech obliczach zwróconych w cztery strony świata. Autorzy zdjęć nie zajmują się fotografią zawodowo, a w tym projekcie polczyła ich pasja fotografowania i bardzo osobisty stosunek do fotografii – każdy prezentuje odmienny sposób obrazowania: metafizyki (Szlapy), surrealizmu (Zajacę), pop-artu (Biedermann) oraz mistycyzmu (Panas). Ich obszarem zainteresowania jest przeciętność i szarość codzienności. Poszukują ład w otaczającym ich chaosie oraz piękna w opatrzonej brzydocie świata (określenie Joanny Turek).

Fotografie z wystawy „Światowidz” to interesujący projekt fotograficzny – przypadkowe cztery spojrzenia na przypadkową rzeczywistość, dające w sumie bardzo osobistą interpretację tego co nazywamy rzeczywistością.



Lukasz Biedermann

■ Premiera widowiska muzyczno-baletowego pt. „The Poems of Chopin” z muzyką w wykonaniu Magdaleny Lisak, Daniela Lisa, Marka Andryska, Sieliana String Band i Jazz trio Leszka Kułakowskiego i tańcem w wykonaniu Zyty Bujas, Patryka Rybarskiego, Leszka Stanka, odbyła się w Chorzowskim Centrum Kultury, a producentem widowiska była Polsko-Chińska Fundacja Promocji Kultury i Sztuki „Dong Feng” i ChCK.

■ VII Gliwickie Dni Dziedzictwa Kulturowego rozpoczęły się 30 sierpnia w Willi Caro otwarciem wystawy „O wolność i niepodległość SZP-ZWZ-AK 1939-1945” a także wystaw „Warning plakat antywojenny i „Nie! Wystawa fotografii Piotra Janika.

■ Biblioteka Śląska zapraszała do „Małej galerii” na wystawę malarstwa Jolanty Hałas pt. „Reminiscentje tatrzzańskie”.

■ W Muzeum Śląskim dokonano uroczystego otwarcia Galerii malarstwa polskiego 1800-1945 w nowej aranżacji.

■ Muzeum Historii Katowic przygotowało wystawę pt. „Huta Baildon i jej twórcy”, którą uczczono 70-lecie pierwszej wzmianki o najstarszej dzielnicy Katowic – Dębnie (1299 r.) oraz 649-lecie pierwszej wzmianki o Zależu.

■ „Polyptyk” Krzysztofa Kuli pokazało w ramach Międzynarodowego Triennale Grafiki Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach.

■ Muzeum Archidiecezjalne przygotowało również wystawę fotografii „Przelamując stereotypy” Krzysztofa Golucha.

■ Pokonkursowa wystawa współczesnego design „Śląska Rzecz 2008” gości w Muzeum Śląskim w budynku stolarni na terenie dawnej kopalni „Katowice”.

■ Koncertem organowym w kościele św. Klemensa w Łędninach zainaugurowany został 10. Festiwal Jesień Organowa w Powiecie Bielsko-Łędnickim.

■ Na „wieczór z Wojciechem Korfantym”, podczas którego można było zobaczyć film „W pogardzie i chwałę. Wojciech Korfanty” TVP Katowice, wziął udział w spotkaniu z Janem F. Lewandowskim autorem książki „Wojciech Korfanty” oraz w debacie poświęconej W. Korfantemu w 70. rocznicę jego śmierci z udziałem historyków i publicystów a także wysłuchać pieśni śląskich w wykonaniu Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, zapraszał Kinoteatr Rialto w Katowicach, Instytucja Filmowa Silesia Film, Wydawnictwo Videograf II oraz Telewizja Katowice.

■ Koncertem w Galerii „szyb Wilson”, podczas którego zaprezentowano „War Requiem” op. 66 Ben-

jamina Brittena w wykonaniu Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Śląskiej z udziałem zespołów Orchestre des Pikardie, Knabenchor der Jenaer Philharmonie oraz solistów: Ewy Drizkovej (sopran), Johannesa Elsnera (tenor) oraz Jeana-Marca Salzmana (baryton) pod dyrekcją Mirosława Błaszczyka Województwo Śląskie upamiętnia 70. rocznicę wybuchu II wojny światowej.

■ Linoryty Mariana Jędrzejewskiego pokazało Muzeum Śląskie w Katowicach.

■ 11 września finał wystawy „Labirynt pamięci. Oblicza zła 1939-2009” z udziałem uczestniczących artystów.

■ Wojewódzka Instytucja Kultury Ars Cameralis przygotowuje komiks historyczny „Korfanty” – autorami publikacji będą Sławomir Zajęzkowski, który pracuje nad scenariuszem oraz rysownik Krzysztof Wyrzykowski.

■ W Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego minister Bogdan Zdrojewski oraz dyrektor naczelna Filharmonii Śląskiej Grażyna Szyborska i Maria Burska-Jurczyk, główna księgowa tej instytucji, podpisali umowę na dofinansowanie modernizacji i rozbudowy gmachu Filharmonii Śląskiej z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego przy udziale środków budżetu województwa śląskiego.

Ostatni akt ziomkostwa

W pierwszych dniach września 1939 r. hitlerowskie hordy triumfalnie wkroczyły ul. Cieszyńską do Bielska. Przeszły obok kirkutu. Tak zaczął się w Bielsku i sąsiedniej Białej pierwszy etap Holokaustu. 70 lat później przewodnicząca Gminy Wyznaniowej Żydowskiej w Bielsku-Białej Dorota Wiewióra oraz przewodniczący Ziomkostwa Żydów w Izraelu Irgun Jozef Bielsko-Biała Egon Moses odsłoniли na bielskim kirkucie pomnik „ku pamięci żydowskich obywateli Bielska-Białej i okolicy, którzy w latach 1939-1945 zostali zamordowani przez hitlerowców bądź zmarli na wygnaniu”. Rabini Boaz Pash i Szlomo Kuczera odmówili kadisz w intencji bielszczan.

Pierwsze dowody osadnictwa Żydów w Bielsku i Białej sięgają XVII w., a już w XIX w. Bielsko (wraz z sąsiednią Białą) było największym skupiskiem Żydów na Śląsku austriackim. Jeszcze w okresie międzywojennym, w polskim już Bielsku, żyło około 4 tys. ludności żydowskiej, co stanowiło 13 procent mieszkańców grodu pod Szyndzielnią. Po wojnie nad Białą wróciło ponad 200 Żydów, spośród których większość w końcu Polskę opuściła. Dlatego obecnie Gmina Wyznaniowa Żydowska ma tylko 48 członków.

Dorota Wiewióra stwierdziła, że bielska gmina żydowska była jedną z najliczniejszych i najlepiej zorganizowanych w monarchii austro-węgierskiej. Ładna architektura „Małego Wiednia” i specyficzny charakter Bielska-Białej jest m.in. efektem działań wybitnych Żydów, którzy swoje życie poświęcili dla dobra obu miast nad Białą. Przewodnicząca GWŻ wymieniła nazwiska Karola Korna, Salomona Pollaka, Salomona Halberstama i innych znakomych obywateli Bielska i Białej.

Dokonania bielskiej społeczności żydowskiej podkreślali też inni mówcy, np. ordynariusz bielsko-żywiecki bp Tadeusz Rakoczy i bp ewangelicko-augsburskiej diecezji cieszyńskiej Paweł Anweiler. Przewodniczący Związku Gmin Wyznaniowych Żydowskich w Polsce Piotr Kadłič zauważył, iż tego rodzaju uroczystości składają do spojrzenia wstecz. On chciałby natomiast z optymizmem patrzeć we wspólną przyszłość. Wzruszające przemówienia wygłosili przedstawiciele ambasady izraelskiej i stowarzyszenia Irgun Jozef Bielsko-Biała. Nawet starsi Żydzi posługiwali się piękną polszczyzną zdań wielokrotnie złożonych, która może być znakomitą dowodem wysokiej klasy naszego międzywojennego szkolnictwa.

W czasie uroczystości odsłonięto w domu przedpogrzebowym cmentarza tablicę poświęconą pamięci Ariego Jana Machaufa (1909-2005), założyciela Ziomkostwa Bielskich Żydów w Izraelu. Założyciel tej organizacji wyemigrował z Bielska-Białej w 1950 r. i od tamtego czasu wspierał swych bielskich rodaków organizując wszelką możliwą pomoc. Dzięki temu można było po części przynajmniej odnowić kirkut w wielu miejscowościach dawnego województwa bielskiego. Niestety czas przerzedził szeregi towarzystwa. Odsłonięcie monumentu i tablicy pamiątkowej były ostatnim aktem działalności zasłużonego ziomkostwa.

Cieni macew na grobach coraz więcej.

JAN PICHETA

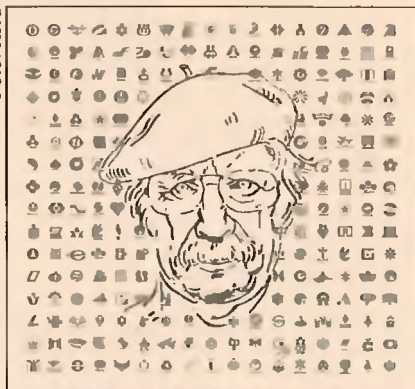
BIELSKO NOTATNIK KULTURALNY

Ślady Śliwki

Od 18 września do 11 listopada potrwa w Zamku Sztuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie wystawa prac projektowych Karola Śliwki. Artysta urodził się w 1932 r. w Harbutowicach nieopodal Skoczowa. Ukończył Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Bielsku-Białej. W latach 1953-59 studiował malarstwo u prof. Eugeniusza Eibisza w warszawskiej ASP. Po studiach osiadł w Warszawie. Pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego twórca zaprojektował znane do dziś znaki graficzne, np. PKO, Biblioteki Narodowej, Wydawnictwa Naukowo-Technicznego, Urody, Warszawy, Poltonu czy papierosów „Syrenka” i „Giewont”. W swym dorobku ma logo Instytutu Matki i Dziecka, Wydawnictwa Szkolnego i Pedagogicznego, Radoskóru, Bakomy, Domów Towarowych „Smyk”, wzory opakowań czekolady Wedel, etykiet dżemów, płyt Mazowsza czy plakaty Polleny, Hortexu, Igrzysk Olimpijskich w Moskwie i Los Angeles czy X Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina.

Na wystawie w Cieszynie można zobaczyć około 150 znaków zaprojektowanych przez Karola Śliwkę, co stanowi trzecią część jego bogatego dorobku, który przejdzie zapewne do historii polskiej grafiki użytkowej. Na ekspozycji znalazły się ponadto plakaty, opakowa-

Foto: ARC



Karol Śliwka

Jednym zdaniem

■ Od 21 do 29 sierpnia odbył się w Cieszynie XVIII Międzynarodowy Festiwal Muzyki Wokalnej „Viva il canto”.

■ Bielski dramatopisarz Artur Palyga został laureatem XV edycji Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej za spektakl „Ostatni taki ojciec”, który wykonało na Scenie Prapremier InVitro w Lublinie w reż. Łukasza Witt-Michałowskiego.

■ 1 września w Galerii Bielskiej BWA nowojorska artystka Agnes Janich zaprezentowała instalację pn. „Ogród niewiniątek”.

nia oraz – prezentowane po raz pierwszy – szkice i projekty znaków.

Dewastacji ciąg dalszy

Po wyburzeniu willi Hauptiga podobny los czeka inny zabytkowy obiekt Cygańskiego Lasu. Tym razem w gruzowisko zmieni się willa Olgi Josephy z 1892 r. Budynek jest własnością starostwa bielskiego i stanowi część szpitala psychiatrycznego przy ul. Olszówki. Władze starostwa utrzymują, że miały w planie remont willi, ale nie posiadają na niego pieniędzy, dlatego zabierają się za burzenie. Ich zdaniem – gdyby pozostawić budynek w takim stanie jak obecnie, grozi mu budowlana katastrofa.

Wydział Architektury i Urbanistyki UM w Bielsku-Białej wydał już pozwolenie na rozbiórkę. Tymczasem wybudowana w stylu cottage podmiejska siedziba nadal urzeka pięknem. Przeciw jej zrównaniu z ziemią buntują się animatorzy kultury z Komitetu Ochrony Cygańskiego Lasu, którzy dowodzą, że pieniądze na remont można pozyskać z funduszy unijnych, tylko ani władze powiatu, ani władze miasta o to nie zabiegają.

Dzikość w BWA

Jak zwykle bardzo dużym powodzeniem publiczności cieszyła się wrześniowa wystawa w Galerii Bielskiej BWA przedstawiająca najlepsze prace międzynarodowego konkursu „Fotografia Dzikiej Przyrody 2008 / Wildlife Photographer of the Year 2008”. Konkurs organizowany jest co roku przez BBC Wildlife Magazine oraz Muzeum Historii Naturalnej w Londynie. Organizatorzy otrzymali ponad 32 tys. zdjęć z 82 krajów, a w bielskim BWA wystawiono 80 nagrodzonych i wyróżnionych fotografii.

Tytuł Fotografa Dzikiej Przyrody 2008 otrzymał amerykański artysta Steve Winter za zdjęcie śnieżnej pantery. W gronie laureatów jest trzech Polaków. Antoni Kasprzak wygrał w kategorii zachowań ptaków, a Piotr Naskręcki otrzymał wyróżnienie w kategorii portretów zwierząt. Po raz drugi w gronie laureatów znalazł się licealista Michał Budzyński z Buczkowic koło Bielska-Białej, którego uhonorowano wyróżnieniem w kategorii młodzieżowej za fotografią bieszczadzkiego lasu pt. „Ostatnie technienie jesieni”.

■ „Spotkanie V” to tytuł wrześniowej wystawy prac absolwentów z lat 80. PLSP w Bielsku-Białej w tamtejszym Domu Kultury Włókniarzy.

■ 13 września na deskach Teatru Lalek Bańaluka odbyła się premiera „Przygód Sindbada Żeglarsza” wg Bolesława Leśmiana w reż. Jacka Malinowskiego.

■ „Kazania mikuszowickie” to tytuł zbioru kazań duszpasterza ludzi kultury ks. Eugeniusza Burzyka w zabytkowym kościełku św. Barbary, który ukazał się w Bielsku-Białej.

Częstochowa nagrodziła

Dni Częstochowy, organizowane przez władze miasta, to przedsięwzięcie skierowane do możliwie najszerszego grona mieszkańców, dlatego od początku dominują różnorodne imprezy plenerowe. Jednak najważniejszym wydarzeniem Dni Częstochowy jest wręczenie nagród Prezydenta Miasta w dziedzinie kultury. Władze miasta wskazują tym samym ważne oraz godne – ich zdaniem – oficjalnego wsparcia działania artystyczne, ujawniając jednocześnie kierunki prowadzonej polityki kulturalnej. I chociaż wiele osób irytują te nazbyt „dworskie” wyróżnienia, zdobyły one uznanie i prestiż w środowisku kulturalnym i artystycznym Częstochowy.

Nagrody przyznawane są w następujących kategoriach: literatura i historia, teatr i film, muzyka i taniec, sztuki plastyczne oraz promocja i ochrona kultury. Należy dodać, iż przyznanie nagród poprzedzone jest konsultacjami w gronie specjalnie powołanej komisji, w pracach której uczestniczą zarówno miejscy urzędnicy, jak i członkowie Rady Kultury przy Prezydencie Miasta oraz osoby wyróżnione Nagrodą Prezydenta w latach ubiegłych.

W tym roku laureatami zostali: artysta plastyk Jacek Palucha, filmowiec Krzysztof Jedręcki, kompozytor Włodzimierz Gołębiowski, prozaik i dramaturg Henryk Bardijewski oraz z odaniem promująca kulturę Anna Operacz (od wielu lat kieruje pracami Regionalnego Ośrodka Kultury w Częstochowie). Wszyscy tegoroczeni laureaci zostali wyróżnieni za całokształt swojej artystycznej i publicznej działalności. Tytuł Mecenasa Kultury 2009, który przyznawany jest za zaangażowanie finansowe na rzecz kultury, otrzymało Częstochowskie Przedsiębiorstwo Komunalne sp. z o.o., kierowane przez Jana Szymę. Przedsiębiorstwo to nie skąpi własnego grosza na wiele – co szczególnie istotne – niekomercyjnych wydarzeń kulturalnych skierowanych do wymagającego i elitarnego odbiorcy.

Dorobek każdej z nagrodzonych w tym roku osób z pewnością zasługuje na szczegółowe omówienie, ale warto choć w kilku słowach przywołać postać Henryka Bardijewskiego, pisarza obecnie nieco zapomnianego, a godnego większego czytelniczego zainteresowania. Może nagroda ta sprawi, iż o autorze „Wieku światła” (powieść z roku 1992) będzie się mówiło więcej, i to nie tylko w jego rodzinnym mieście. Znakomici krytycy i historycy literatury (m.in. E. Balcerzan i M. Kisiel) przekonywali o wartości prozy Bardijewskiego już dawno.

ELŻBIETA KOT

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Pielgrzymkowa statystyka

Zapewne jednym z najbardziej charakterystycznych elementów polskiej religijności wciąż pozostaje fenomen pieszego pielgrzymowania. A miejscem, które przyciąga wyjątkowo dużo pątników, jest Jasna Góra. Od maja do 15 sierpnia, kiedy obchodzone jest Święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, do Częstochowy przybyło 85 tys. 276 pątników. Najwięcej pielgrzymów wędruje przed oblicze Czarnej Madonny z Warszawy; w tym roku we wspomnianym okresie odnotowano blisko 16 tysięcy osób ze stolicy. Warto przypomnieć, iż tradycja pielgrzymowania z Warszawy do Częstochowy sięga osiemnastego wieku.

W tegorocznej, 297. Pielgrzymce Warszawskiej wzięło udział siedem i pół tysiąca pątników. Jednak najliczniejszą pielgrzymką pieszą w tym roku była 28. Pielgrzymka Krakowska (8 tys. osób). Należy też wspomnieć o 30. Pielgrzymce Radomskiej (7 tys. pątników) oraz 17. Pielgrzymce Bielsko-Żywieckiej (przeszło 4 tys. osób). Najdłuższą trasę pokonała 26. Pielgrzymka Gdańska, w której grupa Kaszubska przebyła 640 kilometrów. Niewiele mniejszą trasę miała za sobą 24. Pielgrzymka Szczecińsko-Kamińska, która w 20 dni przeszła 624 kilometry. Zdecydowanie najwięcej jest pielgrzymek pieszych, ale przybywa także wiele innych, np. rowerowych; w omawianym okresie odbyło się ich aż 36.

Rzeźby Szymona Wypycha

W Miejskiej Galerii Sztuki odbyła się wystawa prac Szymona Wypycha zatytułowana „Ekspresja ciszy”, upamiętniająca postać artysty w pierwszą rocznicę jego śmierci. W środowisku artystów regionu częstochowskiego był postacią cenioną, cieszącą się du-

żym artystycznym autorytetem. Wypych przez wiele lat stał na czele Stowarzyszenia Środowisk Twórczych w Częstochowie. Silnie angażował się również w działania na rzecz doskonalenia procesu dydaktyki i metodyki artystycznej; współpracował z Wojewódzkim Ośrodkiem Metodycznym, prowadząc konsultacje dla nauczycieli przedmiotów artystycznych.

Szymon Wypych był doskonałym artystą. Jego prace prezentowano w wielu prestiżowych galeriach w Polsce i poza granicami naszego kraju. Rzeźby Wypycha znajdują się m.in. w galerii Związku Artystów Rzeźbiarzy w Warszawie, w Galerii Rzeźby Śląskiej w Chorzowie i galerii Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie. Zdaniem Aleksandra Jaśkiewicza, twórczość Wypycha najpełniej charakteryzuje wielość tematów i różnorodność gatunkowa. W dorobku artysty odnajdujemy zarówno monumentalne pomniki, medale, jak i intymne rzeźby plenerowe, a także prace czysto dekoracyjne.

Ikona

W Muzeum Pielgrzymowania przed dwa wakacyjnie miesiące można było podziwiać wystawę ikon „Słowo, droga, modlitwa”. Wszystkie eksponaty pochodzą z Muzeum Ikon w Supraślu, stworzonego w 2007 roku na terenie prawosławnego monasteru. Na ekspozycję złożyło się 66 ikon powstałych na terenie Rosji głównie w XIX i XX wieku, choć niektóre z pokazanych obrazów pochodzą z XVII wieku.

Wystawa stworzyła możliwość ujrzenia zasadniczych motywów religijnych i duchowych Kościoła prawosławnego, które artysta „zapisuje”, tworząc ikonę. Wśród prezentowanych były m.in. ikony przedstawiające Matkę Bożą, Trójcę Świętą, Jezusa Chrystusa oraz wyjątkowo interesujące dla widza, przedstawiające wszystkie święta roku liturgicznego. Obok pojedynczych dzieł można było podziwiać także ikony-poliptyki. Na wystawie, oprócz ikon malowanych na desce, pokazano również ikony podróżne – mosiężne oraz inne przedmioty liturgiczne Kościoła prawosławnego.

Jednym zdaniem

■ W Sali Ryckarskiej na Jasnej Górze odbyła się wystawa fotografii Krzysztofa Świerтока zatytułowana *Pielgrzymowanie*.

■ W galerii Wejściówka – siedziba częstochowskiej redakcji „Gazety Wyborczej” – swoje prace malarskie prezentowała Iłona Cieślak.

■ W winiarni Stary Rynek odbyło się spotkanie autorskie częstochowskiego prozaika Rafała Sochy, promujące jego dwie najnowsze książki: „Urywki z rzeczywistości” oraz „Rękawica koloru kiłki”.

■ W klubie Roxy zaprezentowało się jazzowe trio: Anna Andrzejewska (vocal), Wojciech Puszek (fortepian) i Max Mucha (kontrabas).

■ W klubie Dzikie Wino odbył się pokaz filmów krótkometrażowych w reżyserii młodego częstochowskiego artysty Karola Bartona.

■ W Muzeum Częstochowskim (galeria przy ul. Katedralnej 8) prezentowane były prace tegorocznych absolwentów Wydziału Artystycznego Akademii im. J. Długosza.

Lekcje historii

W wielu miejscowościach Śląska Opolskiego odbyły się uroczystości z okazji 70. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Jednak tym razem, aby dotrzeć z przekazem historycznym do młodych pokoleń, organizatorzy rocznicowych obchodów postanowili wzbogacić je o nowe oryginalne propozycje. W centrum Opola kawiarnia „Dolce Vita” zamieniła się w scenę widowiska „Światło i dźwięk” pod tytułem „Pokolenie”, w którym wykorzystano m.in. archiwalne zdjęcia, piosenki Hanki Ordonówny, poezję Baczyńskiego, Gajcego, projekcję archiwalnych filmów na wielkim ekranie. W spektaklu Andrzeja Czernika zrealizowanym na zlecenie władz miasta, zagrała grupa znanych opolskich aktorów (m. in. Judyta Paradzińska i Zofia Bielewicz). Widowisko wzbudziło spore zainteresowanie, szczególnie młodej publiczności, dla której ten sposób historycznej narracji był dobrym przypomnieniem wydarzeń z września 1939 roku.

Podobnie było w Lambinowicach podczas wojewódzkich obchodów, gdzie po części oficjalnej pod Pomnikiem Martyrologii Jeńców Wojennych tłum uczestników, a w nim spora grupa młodzieży, obejrzał spektakl „Życie za wszelką cenę” Teatru Eko Studio, również w reżyserii Andrzeja Czernika, który tym razem nawiązywał do losów jeńców obozów jenieckich Łamsdorf (Lambinowice). Hitlerowcy wzięli tam podczas II wojny światowej około 300 tysięcy jeńców blisko 50. narodowości, w tym jeńców polskich, głównie żołnierzy września oraz powstańców warszawskich. Największą grupę uwięzionych stanowili jeńcy radzieccy (około 200 tys.), traktowani przez Niemców ze szczególnym okrucieństwem. Wzięto ich pod gołym niebem, a 40 tys. zmarłych bądź zabitych pogrzebano w zbiorowych mogiłach wokół wspomnianego Pomnika. Tym razem reżyser spektaklu skorystwał z dziennika młodego jeńcy i poety – Siergieja Woropajewa, jego talent nie zdolał się rozwinąć, zmarł pięć dni po wyzwoleniu obozu. Obozowe wspomnienia rosyjskiego jeńcy przetłumaczył Edmund Nowak, dyrektor Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Lambinowicach-Opolu. Akcja zaczyna się pod zmierzchu na terenie dawnego obozu jeńców radzieckich. Ciemności rozświetla światło reflektora z wartowniczęj wieży, za drutami snują się jeńcy, zziębnięci, schorowani, wycieńczeni głodem i niewolniczą pracą. Przedstawiciele rasy panów w nienagannie skrojonych mundurach wygłaszają podczas inspekcji obozu przemówienia i rozkazy w imieniu tysiącletniej Rzeszy, a na co dzień wartownicy poganijają jeńców do roboty i bez znużenia oka strzelają do zdesperowanych uciekinierów, którzy nie wytrzymują cierpienia i tęsknoty za rodziną i ojczystymi stronami.

Przedstawienie, które sfinansował Zarząd Województwa Opolskiego, wywarło na publiczności wstrząsające wrażenie. Jego paacyfistyczne przesłanie było lekcją historii dla młodzieży szkolnej i jednocześnie przypomnieniem okrucieństw wojny, którą można było poznać nie tylko z lapidarnych opisów na stronach podręczników, dlatego jeszcze przez kilka dni po zakończeniu uroczystości wycieczki szkolnej młodzieży mogły zwiędzić CMJW w Lambinowicach i obejrzyć kolejne prezentacje widowiska plenerowego „Życie za wszelką cenę”.

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Zabytkom na odsiecz

Ogólnopolska inauguracja Europejskich Dni Dziedzictwa odbyła się w ubiegłym roku w Byczynie, zabytkowym miasteczku, znanym z wiktoria Jana Zamojskiego (1588 r.) nad arcyksięciem Maksymilianem Habsburgiem. W tym roku zainteresowanie tym przedsięwzięciem (akcja Rady Europy i Komisji Europejskiej z udziałem 49 państw) nadal było znaczące i zaowocowało organizacją imprez w 25 miejscowościach regionu. Gmina Byczyna włączyła się w I Międzywojewódzkie Śląsko-Opolskie obchody EDD w Ogrodzieńcu. Natomiast regionalną stolicą tegorocznych Dni była Nysa, miasto zwane „śląskim Rzymem” i pomimo zniszczeń z czasów II wojny światowej, posiadające wiele cennych zabytków z imponującą katedrą św. Jakuba, Pałacem Biskupim oraz fortami stanowiącymi pozostałości po dawnej Twierdzy Nysa. Właśnie forty nyskie znakomicie wpisały się w motto tegorocznych Dni „Zabytkom na odsiecz. Szlakiem grodów, zamków i twierdz”, tym bardziej że odnowione staraniem władz miasta stanowią atrakcję turystyczną a także miejsce wielu imprez i wydarzeń kulturalnych. Najbardziej znane i popularne wśród publiczności są Dni Twierdzy Nysa, połączone z historyczną inscenizacją (bodaj największą na Śląsku) bitwy z 1807 roku z okresu wojen napoleońskich, w której biorą udział co roku miłośnicy historii wojskowości m.in. z Polski, Czech i Niemiec.

Jubileusz Damy Bibliotecznej

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu zorganizowała „Bibliotekarski Jubileusz” z okazji 80. urodzin Janiny Kościów – nestorki i jednocześnie jednej z najbardziej fascynu-

jących osobowości opolskiego bibliotekarstwa. Pierwsze życzenia składał dyrektor ksiąznicy Tadeusz Chrobak, który postać Jubilatki oraz jej bogaty dorobek zawodowy przedstawił w krótkim wystąpieniu, odsyłając zainteresowanych do okolicznościowego wydawnictwa, które pracownicy biblioteki rozdali publiczności, tłumnie wypełniającej sale Pałacyku i Galerii WBP.

Część oficjalną zakończyła krakowska piosenkarka Anna Treter (znana z zespołu Pod Budą), śpiewając nastrojowe utwory, pełne poetyckiego klimatu. Dostojna Jubilatka była wielokrotnie honorowana odznaczeniami państwowymi, nagrodami Ministra Kultury, Wojewody Opolskiego i Prezydenta Opola.

Świętowali Kresowianie

W salach Zamku Piastów Śląskich w Brzegu Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich świętowało dwudziestolecie brzeskiego oddziału z udziałem przedstawicieli władz, kombatanów, kresowian z Opolszczyzny i Dolnego Śląska oraz młodzieży. Po II wojnie światowej Kresowianie do Brzegu przybyli ze Lwowa, Stanisławowa, Łucka, Żółkwi, Buczacza, Czortkowa, Śniatyna, odbudowywali z ruin zniszczone miasto i nadawali mu niezwykłego kolorytu. Towarzystwo od lat aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym miasta i regionu, organizuje m.in. konkursy recytatorskie im. Mariana Hemara, konkursy wiedzy o historii Kresów Wschodnich, podtrzymuje kontakty z rodakami na wschodzie.

W brzeskich szkołach oraz instytucjach kultury młodzież recytuje poezję i śpiewa piosenki o tematyce kresowej. Podopieczni Janiny Koronkiewicz z Klubu Garnizonowego w Brzegu wielokrotnie zdobywali laury za wykonania repertuaru kresowego na ogólnopolskich konkursach i przeglądach. Natomiast Publiczne Gimnazjum nr 3, pielęgnujące tradycje Leopoldis, przyjęło imię Orłąt Lwowskich. Podczas jubileuszowych uroczystości prezes oddziału TMLiKPW Alicja Zbyryt otrzymała wiele gratulacji, życzeń i prezentów.

■ W Galerii BP Atelier prowadzonej przez Bolesława Polarną swoje prace (malarstwo, rzeźbę, rysunek) wystawił czeski artysta Ladislav Steininger.

■ 53. Biennale Sztuki w Wenecji było tematem ostatniego spotkania z cyklu „Letni Ogród Sztuki”, które prowadziła kustosz Joanna Filipczyk w Galerii Muzeum Śląska Opolskiego.

■ Muzeum w Głubczycach przypomniało okolicznościową wystawą „Miasteczko Miłosierdzia”, dzieło biskupa Nathana, opiekuna chorych i cierpiących na Śląsku, budowniczego kompleksu szpitalnego w Branicach.

■ Muzeum Śląska Opolskiego na swojej stronie internetowej uruchomiło „wirtualne muzeum”; dzięki kilku kliknięciom można zwiedzać muzealne sale i wystawy, oglądając m.in. malarstwo, wystawę tulowickiej porcelany oraz wnętrza jezuickiej apteki.

■ Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu zaprosiła czytelników na spotkanie autorskie z udziałem poetki Ewy Lipskiej, które prowadził dziennikarz Krzysztof Ogiolda.

■ Europejski Festiwal Muzyki Organowej zakończył się w Kluczborku, na zaproszenie Kluczborskiego Domu Kultury w ewangelickim kościele „Zbawiciela” koncertowali artyści z Polski, Litwy i Austrii.

Co słychać na ostrawskie polonistycy?

Na Uniwersytecie Ostrawskim rozpoczął się w poniedziałek 21 września rok akademicki. Progi uczelni przekroczyło po raz pierwszy także 66 studentów, rozpoczynających w Ostrawie studia polonistyczne.

Szef zakładu polonistyki przy katedrze slawistyki, działającej na wydziale filozoficznym uniwersytetu, prof. dr Jiří Muryc, poinformował nas, że na studiach dziennych na kierunku język polski i literatura (3-letnie studia licencjackie, jedno- i dwukierunkowe) będzie na pierwszym roku studiować 20 studentów. Na studiach niestacjonarnych, potocznie zwanych zaocznymi, na kierunku język polski w sferze biznesu podjęło studia 46 osób. – W większości chodzi o osoby już dorosłe, pracujące w zawodzie, które podnoszą własne kwalifikacje – wyjaśnił Muryc.

Obecnie na ostrawskiej polonistycy studiuje ogółem 144 studentów. Na studiach dziennych licencjackich to 44 osoby, na magisterskich – 26 osób, na niestacjonarnych (studia I stopnia, trzyletnie) – 74. Są poza tym 4 osoby na studiach doktoranckich. – Niestety, nie jestem w stanie powiedzieć, ilu studentów kończyło polską szkołę średnią, a którzy zdecydowali się podjąć studia na polonistycę po maturze w czeskiej szkole. Jest to chyba w tej chwili pół na pół – stwierdził szef polonistyki. – „Za ciekawe zjawisko uznałbym fakt, że absolwenci polskich szkół częściej decydują się na studia dwukierunkowe, czyli język polski z innym językiem obcym lub, na przykład, historią lub psychologią. Na studiach magisterskich można też studiować na kierunkach nauczycielskich – bądź dla szkół drugiego stopnia podstawówek, bądź też szkół średnich”.

Polonistyka ma oprócz tego w ramach programu Erasmus podpisane umowy o wymianie studentów i pracowników naukowych z najważniejszymi ośrodkami akademickimi w Polsce i innych krajach Europy. Studenci mogą do Polski wyjechać na jeden czy dwa semestry na studia. Z kolei polscy studenci przyjeżdżają do Ostrawy. W tym roku akademickim w stołecy województwa morawsko-śląskiego będzie brało udział 20 studentów z Warszawy, Krakowa, Katowic, Wrocławia, Gdańska i Bielska-Białej.

– W ramach współpracy międzynarodowej wyjeżdżają z wykładami także nasi poloniści, przyjmujemy też polonistów z Polski. Na semestr zimowy są, na przykład, zaplanowane przyjazdy naszych kolegów z Bielska-Białej i Wrocławia. Będziemy m.in. gościć prof. Jana Malickiego, dyrektora Biblioteki Śląskiej – powiedział Muryc.

Szef polonistyki dodał, że w tym roku zakład będzie brał udział w ważniejszych imprezach wydziału filozoficznego – będzie współorganizatorem piątej już edycji konkursu przekładowego i dorocznej międzynarodowej konferencji naukowej *Slavica Iuvenum*. Nie będzie natomiast w tym roku w Ostrawie tytułowej konferencji polonistycznej. Niebawem jednak pojawią się publikacje z materiałami wygłoszonymi podczas ubiegłorocznej sesji naukowej poświęconej Czesławowi Miłoszowi oraz trzy monografie z prac ostrawskich doktorantów.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Zdjęcia z guckiej tróły

„Bliscy memu sercu” – tak nazywa się wystawa zdjęć księdza Kazimierza Suchanka, którą aż do 11 listopada można zwiedzać w Bazylice Śląskiego Zamku Szuki i Przedsiębiorczości w Cieszynie. Jej wernisaż odbył się w piątek, w ramach dziewiątej edycji odbywającej się w obu Cieszyńskich imprezy „Skarby z cieszyńskiej tróły”, którą z dyrekcją Zamku organizuje Ośrodek Kultury „Strzelnica” z Czeskiego Cieszyńska.

– Ta obecna edycja upływa nam pod znakiem mistrzów – powiedziała podczas wernisażu dyrektorka Zamku Ewa Gołębiowska. – Chcieliśmy pokazać, że nad Olzą żyją często zapomniane postaci, które tworzyły i tworzą wielką sztukę. Dlatego cieszę się, że wspólnie z Zaolziańskim Towarzystwem Fotograficznym możemy zaprezentować jedną z takich osobistości, księdza Kazimierza Suchanka, który na swoich zdjęciach stara się ocalić od zapomnienia świat i ludzi, którzy odchodzą.

Prezes ZTF, Marian Siedlaczek, przypomniał, że zamieszczone na wystawie zdjęcia pochodzą z albumu „Bliscy memu sercu”, za który ks. Suchanek był w 2007 roku nominowany do nagrody Kongresu Polaków „Tacy jesteśmy”. – Ileż patrzeć na zdjęcia księdza Kazimierza, budzi się we mnie coś niesłychanie pozytywnego, nie umiem, a może nawet nie chcę tego nazwać po imieniu. Patrzę więc i wyliczam się, zgiełk świata odpycha i zostaje sam na sam z kowalem Sikorą, słucham trąkotania ciotki z Trzyńca i przez chwilę ścisłam w milczeniu suchą dłoń wdowca pod kościołem... Starka kurzy swoją niedzielną fajkę... Świat, jaki pokazuje nam ksiądz Suchanek, już prawie nie istnieje. Prawdopodobnie nie ma już wielu bohaterów sztuki fotograficznej mistrza Kazimierza. Jego przysłówiowa skromność i pokora wobec tych, których miał szczęście uwiecznić na zdjęciach, pozwoliły mu zapewne wybrać ze stosu zdjęć te najprawdziwsze. Te najbliższe jego sercu. A po obejrzeniu wystawy – jakże bliskie także sercom naszym – powiedział Siedlaczek.

Pamiętali o doktorze Olszaku

Pod tablicą poświęconą dr. Wacławowi Olszakowi na polskiej szkole w Karwinie zło-

no w piątek 12 września kwiaty. Ceniony w Karwinie lekarz górniczy, aktywny działacz i współzałożyciel polskiej organizacji, pierwszy burmistrz miasta, zmarł 70 lat temu, zamordowany w pierwszych dniach wojny przez hitlerowców.

Obchody rocznicy jego śmierci zorganizowało w tym roku Polskie Towarzystwo Medyczne w RC wraz z Miejscowym Kołem Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego we Fryszacie. – My, członkowie Polskiego Towarzystwa Medycznego, bardzo cenimy sobie postać dr. Wacława Olszaka. Myślę, że nie tylko my, ale całe nasze społeczeństwo. Został nam wielką spuścizną, którą trzeba dalej pomnażać i o której trzeba zawsze pamiętać – mówił pod tablicą pamiątkową dr. Bogusław Chwajol. Kwiaty złożyli m.in. członkowie rodziny dr. Olszaka, zaolziańscy lekarze, przedstawiciele polskiej szkoły i PZKO.

Jindřich Štreit w Teatrze Cieszyńskim

Piękny prezent przygotowali zaolziańscy przyjaciele dla sławnego czeskiego fotografa, Jindřicha Štreita, na jego 63. urodziny, które artysta obchodził w sobotę 5 września. W tym dniu bowiem w Białej Galerii Teatru Cieszyńskiego odbył się wernisaż „Vztahy – relacje”, którą wspólnie z dyrekcją teatru zorganizowało Zaolziańskie Towarzystwo Fotograficzne.

– Ta wystawa przedstawia ogrom fotografii artystycznej Jindřicha Štreita – powiedział otwierając wernisaż ks. Kazimierz Suchanek, jeden z nestorów zaolziańskiego środowiska fotograficznego i członek honorowy ZTF (oprócz niego w sobotnim wernisażu wziął udział kolejny nestor, 95-letni Jan Grabowski). – Chciałbym zwrócić uwagę na emocjonalny aspekt zdjęć artysty, na bezpośrednie ich oddziaływanie na widza. Zdjęcia Štreita można by nazwać elementarnym stosunkiem międzyludzkich. Z tych zdjęć można się dowiedzieć bezpośredniej prawdy o życiu prostego człowieka, o jego radościach i smutkach, o jego problemach. Nad tymi fotografiami można medytować. Są one lepszym podręcznikiem życia ludzkiego, niż niejeden książkowy bestseller.

Ks. Suchanek dodał, że aby takie zdjęcia mogły powstać, ich twórca musi się z fotografowanym obiektem zżyć, trzeba przed nim otworzyć serce i zyskać jego zaufanie. – A to wymaga ze strony artysty wielkiej pokory, wielkiej cierpliwości i czasu. Empatii nie można w sobie wyprodukować w czasie przyspieszonym, empatia jest darem. Twórca musi się wżyć w duszę człowieka, musi poznać fotografowany obiekt w jego naturalnym środowisku. I to właśnie udało się Jindřichowi Šreitowi, który zwiedził wiele kontynentów, poznał wiele kultur i religii, pragnął zrozumieć życie człowieka.

Ks. Suchanek przypomniał też, że to właśnie Jindřich Šreit był autorem wprowadzenia do albumu jego zdjęć „Bliscy memu sercu”.

Jednym zdaniem

■ Z całej Polski zjechali w sierpniu do Katowic harcerze-seniorzy. W czasie kilkudniowego Zjazdu Seniorów i Starszyny ZHP „Harcerskie Dęby”, organizowanego w tym roku przez Chorągiew Śląską ZHP, odwiedzili także Zaolzie.

■ Zaolziańskie Śmiałowiec obchodzili pod koniec sierpnia 550-lecie założenia. Obchody zdominowała wizyta przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, Jerzego Buzka, który z ręką wójta Gustawa Chwistka odebrał wypalony lasem w szklanej płytce tytuł honorowego obywatela gminy.

■ 90. urodziny obchodził 19 września Władysław Gahuska ze Stonawy, opiekun i kronikarz mogił polskich żołnierzy zamordowanych w Stonawie w wojnie polsko-czeskiej w 1919 roku.

■ 180 siódmoklasistów zaolziańskich polskich podstawówek przebywało we wrześniu – w dwóch turnusach – w zielonej szkole nad Baltykiem.

■ Scena Polska zaprosiła 18 września na polską premiery sztuki chorwackiego autora Miro Gavrana „Czechow Tolstojowi powiedział „zegnam”.

■ „Śląsk Cieszyński – ziemia Korony Czeskiej”, książka autorstwa dwójki historyków z Uniwersytetu Śląskiego w Opawie, dr Ireny Korbelařowej oraz dr. Rudolfa Žáčka, wydana przez Muzeum Ziemi Cieszyńskiej w Czeskim Cieszyńsku, obruszyła polskich historyków. Przekonują oni, że publikacja zakłamuje historię.

■ Ośrodek wypoczynkowy „Pasieczki” w Kozarzyskach postanowił wznowić Festyn Górski, imprezę popularną na Zaolziu zwłaszcza w latach 60. i 70. ubiegłego wieku.

■ Dwutygodnik „Nasza Gazetka” po dwóch latach powrócił pod harcerskie skrzydła. Z powodu problemów organizacyjnych Harcerstwa Polskiego w RC wydawaniem pisma zajmował się w latach 2007-2009 Kongres Polaków.

■ Wielką dyskusję wywołał na Zaolziu słowa prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który 1 września w przemówieniu na Westerplatte uznał zajęcie Zaolzia w 1938 roku przez Polskę za „grzech”.

■ Kongres Polaków i PZKO wznowiły zbiór opowiadań ludowej poetki Anieli Kupiec „Po naszym pieciu i na skrzydłach”.

Wcechowni niejednej śląskiej kopalni nie słyhać już gwaru górników, a wiele kopalnianych szybów unieruchomiono na zawsze. Jeśli nie zostały zburzone, często są dobrym punktem odniesienia dla mieszkańców i podróżnych. Wiele z nich jednak zrównano z ziemią i trudno dziś szukać śladów ich dawnej bytności. Od kilku lat w ramach projektu „Ocalić od zapomnienia” młodzi ludzie z aparatami fotograficznymi prowadzą wyścig z czasem dokumentując relikty przemysłowego krajobrazu Górnego Śląska. Jednym z miast, które odwiedzili był Bytom.

Od srebra do czarnego złota

Bytom, znajdujący się w samym sercu Górnos Śląskiego Okręgu Przemysłowego, w swojej wielowiekowej historii dwukrotnie przeżywał okres rozwoju. Za każdym razem źródłem bogactwa miasta były złoża zalegające pod jego powierzchnią. Już w średniowieczu mieszkańcy Bytomia czerpali duże zyski z wydobycia rud srebra i ołowiu, czego początki wzmiankowano w XII w. O potęgę miasta, będącego od końca XIII w. siedzibą księstwa, świadczy legenda, według której dzieci mieszczan bytomskich sypiały w kołyskach wykonanych ze srebra. W połowie XIV w. górnictwo kruszcowe upadło, zaś miasto na kilka stuleci stało się osadą peryferyjną.

Bytom odrodził się na nowo u progu XIX stulecia, gdy na Górnym Śląsku rozpoczął się okres „węgla i stali”. Wokół miasta w ciągu całego wieku założono kilkadziesiąt pól górniczych, które stopniowo konsolidowano tworząc większe kopalnie. Jednocześnie Bytom wchłaniał jako swe dzielnice sąsiednie wioski, które nieco wcześniej utraciły charakter rolniczy i stały się osiedlami robotniczymi. W ten sposób miasto stało się jednym z większych w Europie ośrodków górniczych.

Utrwalić ducha tej ziemi

Restrukturyzacja przemysłu po 1989 r. miała istotne konsekwencje dla Górnego Śląska. Poza trwałymi zmianami społeczno-ekonomicznymi rozpoczął się wówczas proces degradacji krajobrazu kulturowego tej ziemi, który bezpowrotnie zaburzył utrwalaony porządek. Szczególnie silnie zjawisko to można dostrzec w górniczym Bytomiu, gdzie kopalnie nie tylko stanowiły źródło

Ocalić od zapomnienia

Pamiętki górniczego Bytomia

utrzymania ludzi, ale także były impulsem dla powstawania osiedli robotniczych, sklepów i kościołów. Cała struktura Bytomia ma swoją genezę w przemyśle. Pozbawianie miasta tej tkanki odbiera mu siłę do życia.

Likwidacji bytomskich kopalń cofnąć się nie da. Nie można też odtworzyć wyglądu niektórych z nich, choć od ich zamknięcia upłynęło zaledwie kilka lat. Aby ten ginący krajobraz kulturowy nie odszedł w niebyt, studenci historii Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach przy wsparciu mieszkańców Górnego Śląska zainicjowali w październiku 2006 r. projekt fotograficzny pt. „Ocalić od zapomnienia”. Jego głównym celem jest utrwalenie w formie fotograficznej przemysłowego krajobrazu Górnego Śląska, zanim całkowicie zatraci swoją pierwotną tkankę. Organizatorzy projektu sporo miejsca poświęcili miastu Bytom i jego kopalniom. Do dziś w całości sfotografowano cztery zakłady z terenu miasta. Z tej liczby jedynie kopalnie „Bobrek” i „Centrum” (dawniej „Dymitrow”) nadal prowadzą wydobycie jako jeden zakład. Inny los spotkał kopalnie „Powstańców Śląskich” oraz „Szombierki”, które zostały zlikwidowane. O ich istnieniu przypominają jedynie drobne fragmenty, czasem pełniące jeszcze jakieś funkcje, lecz zasadniczo oczekujące rozbiórki. Ten los konsekwentnie przyspieszają zbieracze złomu.

Co pozostało z tamtych lat

Zaledwie kilka zabudowań świadczy o przeszłości zlikwidowanej w 1999 r. kopalni „Szombierki”. Z powstałego w 1870 r. zakładu zostały jedynie dwa budynki dawnych szybów wydobywczych. Szczegółnej uwagi wymaga szyb „Krystyna” (dawniej „Kaiser Wilhelm”), mający formę masywnej szkieletowej bryły. Jest on wyjątkowym

przykładem modernizmu w architekturze przemysłowej. W bezpośrednim jego sąsiedztwie wznosi się stalowy szkielet szybu „Ewa” („Hohenzollern”). Szybem tym obecnie prowadzi się odwadnianie podziemi dawnej kopalni. Oba te obiekty mogą być dla miasta wizytówką, jeśli tylko zostaną właściwie wykorzystane. Obszar kopalni w ramach programu „Ocalić od zapomnienia” we wrześniu 2007 r. uwiecznił na 216 fotografiach student historii Leszek Chrobok.

Kopalnia „Powstańców Śląskich”, znajdująca się przy granicy Bytomia z Radzionkowem, została utworzona w 1975 r. z połączenia kopalń „Bytom” i „Radzionków”. Chociaż zakład został zlikwidowany w 2004 r., na jego terenie zachowało się kilka obiektów, świadczących o przeszłości tego miejsca. Na wyjątkową uwagę zasługuje stalowa wieża szybu „Kopernik” wraz z budynkami nadszuby i maszyny wyciągowej, reprezentującymi wczesny modernizm. Obiekty te warto ocalić nie tylko na kliszy fotograficznej. Ciekawą konstrukcję ma także zachowany budynek dawnej dyrekcji i łaźni. Poza tym do dziś stoi szyb wentylacyjno-podszadzkowy, znajdujący się już na terenie sąsiedniego Radzionkowa. Resztki kopalni na 668 zdjęciach we wrześniu i październiku 2007 r. udokumentował także Leszek Chrobok.

Niewiele pozostało dziś z utworzonej w 1900 r. kopalni „Miechowice” (dawniej „Preussen”). W 1997 r. połączono ją z kopalnią „Bobrek”, lecz niedługo później całkowicie wstrzymano Ruch „Miechowice”. Ponieważ w 2005 r. teren dawnej kopalni zrównano z ziemią, tym razem studenci przegrali walkę z czasem już na przedbiegu. Dziś o wydobyciu węgla w tej okolicy świadczy jedynie betonowy szyb „Ignacy”, należący obecnie do kopalni „Bobrek”, który jako jedyny został utrwalaony w ramach projektu.

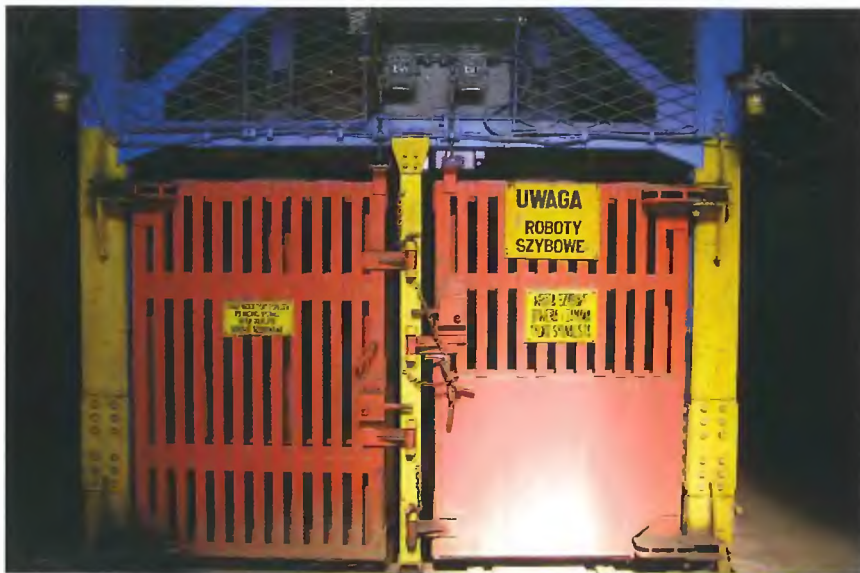
Nie udało się natomiast dotąd sfotografować terenu zlikwidowanej w 2004 r. kopalni „Rozbark”, będącej jedną z najstarszych bytomskich kopalń. W programie znalazł się jedynie dawny jej szyb „Barbara”, należący obecnie do Zakładu Górniczego „Piekarzy”.

Dzięki bezinteresownemu zaangażowaniu młodych mieszkańców Górnego Śląska udało się wykonać kilka set fotografii o charakterze dokumentacyjnym dawnym bytomskim kopalniom. Zdjęcia te już niedługo mogą być bezcennym źródłem informacji o minionym Śląsku.

PRZEMYSŁAW NOPARLIK



Widok ogólny na szyby Ewa i Krystyna



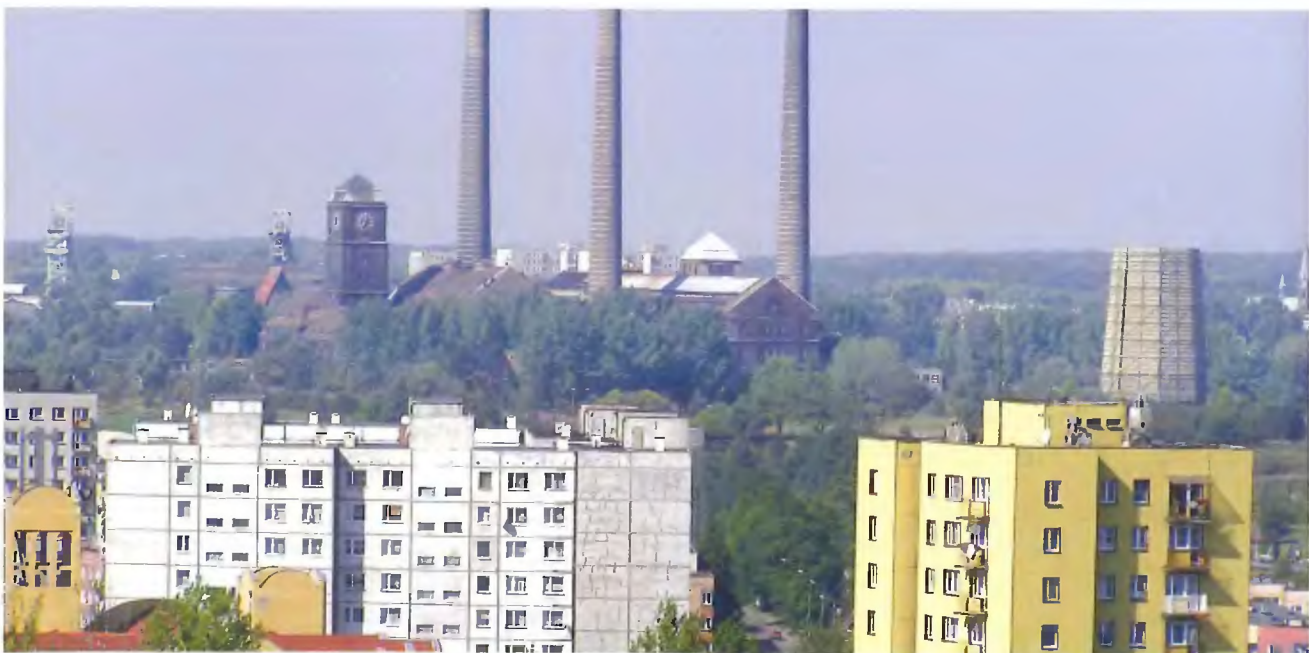
Nadszybie



Szyb wentylacyjno-podszadzowy



Budynek dyrekcji i łaźni



Widok z Szybu Ewa

351706 III

2009/10

najlepsze ceny

DUBLET

najwyższa jakość

najkrótsze terminy

DRUKARNIA
im. Karola Miarki
TOLEK®



43-190 Mikołów
ul. Żwirki i Wigury 1
tel. 32 326 20 90
fax 32 326 20 99
tolek@tolek.com.pl
www.tolek.com.pl

Zdobywca nagrody

Złotego Gryfa 2007

